

I 1463.038

1

TANIE  
ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI  
ELIZY ORZESZKOWÉJ.

---

Tom III.  
W K l a t c e.

---

WARSZAWA.  
Własność, nakład i druk S. Lewentala.  
Nowy Świat Nr. 39.  
1884.

ELIZA PRZESZKOWA.

---

W KLATCE.

---

POWIEŚĆ.

---

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 39.

1864.

Доволено цензурою.

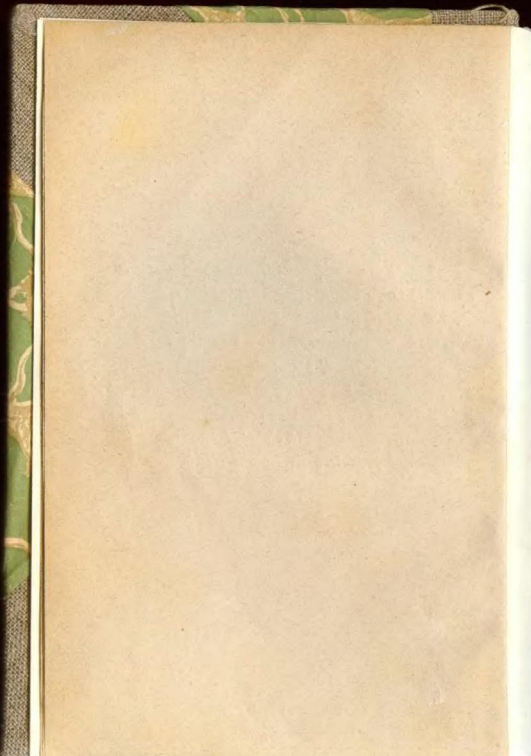
Варшава 31 Января 1884 года.



I 1.463.038



„Wierzę, iż miłość mężczyzny dla kobiety nie powinna być alfą i omegą ludzkiego istnienia, że ugiąć się, złamać się pod nią może tylko człowiek słaby, albo taki, któremu ona zastąpić musiała wszystko: czyn, ideę, sławę. W klatce niema wyboru pożywienia; zgłodniały bierze taki pokarm, jaki znajduje, a jeśli pokarm ten jest trucizną, żyje nią czas jakiś, a potem... umiera i t<sup>o</sup> się kończy jedna z tragi-komedyi ludzkiego istnienia na świecie.”

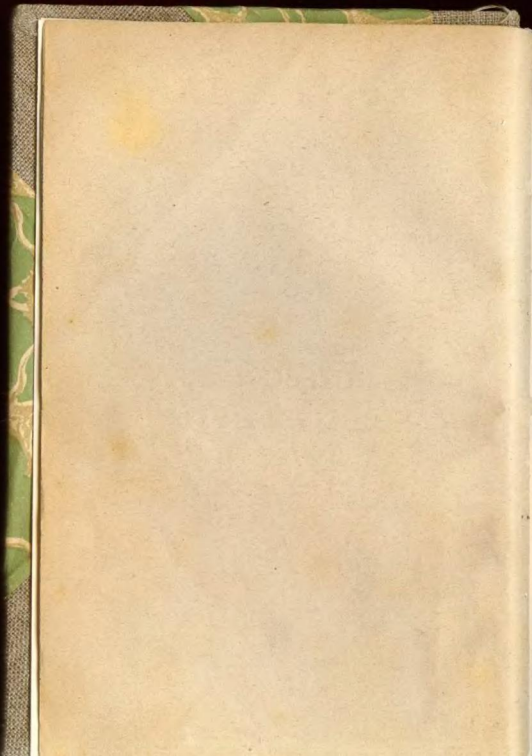




4

CZĘŚĆ I.

KAMELEON.



„Jeden uśmiech z pod małego kapelusika  
wpr owadza duszę w świat marzeń.“

(*Wiktór Hugo: Nędznicy.*)

## I.

### W p o d r ó ż y.

Było to w miesiącu Wrześniu, przy schyłku krótkiego jesiennego dnia.

Przed jedną z największych stacyi kolei żelaznej, wiodącej z Wilna do Warszawy, stał długi szereg wagonów, a w jednym z nich, zasunięta w głąb' powozu, z książką w ręku i gęstą zasłoną z czarnej koronki na twarzy, siedziała kobieta.

Zmrok zapadał coraz ciemniejszy. Pod dużym gmachem stacyi błyskały latarnie, chodzili i gwarzyli ludzie,—w górze między chmurami wypływały gdzieś gwiazdy, a w dali ciemniał las, szerokim i nieruchomym pasem łącząc szare niebo z szarą ziemią.

Zadzwoniono po raz piérwszy.

Do wagonu, w którym siedziała kobieta z zasłoną, lekko i zręcznie wskoczył młody mężczyzna. Postać jego zgrabna i smukła, mimo zmroku, wdzięcznie zarysowała się na otaczającym ją ciemném tle; błysnęły stalowe ozdoby przewieszonój przez ramię jego podróżnój torebki i widać było wymykające się z pod czapeczki gęste i bardzo jasne włosy. Wskoczył do wagonu, stanął przy drzwiczkach i obejrzał się, jakby pytając losów, jakie towarzystwo zsyłają mu na długą może podróż.

Kobieta zwróciła twarz na wchodzącego i z po-zasłony swojój patrzyła na młodego człowieka.

I on patrzył na nią, ale, niestety! nic nie widział, oprócz niewyraźnój postaci kobiecój. Byłaż ona młoda czy stara, piękna czy brzydka? — nie mógł dojrzyć, bo siedziała w głębi powozu, a cienie były za nią, przed nią, wkoło niój.

Znowu rozległ się głos dzwonka.

Na stopniu, prowadzącym do wagonu, w którego drzwiach rysowała się postać młodego mężczyzny, ukazała się otyła kobieta, od chłodu jesiennój nocy zaopatrzona w futro z ogromnym lisim kołnierzem i w kaptur watowy z czarnego atlasu, zasłaniający część jój czoła i twarzy. W ręku trzymała niemalój objętości wór podróżny, dwa dosyć spore pudełka i drugi mniejszy worek, z którego sterczały, jak się zdawało, rogi oprawnych książek. Bagaże te i niepomierna

tusza utrudniały jój dźwignięcie się na wysoki stopień wagonu.

Młody człowiek nie zwracał uwagi na mozolne wspinanie się podróżnej, gdy nagle słuch jego uderzył słowa, dość ostrym wymówione głosem:

— Mój panie kochany! a bądź-że łaskaw podać mi rękę!

Odwrocił się, spojrział, lekki, ledwie dojrzany uśmiech przebiegł mu po ustach; ale z grzecznością człowieka, należącego do oświeconych towarzystw, schylił się, jedną ręką ujął wór podróżny zakłopotanej pani, drugą jój pudła i, postawiwszy to wszystko w głębi wagonu, podał jój obie dłonie.

Podróżna dźwignęła się z ciężkiem westchnieniem; po chwili cała masa podniosła się do wysokości drzwiczek, a zawsze wsparta na silnych i usługnych dłoniach młodego człowieka, wtoczyła się do wagonu.

W czasie téj operacyi, kobieta z zasłoną na twarzy siedziała ciągle nieruchoma, przez szybę powozu patrząc gdzieś daleko, może na wielką złotą gwiazdę, która sama jedna wypłynęła z pod chmury i zawisła nad pasem dalekich lasów, jakby świecić chciała ciemnym ich głębiom.

Zadzwoniono po raz trzeci.

Ze stukiem zaczęły zamykać się drzwi wagonów, rozległy się dwa ostre, przeciągłe gwizdnięcia i po chwili poważna, wspaniała, niby królowa, wojsko na

bój wiodąca, ruszyła się lokomotywa i, coraz szybsza, coraz silniejsza, żelazną piersią poczęła pruć gęste i mgliste powietrze, rzucając pod obłoki kłęby dymu, jakby słane ku niebu potęgi ziemskiej świadectwa.

W wagonach zapalono lampy. Przy jednej z nich młody człowiek, o jasnych, kędzierzawych włosach, z ciekawością patrzył na siedzącą w głębi powozu kobietę, której twarz kryła gęsta czarna koronka. A tak gęstą była ta zasłona, że przez nią dojrząc mógł tylko wielką białość gładkiego, wysokiego czoła kobiety i, przeciskający się przez tkanę koronki, blask jęj oczu. Ale kolor tych oczu, ich kształt, wielkość, ale reszta twarzy, usta, nosek i, co ważniejsze od tego wszystkiego, wyraz fizyognomii, zostawały dla ciekawie przypatrującego się tajemnicą. Widział tylko jeszcze grube warkocze ciemno - kasztanowatych włosów, wypływające z pod czarnego kapelusika, drobną, bardzo kształtną, zamkniętą w rękawiczce rękę i niedbale, a zarazem wdzięcznie, o poduszki powozu opartą postać.

Kobieta z po-za zasłony swojej patrzyła na towarzysza podróży, a ponieważ on zasłony takięj nie miał, z łatwością więc widzięć mogła świeżą, o regularnych rysach twarz jego, z pełnym młodzieńczęj swobody wyrazem, mały, jasny wąsik, ocieniający łagodne usta, i duże błękitne oczy, które zdawały się patrzęć na świat z młodą, niczém niezawiedzoną

jeszcze, nadzieją, i z młodą, nigdy jeszcze niezłamaną, a ufną w swoją potęgę, wolą.

Trzecia obecna w wagonie osoba, otyła pani z lissim kołnierzem, z ciekawością przyglądała się i kobiecie, i mężczyźnie, i zdawało się, że się namyślała, jak ma z nimi rozpocząć rozmowę.

Przez kilka minut w wagonie panowała cisza, przerywana tylko jednostajnym szmerem kół, uderzających o żelazne szyny...

Po chwili, kobieta z zasłoną na twarzy usiadła bliżej lampy, otworzyła książkę i zaczęła czytać; młody człowiek miał bardzo dobry wzrok i dojrzał na okładce książki tytuł: Poezye Słowackiego.

Otyła pani ujęła także swój mniejszy woreczek, rozsunęła zamykające go sznurki włóczkowe z ponsowemi kutasikami na końcach i wydobyla książkę. Młody człowiek dostrzegł mimowoli, że był to „Złoty Ołtarzyk”.

Zasłona gęsta utrudniała snąć czytanie, a może i lampa za słabe dawała światło, bo kobieta zamknęła książkę, zasunęła się znowu w swój kącik i siedziała cicha, nieruchoma.

Pani w kapturku wydobyla z worka drugą jeszcze książkę do nabożeństwa, i trzecią, i czwartą, a uszykowszyszy je wszystkie na kolanach, nie zaczynała jednak się modlić. Przenosiła wzrok z kobiety na mężczyznę; widocznie trawiona była żądzą dowiedzenia się, co to za jedni. Myślała więc nad tém, jakby za-

spokoić swoją ciekawość, a „Złoty Ołtarzyk”, „Łza Chrześcijanina”, „Westchnienie Duszy” i t. d., czekały sobie tymczasem na jej kolanach.

Młody człowiek z torebki podróżnej wyjął cygaro i, grzecznie zwracając się do otyłej pani, zapytał:

— Czy pani nie zaszkodzi dym cygara?

— A gdzie-by tam miał mi szkodzić, mój panie kochany! — odpowiedziała z widoczną radością, iż rozmowa się zaczyna. — A gdzie-by tam — powtórzyła — miały mi szkodzić cygara! Nieboszczyk mąż, święć Panie nad jego duszą (tu złożyła pobożnie ręce), codziem kilkanaście faj wypalił, to się przyzwyczaiłam do dymu tytoniu, panie mój kochany! Pal-że sobie, pal z Bogiem!

Młody człowiek zwrócił się do drugiej kobiety i powtórzył:

— A pani nie szkodzi dym cygara?

— Nie, panie — odpowiedziała krótko z poza zasłony swojej i znowu zapadła w milczenie.

Alé tym razem pani w kapturku nie pozwoliła ciszy zakrólować w wagonie. Spojrzała bystro na młodego człowieka, potem na zaslonioną kobietę i, uznawszy ją snąć za ciekawy przedmiot badania, zwróciła się ku niej i, poprawiając kapturek, ozwała się z rodzajem przymilenia:

— A pani dobrodziejka, czy z daleka?

Kobieta powoli zwróciła ku niej głowę i, po chwili-cie milczenia, zawsze z poza zasłony swojej, odrzekła:



— Z daleka, pani.

— Pewno do Warszawy? — spytała otyła pani, obydwoma już rękoma zsuwając z czoła kapturek.

— Tak, pani — była znowu odpowiedź.

— Czy pani dobrodziejka z okolic Warszawy może?

— Nie, pani.

— A z jakich? czy wolno spytać?

— Z dalekich.

Interlokutorka, widocznie zniecierpliwiona lakonicznymi odpowiedziami, poruszyła się tak żywo, że aż z kolan jęj spadł „Złoty Ołtarzyk”, a młody człowiek ze zdwojoną ciekawością wpatrywał się w zasłonioną kobietę. Uderzył go młody i świeży dźwięk jęj głosu i zaciekawily krótkie odpowiedzi.

— Pani dobrodziejka dawno już w podróży? — rozpoczęła się na-nowo indagacya.

— Od dnia wczorajszego.

— Pewno na zimę do miasta... dla zabawy?

— Tak, pani.

Tą razą „Kza Chrześcijanina“ poszła śladem „Złotego Ołtarzyka“ i w drodze rozsypała tuzin obrazków i przepisanych modlitewek.

Młody człowiek grzecznie się schylił i pomógł właścicielce w zebraniu rozsypanych skarbów pobożnych.

— A, dziękuję, panie mój kochany, dziękuję ślicznie! — mówiła otyła pani — grzeczny z pana kawa-

ler! To rychtyk jak nieboszczyk mąż, świeć Panie nad jego duszą. Bywało, jak robię pończochę, to niech mi tylko kłębek upadnie, zaraz mi go podniesie, choćby się pod samiuteńką kanapę potoczył. Pan dobrodziej kubek w kubek będziesz taki, jak mój nieboszczyk Wicus, świeć Panie nad jego duszą. Zaraz znać po grzeczności, żeś pan dobrodziej z Warszawy. Czy zgadłam, jeżeli wolno spytać?

— Tak, pani, jestem w Warszawy — odpowiedział młody człowiek.

— A dokąd-że to pan dobrodziej podróżował?

— Byłem w okolicach Wilna.

— A w jakim miejscu, czy wolno spytać?

— W miasteczku N.

— Ach, panie mój kochany, toć ja ztamąd jadę i tam mieszkam; że też nie zobaczyłam tak ślicznego kawalera! A u kogoż tam był pan dobrodziej, czy wolno spytać?

— Jeździłem do mego kolegi i przyjaciela, doktora Dolewskiego.

— Ach, panie mój kochany! znam, znam jak własne oko. No, proszę! Lucyś Dolewski, to pana dobrodzieja kolega! na rękę go nosiłam! Ależ on, panie mój kochany, sam w Warszawie jest teraz.

— Tak; to też, nie wiedząc o tém, wybrałem się do niego i rozminęliśmy się w drodze.

— Pewno pan dobrodziej krótko bawił w N.

— Parę godzin tylko. Na stacyi pocztowej do-

wiedziałem się o wyjeździe Lucyana i zaraz wróciłem, aby go choć w Warszawie znaleźć.

— No, proszę! — powtórzyła raz jeszcze otyła pani — Lucyś Dolewski, to przyjaciel pana dobrodzieja, no proszę!

— Złoty to chłopiec — ciągnęła dalej — anioł-stróż wszystkich biednych ludzi w N. i całej okolicy. Bo to głowa, panie mój kochany, co się nazywa. Nieboszczyk mój mąż, świeć Panie nad jego duszą, bywało, mówi: z tego chłopca będzie *ministyr*, a serce u niego, to, panie mój kochany, lepsze jeszcze od głowy. Czy-by to on nie mógł, jak i drugi jaki, rozsiaść się w wielkiem mieście, nie mówię już o Warszawie, ale w Wilnie naprzykład a choć-by w Grodnie, albo w Mińsku, i brać pieniądze, i królować, i hulać sobie, panie mój kochany. Ale on, biedaczysko, pracuje i haruje i tyra swoje młode lata między nami biednymi i, za pozwoleniem, głupimi ludziskami; a wszystko to dlatego, żeby staréj matki nie porzucać, bo-by umarła chyba z tęsknoty za swoim jedynakiem, któremu dała edukacyą, panie mój kochany, kawałek chleba od własnej gęby odrywając.

Ostatnie słowa wymówiła z rozrzewnieniem, wydobyla chustkę do nosa, otarła oczy i spocone pod kapturem czoło i w zapale wydobyła z worka jeszcze jedną książkę do nabożeństwa, podobno „Cicha łąka”.

— Cieszę się — po krótkiej chwili ozwał się mło-

dy człowiek — słysząc tak pochlebne wyrazy o moim przyjacielu.

— Ach, panie mój kochany — odpowiedziała pani — to-żem ja na rękach jego nosiła. Nieboszczyk mąż, święć Panie nad jego duszą, był komisarzem u hrabiego S., o wiorstę od N., a nieboszczyk ojciec Lucysia był w N. aptekarzem. To, panie mój kochany, w przyjaźni żyli z sobą, jak bracia. Jestem Anna Owsicka, do usług pana dobrodzieja.

Młody człowiek skłonił się w milczeniu.

— A pana dobrodzieja godność, czy wolno spytać? — podchwyciła pani Anna.

— Cypryan Karłowski — odrzekł z lekkim ukłonem i uśmiechem mężczyzna.

Na dźwięk tego imienia, kobieta z zasłoną na twarzy poruszyła się lekko i, mimo koronki, znać było jak błyszczące oczy zwróciła na młodego człowieka. Nic jednak nie rzekła i na chwilę umilkli wszyscy.

— Która téż to godzina, panie mój kochany? — spytała znowu pani Owsicka.

— Dziewiąta — odpowiedział pan Karłowski, patrząc na zegarek.

— O Chryste Panie! to-żem ja jeszcze nie zmówiła godziniek do Opatrzności Bożkiej. A jadę do Częstochowy, panie mój kochany; grzechem duszy obciążać nie można, w takie święte miejsce jadąc. Całe życie wybierałam się do Częstochowy, aż, chwała

Bogu, postawili kolój żelazną i teraz człowiek jak się-  
dzie sobie na maszynę, to tak frrrrrr... i poleci, gdzie  
tylko zamyśli. Daj Boże zdrowie tym ludziom, co to  
mają rozum i takie piękne rzeczy robią, panie mój  
kochany!

To powiedziawszy, otworzyła Złoty Ołtarzyk, prze-  
żegnała się i z głębokim westchnieniem poczęła się  
modlić półgłosem.

Znowu cisza zapanowała w wagonie. Młody czło-  
wiek spojrzął na kobietę, siedzącą w głębi i jedną  
tylko dostrzegł w niej zmianę: zdjęła rękawiczkę,  
a na kształtnój i niezmiernie białej jej ręce lśnił  
pierścień z wielkim brylantem. Rączkę tę podnosiła  
niekiedy do ust, jedząc karmelek, a rzutem tym od-  
krywała nieco zasłonę, tyle jednak tylko, że młody  
człowiek ujrzał parę razy białą, okrągłą bródkę.  
W myśli złorzeczył temu, kto piérwszy fabrykować  
zaczął gęste zasłony dla kobiet i błagał losy, aby  
Poezye Słowackiego zrzuciły z kolan nieznajomój, bo  
grzeczność nakazywała-by mu je podnieść, a przy tój  
sposobności podjęła-by się może zasłona kobiety. Nie-  
stety! książka leżała spokojnie na kolanach swój  
właścicielki, a zaciekawiony młodzieniec pytał my-  
ślą losów, dla czego przed chwilą z kolan pani Ows-  
ckiej spadł „Złoty Ołtarzyk”, a Poezye Słowackiego  
leżały spokojnie? Ale los nie uznaje nigdy potrzeby  
tłómaczenia się z niesprawiedliwości i nielogiczności  
swoich.

Błąda lampa drżała, niepewne światło rzucając w kąty wagonu, a milczenie przerywane było tylko pobożnymi westchnieniami pani Owsickiej i chrzęstem karmelka, odzywającym się niekiedy w ząbkach nieznajomej.

O prozo XIX wieku! Kobieta ubrana w czerni, z zasłoną na twarzy, milcząca, zamysłona, zamiast wzdychać, je karmelki. Niegdyś tak wyglądająca kobieta bywała istotą z mgły i zefiru, za pokarm jej służyły marzenia, a ziemskie jadło odtrącała drżąca dłonią, gwiazdom się skarżąc na prozę żywota. Dziś je ona karmelki! Gdzież poezya? gdzie tajemniczość? gdzie tragiczność awantury? gdzie czysty, brzydzący się materyą idealizm?! Młody podróżnik wszakże nie żałował tajemnicą owianych zjawisk dawnych czasów i z miłym wrażeniem słuchał chrzęstu karmelków w ustach nieznajomej, bo był mu on świadectwem jej młodych i zdrowych ząbków, które, sądząc podług przedziwnie białej rączki, jaką widział, przedziwnie też białemi być musiały.

Pani Owsicka skończyła godzinki do Opatrzności Bożkiej, wycalowała wszystkie obrazki, przeżegnała się krzyżem różańca i, na worku podróżnym złożywszy głowę, głęboko usnęła.

W ustach nieznajomej kobiety ustał po chwili chrzęst karmelków, ale znać było, że nie spała, bo niekiedy białemi paluszkami machinalnie przewracała karty książki.

I pan Karłowski téż nie spał, czoło oparł na dłoni i myślał.

I pogrążeni w milczeniu, kołysani jednostajnym ruchem wagonu, oboje młodzi ludzie utonęli w zamyśleniu. O czém oni myśleli? Niech odpowiedzią na to będzie wyraz: byli młodzi! A młode myśli, to orły szerokoskrzydłe, co lecą nad ziemią i orlim wzrokiem szukają kwiatu wesela i owocu szczęścia. I któż je zliczy, i któż je opowie, gdy rojami wylatują z głowy młodością wrzącą, gdy jedném ich skrzydłem wiara, drugiem nadzieja, a atmosferą, w której się unoszą... miłość. Ż ognia stworzone, w pragnieniu skąpane, wiarą w przyszłość strojne, gdzie-żeście wtedy, o myśli młode, kiedy czoło człowieka pochyli się smutne pod wspomnieniami doznanych zawodów? gdzie-żeście wtedy, gdy w sercu jego technienie życia zmrozi młodzińcze zapęły i porywy, gdy, po dniach minionych chodząc, jak po grobach, i myśl swą, i czoło chyli on ku ziemi?

Ale, jadący z Wilna do Warszawy, młodzi ludzie nie mieli skroni smutnie schylonych pod ciężarem dni już przebytych i nie chodzili jeszcze po wspomnieniach, jak po grobach. To téż młodzi oboje, piękni pewno oboje, myślami pobiegli w świat szeroki, a oczyma często spoglądali z zajęciem na siebie, dopóki... dopóki... nie usnęli.

Usnęli? i któż odważy się twierdzić, że oni spali? Młody człowiek siedział wprawdzie nieruchomy, ale



czy spał, czy snuł wątek różanych myśli, nie wiadomo; a młoda kobieta bodaj mało téż spała, bo z poza czarnej koronki często błyskały wyraźnie otwarte jój oczy. Trudno téż ręczyć, czy pan Karłowski nie zapytywał siebie, co bardziej silnym lśniło blaskiem, czy przysłonięte, a jednak tak błyszczące oczy, kobiety, czy wielki na jój palcu brylant?

Na świecie zaczęło szarzyć, cienie nocy zwołna ustępowały przed wschodzącym dniem. Na bladobłękitném niebie gasły jedna po drugiej gwiazdy, i w wagonie zgasła blada lampa. Parę razy gwizdnęła lokomotywa i pociąg stanął.

— Stacya Tłuszcz! pięć minut! — wołał postępujący, otwierając drzwi wagonów.

Pani Owsicka ocknęła się i zaczęła prędko mówić:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiech... czy daleko jeszcze do Warszawy, panie mój kochany?

— Jedną już tylko stacyą przebyć mamy — odpowiedział pan Karłowski.

— Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja... — szeptała znowu pani Owsicka i, otworzywszy jedno z pudełek, zaczęła, modląc się i wzdychając ciągle, przekładać w niém i układać różne drobiazgi, wypłowiałe wstążeczki, pomięte koronki, nici, szpilki i t. d.

Nieznajoma kobieta ujęła téż niewielki i piękny woreczek podróżny, otworzyła go kluczykiem, wyjętym z kieszeni okrycia, i zaczęła czegoś szukać, lub coś



układać. Młody człowiek zauważył, że ruchy jój były bardzo wdzięczne i harmonijne.

— Prześliczna być musi! — pomyślał — bodaj tę zasłonę! Byłaż-by Turczynką?—I uśmiechnął się sam z przypuszczenia swojego a uśmiech jego był taki swobodny, taki młodzieńczy, tak mu twarz rozświecił, błysnął w oczach i na białém czole zajaśniał, że aż pani Owsicka, mówiąc litanią, zamiast: „zmiłuj się nad nami“, dwa razy powtórzyła: panie mój kochany! a gdyby jaki drobny sylf zakradł się był pod koronkową zasłonę milczącej kobiety, ujrzał-by i na jój ustach rozkwitający uśmiech. „O, uśmiechy młode! wy, akordy wtórujące pieśniom młodych myśli! rozkwitajcie i ulatujcie w świat, póki wam pora nie minie; bo życie wasze, to żywot motylka... radosny, ale krótki! ...

Długo nieznajoma układała w woreczku jakieś małe pudełka, papiery i książki, a gdy nakoniec zamknęła go i kluczyk do kieszonki schowała, młody człowiek spostrzegł, że na palcu nie miała brylantowego pierścienia.

— Musiała go schować — pomyślał — i wistocie nie potrzebuje ona brylantów na palcach, mając dwa, przez naturę dane, a tak, przez gęstą nawet koronkę, żywo błyszczące brylanty oczu.

I znowu się uśmiechnął i, uśmiechając się, dostrzegł, że blaski tych dwóch brylantów, o których myślał, wyraźnie skierowane były ku jego twarzy.

Znowu gwizdnęła lokomotywa, znowu pociąg stanął.

— Warszawa! — ozwał się głos donośny, i ze stukiem poczęły otwierać się drzwi wagonów.

Pani Owsicka wstała najpiérwsza, choć nieco z trudnością, i jęła zabierać swoje wory i pudła.

— Niech pani wysiada — grzecznie rzekł pan Karłowski, — ja pani podam wszystkie te rzeczy.

— Dziękuję, dziękuję ślicznie, panie mój kochany—mówiła, sapiąc i wysiadając, pani Anna.—Grzeczny, bardzo grzeczny z pana kawaler. Powiem Lucy-siowi Dolewskiemu, że grzecznego ma kolegę, panie mój kochany.

To mówiąc, wygramoliła się z trudnością z wagonu, wzięła z rąk „grzecznego kawalera“ swoje manatki i, obciążona niemi, powoli zmieszła się z tłumem ludzi, zalegających platformę.

Ujrawszy przejście już wolne, nieznajoma kobieta powstała, owinęła się okryciem i, ujawszy swój woreczek, zręcznie zeskoczyła na ziemię.

Młody człowiek, rozciekawiony, zachwycony jęj ruchami, patrzył na nią i, gdy zstępowała ze stopnia, wiódł oczyma za długimi i ciężkimi fałdami jęj sukni ciemno-brunatnego koloru. I ujrzał, jak fałdami temi pociągnięty, ze stopnia wagonu na ziemię zsunął się brylantowy pierścionek, przed chwilą błyszczący na ręku kobiety, a ona poszła dalój, nie wiedząc, że go zgubiła.

Karłowski w jedném mgnieniu oka wyskoczył z wagonu, podjął pierścień i w kilku skokach dobiegł do piérwszej sali dworca. Niedaleko drzwi stała nieznojna kobieta i podawała urzędnikowi jakąś kartkę.

— Przepraszam panią! — rzekł młody człowiek, obok niéj stojąc.

Z lekkiém zdziwieniem i jakby pytająco, zwróciła ku niemu warkoczami obciążoną głowę.

— Zdaje mi się, że ten pierścionek do pani należy. Znalazłem go u stopni wagonu.

Lekki wykrzyk wydobył się z ust kobiety; końcem paluszków wzięła z ręki młodego człowieka pierścionek i rzekła:

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję! Tak jest, to mój pierścionek. Musiał mi spaść z palca wtedy, gdym układała rzeczy w woreczku. Bardzo dziękuję!

Mówiąc to, parę razy wdzięcznie skinęła głową, a zarazem podniosła rękę i odrzuciła z twarzy zasłonę.

Młody człowiek stanął olśniony, urokiem do miejsca przykuty.

Piękna téż była ta twarz, która nagle zajaśniała przed nim, a piękna nie posagową pięknością klasycznych, regularnych rysów, ale ogniem, który z niéj tryskał, ale życiem na niéj rozlaném. Czoło miała gładkie i białe, jak marmur greckich posagów; po skroni jéj wiła się siatka żyłek i znać było, jak

te błękitne niteczki pulsowały szybko, poruszane wrzącem tętnem młodego życia. Usta jęj, dość duże i wydatne, ponsowe, wilgotne, były nieco otwarte, jakby im ciągle braknęło powietrza; pod ciemnymi, w regularny łuk zagiętymi brwiami, blaskiem żaru płonęły wielkie oczy a takie dziwne były to oczy, że w jednej chwili zmieniały wyraz i barwę, ale jakkolwiek się ukazywały, płonęły ciągle wewnętrznym ogniem niezmordowanego, pełnego sił, życia.

Młody człowiek stał i patrzył, i kobieta patrzyła na niego przez chwilę.

— Niech-że wiem — ozwała się w końcu, swoim srebrnym, miękkim głosem — komu jestem winna znalezienie mojego pierścionka.

I dodała szybko:

— Słyszałam już pana nazwisko, ale radabym wiedzieć, czy jesteś pan synem pana Michała Karłowskiego, właściciela ziemskiego z okolic Warszawy, który tak zaszczytnie dał się poznać na polu przemysłu naszego.

— Tak pani — odpowiedział młody człowiek; — jestem synem Michała Karłowskiego. Ale pozwoli pani zapytać siebie... — i zawahał się z dokończeniem swojej myśli.

— Pan chcesz pewnie dowiedzieć się o mojem nazwisku — z uśmiechem rzekła kobieta.

— Tak pani — odpowiedział pan Karłowski — byłbym bardzo szczęśliwy...

Po twarzy kobiety przemknął się dziwny wyraz, a raczej zaigrały tysiące odcieni, wśród których wprawne oko mogło-by dostrzedz i figlarność młodzieńczą, i smutek jakiś, i nieco szyderstwa. Tak stała przez chwilę, jedną ręką podtrzymując opadającą jęj na twarz zasłonę, drugą z wdziękiem podnosząc fałdy ciężkiej sukni; aż wreszcie spojrzała w twarz młodego człowieka i rzekła:

— Nazywam się... nazywam... *Kameleon*.

Potem ukloniła się lekko i, zostawiając pana Karłowskiego w osłupieniu, oddaliła się szybkim krokiem.

Młody człowiek, jakby magnetycznym wiedziony pociągami, bezwiednie poszedł za nią, wyszedł na wschody, wznoszące się nad szerokim podwórzem stacyi, stanął wśród tłumu i obejrzał się. Na najniższym stopniu stała piękna towarzyszka jego podróży, a przed nią z kapeluszem w ręku, w pełnej uszanowania postawie, wysoki, w bogatą liberyą ubrany lokaj. Po chwili podjechała mała, zaprzężona dwoma siwemi końmi karetka, lokaj otworzył drzwiczki powozu, kobieta doń wskoczyła, powóz potoczył się szybko i... wszystko zniknęło.

---

## II.

### D o k t o r . .

W popołudniowych godzinach, tego samego dnia, w którym pan Karłowski wrócił z wycieczki swojej w wileńskie okolice, w niewielkim pokoju jednego z warszawskich hotelów, stał przed oknem młody mężczyzna. Wyglądał na lat dwadzieścia siedm, wzrost miał dość wysoki, pierś szeroką, a cała jego postać, choć nie nacechowana wytworną elegancją, jaką nadaje ciągły pobyt w wielkiem mieście, miała przecież pełne męskiej piękności kształty. Twarz jego, o ściągłych i regularnych rysach, bladą była tą gorącą, namiętą bledością, jaka pokrywa zwykle ogniste, a ciągle zwalczane, uczucie. Gęste, czarne włosy opadały nieco na gładkie czoło, a z pod brwi, gęstych także i czarnych, duże, ale głęboko osadzone, ciemno-szafirowe oczy myślącym i łagodnym spojrzeniem zgadzały się z wyrazem kształtnie zarysowanych ust. Niewielki czarny zarost otaczał to męskie i piękne oblicze.

Po-za oknem, na szerokiej ulicy wielkiego miasta, wrzał tłum różnorodny; z głuchym turkotem przesuwały się powozy, pełne niekiedy pięknych twarzy kobiecych. Nagle, nawpół stłumiona ulicznym gwarem, ale niedaleka, zabrzmiała muzyka ulicznego instrumentu, grająca aryą z opery. Na odgłos ten, patrzący oknem mężczyzna, jakby się ze snu obudził; brwi lekko mu drgnęły, a w miarę jak instrument śpiewał coraz boleśniej, z pod powiek jego i długich rzęs coraz żywsze i gorętsze błyskały promienie. W chwili owiej twarz jego nabrała wyrazu namiętnej wrażliwości, i kto-by nań wówczas spojrział, bardziej niż kiedy musiał-by się w nim domyślić natury gwałtownej, tłumionej wprawdzie wołą, ale za lada dźwiękiem, za lada dotknięciem wybuchnąć gotowej pożarem pragnień i porywów. Widząc go tak bladym, wsłuchanym w muzykę, ze ściągniętymi brwiami i oczyma pałającymi w głębi, można było odgadnąć, że jest to jeden z ludzi, co we własnej piersi noszą zarody fatalizmu, dla których w życiu niema środka między rajem i piekłem, i którzy, ulegając prądowi namiętności, znajdują śmierć tam, z kąd inni czerpią zaledwie drobną, przelotną łezkę.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich, z wytworną miejską elegancją ubrany, Cypryan Karłowski.

Odwrócił się od okna zamysłony mężczyzna i, postępując kilka kroków, zawołał:

— Cypryan!



— A! nareszcie znalazłem cię, Lucyanie, — wołał Karłowski — z otwartymi rękoma idąc do przyjaciela.

— Wracam z N., — mówił dalej Cypryan, po przywitaniu. — Chciałem skorzystać z niedawno w tych stronach ułatwionego podróżowania i odwiedzić cię. Ale powiedz, jak mogliśmy tak nieszczęśliwie się rozminąć?

— Nie byłem uwiadomiony o twoich dobrych chęciach — odpowiedział Lucyan Dolewski — i przyjechałem tu w sprawie mojej matki, która poleciła mi odebrać od jednego z tutejszych mieszkańców, pożyczoną mu przez ojca mego, sumę pieniężną. Serdecznie żałuję, że nie mogłem przyjąć cię, ale rad jestem, że się choć tutaj spotykamy nareszcie.

Dwaj młodzi ludzie usiedli obok siebie. Sprzeżność między nimi zachodziła wielka. Młody syn bogatego właściciela i przemysłowca był obrazem swobodnej, pełnej wiary w przyszłość i w siebie, niczem jeszcze nie zawiedzionej młodości. Znać było, że życie słało mu dotąd drogę kwiatami tylko, że patrzył na świat okiem Cezara, biorąc za dewizę przyszłości swojej: *veni, vidi, vici*. Młody doktor, zaledwie może o rok starszy od kolegi i przyjaciela swego, miał na sobie cechę przebytych walk i zapowiedź przyszłych burz. On także czuł się silnym; ale gdy w samym sobie spojrział, zdawało mu się, że w piersi własnej czyta ręką ciemnego anioła kreślone



wyrazy: Mane, Tekel, Phares. Mimo téj sprzeczności jednak, wiązała ich ścisła przyjaźń, oparta na wspólnéj miłości dla piękna i światła, na wspólnych wspomnieniach dziecięcych i młodzieńczych zabaw i prac. Połączeni byli ze sobą braterstwem przeszłości i wyrazem: czy pamiętasz? którym wzajemnie tę przeszłość wywoływać mogli.

— No, mój poczciwy Lucyanie — mówił Cypryan — powiedz mi, jak ty żyć możesz w téj mieścinie N.? Nigdy sobie nie wyobrażał podobnie szkaradnego miejsca. Samo żydowstwo włóczy się po błotnistych ulicach. Nie macie tam chyba ani koncertów, ani teatru, ani księgarni, ani żadnych zebrań publicznych, bo nie widziałem nawet budynków, które-by mogły ku tym celom służyć. Jak ty tam żyć możesz, biedny mój Lucyanie?

Uśmiechnął się Lucyan swoim łagodnym, poważnym uśmiechem.

— Nie jestem ja tak biedny, jak ci się zdaje — odpowiedział z wolna. — Prawda, że N. jest bardzo nędzną mieściną, że o koncertach i teatrze nikomu się tam nie śni, że założenia księgarni spodziewać się możemy, chyba za lat sto; ale czyż nie przypuszczasz, nawet wśród pustyni takiéj, spokojnego i użytecznego życia, dla ludzi, którzy mają tam do spełnienia jakieś zadanie?

— Zapewne, zapewne — żywo przerwał Cypryan — przypuszczam, że niejeden Lejba lub Szymel pro-

wadzić może w tój błotnistój dziurze byt spokojny i po swojemu użyteczny; że niejedna Sura lub Leja, świętobliwie i ku zadowoleniu swemu, przepędza tam życie, robiąc czarne pończochy z szafrowemi klinami i hodując izraelską progeniturę; stara nawet dewotka jaka może tam przebyć długie lata, klepiąc pacierze i nie jedząc mięsa przez trzy czwarte części roku, bo ryby na ulicach musicie tam poławiać. To wszystko przypuszczam; ale ty, mój Lucyanie, ty, rozkochany zawsze we wszelkich objawach piękności ducha i formy, ty, oświecony, ze smakiem wykształconym, jak ty tam żyć możesz?

Wesołość zniknęła na chwilę z twarzy Cypryana.

— Pisałeś mi wprawdzie o tём — mówił dalej Lucyan — że mieszkasz w małym i biednym miasteczku; ale rzeczywistości nigdy sobie wyobrazić nie mógł. Dziecię okolic Warszawy, tu wzrosłem, tu żyłem i nigdy nie widziałem nic podobnego; a nie widząc, trzeba mieć chyba wyobraźnię romansopisarzy francuzkich, aby stworzyć sobie obraz twego siedliska. Powiadam ci, Lucyanie, że gdybym tam rok przemieszkał, albo-bym umarł, albo z rozpacz przyjął żydowską wiarę i pojął za małżonkę najpiękniejszą z całego miasta Surę.

— Otoż widzisz — śmiejąc się, odpowiedział Lucyan — że, choć mieszkam w N. od lat trzech, anim umarł, anim się zapisał pod izraelski sztandar. Nie powiem zapewne, że mi tam jest jak w raj, i nie

uwierzył-byś nawet, gdybym ci mówił, że nie mam pragnień, przekraczających ciasny zakres, w którym się zamknąłem. Wszakże zostanę w N., długo może, bo mam do spłacenia dług serca, w przekonaniu moim święty.

— Chcesz mówić pewnie o twojej matce?

— Tak, Cypryanie. W dzieciństwie nieraz mawiałem tobie o tej mężnej, z mało oświeconym umysłem, ale bohaterskim sercem, kobiecie; nie potrzebuje ci więc wszystkiego, co wiesz, powtarzać. Powiem ci tylko, że jeżeli dziś w hierarchii społecznej należę do rzędu stojących na wyższym szczeblu oświaty, jej to winienem; rozum mój — jej łzami zdobyty, moja wiedza — okupiona jej pracą. Kiedy ojciec mój umarł i zostawił mnie kilkoletniem dzieckiem, matka stała się silną swoim macierzyńskim uczuciem. Jak pracowała? co robiła? nie wiem i niepodobna zapewne zliczyć wszystkich jej nocy, bez snu, i dni, bez wytchnienia spędzonych. Aż wreszcie miłość matki dokonała cudu: jak Chrystus chleb na pustyni, tak ona tysiąckrotnie pomnożyła pracę swoją i wychowała mnie takim, jakim jestem. Dziś na mnie przyszła kolej...

— Ależ, mój drogi — przerwał Cypryan — nie widzę w tym wszystkiemu powodu, dla czego-byś z nią razem nie miał opuścić N., i posiąść w świecie stanowiska właściwszego dla twych usposobień i zdolności.

— Ha, kochany mój — odparł doktor — probo-

wałem już parę razy myśl podobną nasuwać mojej matce. Raz nawet, — było to w rok po przyjeździe moim z uniwersytetu, — matka sama mi powiedziała, że pragnie, abym, dla dalszych studyów nad medycyną i dla otrzymania szerszej drogi, na której mógłbym postępować z większym pożytkiem dla innych i dla siebie, wyjechał gdzie w świat dalszy. Przymem powiedziała mi także, iż nie chce rozłączać się ze mną i będzie mi towarzyszyła. Mówiąc to, wydawała się zupełnie spokojną i tak zawiadnęła sobą, że zdołała wprowadzić w błąd moje synowskie oko. Cieszyłem się z tego jej usposobienia, myśl moja rwała się z całym popędem piérwszej młodości w sferę światła, szerszego czynu. Wszakże okoliczności materyjalne, w których zostawaliśmy, wymagały kilkunastu dni zwłoki, a w przeciagu ich, kilka razy zwrócił uwagę moje dziwny jakiś wyraz twarzy mojej matki, jakiś żal tajony, nie mogący jednak ukryć się całkiem przede mną, przywykłym do jej jednostajnej, spokojnej dobroci. Stawałem się niespokojny, ale zmianę jej twarzy przypisywałem jeszcze przez chwilę trudom, towarzyszącym wybieraniu się w daleką podróż. Aż pewnego dnia zobaczyłem scenę, która nigdy nie zatrze się w pamięci mojej. Było to w lecie: jechałem do jednego z pacjentów konno i sam jeden obok cmentarza, leżącego w oddaleniu wiorsty od miasteczka. Na godzinę przed moim wyjazdem, matka opuściła mieszkanie. Dokąd poszła, nie wiedziałem.

Gdym mijał cmentarz, przyszło mi na myśl wejść tam na chwilę. Lubię niekiedy rozmawiać z umarłymi. Tam zresztą jest mogiła mego ojca: chciałem ją pożegnać. Zsiadłszy z konia, przeszedłem niską furtkę, zamykającą ogrodzenie, i w pobliżu grobu mego ojca posłyszałem tłumione łkanie. Zbliżyłem się śpiesznie i ujrzałem matkę moję, stojącą obok krzyża i obejmującą go ramionami. Była tak pogrążona w rozmyślanie i łzach, że nie usłyszała szelestu moich kroków. Po bladej jej twarzy toczyły się dwa strumienie łez, wzrok miała utkwiony w murawę mogiły, ramiona z całym wyężeniem obejmowały drzewo krzyża, a usta poruszały się szeptem. Stałem za nią niepostrzeżony, przerażony. Patrzyłem i słuchałem, i posłyszałem — cóż? posłyszałem, że się żegnała z ukochanym grobem. Matka moja kochała mego ojca jedyną miłością swego życia. Byli oni jednym z tych małżeństw o cichój pracy i cichém szczęściu, których miłości nie tłumy i związku nie rozrywa żaden hałas, żaden gorączkowy zachód życia. Po śmierci mego ojca, matka poślubiła grób jego; i miał-że-bym od niego ją oderwać?!... Nigdy! — odrzekłem sam sobie i wróciłem do domu niepostrzeżony, z sercem pełném uroczystego wzruszenia. Wieczorem ukląknę u stóp jej i powiedziałem: Matko! ja ztąd nie wyjadę, mnie tu dobrze, zostanmy!... I zostaliśmy, i nie żałuję tego, i próby nie powtórzę nigdy.

— Dziwna rzecz... — zaczął Cypryan.

— O, nie tak dziwna, jak się zdawać może — przerwał Lucyan. — Dla starych, mój drogi, wspomnienia są całą treścią życia; niemi karmią się oni wtedy, gdy wszelkie ziemskie nadzieje przyświecać im przestają. A matka moja jest już starą; do miejsca, w którym urodziła się, żyła, kochała i cierpiała, przyrosła, jak kamień do gruntu, w którym mchem się okryje. W N. stoi dom, do którego po raz pierwszy weszła, jako młoda i szczęśliwa żona mego ojca; w domu tym jest kącik, w którym długie godziny przesiadywała nad kołyską moją. Tuż za miasteczkiem jest mogiła mego ojca, a w kościele ołtarz, przed którym modliła się całe życie. Ma ona tam dawnych znajomych swoich, którzy znali ją młodą i z którymi przez długie lata dołą i niedołą dzieliła; słowem, po-za tém nieznośnem dla innych miasteczkiem dla niej niema życia. A gdybym ja ruszył w świat, ona-by nie została, bo bardziej, niż do wszystkiego na ziemi, sercem przykuta jest do mnie. Osądź więc sam, Cypryanie, czy mnie należy niepokojem zatrwać ostatnie dni matki, której tyle winienem? Czy nie powinienem raczej zwyciężyć i stłumić własnych porywów, zwalczyć własnych bólów, aby ją spokojną i ufną we mnie doprowadzić do mogiły?

W jasnym oku Cypryana błysnęła szybko powściągnięta łza; wyciągnął rękę do przyjaciela i rzekł:

.. — Jesteś najpoczeiwszy z ludzi, Lucyanie. Ale

żebyś się tam dla rozrywki choć zakochał w kimkolwiek — dodał — wracając do dawniej wesołości.

— Jestem już zakochany — z uśmiechem odpowiedział Lucyan.

— W kimże? w kim? mów prędzej, mój drogi.

— W pracy — odpowiedział doktor.

— Hm! poważną masz kochankę! Ale wiesz, spróbuj wielożeństwa, pozostań wierny pracy, a *par dessus le marché*, zakochaj się w jakim ładnym buziaczkę. Ale à propos zakochania i buziaczków — zawołał nagle, zrywając się z krzesła — mam zapytać cię o rzecz wielkiej wagi. Bywają u was niekiedy dziwne nazwiska. Macie na przykład Komara, Mola, Żabę, Koziełła. Czyś nie słyszał kiedy o nazwisku: Kameleon?

— Nie, o takim nazwisku nigdy jeszcze nie słyszał — śmiejąc się, odpowiedział Lucyan.

— Mój Boże! jedna już tylko zostaje rada. Ztąd prosto idę do księgarni i kupuję herbarz Niesieckiego. Jeżeli w nim nie znajdę tego nazwiska, to chyba ona jest cudzoziemką.

— I któż-to ta *ona*? — poważnie spytał Lucyan, zapalając cygaro, i dodał: — a raczej powinien-bym powiedzieć, ta dziesiąta, czy dwudziesta twoja *ona*?

— Pierwsza w życiu, tak powabna! — zawołał Cyprian, cały rozpromieniony wspomnieniem porannego zjawiska. — Wiesz co, Lucykanie, ani w Paryżu tak zgrabnej, ani we Włoszech tak ognistej nie wi-



działem kobiety. Nie nazwę jój piękną, bo to wyraz oklepany, przedstawiający głównie regularność rysów, a u niej rysy spostrzegają się ostatnie, znikają przed dziwnym wyrazem twarzy. Tę kobietę nie z gliny, ale z płomieni, Bóg utworzył; to téż zwyczajnego glinianego człowieka pali, jak istny płomień.

— Ale w każdym razie — odezwał się znowu Lucyan — powiedz-że mi nareszcie, kto to ta *ona*?

— Ba! gdybym sam wiedział! Wczoraj wieczorem o kilka stacyi od Warszawy, przesiadając się dla rozmaitości z jednego wagonu do drugiego, znalazłem ją w głębi powozu, zamysłoną, z zasłoną na twarzy, nie tak jednak gęstą, abym nie mógł dojrzyć, że jest prześliczna. Przez całą drogę nie mówiliśmy do siebie ani słowa i skończyło-by się może na milczącej mojej admiracyi, gdyby nie karmelki, tak, mówię wyraźnie: gdyby nie karmelki! Nie darmo ktoś mądry powiedział, że małe przyczyny rodzą często wielkie skutki; bo i tą razą jadła ona karmelki i dla téj czynności uznała widać za potrzebne zdjąć rękawiczkę; potem układała sobie różne graciki i przy tém zajęciu musiał zsunąć się z jój palca piękny brylantowy pierścionek. Wysiadając, pociągnęła go fałdami sukni; ja zobaczyłem, podniosłem, oddałem i fakt ten doprowadził moje interesa do tego pomyślnego stanu, że raczyła mnie zapytać, czy jestem synem mojego ojca, to jest Michała Karłowskiego, o którym



musiała słyszeć. Pytanie to ośmieliło mnie zapytać o jój nazwisko. Pomyślała chwilkę, i odpowiedziała: nazywam się Kameleon! Sądzę, że gdy odeszła, zostałem niemniej zgłupiały i zdumiony, jak nie-szczęśny Papkin, skazany na wyszukanie krokodyla. Gdybym wierzył w metempsychozę, a raczj w mi-gracyą dusz zwierzęcych w ludzkie ciała, mógłbym zaprawdę uwierzyć, że Kameleon obłókł się w formy téj kobiety; bo wyraz jój twarzy mieni się, jak barwy tego zwierzęcia. Zdaje mi się, że oczy jój w mgnieniu oka kilka razy zmieniły kolor: były i piwne, i ciemno-zielone, i czarne jak węgiel. Kameleon! Kameleon! czy słyszałeś kiedy, aby się tak kto nazywał? Przecież myślałem sobie: jeżeli można nazywać się Żabą, dla czegoż-by nie można nazywać się Kameleonem? Miałem więc nadzieję, że dowiem się czego od ciebie.

— Nigdy nie słyshał o tém nazwisku — odrzekł Lucyan — i wątpię, czy ktokolwiek w świecie mógł o niém słyseć, bo myślę, że musi w tém być jakaś mistyfikacya. Ale powiedz mi, mój drogi, jak możesz zaprzętać sobie głowę kobietą, którą raz tylko widziałeś i z którą ledwie kilka słów zamieniłeś?

— O, poważny medyku! — odparł patetycznie, stając przed Lucyanem, Cypryan; — alboż dla ciebie niezrozumiałe są takie wrażenia, co to uderzają jak gromy, jak błyskawice wdzierają się w samą głab' istoty człowieczej? Spojrzysz w białą twarz, wpa-

trzysz się w błyszczące oczy, dotkniesz drobnych paluszków i, ani się spostrzeżesz, jak w tém jedném mgnieniu oka wkradnie się do serca twego miłość.

— Miłostka, Cypryianie — zarzucił Lucyan.

— Czemuż nie miłość?

— Tak, miłostka tylko; bo miłość ma szersze podstawy, niż rzut oka na białą twarzyczkę i błyszczące oczy, niż dotknięcie drobnych paluszków. Za piękną twarz i białą rączkę kochać możesz dziś pannę Helenę, jutro pannę Klarę, pojutrze panią Zofią, Maryą lub Adolę; a jeśli każde z tych uczuć o motylowym żywocie zwać będziesz miłością, cóż będzie miłostką?...

— Surowo sądzisz młode i tak zwyczajne u ludzi porywy, mój Lucyianie. Ale, mówiąc na seryo, wyznaję, że, i według mojego zdania, niegodną człowieka jest rzeczą robić ciągłą zabawę z tego, co ma być jedną ze składowych części poważnej treści całego życia. Nie sądzę, aby dobrze było rzucać serce na wszystkie wichry i, w téj kosztownej igraszce, tracić fizyczne i moralne siły. Lecz, mój Lucyianie, grzechy i wady pojedynczych ludzi biorą źródło z ogólnego ustroju społeczeństwa. I czyż nie widzisz, że wielu z nas pije ambrosyą łatwych miłostek, jako antydot przeciw poczuciu wielkich bólów, którym zapobiedz nie jesteśmy w mocy? że gdy przed nami zamykają się szranki, w których moglibyśmy w ruch i czynność wprawić żywotne siły nasze, składamy

skarby myśli i serca na bank pięknych oczu i drażniących wrażeń, aby nie udusić się własnem wewnętrznem bogactwem i nie zmartwić całkiem przy jedzeniu obiadów i paleniu cygar, dwóch działaniach, jakie ze wszelką swobodą wykonywać możemy?

— To jest — odpowiedział Lucyan — aby rozrwać próżnowanie i zapomnieć o rzeczywistości, upajać się miłością, jak, śród próżniactwa haremu i pod groźbą jedwabnego stryczka, Turek upaja się narkotykiem. Ale strzeżcie się! bo jak Turcy po zażyciu opium usypiają ze skrzyżowanymi nogami, tak wy, pijąc ciągle słodką truciznę, możecie usnąć z założonymi rękoma, a wtedy biada wam, bo na długo zamienicie się w Turków, i jedynem szczęściem, jedyną nagrodą, o jakiej wam marzyć będzie wolno, będą czarne oczy hurysek.

— O mój ty filozofie, czyżeś nigdy nie kochał? — śmiejąc się, zapytał Cyprian.

— Dotąd nie miałem na to czasu ani sposobności.

— Tém gorzej dla ciebie. Przyjdzie kréska na Matyska. Rozkochasz się kiedy okropnie.

— Więc czemuż tэм gorzej?...

— Ha! bo to widzisz, mój drogi, należymy podobno w tym względzie do dwóch przeciwnych biegunów świata. Ja, w mojem swobodnem i hulaszczém życiu, niejednę już ogniową przebyłem próbę i żadna jakoś nie oparzyła mnie bardzo. Kochałem, szalałem, zalecałem się, porzucałem, mnie porzucano,

a z tego wszystkiego wyszedłem, jak widzisz, zdrów i cały, i gotów znowu jak motyl lecieć w płomień. Ale z tobą inaczej być musi.

— Zkąd to wnosisz?...

— *Primo* ztąd, żeś dotąd nigdy nie kochał, a wybuch materyi palnych, im dłużej wstrzymywany, tém silniejszy; *secundo*, że ci z oczu Werter patrzy; *tertio*, że, siedząc tam w swojej mieścinie, zakochasz się z rozpaczy, a wierz mi, że niema straszniejszej miłości, jak ta, której się człowiek uchwyci, wedle poetów, jak deski zbawienia, a według energicznego wyrażenia ludu, jak pijany płotu.

— A wola i rozum od czego?

— A namiętności i młodość od czego?

— W imię zdrowego rozsądku, odejdz ode mnie, szatanie, z dyabelską mową twoich przepowiedni! — zaśmiał się wesoło Lucyan. — Szkoda, że niema tu wody święconej, abym cię mógł odzégnać.

— A może jeszcze i wierzby święconej, co? to śliczna perspektywa. Ale wolę nie czekać, abyś mię jak złego ducha ztąd wypędził i sam umknę. Mam wiele do załatwienia na mieście, a około wieczoru przyjdę po ciebie i pójdziemy razem do Teatru Wielkiego; dają dziś Trubadura. Do zobaczenia, stoiku, medyku, filozofie, a nadewszystko przyjacielu!...

Kiedy zamknęły się drzwi za Cyprianem, Lucyan usiadł przy stole i zaczął pisać list, na którego początku były słowa: „Moja droga matko!”

Skończył, ale nie wypuszczał z ręki pióra; przez chwilę bawił się niém machinalnie, pograżony w myślach, aż nakoniec z kieszeni surduta wydobył czarno oprawną, wpół zapisaną książeczkę i począł w niej pisać drobném i szybkim pismem, te słowa:

„Cypryan mówił, że ludzie, mający dla władz swoich zbyt ciasny zakres działania, umieszczają żywotne siły swoje na banku łatwych miłostek, dla tego, aby uzewnętrznić cośkolwiek ze swój treści wewnętrznej, aby się nie udusić wewnętrzném, własnym bogactwem. Nie, on nie ma słuszności, w ten sposób usprawiedliwiając to trucie się powolne i bezużyteczne. Z wolą i wytrwałością każdy pole działania wynaléźć sobie może i powinien. Tak, powinien; ale znowu z drugiej strony, czyż może być sroższa męczarnia, jak żyć w sferze za ciasnej dla myśli swojej i siły, jak widziéć marnujące się bez użytku skarby działalności swojej? I czy wówczas, gdy zewnętrzne okoliczności krępują rozwój człowieczego ducha, niby w żelazną klatkę okuwając lot jego, czy wówczas duch ten nie zawrze zgubnemi namiętnościami i nie zbuntuje się przeciw woli, która zechce go poddać spokojnym warunkom codziennych spraw i tak zwanych codziennych cnót? Bodaj i tą razą, jak zawsze, potępić należy tylko źródło, z którego grzech płynie, a o grzesznikach rzec słowa Chrystusa: „kto z was bez grzechu, niechaj rzuci kamieniem”. Bo któż, niewinny i silny wczoraj i dziś, zaręczyć mo-

że w sumieniu własném, że takim zostanie jutro, jeśli go zgubne okoliczności ku téj saméj, co innych, otchłani pociągać będą?

„Ileż razy w bezbarwném, ciemném, gorzej niż to, bo w brudném otoczeniu, w jakim postawiła mnie powinność, ileż razy, wśród odgłosów i widoków tak bardzo rażących wszystkie sympaty i pragnienia moje, czułem wrzącą w piersi głuchą niecierpliwość. Ileż razy myślą wychodziłem po-za ciasny obręb mojego działania i w marzeniu widziałem otwierające się przede mną pole szerokiego czynu, pole działania, pełne zapór i trudów, ale w których końcu był cel, zrodzony z wielkiej jakiejś idei. Ileż razy, w długich marzeniach takich, podnosiłem myślą zasłonę przeszłości i widziałem, jak na krańcu widnokręgu każdego dziesiątka lat niebo coraz bliżej było ziemi, dobro i prawda coraz bliższe ludzi. I drżałem cały żądzą oddania sił moich wszystkich dla zbliżenia błogosławionej chwili, którą widziałem oczyma proroczego ducha, i obejmowało mnie pragnienie pójścia w świat, wzmożenia się wolą i wiedzą i torowania sobie drogi wśród tłumów. I pragnąłem wówczas walczyć i cierpieć, choćby wszystkimi mękami potępieńca, byle żyć całą pełnią myśli i czynu, byle działać! działać!...

„Pytałem nieraz samego siebie, dla czego inni spokojnie, szczęśliwie nawet żyją, w tych samych warunkach, w których mnie tak duszno i ciasno?

Wszak i tam, gdzie jestem, czuję się użytecznym i potrzebnym, czas mój nie mija marnie w próżniactwie, bieda materyalna mnie nie dotyka. Połowa tego, co posiadam, moralnie i materyalnie, zadowoliła-by wielu ludzi; czemuż więc mnie dziwna jakaś siła gna w szersze przestrzenie? Niejeden, gdyby znał moje myśli i targania się wewnętrzne, nazwał-by mnie szaleńcem, marzycielem. A jednak, nie jestem ani jednym, ani drugim; wiem, czego pragnę, znam właściwe dla siebie drogi, i dla tego, że te drogi zamknięte są przede mną, duszę się, jak w klatce. Każdy, kto badał otchłanie, jakie natura ludzka zawiera w sobie, pojmie, co to jest męka skrępowanego ducha, męka energii, która, nie znajdując pola dla siebie, jak rdza żelazo, najhartowniejsze nawet serce przejada.

„Niekiedy czuję, jak mi w piersi rwie się coś i jęczy, jak niezaspokojone pragnienia obejmują mi szyję krogulczemi szpony, jak cała moc mojej istoty domaga się jakiegoś wielkiego czynu, albo jakiejś wielkiej miłości.

„I w chwilach owych, opanowany szałem, z głową rozsadaną płomieniami, z piersią pełną burz, pragnąłem znaleźć antydot przeciw truciznie własnych myśli i ponieść do ust czarę choć-by z mętem i żółcią, aby tylko uciec od straszniejszej nad wszelkie inne żądze, żądzy czynu i światła.

„Wtedy tyś przechodziła koło mnie, matko moja,



poważna twemi srebrnymi włosy, święta cierpieniem dla mnie poniesioném; patrzyłem na ciebie i nakazywałem milczenie burzom moim, i stawałem się znowu silnym i mężnym.

„Tak dotąd bywało; ale czy zawsze tak będzie? czy, na synowskiej miłości wsparty, zawsze zwyciężać będę?”

„Patrzę w siebie! Tam, w saméj głębi piersi, czuję ciągle nieużyta jakąś siłę. Zgaśnij ta siła, czy pierś mi rozsadzi i serce mi pęknie?...”

„O, matko moja!”

---



### III.

#### W teatrze.

W sali Wielkiego Teatru Warszawy, wśród ciszy wsłuchanych w melodię tłumów, rozległ się śpiew ulubionej śpiewaczki. Na scenie Cyganka, matka, z rozwianym włosom, z oczyma pałającemi rozpaczą i żądzą zemsty, opiewała nieprzebolełą stratę ukochanego dziecięcia. Pomiedzy tłumem słuchaczów i widzów, ze skronią opartą na dłoni, z oczyma utkwionemi w przestrzeń, siedział Lucyan Dolewski. Nie patrzył on, ale słuchał, słuchał i znać było, że śpiew przenikał go do głębi, tysiącnym uściskiem owijając mu serce. Z pod czarnych jego włosów na czoło mu wystąpiły silnie pulsujące żyły; z głębokich oczu, z pod wpół przymkniętych powiek, wymykał się młokiedy tłumiony ogień; pierś mu się podnosiła szybkim i nierównym oddechem. Boleśnie snać wstrząsnęły nim namiętne tony śpiewu, ale snać też lubował się on tym bólem, jak cierpką, gorączkową rozkoszą.

Obok niego Cypryan, odwrócony od sceny, nie słu-  
chał, nie patrzył, zachwyconém okiem spoglądając  
w lożę, w której siedziały trzy kobiety. Dwie z nich,  
młode dziewczeczki, w białych sukniach i z kwiatami  
w jasnych włosach, wyglądały jak Rafaelowskie idea-  
ły, obok siedzącej między niemi kobiety. Ta ostatnia  
ubrana była w suknię z ciemnego aksamitu, odkryw-  
jącą ramiona jój i szyję, zdobną w dwa sznury, wiel-  
kim brylantem zamkniętych, pereł. Na obnażonych  
jój rękach, godnych Fidyaszowego dłuta, niby na ka-  
raryjskim marmurze wschodnie arabeski, wiły się wę-  
że złotych bransolet. Niedbale wsparta o poręcz  
krzesła, głowę, obciążoną warkoczami ciemno-kasza-  
nowatych włosów, nieco w tył odrzuciła i wielkimi  
błyszczącymi oczyma patrzyła na Cypryana. W rę-  
ku trzymała bukiet białych róż i takiż kwiat błyszczał  
nad jój czołem, migocząc, przytrzymującym go we wło-  
sach, szmaragdem. Cała postać téj kobiety wyrażała  
świetną, pewną siebie piękność; bogactwo form i bo-  
gactwo brylantów wiązało się w niój w całość, z któ-  
rój wiało rozkoszne jakieś, drażniące i wabne technienie.

Przebrzmiały śpiewy; skończył się akt przedosta-  
tni. Lucyan obudził się z zamyślenia i rozglądał po  
teatralnej sali. Cypryan dotknął jego ręki i rzekł  
z cicha:

— Lucyanie, spójrz w lożę piątą od sceny na pra-  
wo: kobieta w aksamitnej sukni — to ona.

— Kto? — spytał roztargniony jeszcze doktor.

— Kameleon — odpowiedział Cypryan.

I obadwaj zwrócili się ku piątąj łoży od sceny. Ale, niestety! w chwili, gdy zamieniali ze sobą powyższe wyrazy, piękna kobieta wstała i, owinięta już szalem, opuściła łożę. Za nią wyszły dwie towarzyszące jój panienki i Lucyan nie zobaczył nic więcej, prócz trzech białych szalów. Cypryan jednak spostrzegł, że siedzący obok niego, nieznajomy mu młodzieniec, przesłał ukłon ku owój łoży i tak był pogrążony w zachwycie, że kłaniał się i wtedy jeszcze, gdy łoża była już pustą. Cypryan patrzył na niego, parę razy otworzył usta i wahał się, aż wreszcie, z grzecznością zwracając się ku niemu, rzekł:

— Przepraszam pana, że nieznajomy przemawiam do niego; ale czy nie chciałbyś mi pan powiedzieć, kto jest ta pani, którój się przed chwilą kłaniałeś, a która opuściła łożę?

Nieznajomy młodzieniec zwrócił ku mówiącemu łzawe spojrzenie, przetarł ręką czoło, wstrząsnął długimi włosami i odpowiedział głosem, w którym drgało najwyższe politowanie:

— Jak-to! pan jój nie znasz?!

— Właśnie... — zaczął Cypryan.

Ale nieznajomy przerwał mu, wznosząc oczy ku płonącemu w górze świecznikowi:

— Jak-to! pan jój nie znasz? — powtórzył. — I na jakież pustkowie, nierozświecone jój bożkiem obliczem, rzuciły pana zawistne losy?

— Nie znam téj pani z prostéj przyczyny — odparł Cypryan — żem rok prawie cały przebył za granicą, a przed wyjazdem moim nie mieszkała tu ona zapewne.

Młodzieniec słuchał go, zawsze z wyrazem najwyższego zdumienia, a gdy skończył mówić, pochylił się ku niemu i rzekł z tajemniczą miną :

— Wiész pan, kto ona jest ?

— Jest to właśnie wszystko, czego dowiedzieć się pragnę.

— Sfinx — szeptał nieznajomy — tajemnica... anioł i szatan...

— Ale chciałbym się dowiedzieć, jak się nazywa.

— Ułożyłem na cześć jéj trzy tysiące wierszy ; ona mnie podniosła na sam szczyt Parnasu.

— Niczego się nie dowiem — szepnął Cypryan do Lucyana.

— Wiek nasz — rozpoczął znowu poeta — przeznaczony jest dla szczytnych polećów ducha...

— Ależ panie, chciéj mi powiedzić nazwisko téj pani, bo wnet rozpocznie się akt ostatni.

— Tłum zwie ją Kameleonem, ja nazywam ją bóstwem.

I uderzył się wskazującym palcem w piersi, jakby chciał tym gestem uwydatnić to swoje poetyckie *ja*.

— Czy słyszysz — szepnął Cypryan do Lucyana — wyraźnie nazywa się Kameleon.

Po skończeniu ostatniego aktu opery, dwaj przy-

jaciele mieli się ku wyjściu, gdy poeta zagroził im drogę wysoką, cienką i długo-włosą swoją postacią.

— Panie — rzekł, zwracając się do Cypryana — z oblicza twego czytam, że jesteś zwolennikiem muz, że nie należysz do synów ciemności i materyi, którzy świętokradzką nogą odpychają perły poezyi.

— Panie... — zaczął Cypryan.

— Tak — mówił dalej poeta, podnosząc głos i nie zważając, iż potrącali go wychodzący z teatru ludzie — tak, przeczuwam w panu mojego duchowego brata i dla tego nie chcę, abys pozostał w niewiadomości co do mojego nazwiska. Jestem Pantaleon Kwiatkowski, poeta.

Cypryan uklonił się lekko.

— A idąc za przykładem dawnego wieszczka naszego, Acerna, który nieśmiertelne imię swoje wziął z państwa roślinnego, nazwałem siebie: *Convallius Convalliorum*.

— *Asinus Asinorum* — szepnął Cypryan do Lucjana.

— To imię znajdziesz, bracie duchowy, na pierwszej karcie każdego z utworów moich. Mieszkam przy ulicy Ptasiój, w domu N.

Cypryan uklonił się znowu w milczeniu.

— Teraz ty, bracie duchowy, powiedz mi swoje doczesne zwanie i kędy obrałeś sobie siedlisko, abym mógł przybywać niekiedy w progi twoje i zasilać cię owocami swojego ducha.

— A to plaga! — szepnął znowu Cypryan do przyjaciela i głośno dodał: — Jestem Karłowski, mieszkania stałego nie mam, bom przed chwilą dopiero przyjechał do Warszawy.

— A więc nawiedz kiedy moje progi, abym ci mógł ukazać wszystkie moje skarby.

— Nie zanedbań tego uczynić. Tymczasem żegnaj pana, bo zaczynają gasić światło w teatrze.

Przemocą prawie usunąwszy barykadę, złożoną z ciała poety, żywo postąpił ku drzwiom.

— Dyabli rzucili na moją drogę tego poetę! — rzekł, uszedłszy kilka kroków — niczego się porządnie dowiedzieć nie mogłem, oprócz, że istotnie nazywa się ona Kameleonem.

— Dziwaczne nazwisko — rzekł Lucyan.

— Niezmiernie dziwne, ale dziwna też to być musi kobieta! Co za wyraz twarzy, jakie oczy! Dziwi mnie, żeś nie zwrócił na nią uwagi.

— Nie patrzyłem dziś na kobiety; śpiew pochłoniął mnie zupełnie.

— Zimny jesteś, Lucyanie.

— Tak, zimny jestem — krótko odpowiedział Lucyan.

Ale światło latarni, spływające nań w chwili, gdy to mówił, zadało fałsz jego słowom, bo odkryło twarz, zalaną rumieńcem wzruszenia i oko, płonące ogniem rozkołysanej muzyką wyobraźni. Szli w milczeniu,

tylko niekiedy Cyprian nucił pół-głosem francuzką  
piosenkę:

Mon Dieu, mon Dieu,  
Comme elle est belle!  
Avec ses yeux  
Noirs si doux.

---

#### IV.

#### Z dziennika kobiety.

Lata już minęły, jak po rozlicznych drogach blasku i rozkoszy unoszę się niby motyl, wysysając miód ze wszystkich kwiatów życia, a jednak... jednak... o! jak samotną, jak nieszczęśliwą jestem niekiedy!

Nie pierwszy to już raz, gdy zrzucam z siebie bogate suknie a z włosów wyjmuję kwiaty i brylanty, gdy zostaję sam na sam z sobą, pytam siebie zdziwioną myślą: kim jestem? jakimi chodzę drogami i dokąd wiodą mię one? I według słów poety: na płacz mi się zbiera, gdy snuję nitki mojego żywota!

Dziwię się samej sobie, dla czego mi tak smutno i źle? Natura moja dwoista jest jakaś: anioły i szatany klóca się w mojej piersi; miewam chwile szału i upojenia, w których zapominam o wszystkiém, a jednak najczęściej jestem w niezgodzie z samą sobą. Kiedy wrażenie jakie mnie ogarnia, lecę za jego pędem na oślep; kiedy znowu potém myślę o tém, co



uczyniłam, płacę i czołem w proch uderzam. Wiem, że drogi moje są złe, a zejść z nich nie mogę, bo w piersi méj płoną ognie namiętności zgubnych, a w oczach mam iskry wiodącej ku mnie pokusy.

I nie dziw, że ludzie nazwali mnie Kameleonem, bo to imię zwierzęcia, coraz inną migocącego barwą, jest w istocie najlepszém określeniem kobiety, której każda chwila inne przynosi wrażenie, której miłości mają trwałość motylowego życia, której łzy, spędzając z ust uśmiech, gotowe są natychmiast przed uśmiechem znów ustąpić.

Niegdyś matka moja, oblekając mię białą chrztu sukienką, inném mnie nazwała imieniem; dziś od świata i ludzi otrzymałam nową nazwę, jako wyraz zmienności i zepsucia.

Dziwna, straszna jestem! Rozdzieliłam się na dwie istoty, z których jedna usuwa się z pod panowania drugiej; jedna szaleje, druga, walcząc z nią, kaleczy się, upada i płacze. Z całą piekielną mocą swoją wcieliło się we mnie odwieczne pojęcie walki żywiołu złego z dobrym żywiołem. Anioł przed szatanem ulatuje wciąż ze mnie i powraca, aby znowu zajęć w piersi mojej i znowu odlecieć.

Pamiętam, że kiedy byłam bardzo jeszcze młoda, złe głosy ciche we mnie były i słabe. Potém, niestłumione pracą ni wola, potężniały, moc ich porывała mnie gwałtowniej coraz, aż porwała wreszcie w uścisk

szatańskiego wiru i, upojoną, ogarniętą płomieniami, położyła na posłaniu z róż.

Lata płynęły... i milczały we mnie wszystkie wspomnienia i natchnienia dobre... gdy raz, było to na wsi, wśród pól szerokich, wśród pól moich rodzinnych, po długiej, burzliwej podróży, ujrzałam znowu miejsce, w którym się urodziłam, w którym byłam niegdyś młoda sercem i nieskalana. Zmrok zapadł, niebo pogodne było, choć blade, a ja sama jedna szłam drogą, wiodącą wśród zboża i kwiatów polnych, ku wzgórzom i lasom. Szłam bez celu; pełną pierśią oddychałam wiejskim, rodzinnym powietrzem, okiem błądziłam po szerokiej przestrzeni pól, a uchem ściagałam dalekie, przeciągłe echa pastuszych pieśni.

Smutna byłam, nie wiedząc sama czego; tęskniłam za czémś, ale nie za gwarem, którego-bym w owęj chwili znieść nie mogła; pragnęłam czegoś, ale nie owych wrażeń, od których do ciszy wiejskiej uciekłam. Idąc, myślałam, że chciała-bym jeszcze być dzieckiem małym, albo stracić pamięć przeszłości, albo zamienić się w ptaszynę, która się obok mnie w zbożu poruszyła. I myślałam jeszcze: dla czego tak wczesnie umarła matka moja? dla czego nie mam siostry? i myśląc o tém wszystkiém, szłam długo, powoli, aż stanęłam przy wzgórzu, u którego stóp była chatka jednego z moich sług. Cicho było wkoło niej; pod otwartymi oknami kwitły na grządkach nagietki i maki, a w ogródku brzmiało buczenie chrząszczów

i świerkanie koników polnych. Nagle, z wnętrza chaty doleciał uszu moich śpiew cichy, monotony, taki, jakim matki usypiają dzieci w kołysce. „Luli dziecię, luli, śpij dziecińko moja, luli, luli!” śpiewał głos kobiecy, płynął przez otwarte okna, drżał w cichém powietrzu, a z pod krańca widnokregu odpowiadać mu się zdawały smętne, dalekie akordy surm.

Stałam, słuchałam i budziły się we mnie odległe, odległe jakieś wspomnienia... Wbiegłam na wzgórze, na którém, między płaczącemi brzożami, stał krzyż wysoki, i obejrzałam się wkoło. Przede mną, za szeroką przestrzenią pól i łąk, pomiędzy gęstą zielenią ogrodów, stał cichy dom mój rodzinny. Otaczały go ciemne, wysokie jodły i jedna wielka gwiazda zawisała nad nim na niebie. Za mną milcząca i nieruchoma stała ściana lasów, a z innój jeszcze strony, daleko, daleko, na tle mroku, błyszcząły srebrzyste krzyże cmentarza i białął pomnik mojej matki. Patrzyłam... i coraz bardziej budziły się we mnie wspomnienia; żal mię jakiś ogarniał. Zapragnęłam wtedy przytulić się do kogoś, wypowiedać komuś najskrytsze głębie ducha, wesprzeć się na kimś; ale, niestety! wielu na świecie ludzi mnie wielbiło, wielu mi pochlebiało, ale nikt mnie wyłącznie, serdecznie nie kochał. I robiło mi się coraz rzewniej i smutniej; nogi pode mną drżały, łzy napływały do oczu; osunęłam się na murawę, ramionami objęłam drzewo krzyża i czołem uderzyłam o ziemię, a śpiew z chaty dochodził mnie

ciągle, cichy i jednostajny, aż póki nie zagłuszyły go łkania moje.

W owęj chwili zbudziłam się, spojrzałam w przeszłość moję, w terażniejszość i w przyszłość, i zadrżałam zgrzyotą i obawą. Od owęj chwili poczęły się dla mnie walki; chcę powstać i ciągle upadam; ścigam ideał dobra, a jednak, jak z otchłani w otchłań, z grzechu w grzech lecę; zawsze szczęśliwa na pozór, a w duszy rozżalona, świetna na zewnątrz, wewnątrz nie posepna, drżąca rozkoszą niby, a w istocie niezapokojona nigdy, nigdy nie nasycona, jak pokutnica dantejskiego piekła, ze skały na skałę wściekłym miotana wichrem.

Dla czego dziś głośniej, niż kiedy, sumienie woła na mnie, abym zdała mu sprawę z mojego życia? Może dla tego, żem dziś właśnie skończyła lat dwadzieścia pięć, że więc znowu jeden rok młodości mojęj przeminął. Zdaje się, że nadchodzi już dla mnie ta pora zmęczenia, w której człowiek, długo za rozkoszą i wrażeniami goniący, spostrzeżga, iż one otoczyły go pustką tylko i poczyna szukać cienia, który-by ochłodził jego, spalone gorączką użycia, czoło.

Skończyłam dziś lat dwadzieścia pięć. Jakże czas szybko leci! a podobno każdy rok upłyniony zbliża człowieka ku starości. Starość! o, straszna to rzecz! Mić pemarszczoną twarz, siwe włosy, zagasłe oczy, to coś przerażającego! A jednak, dziś jeszcze widziałam starą kobietę, wspierającą się na ramieniu syna

swojego, i widziałam szczęście na jój twarzy, i niezawodnie piękna była powagą macierzyństwa i zasług swoich. Ale mnie każdy rok upłyniony nie do takiej spokojnej i poważnej zbliża starości. Kiedy czoło moje straci białość, usta zbledną, oczy zagasną, wtedy odstąpią mnie wszyscy, dla których dziś jestem cackiem, albo przyjemnym przepędzeniem czasu, i zostaną na świecie, jak śród pustyni... żadnym sercem nie kochana, nie czczona przez nikogo, bez zasługi, bez pracy dokonanej, z pustą piersią i pustymi dłońmi. I cóż mi zostanie na te długie lata, dzielące młodość od grobu, na tę szarą godzinę życia? Może ukocham papugę jaką i nauczę ją, aby mówiła mi: „piękna jesteś!” gdy ludzie mówić mi to już przestaną; albo na kolanach piastować będę parę wiernych piesków, pudelków długouchych; albo pójdę przed ołtarze skarżyć się Bogu, żółci pełnemi usty, na świat, który mię odstąpił.

Ha, dziwne myśli! zkąd mi one przychodzą? Wszak tylu ludzi mówiło mi dziś, że jestem piękna, coraz piękniejsza... a jednak nudzi mnie już to wszystko.

Przyjechałam tutaj, sądząc, że się będę jak dawniej bawiła, a dwóch dni dosyć było, abym się znudziła śmiertelnie. Im więcej wpatruję się w świat, im starsza jestem, tém wyraźniej widzę, że to, za czém gonię, jest śmieszne i głupie. Poklask ludzi, zdobyty blaskiem piękności zewnętrznej i bogactwa, owe hoł-

dy salonów, słowa najwyszukańszej grzeczności, to są niby podeszłe w latach zalotnice, u których, pod świętym strojem, szpetność i próżnią znajdziesz. Zaczynam postrzegać, że ludzie wyrazy uwielbienia i miłości, jak tuzinkowe towary, bez myśli rzucają na woskowane posadzki salonów, że mówią oni o miłości, gdy za chwilę zapomnieć mają, o uwielbieniu, gdy za chwilę błotem obrzucają.

Widzę to wszystko i dla tego świat błyszczący, gwarny, traci dla mnie powab, dla tego coraz bardziej zasłona opada mi z oczu. Nieraz, gdy patrzę na otaczających mnie ludzi, wydaje mi się, że jestem na maskaradzie: pod maskami dopatruję rzeczywistych twarzy i często przed badawczym moim wzrokiem dzwonki brzmiących wyrazów i błyskotki pożyczanych blasków opadają z arlekinów i ukazują mi nagie szkielety głupstwa i nicości.

Widzę więc jasno ten świat, który mię otacza, a jednak oderwać się odeń nie mogę. W latach szалу i swawoli rozkołysała się wola moja i nie może teraz odnaléć swego punktu ciężenia, aby się na nim, jak na kotwicy, raz już zatrzymać.

Zmęczoną się czuję, smutną a bezsilną. Powiadają, że nieraz miłość prawdziwa podnosi z upadku. O, gdyby miłość taka przyszła ku mnie!

Nieraz już w życiu, pod wpływem wrażeń, którym, jak wiotka trzcina, poddawać się zwykłam, gorącą rękę składałam w rękę mężczyzny i drżącemi usty szep-

tałam wyraz: „kocham!” Ale czym istotnie kochała? Sądzę, że wyobraźnią tylko i krwią, nigdy sercem; bo jeden podmuch wiatru, jedno nic, dostateczne było, aby myśli moje, wrażenia i pragnienia w inną stronę zwrócić a po tém, co minęło, zostawał mi albo niesmak głęboki, albo przelotne zaledwie wspomnienie. Ale poddając się tak uniesieniom chwilowym, oblekając w formy uczucia to, co wrażeniem tylko było, musiałam zapewne wiele serc skaleczyć, wiele bólów sprawić. Choć znowu z drugiey strony wiem najpewniey, że nikt z mojego powodu nie zastrzelił się i nie zwaryował. Alboż ludzie umierają dziś z miłości, a nawet alboż umierali z niéj kiedykolwiek?!...

Możem już tak rozproszyła wszystkie siły mojego serca, że inaczej niż dotąd kochać nie potrafię. Alboż ja wiem?... O mój Boże, tak źle chyba nie będzie! czuję, że mam jeszcze gorące, bardzo gorące pragnienie dobra; a jeśli nie omyje mię chrzest miłości, nigdy dosięgnąć tego dobra siły mi nie stanie!...

---



V.

**W kościele.**

Lucyan Dolewski siedział w swoim hotelowym pokoju, przeglądając nabyte przed chwilą książki, gdy we drzwiach ukazał się Cypryan Karłowski.

— Cypryanie! — wpół żartem, wpół seryo powitał go Lucyan — zdaje mi się, żeś zmizerniał od dnia wczorajszego. Byłżebyś już naprawdę zakochany?...

— No, zakochany jeszcze niezupełnie, ale widzisz, Lucyane, ciekawość mię dręczy. W całym spotkaniu mojem z tą kobietą jest coś niezwykłego, coś, co zakrawa na awanturę; a możeż być rzecz bardziej drażniąca i powabna nad awanturę i tajemnicę w naszym wieku, którego realizm ze wszystkiego uroku dawniej romantyczności odarł towarzyskie stosunki ludzi?

— Może żałujesz, żeś się nie urodził w średnich



wiekach? — zaśmiał się Lucyan — dzielnie-byś kruszył, zaprawdę, kopie za damę swoich myśli... ach, omyliłem się, swoich marzeń!...

— Mów, co chcesz, a ja wiem, że dałbym kilka lat życia, aby się dowiedzieć szczegółów o téj kobiecie, aby módz ją poznać.

Po półgodzinnéj rozmowie, Cyprian oddalił się niespokojny, rozdrażniony spotykaném niepowodzeniem, a Lucyan bez celu wyszedł na ulicę. Mijając jeden z wielkich i pięknych kościołów, przypomniawszy sobie, że, jako o arcydziele sztuki rzeźbiarskiej, słyszał i czytał o złożonym tam, a wyszłym z pod dłuta znakomitego artysty, posągu Chrystusa. Rozmiałowany w pięknie, młody doktor kochał sztukę i lubił ją badać w różnych jéj przejawach. Wszedł więc do kościoła. Świątynia, w godzinach owych otwarta dla pobożnych, chcących odmawiać wieczorne modlitwy, pustą jednak była; głęb' jéj cicha, wspaniała, tonęła w mroku, na którego tle lśniły tylko białe u ołtarzy posągi i złociste skrzydła zawieszonych nad niemi aniołów

Lucyan wiedział, że posąg, który go tam sprowadzał, znajdował się w jednéj z bocznych kaplic; dążąc więc ku niéj, szedł zwolna przez kościół, a kroki jego, uderzając o kamienną posadzkę, głuchém i przeciągłym echem rozlegały się śród milczenia wysokich sklepień. Ta cisza głęboka, po gwarze, jakim przed chwilą otoczony był na ulicy, uderzając go swą sprze-

cznością, uroczyście nastroiła poetyczną i wrażliwą myśl młodego człowieka. Wszedł do kaplicy.

Światło kończącego się dnia padało słabo przez wysokie i wąskie okna; u stropu drżała lampa, jakby lecący ku niebu płomyk ofiarny. Powietrze pełne jeszcze było woni palonych tam zrana kościelnych kadzideł, owój woni, która nasuwa myśl o jakiejś bladój, leżącej w trumnie twarzy umarłej. W głębi kaplicy, w pół-mroku, na szarój kamiennój posadzce, biała marmur posągu; między niskim żelaznym otoczeniem, biała i nieruchoma, dłutem mistrza urobiona, leżała postać złożonego w grobie Chrystusa. Nad głową posągu, szczytami tonąc w ciemnej głębi sklepienia, stały dwa białe filary, jak-by skamienieli stróżowie, strzegący niegdyś świętój mogiły.

Lucyan stanął nad posągiem, wpatrzył się w doskonale wyrobione kształty i w twarz Chrystusa, z której śmierć nie zdjęła wyrazu boleści konania i świętości Bożkiej natury. Powoli z posągu oczy jego przeniosły się w górę, utonęły w mrocznej głębi sklepienia i spoczęły na lampie, drżącój gdzieś wysoko światłem białawém.

Tak stał dość długo, objęty uroczystością ciszy i cieniów kościelnych, gdy nagle o słuch jego uderzył jakiś odgłos, którego z razu nie zrozumiał dobrze: było jakby jęk, wychodzący z za jednego ze stojących nad głową posągu filarów. Lucyan wsłuchał się pilnie i po chwili rozpoznał wyraźnie, iż było to łkanie.

Stał, słuchał i nie wiedział sam, co ma uczynić: odejść, lub zobaczyć, czy kto nie potrzebuje pomocy? Gdy tak się namyślał, z za filaru wyszła kobieta; czarna jęj suknia długa i ciężka, z szelestem sunęła się po posadzce. Smukła i ze schyloną głową, postąpiła kilka kroków, profilem zwrócona do młodego człowieka, stanęła obok jednego z filarów, załamała białe, obnażone z rękawiczek ręce i nad posągiem, śmierć przedstawiającym, stała jak posąg smutku, pogrążona w zamyśleniu i łzach, nie widząc stojącego o kilka kroków od nięj mężczyzny. Czarna koronkowa zasłona spadała tylko na jęj czoło, nie zasłaniając dużych, w posąg wpatrzonych oczu i łez, które po białęj twarzy staczały się w napół otwarte, lekko drżące usta. Stała tak rozplakana, lecz cicha, i tylko niekiedy tłumione łkanie piersi jęj podnosiło. Lucyan patrzył... i przejmowało go dziwne uczucie litości, sympatii, gdy nagłym ruchem kobieta osunęła się na kolana, objęła ramionami filar, pochyliła się aż ku jego podstawie, czołem uderzyła o kamień posadzki i znów zapłakała gwałtowném, ale cichém, łkaniem.

Lucyan czuł ogarniające go dziwne wzruszenie. Ta postać kobiety, ugięta pod ciężarem wielkięj jankięjs boleści, to uderzenie białęgo czoła o kamienną posadzkę, ten cichy jęk, śród ciszy otaczającęj białą i nieruchomą postać Chrystusa, — wszystko to rozpałało mu wyobraźnię i napełniało głowę dziwacznemi obrazami. Przypomniał sobie, płaczące niegdys u gro-

bu Chrystusa, czystą Maryą i grzeszną Magdalenę, i za-  
pytywał myślą, czy kobieta, którą widział przed sobą,  
do pierwszej podobna jest, czy do drugiej?

Chciał odejść, ale nie podobnym mu się wydało  
zostawienie téj kobiety saméj jednéj, w stanie, w ja-  
kim ją widział. Stał więc i patrzył na nią ciągle i po  
chwili zobaczył, że postać jéj stała się całkiem już  
nieruchomą i niemą. Może zemdląła, myślał, i po  
niejakim wahaniu się postąpił i schylił się nad nią.  
Kobieta nie słyszała jego kroków.

— Może pani potrzebuje pomocy? — rzekł z ci-  
cha, a w słowie jego drżało łagodne spółczucie.

Kobieta drgnęła, ręce jéj rozplotły się i od filaru  
odpadły, jakby bezwładne; podniosła z wolna głowę  
i utkwiała spojrzenie w pytającego.

— Co pan mówi? — spytała, a słowa te wypły-  
nęły z jéj ust bladych, ledwie dosłyszczanym szeptem.

— Pytałem — odrzekł Lucyan — czy nie potrze-  
buje pani pomocy. Widząc panią schyloną i nieru-  
chomą, myślałem, że pani może zemdląła.

— O! nie, mam się zupełnie dobrze — głośniej już  
odpowiedziała kobieta. — Dziękuję panu, bardzo dzie-  
kuję!

I mówiąc to, utkwiała w twarzy młodego człowieka  
łzą zasłone spojrzenie dwojga wielkich, ciemnych oczu.  
Po twarzy jéj biegły dwa wilgotne ślady świeżych łez;  
z czoła zsunęła się zasłona i spadała z tyłu głowy, jak  
przezroczysta tkanka, jaką malarze zdobią głowę Ma-

donny; skronie ocieniały rozwiane, ciemno-kasztanowate włosy. Klęcząca i cała jeszcze drżąca, niewypowiedzianie była piękną, jakąś smutną a magnetyczną pięknością. Lucyan patrzył na nią, serce mu było gwałtownie i nie miał siły odstąpić od niej. Ona sama powstała z wolna, raz jeszcze, patrząc na niego, powiedziała: — dziękuję! — i, zarzuciwszy zasłonę na twarz, wyszła z kaplicy.

I Lucyan wyszedł za nią i patrzył, jak powoli przechodziła przez kościół. Smukła jój postać lekkim cieniem przesuwawała się pomiędzy białymi filarami, a ciężka suknia szelestem wtórowała cichym i jednostajnym odgłosom jój stąpań.

Zniknęła za szerokimi, na ulicę wiodącymi, drzwiami kościoła, a Lucyan stał jeszcze długo, zasunięty we framugę od drzwi kaplicznych, wzruszony, bezwiednie ścigając okiem łamanie się światła i cieni pod stropem sklepienia.

Wyszedł w końcu na ulicę, znalazł się znowu wśród gwaru i tłumu, i szedł jak senny, mimowoli, przy świetle zapalających się latarni, szukając między mijającymi go kobietami téj, którą przed chwilą widział w kościele.

VI.

**Nie mów hoc, póki nie przeskoczysz.**

— Co ci jest, Cypryanie? — pytał Lucyan Dolewski, przygotowując się do blizkiej podróży i spoglądając na przyjaciela swego, który siedział przy oknie z głową na ręku wspartą i patrzył na ulicę oczyma, które wyraźnie patrzyły na daleki jakiś a nieobecny w téj chwili przedmiot.

— Co mi jest? — odparł Cypryan. — Nic, nic — a po chwili dodał: — ot wiiesz, dręczy mię to, że nie mogę dowiedzieć się, kto jest ta kobieta?

— Cierpliwości trochę, mój drogi — mówił Lucyan, zajęty staranném obwiązywaniem paki z książkami; — Warszawa nie jest przecie tak wielkiem miastem, aby nie można było w niej dowiedzieć się o mieszkaniu osoby, którą się spotyka. A gdy będziesz wiedział, gdzie ona mieszka, łatwo ci już przyjdzie zabrać z nią znajomość. I jam ciekawy bardzo, kto jest ta pani.

Wymawiając ostatnie słowa, Lucyan, nie myśląc o tém, użył jezuickiego wybiegu, bo mniej daleko stosowały się one do damy myśli Cypryana, niż do kobiety, którą on sam widział płaczącą w kościele.

— Bo gdybym ja tę kobietę — mówił dalej Cypryan, po dość długiej chwili milczenia — gdybym tę kobietę spotkał poprostu w jakim salonie, został jój przedstawiony według wszelkich prawideł konwensowego kodeksu i nawzajem dowiedział się o jój nazwisku, położeniu, miejscu urodzenia, zamieszkania i t. d., możebym się tak żywo nią i nie zajął. Ale tajemnica, która ją otacza, która dla mnie tylko może jest tajemnicą, to dziwne nazwisko, to pojawianie się jój i znikanie, drażni mię i pociąga ku niej siłą nowości, a szczególnie jakiejś sympatyi. Czuję, że nie będę spokojny, aż ją znajdę i poznam, aż się przekonam, czy odpowiada wyobrażeniom, jakie sobie o niej stworzyłem.

— Zepsute jesteś dziecko, Cypryanie — z uśmiechem rzekł doktor.

— Tak, to prawda — odparł Karłowski, białą swą rękę topiąc w gęstych, wijących się w pierścienie, jasnych włosach, — tak, jestem rozpieszczony przez los, to prawda. Syn najlepszego ojca i namiętnie mię kochającej matki, od dzieciństwa bogaty, kochany przez jedyną siostrę, kochany przez krewnych i przyjaciół domu, wzrosłem wśród dostatku i miłości.



Wszystko mi przyszło łatwo: nauka, stanowisko w świecie, wszystko zawsze uśmiechało się do mnie: przyszłość, przyjaciele, kobiety. Byłem w główniejszych stolicach Europy, bawiłem się, uczyłem, używałem. Jestem więc rzeczywiście dzieckiem szczęścia, Lucyianie. Ale ty, mój najdawniejszy i najlepszy przyjacielu, zanadto mnie znasz, abys sądził, że, pod lekką powierzchownością, niema we mnie myśli i pragnień, przekraczających granice łatwego użycia. Nad wielu rzeczami boleję nieraz szczerze, może trochę i nad sobą... mimo całego mojego szczęścia. *Mais il faut faire bonne mine au mauvais jeu*; w braku więc czego innego, zalecam się do panny Heleny, panny Julii, pani Klary i t. d. Powiem ci jednak, mój drogi, że od pewnego czasu przestają mnie już bawić te łatwo zrywane kwiatki, i niekiedy, gdy przyjeżdżam do rodziców i widzę ich święte, zgodne, zacne życie domowe, bierze mię chęć wstąpienia w ślady praocjów i, ni mniej ni więcej, poprowadzenia do stopni ołtarza jakiejś pięknej osóбки, z serduszkim mnie wyłącznie oddaném. Lucyianie, i cóż ty myślisz o tych moich matrymonialnych zapędach?

— Myślę, żeś do nich wcale niestosownie przygotowany, ze swojém amatorstwem wszystkich na świecie czarnych i błękitnych oczu.

— Do licha, nudzi mnie już ta mieszanina czarnych i błękitnych oczu! — zawołał Cypryan. — Po-



wiadam ci, że nie na żart przychodzi mi często zachcianka, żeby mieć jedną tylko parę oczu, ale wyłącznie moich; jedno tylko dobre kobiece serduszko, ale wyłącznie moje; a wyobraźnią widzę już siebie szanownym patryarchą, otoczonym rodzinném gro-nem, palącym popołudniową fajkę i słuchającym czytania żony o sprzeczkach lorda Palmerstona z lordem Russelem i o owym nieodgadniętym Sfinksie (jak go dzienniki nazywają), cesarzu Napoleonie.

— A jednak, mimo tych patryarchalnych marzeń, z młodzieńczym zapałem i swawolą nieledwie, gonisz kobietę nieznaną... i kto wie, jaką? — zarzucił Lucyan, który końca mowy swego przyjaciela słuchał z pełnym niedowierzania uśmiechem.

— I cóż ztąd? — zawołał Cypryan. — Podobała mi się bardzo, i dla tego chcę ją poznać. Nie jesteś tak naiwnym, przypuszczam, abys myślał, że podobała mi się tylko z piękności, bo napatrzyłem się już niemało na piękne kobiety; ale uderzył mnie wyraz jéj twarzy, kameleonowa gra jéj oczu, ogień, który się zda tryskać z całej jéj osoby, to coś, jedném słowem, nieokreślone, które przemawia niekiedy i do zmysłów, i do myśli naszej zarazem, harmonią jakąś nieujęta, a jednak magnetycznie pociągająca. Przypatrywałem się jéj tak w teatrze, że, gdybym nie znał ópery Trubadura, nie mógłbym powiedzieć, czy misere-re, owę według mnie pieśń nad pieśniami, na początku przedstawienia, czy przy końcu śpiewają.

Przypatrywałem się jęj i dojrzałem, iż jest ona jedną z tych istot, u których więcej się jeszcze domyślać można, niż widzieć. Ile tam ognia w oczach, gry w fizyonomii! Kto wie, może ona będzie właśnie tą, o której mówi przysłowie: śmierć i żona od Boga przeznaczona.

— Więc \*ezém-że ma być ona? śmiercią, czy żoną?

— No, już, że nie śmiercią, to pewno, bo z miłości nie umrę; podobniejsze to do ciebie, stoiku o werterowskich oczach.

— A więc żoną—najspokojniej ciągnął dalej Lucyan.—Zaczynam doprawdy spostrzegać, że gotów jesteś choćby dziś przed ołtarzem stanąć. Ale jeżeli kobieta, która cię tak żywo zajęła, jest lekka, zalotna, rzucająca serce na wszystkie wichry?

— A gdyby i tak było — odpowiedział Cypryan.  
— Jeśli tylko znajdę w niej umysł jasny i zdrowy, jeśli rozbudzę w niej przywiązanie ku sobie, czyż nie przypuszczasz, że własnym rozumem i miłością będę mógł ją uzacnić, wzmocnić jęj wolę, wyrwać z koła złych uniesień lub próżności? A sam czy nie rzucałem także serca mego na wszystkie wichry i gdy, miłostkami znudzony, zapragnąłem nareszcie miłości, mamże prawo za nieodzowny warunek wymagać od kobiety niepokalanęj czystości serca i myśli, której sam już nie posiadam? Wierzysz-że ty w to, że mężczyzna może podnieść się i spoważnić w uczuciach

swoich, a kobieta nie może? że mężczyźni wolno rozrzucać po świecie najświętsze uczucia i najświętsze myśli, a potem śmiało sięgać po pocziwe szczęście; lecz gdy kobieta uczyni to samo, już ją tylko zdeptać należy i odepchnąć na zawsze od rodzinnego życia, albo pobawić się z nią i wyrzucić, jak cacko zepsute? Ja myślę, Lucyanie, że zło dla kobiety jest również złem dla mężczyzny, i że w pierwszej jak w drugim, mimo zboczeń i błędów, może być jeszcze wiele dobrego, które, poruszone żywem i pocziwem uczuciem, wypłynie w życiu ponad wszelkie skazy, rozbudzi i w ruch wprawi wszystkie dobre sprężyny natury. Jeżeli oboje zło popełnili, dla obojga równie winna być otwartą droga pokuty i przebaczenia, a że droga ta trudna, zamiast pogardzać sobą, powinni sobie wzajem przebaczać i pomagać.

Cypryan był pięknym, gdy to mówił; w owęj chwili przestał być wesołym motylem i eleganckim salonowcem; oczy błysnęły mu zapalem poważnej i zacnej myśli.

Lucyan nic nie odpowiedział i zamyślił się; przed wyobraźnią stanęła mu znowu kobieta płacząca w kościele. Zdało mu się, że usłyszał uderzenie pięknego czoła o kamienną posadzkę, że zobaczył duże, załamane oczy, wpatrzone w niego z wyrazem boleści i słodyczy. I pomyślał, że może kobieta owa była właśnie jedną z tych istot, które płaczą nad własnym upadkiem i powstać zeń pragną, które, uniesione na

rozdroża szalem i burzami życia, potrzebują tylko dłoni opiekuńczej i silnej, aby wejść na takie wyżyny, jakich osiągnąć często nie mogą najczystsze nawet, ale mniej żywotną i bogatą naturą obdarzone istoty.

I myślał, co by było, jeśli by on pokochał tę rozplakaną kobietę, którą widział w kościele, i gdyby w jej przeszłości zobaczył skazy i plamy. Myślał o tém dość długo, aż spostrzegł, że szczególniej jakoś zajmuję się kobietą, raz tylko widzianą i, zapomniawszy o obecności Cypryana, zaśmiał się głośno z samego siebie. W śmiechu tym była ostra nuta: poznał, że w namiętny uścisk pochwyć może widmo, i zaśmiał się ostrym dźwiękiem rozdrażnionego serca.

— Co to jest? — zawołał Cypryan. — Lucyanie, czego się śmiejesz?

— Myślałem o tém, co mówiłeś — odpowiedział doktor — i choć przyznaję ci zupełną słuszność, jednak, co do siebie, jestem pewny, że byłbym szalenie zazdrośny o przeszłość kobiety, którą-bym kochał.

— Ba, mój drogi, z tobą rzecz inna, a ze mną inna; tyś nigdy nie kochał jeszcze, siły twoich uczuć dziewicze są świeże zupełnie, naturę masz nierównie wrażliwszą i namiętniejszą od mojej. Dla ciebie potrzeba jakiegoś szerokiego pola działania, na którém mógłbyś w ruch wprawiać i zużywać całą energią, której jesteś pełen, inaczej wszystkie te siły swoje włożysz kiedyś w miłość dla kobiety i zobaczysz, przepowiadam ci to, że rozkochasz się szalenie, strasznie!

Lucyan, w miejsce odpowiedzi, wydobył zegarek i rzekł:

— Komu w drogę, temu czas.

— Prawda—odpowiedział Karłowski—lokomotywa nie czeka nawet na doktorów medycyny. Siadaj do mego powoziku, który stoi przed bramą, odwiezie cię na stacyą kolei.

W niespełna godzinę po téj rozmowie, pociąg kolei żelaznej uwoził Lucyana Dolewskiego z Warszawy ku wileńskim stronom. Ale losy nie dały mu tak miłej towarzyszki podróży, jaką w ostatniej wycieczce swojej miał pan Karłowski. W wagonie, w którym jechał, siedziały same zaspane i bezbarwne fizyognomie; miał więc możność oddania się swobodnie swoim myślom. Myśli te przywodziły mu często na pamięć słowa przyjaciela: — zakochasz się kiedyś szalenie, strasznie,—i uśmiechał się, odpowiadając sam sobie:— alboż nie mam silnej woli, zdrowego rozsądku?—Ale wówczas koła wagonów, tocząc się po żelaznych szynach, jednostajnym swoim turkotem zdawały się powtarzać: nie mów hoc, póki nie przeskoczysz! nie mów hoc, póki nie przeskoczysz!...

---

## VII.

### W miasteczku.

Jak o wszystkiém na świecie, tak i o wielkości miast, różne bywają pojęcia. Dumny syn mglistego Albionu, wjeżdżając do Paryża, z lekceważeniem prawie spogląda na wspaniałą stolicę Francuzów i, porównywając ją ze swym olbrzymim Londynem, rodziną mową swoją, jakby stworzoną do wygwizdywania wszystkiego na ziemi, mówi: miasteczko! Paryżanin zwie może tak naszą Warszawę, a Warszawianin wszelkie prowincjonalne miasta. Lecz są to tylko zachcianki i wybrédzania przywykłych do blasku mieszkańców stolic. Istotnego prototypu małych miasteczek szukać należy między tym rojem pół-żydowskich, pół-chłopskich osad, których pełno jest w naszym kraju, a które dla czego noszą nazwę miasteczek, trudno odgadnąć. Są karczmy i sklepy—odpowiada żyd;—jest kościół i co niedziela bywają targi—odpowiadają chłopi. I oto cała kwalifikacya miejsc

owych na dostojęństwo miasteczek, bo w gruncie nie są ani miastem, ani wsią, ale gromadą nędznych mieszkań i nędzniejszej jeszcze ludności, zakopanęj w błocie, w drobnym i brudnym handlu i w najzupełniejszej umysłowej ciemnocie.

Jedném z miejsc takich było miasteczko N., leżące na szerokiej pocztowej drodze. Miało ono jedną tylko ulicę, szeroką wprawdzie, ale wiekuiście błotnistą. Z obu jej stron stały domki szare i białawe, nierówne, z małemi okienkami, gdzieniegdzie z gankami, wspartemi na pochyłych słupach. W środku miasteczka był plac, zarzucony słomą, sianem i różném śmieciem, przeznaczony na coniedzielne targowisko. Dwie strony placu tego otaczały małe sklepiki, w których sprzedawały się świece łojowe, mydło, paciorki dla kobiet wiejskich, perkale dla żydówek i t. p. piękne rzeczy. Z trzeciej strony stała długa biała karczma, z krytym, na słupach opartym, podjazdem, wspaniałą swoją budową królując domkom „na kurzój łapie”, które, jakby przejęte pokorą, chyliły się pokłonami każdy w swoją stronę. Naprzeciw karczmy, z za żółtego ogrodzenia, żółtęj dzwonnicy i grupy dzikich grusz, wyglądał nie wielki, szary, o jednej wieżycze kościółek. Na ulicy i placu, w rozkoszném, nigdy nie wysychającym błocie, w niebogłosy krzycząc, bawiły się pół nagie żydzięta; na progu każdego niemal domku siedziały żydówki, w lecie robiąc pończochy, zimą grzejąc ręce nad garnkami, napełnionemi



gorącym popiołem. Przed karczmą od rana do wieczora snuły się wozy i gwarzyli ludzie, ku wielkiej radości arendarza, który częstował chłopów tabaką i gorzałką, a ku większemu jeszcze osłupieniu kilku nieustannie we wrotach karczmy z otwartymi gębami stojących żydów, którzy, bezmyślni oczyma wodząc wkoło siebie, zdawali się, według słów jednego ze swoich rabinów, rozmyślać nad tém, gdzie się podzięją te wróble, co na dachu siedzą, jak się ten dach spali?

Kiedy podróżny, przywykły do widoku względnej przynajmniej cywilizacji, przejeżdżał przez N., odwracał spojrzenie od kąpiących się w błocie żydząków i zapytywał siebie: jak na podobne widoki codziennie patrzeć można? Niekiedy elegancka jaka pani, której droga szła tamtędy, wyglądała przez okna karety, ale wnet zasuwiała się w głąb' powozu, szepcząc *quelle horreur!* i podnosząc do twarzy flakonik z perfumą. A jeżeli czasem poeta, lub artysta jaki, wypadkiem wjechał do tego nieznanego Dantemu piekielnego kręgu, wołał na furmana: na Boga! jedź prędzej! a zmysł jego artystyczny wzdrygał się, przejęty wstrętem. I wszyscy ci ludzie zapytywali, jak tu żyć można?

A jednak w miejscach podobnych żyją ludzie i nie tylko tacy, których umysł nigdy nie otworzył się na światło Boże, ale, dziwną ironią losu, żyją tam niekie-



dy i tacy, których myśl żadną jest wiedzy, a serce rozkochane w pięknie.

Bo alboż każdy według wartości swojej wyznaczone ma miejsce na ziemi? Wszak nieprzeparte potęgi porywają często jednostkę w żelazne objęcia konieczności, ustawiając ją tak dowolnie na pozór, jak mechanik umieszcza kółko, mające dopomódz ruchowi jego maszyny. Daremnie przeciwko losowi buntuje się myśl i serce człowieka; to, co nim rządzi, mówi mu: będziesz tu stał, dumny Prometeuszu, do skały przeznaczeń swoich przykuty! poczujesz się wielkim, a na zawsze zostaniesz małym; zechcesz być silnym, a będziesz musiał być słabym; zerwiesz się do walki jak olbrzym, a upadniesz pokonany jak dziecię; bo włada tobą owo społeczne fatum, przykuwające cię do miejsca, na którym się rzucasz, jak na łożu tortur!

I ileż razy się zdarza, że człowiek tłumy w sobie poczucie wielkości i siły, a nie może ich wydać na świat w słowie lub czynie; ile razy widzi, jak godzina po godzinie, dzień po dniu, marnują się bez użytku zasoby jego energii i ducha, a on, skrępowany tém, czego skruszyć nie może, na życie całe staje się co najwięcej... wielkim człowiekiem miasteczka lub parafii.

Było to w zimie, w jednym z ostatnich dni Grudnia. Miasteczko N. pokryło się szarawym, wpeł na błoto przemienionym śniegiem; na ulicy i placu ska-

kały wrony, kracząc i podlatując, i bawiły się krzykliwe, nie lękające się chłodu żydziaki. W popołudniowych godzinach otworzyły się na ulicę drzwi nędznego domku i, schylając się, aby przejść niską sieni, stał na próg Lucyan Dolewski. Wyszedł na ulicę, odwrócił się i rzekł, jakby do kogoś stojącego poza nim w sieni :

— Pamiętajcie tylko, pani Chaimowo, ażeby, jak przyjdę jutro, czystiej było w domu, niż dzisiaj. Inaczéj matka twoja nie wyzdrowieje. Ja nic nie pomogę, jeśli nie postaracie się dla niéj o czyste i zdrowe powietrze.

Gdy wymawiał te wyrazy, przed sieni domu wyszła żydówka. Postać jéj okrywała krótka sukienka bez barwy i kroju, a raczéj zszyty, poplamiony i połatany lachman; na głowie miała perukę z niegdy brunatnéj, zasmolonéj materyi, a na nogach szafirowe pończochy i przydeptane a zabłocone trzewiki. Twarz jéj pokryta była taką warstwą brudu, że zniknął z niéj wszelki wyraz ludzki. Stała o parę kroków od doktora i patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem.

— Jeżeli nie wymieciesz izb i nie odmienisz bielizny choréj — mówił daléj Lucyan — ja nic nie poradzę i matka twoja niezawodnie umrze.

— Ny, wielmożny panie — odezwała się żydówka — ja wczoraj wymiatała stancye.

— Nie prawda! — odrzekł doktor z pewną suro-

wością — dla czego kłamiesz? Byłem u ciebie wczoraj i zastałem brudy, jak zwykle. Matka twoja z tego właśnie powodu gorzej się ma i coraz będzie gorzej, jeżeli nie uczynisz tego, co ci zalecam. Ileż razy mówię wam o tém, że czystość potrzebna jest koniecznie do zdrowia i że właśnie dla tego tak często chorujecie i umieracie, że nie chcecie jęj utrzymywać w waszych domach.

Żydówka uważnie słuchała mowy doktora i, przy ostatnich jego wyrazach, zaczęła żałośnie kiwać głową, jakby potwierdzając tę smutną, o częstych między niemi chorobach, prawdę.

— Widzisz — mówił dalej młody apostoł sanitarnych idei — sama czujesz słuszność słów moich; a nie chcesz zastosować się do nich.

— To prawda, wielmożny panie, ny, ale cóż robić! u nas biędnych gospodarka, a tyle dzieciów!

— Alboż Lejba, krawiec, nie ma dzieci? a jednak u niego w izbach czysto, i dla tego już rok minął, jak r'kt z jego rodziny nie chorował.

— Dziękować wielmożnemu panu, co ich nauczył tego, żeby u nich czysto było — ozwał się stojący we drzwiach domu i słuchający rozmowy niski, ryży, w długim surducie żyd.

— Otóż, bardzo mię martwi — odpowiedział Lucyan — że was tego samego nauczyć nie mogę. Jesteś porządnym rzemieślnikiem, Chaimie; najlepszy z ciebie stolarz w N. i w okolicy całej, a nie możesz

nakłonić do tego żony, żeby codziennie izby wymiatała, otwierała okna na kilka minut i zmieniała ubranie choréj matce i małym dzieciom.

— Ny, Sure! Czy słyszysz, co wielmożny pan doktor gada? — odezwał się ryży żydek, patrząc na żonę. — Idź wymiatać stancyą, zaraz!

— Bądźcie zdrowi, moi kochani — z łagodną życzliwością rzekł Lucyan, podnosząc rękę do futrzanej czapki. — Nie gniewajcie się na mnie za moje przestrogi, ale widzicie, ja wam dla waszego dobra radzę.

— Aj waj! co to wielmożny pan doktor gada — zawołał żyd, chwytając się za ryże pejsy — my za pana doktora co Sobota modlim się w szkole, za to, że od tego czasu, jak pan doktor przyjechał, połowa ludzi choruje co dawniej. Daj Boże panu sto lat życia!

— Dziękuję, dziękuję — z uśmiechem odrzekł Lucyan. — Jutro znowu do was przyjdę.

Żyd pokłonił się i zniknął w niskim wnętrzu chaty, a po chwili z mieszkania Chaima wyjeżdżała kupa wymięcionego śmiecia i rozlegał się krzyk broniących się od czesania i mycia żydziaków.

Lucyan przebył wszerek szeroką ulicę, w środku której stały mętne kałuże roztopionego śniegu, i wszedł do innego domku. Po chwili wychodził zeń w towarzystwie jakiejś mieszcanki, która z czerwoną chustką na głowie, z wrzecionem w ogorzałej ręce, żegnała „wielmożnego doktora“ niskimi pokłonami

i prosiła, aby jutro przyszedł znowu do jej chorego męża.

— Nie dawaj wódki mężowi — odpowiedział doktor — inaczej nigdy nie wyzdrowieje.

— A cóż robić, kiedy pije i pije! — zajęczała kobieta.

— Narzekaj na samę siebie, Jakubowo — z lekkiem napomnieniem odezwał się Lucyan — bo ile razy lepiej już było mężowi twemu, tyleś razy przyniosła mu z karczmy wódki. Cud to prawdziwy, że jeszcze żyje dotąd; ale jeżeli będziesz dalej robiła to samo, przestanę przychodzić do was, bo widzę, że nic nie poradzę.

— Ach panoczku, gołąbku! — zawołała kobieta, plaskając rękoma — nie opuszczaj-że nas biednych ludzi! Toć mój stary dawno-by umarł, żeby nie ty, panoczku.

I odrzuciła baba wrzeciono w sień, a obydwoma rękoma pochwyciła rękę Lucyana i ustami przylgnęła do niej.

Doktor łagodnie usunął rękę z energicznego uścisku mieszczanek i rzekł:

— No, któżby chciał was w biedzie opuszczać, moja Jakubowo. Tylko widzicie — dodał surowiej — kiedy nie spełniacie moich zaleceń, to nie widzę potrzeby przychodzić do was.

— Panoczku, rybko! już ani kropelki nie dam staremu!

Uśmiechnął się Lucyan.

— No, pamiętajcie — odpowiedział — a tymczasem bądźcie zdrowi.

Znowu podniósł rękę do czapki, która mu piękne czoło ocieniała i odszedł, a baba podniosła wrzeciono i przez chwilę jeszcze stała we drzwiach domu, patrząc za odchodzącym i kiwając głową. Późem westchnęła, przełożyła wrzeciono w lewą rękę, a prawą zakreśliła w powietrzu wielki krzyż za Lucyanem, szepcząc :

— Daj jemu, Boże, zdrowie i Najświętsza Panno! taki rozumny, a rozmawia z każdym, niby to z równym sobie.

Tak mruczając, weszła do chaty, a Lucyan znikł znowu we drzwiach innego domu.

Ale dom, do którego wszedł tą razą, znacznie porządniejszą miał powierzchowność, niż dwa poprzednie. Mały on był, o czterech tylko, ale czysto wymytych okienkach; ganeczek miał oparty o dwa białe i prosto stojące słupy, z dwoma wschodkami i z dwiema drewnianymi ławeczkami bez poręczy.

Lucyan wszedł najprzód do dość obszernej sieni, w której stały różne gospodarskie naczynia. Zdjął futro, położył je na przewróconych dnem do góry nieckach i z czapczką w rękę wszedł do pokoiku na prawo. W pokoiku tym smutno było i ubogo, ale chędogo i porządnie. Stało tam łóżko czysto zaślane, za wykrzywionym trochę parawanikiem; pa-

rę starych, jak świat, komódek, duży, czerwono malowany stół pod oknem i kilka podobnych-że stołów pod ścianami. Na ścianach wisało kilka lichych sztychów, także w czerwonych, drewnianych ramach.

Na widok wchodzącego Lucyana, powstała siedząca przy stole kobieta i śpiesznie złożyła z kolan kilka sztuk grubiej bielizny, której cerowaniem była zajęta. Kobieta ta wyglądała na lat czterdzieści; słuszną była i chuda, z żółtą twarzą i małymi oczkami. Miała na sobie wąską czarną spodnicę i takiż kaftan, oszyty starym wytartym aksamitem; na głowie jej z pod czarnego czepka, który wyglądał już na ciemno-szary, wychodziły dwa pasma siwiejących, gładko przyczesanych włosów, które na skroniach tworzyły dwa esy, zwane niegdyś filutkami. Była to pani Grodzicka, bardzo przez tameczną publiczność poważana mieszkanka N., a poważana głównie dla tego, iż była niegdyś obywatelką, a nawet nieboszczyk mąż jej piastował w mieście powiatowem urząd sędziego, z kąd téż i jego podupadłą wdowę nazywano ogólnie sędziną. Pani sędzina atoli w smutnym znalazła się położeniu po śmierci pana sędziego, który, jak ludzie mówili, lubił z buteleczki pociągnąć i dla tego zrujnował swoje gospodarstwo i interesa. To-téż po jego śmierci, wierzyciele sprzedali majątek, a wdowie, pozostałej z dwojgiem dzieci, za ledwie okroiła się sumka na kupienie małego domku w N.



Osiadła téż stale w miasteczku i częścią pracą rąk, częścią z darów zamożniejszych sąsiadów w okolicy, utrzymywała siebie i dzieci. Ale Napoleon I-szy na wyspie świętej Heleny nie tyle pamiętał świetną przeszłość swoją i nie tyle bolał nad jej utratą, co pani sędzina Grodzicka. Podobnie, jak ów sławny monarcha na odludnej wyspie chorował na Waterloo, tak ona chorowała na swoją utraconą Wólkę; a że wszystko, co się utraciło, wydaje się zwykle stokroć droższem i piękniejszém, niż było w istocie, więc i pani Grodzicka wyobrażała sobie, iż była niegdyś bardzo, bardzo bogatą. Skromny, choć wygodny dom w Wólce, zamienił się w jej wyobraźni w pałac, nejtyczanka w karetę, chłopak, wyrostek z przedpokoju, w kamerdynera, a sypialny pokój, w którym niekiedy uprzedzione motki wisiały na ścianach, w budoar. To samo stało się z jej minioną pięknoscia, która, obok pałacu i karety, stanęła w jej wyobraźni, otoczona aureolą jakiegoś czarodziejskiego uroku i ukazywała jej w przeszłości mnóstwo rycerzy, podbitych jej wdziękami.

Stosunki familijne nie mniej olbrzymie przybrały rozmiary i mało brakło, aby z którejkolwiek strony nie zaczęły Burbonów lub Habsburgów. Wielka to podobno prawda, że każdy prawie człowiek na świecie ma swego konika, na którym jeździ; ale pani Grodzicka miała aż trzy koniki, na których tak galopowała, że nikt inny dopędzić-by jej nie mógł i w każ-



děj rozmowie umieszczala niezawodnie swój budoar, swoję płeć alabastrową i siostrzenicę, marszałkową X. Mimo to wszystko, była to sobie kobiecina poczciwa, kochająca swoje biedne dzieci nad życie. Miała też i tę zaletę, że, mimo ogólnego współczucia, jakie wzbudzała, udawała się do jałmużny tylko w ostateczności i wyszukiwała wszelkich środków zapracowania sobie jakiego grosza praniem, szyciem, cerowaniem; ale, że potrzeby miasteczka były małe, nie zawsze dostawała robotę i nieraz bywała zmuszoną do przyjęcia drobnych darów, smutnie nad tém rozmyślając, że gdy miała budoar, płeć alabastrową i siostrzenicę marszałkową, sama innym podobnych udzielała darów.

Na widok wchodzącego Lucyana, szybko położyła na stole swoję grubą robotę, nieznacznie poprawiła na skroniach filutki, ociągnęła starym aksamitem oszyty kaftan i bardzo uprzejmym dygiem powitała doktora.

— Jakże się ma chora? — spytał Lucyan, po wzajemnie wymienionych wyrazach powitania.

— Już odra przechodzi — odpowiedziała pani Grodzicka — ale gorączkę biedne dziecko ma jeszcze silną. Niech pan Lucyan zobaczy.

I przez wązkie, niskie drzwiczki wprowadziła doktora do małego pokoiku, w którym leżała chora na อดię dwunastoletnia dziewczynka.

— Jakże się dzisiaj czuje moja mała pacjentka?

— z uśmiechem spytał Lucyan, siadając przy łóżku chorój i biorąc jej rozpaloną rękę.

Ładne, nawet odrą nieoszcpeczone dziecię, z pełném zaufania spojrzeniem, zwróciło ku niemu twarzączkę i odrzekło:

— O, daleko mi już lepij.

— To dobrze, to dobrze — mówił młody doktor — bo téż musimy się bardzo nudzić, leżąc w łóżecku. Jesteśmy zwykle tak czynni. A co tam bez nas nasze kurki porabiają? — dodał.

— Czubata przychodzi do mnie — odrzekła dziewczynka takim tonem, jakby rozmawiała ze swoim małym braciszkiem — a i Burek zawsze przy mnie.

— A kotek znakomity — rzekł żartobliwie Lucyan, biorąc z ziemi małego szarego kotka i podając go dziewczynce — on kocha swoją panią. A lekarstwo czy bardzo niesmaczne?

— Wszystko, co tylko pan zapisze, to już smaczne — odpowiedziało dziecię, ciągle tém samém, pełném zaufania spojrzeniem, patrząc w twarz lekarza.

— Cieszę się, że tak znam smak Walerki — mówił znowu Lucyan, gładząc kotka — ale teraz, gdy już gorączka mniejsza, będziemy pili tylko orszadę.

I przez kilka chwil jeszcze, w taki pełen łagodności sposób, porozmawiawszy z chorém dzieckiem, wychodził z pokoju.

— Mamo! mamo! — zawołała dziewczyna do towarzyszycielki doktorowi matki, a gdy pani Grodzicka zbliżyła się do niej, rzekła:

— Niech się mama nachyli, coś powiem do uszka.

Nachyliła się pani Grodzicka, a dziecię szepnęło:

— Wié mama, że jak pan Lucyan przyjdzie do mnie, to mi zaraz i bez lekarstwa nawet lepiej.

— Niech mu Pan Bóg błogosławi, moje dziecko — odrzekła matka. — Biédna dziecina, wygod nie ma takich, jakich potrzeba — smutnie, kiwając głową, mówiła dalej do doktora pani Grodzicka. — Kiedyś bywało inaczej: żeby tak naprzykład w Wólce zachorowała, zaraz-bym ją do mego budoaru przeniosła, a tam, mój panie Lucyane, i sufit był wysoki, i okna duże, światło, to zaraz-by dziecku zdrowiej było, niż w téj ciupie. Ach, biéda, mój panie Lucyane, biéda!...

Jakby w odpowiedź na to westchnienie podupa-dłej sędziny, w sieniach zabrzmiał stentorowy śmiech męzki, od którego aż zatrzęsły się szyby w oknach i wnet ukazała się ogromna postać mężczyzny o szerokich barkach, siwych włosach, zawieszistych, białych wąsach i czerstwój, rumianój, rozjaśnionej poczciwemi oczyma twarzy. Wchodzący miał na sobie surdut i spodnie z grubego szarego sukna, a w rękę trzymał czapkę z popielatych baranków.

— Ho, ho, ho! — zaśmiał się we drzwiach po-

wtórnie i grubym głosem mówił, zbliżając się ku gospodyni domu: — Jak się ma pani sędzina? jak zdrowieczko? jak się powodzi?—A spostrzegłszy Lucyana, otworzył ku niemu ramiona i jeszcze głośniej zawołał: — Ho, ho, ho, ho! mosanie tego, a kogoż ja tu widzę? nasz konsyliarz, mosanie tego, ho, ho, ho!...

— Jak się ma pan Dembowski — odpowiedziała pani Grodzicka, witając rubasznego szlachcica z godnością, stosowną do jój przeszłej wielkości — kope lat nie widziałam pana.

— A kope, kope — mówił pan Dembowski, siadając na stołku, który się o mało nie złamał pod jego ciężarem — dobrze pani sędzina mówisz o kopie, bo właśnie moja jójmość przysłała pani kope jaj od swoich czubatych, a ja przyjechałem na ośmince kartofli, ho, ho, ho!...

— Bóg zapłać państwu — odpowiedziała pani sędzina.— To w samą porę, bo już nic kartofli nie mam, a w tym roku taka drożyzna. W Wólce to bywało nieboszczyk mąż takie łany kartofli sadił, że jak okiem zajrzeć, a teraz...

— Każ-że pani sędzina znieść to wszystko do siebie, bo ot mój wózek pod samym gankiem stoi.

Pani Grodzicka westchnęła i po chwili odrzekła:

— Żeby tak w Wólce, tobym kazała memu kamerdynerowi zdjąć te rzeczy z wózka, ale tutaj... chyba jak Mieczek przyjdzie.

Jakby na zawołanie, wpadł do pokoju trzynastoletni Mieczek, syn pani Grodzickiej, żwawy i tęgi chłopak, z pojętną miną i bystreimi oczyma.

— Gdzież to mój uczeń przebywał? — spytał Lucyan, biorąc za rękę zasapanego i spotniałego od zmęczenia chłopca.

— W śnieżki grałem z Adasiem i Tomkiem — odpowiedział rażno.

— Jakto w śnieżki? człowieku, toż na świecie błoto, nie śnieg! — rzekł łagodnie Lucyan.

— Ej, tam pod płotem księdza proboszcza, taki jeszcze śnieg czysty i twardy, niby kamień — odrzekł Mieczek, bawiąc się guzikiem od surduta doktora.

— A lekcją na jutro umiesz? — spytał Lucyan.

— Jakżeby nie! albow to ja kiedy lekcji nie umiał?

— I to prawda; ale to mnożenie...

— Ej już nauczyłem się: sześć razy siedm czterdzieści dwa, trzy razy ośm dwadzieścia cztery, widzi pan Lucyan.

W czasie tej rozmowy, pani Grodzicka cicho rzekła do pana Dembowskiego:

— Czy wiiesz, panie Dembowski, pan Lucyan taki dobry, że już blisko od roku uczy mego chłopca.

— Poczciwy z kośćciami człowiek, mosanie tego — odszepnął szlachcic tak cicho, że aż się okna zatrzęśły.

— Mieczku, idź weź z woza pana Dembowskiego worek z kartoflami i kosz z jajami i wnieś do spiżarni.

— A niech ci tam mój Janek pomoże — rzekł pan Dembowski.

— Dobrze, matko, pójdę! Ej, ja i bez Janka zainoszę, ale co za to będzie?...

I, zatrzymawszy się na środku pokoju, figlarnie patrzył na obecnych.

— Ot, co będzie za to, chłopcze — rzekł Dembowski, dobywając z kieszeni duże czerwone jabłko.

— Dziękuję panu — odrzekł chłopak — ale ja chcę czegoś od pana Lucyana.

— Czegoż ty ode mnie chcesz, Mieczku?

Chłopak poskoczył, objął go za szyję obu rękoma i głośno pocałował.

— Ot, tego! — zawołał — całusa!... — i wybiegł z pokoju.

— Ale niech ci tam Janek pomoże! — wołał za nim Dembowski.

Mieczek wychylił swoją figlarną twarzyczkę przez drzwi i, podnosząc palec do ust, poważnym głosem powiedział:

— Nie chcę, żeby mi Janek pomagał, bo pan Lucyan mówił, żebym, co tylko mogę, zawsze sam robił i nikogo o pomoc nie prosił.

— Sprytny chłopak, mosanie tego — rzekł Dem-

bowski, gdy Mieczek wybiegł z sieni, z trzaskiem zamykając drzwi za sobą.

— Żeby tak za dobrych czasów — odpowiedziała pani sędzina — tobym do niego wzięła guwernera; a teraz, to gdyby nie pan Lucyan, zmarnowało-by się dziecko.

— Jakże gospodarstwo pana idzie? — zapytał doktor, nie chcąc odpowiadać na słowa pani Grodzickiej.

— Dobrze, dobrze, mosanie tego. Urodzaj był piękny, chwała Bogu, i gorzelnia dobry wypęd daje w tym roku. Teraz młóczę, mosanie tego, na gwałt, bo pszenicę do Wilna trzeba posyłać.

— A gdzież dziedziczka Jodłowej? — spytała pani Grodzicka.

— A swoim zwyczajem w Warszawie, gdzie-by tam ona długo na wsi usiedziała. Ale dobra kobieta, mosanie tego, już ośm lat trzymam od niej w dzierżawie Jodłową i nigdy, mosanie tego, na główkę szpilki przykrości mi nie zrobiła. A pan czy znasz moją dziedziczkę? — zapytał, zwracając się do Lucyana.

— Nie znam pani Warskiej — odpowiedział Lucyan — tylko wiele o niej słyszałem; mówią, że bardzo piękna.

— Ach, że piękna, to piękna! — zawołała pani Grodzicka. — Byłam u niej latem, jak przyjechała do Jodłowej, bo to jakoś w czasie żniwa zabrakło



nam chleba, a grosza przy duszy nie miałam. Pani Dembowska poradziła mi, żebym się udała do dziedziczki Jodłowej. Z początku przykro mi to było; myślę sobie: ona wielka pani, a ja, choć kiedyś miałam jeszcze piękniejszy pałac, niż dom w Jodłowej, i taką samą karetę i kamerdynera, ale teraz biedna jestem; może mnie z impozycją przyjmie! Ale gdzie tam, taka grzeczna! Jadła śniadanie, jak przyszłam, i zaraz mnie prosiła do stołu; pytała się o dzieci, rozmawiała długo, potem dała dwadzieścia pięć rubli. A ja nie mogłam napatrzeć się na nią, taka piękna, a żywa jak skra, a biała... już to co prawda, kiedyś ja piękniejszą pleć miałam, ale za to nie miałam nigdy takich oczu. Moje były melancholiczne, a jój to błyszczące. A jak to jój na imię, panie Dembowski.

— Klotylda, mosanie tego, Klotylda Warska. Ojciec jój, to at, hulaka był, nic szczególnego; ale matka — anioł dobroci. Tylko że wcześniej odumarała biedaczkę. Nieboszczyk Warski jeszcze oddał mi w dzierżawę Jodłową, a potem pani Klotylda jak owdowiała, to znów kontrakt ze mną zrobiła na dwanaście lat. Siedm tysięcy rubli płacę rocznie, ale niema czego narzekać, źle nie wychodzę.

— Czy pani Warska często bywa w Jodłowej? — spytał Lucyan.

— Jak owdowiała, mosanie tego, to coś lat z pięć nie była zupełnie, tylko posyłałem jój pieniądze to do Paryża, to do Włoch, to do Warszawy. Potem



przyjechała na dwa miesiące i znowu rok nie była; aż przeszłego lata zabawiła z pięć tygodni i pojechała do Warszawy. W Kwietniu, mosanie tego, ma znowu przyjechać; pisała, że może na długo.

— Czemu téż to ona zamąż nie idzie? — zagadnęła pani Grodzicka. — Taka piękna i bogata, a już lat siedm podobno, jak owdowiała.

— A siedm, mosanie tego, i z górą. Pani Klotylda ma teraz już dwadzieścia kilka lat. Mówią ludzie, at, jak zwyczajnie ludzie, różnie mówią, że trochę..., jak to powiedzieć..., ot, że tam na swoim wielkim świecie trochę bałamutka; to może dlatego jeszcze sobie dozgonnego towarzysza nie wybrała.

— Ej, alboż to ludziom warto wierzyć? — odparła pani sędzina. — Już to, jak tylko kobieta piękna, a ludzie za nią patrzą, to zaraz i bałamutka. Rychtyk tak samo było i ze mną; dla tego że miałam twarz nieszpętną, wszyscy krzyczeli na mnie: bałamutka, bałamutka! i choć, co prawda, niejednen za mną głowę tracił, to przecież nie moja w tém była wina.

— Ale że téż to, mosanie tego, pan, panie Lucyane, nie znasz pani Klotyldy. A piękna z was była-by para, mosanie tego, ha, ha, ha!

— Dziękuję panu za komplement — odparł Lucyan.

— A jużci sam musisz wiedzieć, mosanie tego, że

jesteś chłopiec, jak malowanie, a mądry, jak cała synagoga, a dobry choć do rany przyłóż. Ej, muszę ja ciebie, panie Lucyanie, poznać z panią Klotyldą; niech-no tylko, mosanie tego, przyjedzie.

— A jak się mają córeczki pana? — spytała pani Grodzicka dzierżawcę Jodłowej.

Gdy pan Dembowski opowiadał Grodzickiej o swoich córkach, Lucyan wszedł do pokoiku, gdzie leżała chora dziewczynka i siadł przy jej łóżku.

— Czy Walerka ma dla mnie choć trochę przyjaźni? — zapytał, biorąc rękę dziecka.

— Jabym dla pana Lucyana wszystko na świecie zrobiła. Pan taki dobry dla mnie, dla mamy, dla Mieczka — odpowiedziała Walerka, patrząc na doktora swemi dużemi, błękitnymi oczyma.

— To proszę mi szczerze powiedzieć — mówił znów Lucyan — czy mama potrzebuje teraz pieniędzy?

Dziecko namyślało się przez chwilę.

— Nie wiem dobrze — odpowiedziała w końcu — ale pewnie potrzebuje, bo wczoraj, jak posyłała po lekarstwo, które mi pan zapisał, to mówiła Mieczkowi, ażeby prosił aptekarza o kredyt, a już herbaty mama cały tydzień nie pije. Ale dla czego pan się pyta?

— Tak, mam powód; dziękuję ci, Walerciu.

Wstał i podszedł do okna, przy którym stał stoliczek. Na stoliczku były flaszeczki z lekarstwami

i między niemi leżała książka do nabożeństwa. Lucyan, odwrócony od chorój, niby patrząc przez okno wyjął asygnatę z pugilaresu i włożył ją w „Złoty Ołtarzyk”, poczem odwrócił się szybko, pochwycił kotka, biegającego po izdebce, i oddał go Walerce, mówiąc:

— Niechże Burek bawi Walerkę, a ja tu jutro znowu przyjdę.

W kilka chwil potem Lucyan zdejmował z niecek swoje futro i, włożywszy je, wychodził z domu pani Grodzickiej, a na drodze do Jodłowej turkotał wózek pana Dembowskiego, który, siedząc na worku od kartofli, wołał na Janka:

— Kasztankę zacinaj, bo leniwa bestya! gnia-dosza, mosanie tego, wstrzymuj, bo za gorący!...

A pani Grodzicka, cerując grubą bieliznę przy łóżku Walerki, rozmyślała nad swoją zgasłą wielkością i ani się spodziewała, że, gdy przy wieczornych modlitwach otworzy swój „Złoty Ołtarzyk”, znajdzie w nim zacną ręką położony pieniądz, za który kupi lekarstwo dla chorój córki i buciki dla Mieczka.

Młody doktor, wyszedłszy od pani Grodzickiej, zaszedł jeszcze do dwóch czy trzech domów, zatrzymywany był na ulicy przez dwóch czy trzech żydów, którzy, kłaniając się „wielmożnemu panu doktoru”, prosili go o radę, nietylko w fizycznych dolegliwościach swoich, ale i w finansowych spekulacjach. Raz także stanął na jego widok dworski jakiś, jadący parokonnym wózkiem, chłopak, i powiedział mu, że pan

jego prosi wielmożnego doktora, iżby jutro rano przyjechał, bo febra nie ustępuje.

Zmierzch krótkiego zimowego dnia zaczął już zapadać, gdy przeszedł plac, minął kościółek i znalazł się przed niewielkim, ale białym i stojącym na czyściutkiem podwórku, domem. Dach domu tego, nowy, słomiany, lśnił żółtawo z po-za lekkięj warstwy gdzie-niegdzie leżącego na nim śniegu. Kilka okien, mających każde po cztery spore i czyste szyby, patrzyło na podwórko, na którym gęsto sterczały skielety odartych z liści różanych i bzowych krzewów; mały ganeczek z dwoma słupami i ławeczkami otoczony był drewnianą, zielono malowaną kratą, po której latem pięły się snać powoje. Naokoło podwórka biegło ogrodzenie z niskich, gładko ciosanych sztachet, otwierających się niewielką furtką na dość szeroką przestrzeń, za którą żółciało znowu ogrodzenie kościółka i, między grupą bezlistnych drzew, strzelała wieżyczka dzwonnicy. Z drugiejj strony domu był ogródek niewielki bez drzew, kwiatami snać i warzywem zasiewany zwykle, a za nim jeszcze oko biedz mogło po szerokich, za miasteczkiem leżących polach, i zatrzymywało się na wązkim pasie lasu, który w owej okolicy zaokrągla każdy widnokrąg. Ciska wokoło domku tego była zupełna, gwar miasteczka tam nie dochodził, i tylko niekiedy przyływały z kościółka przeciągłe odgłosy pieśni nieszpornych, lub jęczące akordy organów wiejskich, skrzypiących

wprawdzie i fałszywych, ale których dźwięk, oczyszczony przestrzenią, płynął ku cichemu domkowi, poważny, modlitewny.

Kiedy Lucyan Dolewski stanął w bramie podwórka, zmrok i milczenie otaczało domek, powietrze było ciche, ciepłe; blado-błękitne obłoki szarzały gdzieś niedługo małemi chmurami, z pod których zaczynały już wypływać gwiazdy. Wrzask i gwar miasteczka pozostały za nim i umilkły.

Młody człowiek znalazł się sam na sam z sobą i z pięknym, cichym wieczorem. Stanął w furcie, ale nie przestąpił jej progu; patrzył na dom i na kościół zamyślony. Po chwili z dzwonnicy kościoła, cichy ale czysty głos dzwonu, przypominający wiernym wieczorne pozdrowienie anielskie, zabrzmiał nad szczytami drzew i rozległ się w powietrzu. Głos ten był starym znajomym Lucyana; słuchał on go wtedy jeszcze, gdy mu matka drobne dłonie do pacierza składała, i wtedy, gdy, ze szkolnych nauk co rok wracając do N., wrzał dziecięcą swawolą, lub młodzieńczą, nie znającą jeszcze ciemnych stron życia, wyobraźnią. Słuchał go też co wieczór i co rano, od czasu, gdy stale zamieszkał w miasteczku, to jest od lat trzech. A gdy w życiu człowieka dźwięk jaki powtarza się tak co chwila we wszystkich epokach istnienia, wywołuje on tłumy wspomnień i myśli, Słusznie napisał Chateaubriand: „Ktoregoż człowieka serce nie zadrży na odgłos dzwonów rodzinnego

miejsca, tych dzwonów, które rozlegały się radośnie nad kolebką jego, ogłaszając świętą radość jego ojca, boleść i niewysłowioną rozkosz jego matki? W zadumie, w jaką pograża człowieka odgłos rodzinnych dzwonów, wszystkie pojęcia się wiążą: wiara, ojczyzna, kolebka i mogiła."

To téż i do wrażliwej duszy młodego doktora odgłos rodzinnych dzwonów wiele mówić musiał, bo twarz jego straciła wyraz surowego zamyslenia, jaki miała przed chwilą, i stała się łagodną tą męzką słodyczą, która, z po-za hartu i surowej myśli, błyska na świadectwo istnienia tego niespożytego tła człowieczej istoty — miłości. Z tym wyrazem na twarzy, Lucyan szybko przeszedł podwórko i otworzył drzwi domu. W sieni, do której wszedł, oprócz drzwi na podwórze, były jeszcze dwa wyjścia; jedno na lewo prowadziło snać do paradnych pokojów, drugie na prawo do gospodarskich. Za ledwie Lucyan przestąpił próg sieni, gdy, z za wpół otwartych drzwi na prawo, ozwał się głos kobiety:

— Marysiu, Marysiu! a przedź-że nieś kawę! Czego tam siedzisz tak długo?

— Śmietanka skipiała, proszę pani — odpowiedział z dalszego pokoju piskliwy głos Marysi.

— Ach, Boże wszechmogący! — zawołał znowu głos pierwszy — co téż za niezdara z ciebie! nigdy niczego nie dopilnujesz, jak trzeba. I gdzieżeś to lała, żeś nie mogła śmietanki dopilnować?

— Tylko, proszę pani, pobiegłam do Janklowej po bułki — zawsze z oddali dochodził podniesiony głos Marysi.

— Oj, biegasz ty, jak zółw rychtyk — zabrzmiał znizony już głos gderający.

W czasie téj rozmowy Lucyan, zdjawszy futro, wszedł do pokoju na lewo. Pokój ten był niewielki, o dwóch oknach, zdobnych w białe firanki z gładkiego muślinu i w kilka doniczek z koleczastym kaktusem i wonném geranium. Na biało tynkowanych ścianach, w żółtych drewnianych ramach, wisiało kilka miernych litografii, przedstawiających Napoleona pierwszego, jakieś nadmorskie miasto i wydobycie Mojżesza z wody. Naprzeciw drzwi stała starożytnych kształtów, szeroka i długa kanapa, o wysokich z żółtego drzewa poręczach, przed nią, białą siatkową serwetą nakryty, duży czworograniasty stół, a nad nią wisiało spore lustro, oprawne w złożone niegdyś, dziś zczerniałe ramy. Ścianę przeciwległą oknom zajmował prawie całkowicie ogromny piec z zielonych kafli, zostawiając tylko miejsce na wązkie drzwi, do innego pokoju prowadzące, i na wiszący za niemi wielki zegar, z ciężkimi miedzianymi wagami, z bukietem malowanych róż nad cyferblatem i z głosem kukłki, oznajmującym każdą godzinę. Między oknami na stoliku stał pod szklanym pękatym kloszem bukiet kwiatów, robionych z różowej i zielonej włóczki; kilka żółtych wyplatanych krzeseł i wążka a dłu-



ga szafka z czarnego drzewa w kącie, dopełniały umeblowania pokoju, z którego wiało technienie starych zwyczajów, mierności i zacieśnionego parafialnego smaku.

Do pokoju tego, zaraz za Lucyanem, weszła niemłoda kobieta, małego wzrostu, szczupła, w czarnej wełnianej sukni i białym czystym czepku, nie pokrywającym zupełnie mocno posrebrzonych włosów. Twarz miała żółtą i pomarszczoną, usta blade i nieco surowe, ale duże, błękitne i bardzo łagodne oczy.

Lucyan wziął jęj rękę i poniósł ją do ust.

— Dobry wieczór ci, moja matko — rzekł.

— Dobry wieczór, moje dziecko — odpowiedziała pani Dołewska, całując syna w czoło. — Takem się w tęg chwili zagniewała na Marysię, że nie uwierzysz. Wyobraź sobie, ta nieznośna dziewczyna...

— Moja matko droga — przerwał łagodnie Lucyan, trzymając jęj rękę w obu dłoniach — czy warto, abyś się tak gniewała i martwiła o drobiazgi?...

— Ależ, mój Lucysiu — żywo przerwała pani Dołewska — jakże się nie mam gniewać? Poleciała gdzieś nic dobrego, śmietanka wykipiała i teraz ty nie będziesz miał kawy.

— Mateczko — odpowiedział Lucyan — dziękuję, że się tak o mnie troszczysz, ale proszę, nie martw

się z powodu mojej kawy i każ mi tylko przyrządzić herbatę; mnie to wszystko jedno.

— Ale gdzież tam, wszystko jedno; alboż ja nie wiem, że kawa posilniejsza, a tyś się napracował dzisiaj, mój ty biedaku drogi! Marysiu, Marysiu! — wołała przeze drzwi — nastawiaj samowar! A gdzież to moje klucze? — mówiła dalej, szukając ich w kieszeniach swojej sukni. — Lucysiu, poszukaj mi, moje dziecko, kluczy.

— Są tu, moja matko — rzekł Lucyan, podając staruszce pęk kluczy, które leżały na oknie przy doniczce z kaktusem.

W tej chwili we drzwiach pokoju ozwał się głos kobiety:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen! — odpowiedziała pani Dolewska.

— Pokój temu domowi!

— I temu, kto to mówi!

Z temi pobożnemi pozdrowieniami, weszła do pokoju kobieta w czarnym atłasowym kapturze, w futrze z wielkim lisim kołnierzem i z dwoma podługowatemi, pełnemi książek, workami.

— No, zapomniałaś już o mnie, moja pani Owsička — rzekła, witając ją, matka Lucyana — zdejmże futro i kaptur, napijesz się z nami herbaty.

— Dziękuję, pani Józefowo, dziękuję, pewnie, że się napiję, nie można odmawiać darów Bożych. Panu

Lucyanowi moje uszanowanie! Ciemno w pokoju, to i nie zobaczyłam pana staremi oczyma, panie mój kochany!

— Dobry wieczór pani — odrzekł Lucyan, z grzecznością pomagając pani Owsickiej w zdejmowaniu futra i kaptura.

— Pewno z kościoła pani idziesz? — spytała pani Dolewska, patrząc na worki z książkami do nabożeństwa.

— A z kąd-że miała-bym iść, jeśli nie z domu Bożego? Toć byłam na nieszpórach, które ksiądz Stanisław tak pięknie odprawił, aż dusza się rozradowała. A czemu to pani Józefowa na nieszpórach nie była?

— Alboż ja mogę gdzie odejść, mając taką służbę? Z takimi sługami to istne skaranie Boże. Mój Lucyś dziś kawy nie ma przez tego nicponia, Marysię.

— Wiem ja o tém, wiem! Wszystkie one takie hultajki — kiwając głową i siadając na kanapie, mówiła pani Owsicka.

— Ot i teraz — rzekła żywo pani Dolewska, brząkając kluczami — świecy nie niesie! A to skaranie Boże z tą dziewczyną.

Zaledwie to powiedziała, w sieni błysnęło światło i do pokoju weszła wysoka i barczysta dziewczyna, w płóciennj spódnicy, z dużą chustą na krzyż przewiazaną na grubj koszuli, z bosemi nogami i fartuchem, niosąc świecę w wysokim lichtarzu. Skoro

ją postawiła, pani Owsicka odezwała się, kiwając głową:

— Ej zbytki, pani Józefowo, zbytki! toż, jak widzę, codzień stearynowe świece palicie.

— At, moja pani Owsicka; Lucyś chce tego, to niech już sobie tak i będzie.

— Aj, panie Lucyanie, panie Lucyanie, na co te zbytki? — prawiała pani Anna. — Dobrze mój nieboszczyk mąż mówił, świeć Panie na jego duszą...

Nie dokończyła pani Owsicka wspomnień o nieboszczyku mężu, bo we drzwiach ozwał się znowu głos:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen — chórem odpowiedziały dwie kobiety.

I do pokoju weszła znowu postać niewieścia, ale całkiem już różna od okazałej pani Owsickiej, która mieszkańcom N. imponowała swoją tuszą i swoim lissim kołnierzem.

Wchodząca tą razą kobiecina była niska i chuda, w czarnej, wąskiej sukni i watowanej salopie, z włóczkową chustką niepewnego koloru na głowie. Z pod owej chustki ukazywała się marszczona szlarka białego czepka, otaczająca okrągłą, żółtą twarzą z małemi oczkami i wąskimi usty.

— Jak się ma panna Zuzanna? — rzekła pani Dolewska.

— Jak się ma nasza Szeherezada? — jak mówi

ksiądz Stanisław — przemówiła z uśmiechem pani Owsicka.

— Moje uszanowanie pani aptekarzowej dobrodziejce! moje uszanowanie pani komisarzowej! do nóżek upadam panu konsyliarzowi! — mówiła panna Zuzanna, dygając i zdejmując swoją watowaną salopę.

— Chodź-że, chodź, panno Zuzanno, siadaj tu z nami, będziemy zaraz pili herbatę—zapraszała pani Dolewska.

— Dziękuję za łaskawe względy pani aptekarzowej, niech Bóg wszechmogący wynagrodzi, bardzo jestem wdzięczna — odpowiedziała nowoprzybyła, składając ręce na piersi i w dygach podchodząc do stołu.

— Lucysiu! pójdź tu, moje dziecko, i usiądź przy mnie — ozwała się pani Dolewska do syna, który stał zamyślony przy oknie i, jakby obcy temu, co się koło niego działo i mówiło, machinalnie obrywał listki geranium.—Biedny mój Lucyś jakoś nie swój dzisiaj. Czyś ty nie chory, broń Boże, dziecko ty moje?

I mówiąc to, przesuwiała rękę po gęstych, czarnych włosach Lucyana.

— O nie, moja matko — odrzekł Lucyana — zdrów jestem zupełnie.

— Ale gdzie tam, pani aptekarzowo dobrodziejko, ozwała się panna Zuzanna — pan konsyliarz dobrodziej nie może być chory; śnił mi się dziś tak

pięknie, a jak ja co wyśnię, to już tak i będzie, jak amen w pacierzu.

— A jakże mój Lucyś śnił się pannie Zuzannie?— spytała matka.

Panna Zuzanna westchnęła, złożywszy znowu ręce, wzniosła oczy w górę i mówiła:

— Och, pani aptekarzowc dobrodziejko, śnił mi się taki cudny ogród, taki cudny, niby to raj niebieski; a w tym ogrodzie był wielki pałac biały, niby to śnieg, a szyby, to jakby brylanty błyszcząły, i niby to pan konsyliarz dobrodzięj chodził po tym ogrodzie z jakąś taką śliczną panią, że oczy było mrużyć, patrząc na jęj oblicze; i tak szli sobie, wzięwszy się pod rączki i patrząc na siebie, jak dwa aniołki. A ja niby to byłam ptaszką i siedziałam na najwyższém drzewie z całego ogrodu i myślałam sobie: ot, żeby pani aptekarzowa widziała swego jedynaka w takich zbytkach i z taką piękną panią, toby się ucieszyła, że Pan Bóg najwyższy dał jęj wychować takiego syna, jak pan konsyliarz dobrodzięj. I tak niby to ja patrzę i myślę, aż tu, Chryste Panie! jak wyskoczy z za drzewa poczwara jakaś straszliwa, jak rzuci się na pana konsyliarza i na tę piękną panią, aż we mnie dech zamarł. I myślę sobie: święty Antoni Padewski i Najświętsza Panno Ostrobramska, ratujcie tych dwóch aniołków! Aż niby to ja patrzę, a pan konsyliarz jak porwie poczwarę jedną ręką za głowę, drugą za nogi, tak i rozdarł na dwie połowy, aż ja,

niby z wielkiego uradowania, krzyknęłam i obudziłam się. Ale chwala Bogu, że pan konsyliarz poczwara-  
rę rozdarł. Patrzyłam w senniku, to tam tak stoi:  
kto poczwaraę we śnie rozedrze, tego żadne zło nie  
spotka; a że pan konsyliarz ją rozdarł, to znaczy,  
że tak każde nieszczęście rozedrze. Przecież tak  
i w modlitwie stoi:

Na lwa srogię bez obrazę wsiedzisz  
I na ogromnym smoku jeździć będziesz.

— Dobrze, dobrze, Szeherezado — zabrzmiał  
we drzwiach głos mężki. — Uważam, Lucyanie, że  
jesteś w snach panny Zuzanny Samsonem, lwa roz-  
dzierającym.

Na głos ten trzy kobiety śpiesznie powstały, a Lu-  
cyan z wyciągniętą dłonią postąpił ku drzwiom.

Z cieniu, na słabo oświetlony środek pokoju, wy-  
szedł mężczyzna, ubrany w długi, czarny surdut, z fu-  
trzanym kołnierzem. Nie był on bardzo wysoki, ale  
w postawie miał pewną godność i powagę, które go  
wyższym, niż był, okazywały. Twarz jego była ścia-  
gła, blada, o dużych, wydatnych rysach; na szero-  
kiem czole rysowały się liczne zmarszczki, oczy duże,  
szaro-błękitne, podkrążone, miały wyraz cichego cier-  
pienia, słodczy i miłości. Usta jego były blade,  
włosy jasne, silnie siwiejące, w całej osobie wyraz do-  
broci, myśli i siły moralnej.



Pani Dolewska z uszanowaniem pocałowała przybyłego w ramię, mówiąc:

— Ksiądz proboszcz w naszej chatce, więc i błogosławieństwo Bożkie tu z nim wstępuje.

Lucyan w obu dłoniach ścisnął rękę księdza, witając go uprzejmymi słowami; ale panna Zuzanna przemocą odebrała tę rękę i ustami zawiesiła się na niej. Pani Owsicka pochwyciła drugą rękę księdza i podobnie składała na niej głośne całusy.

— Dobry wieczór, dobry wieczór — mówił ksiądz, uśmiechając się i usiłując wydobyć rękę z uścisków pobożnych niewiast. Ale nie było to rzeczą łatwą.

— Ojczy Stanisławie! proboszczuniu! święty, kochany ojczulku! — szeptały one i całowały w najlepsze.

I Bóg sam wie tylko, jak długo trwała-by ta scena, wśród której Lucyan patrzył na proboszcza, jak na rozkrzyżowanego męczennika, gdyby nie tryumfalny wjazd Marysi z samowarem, wjazd na ogromnym kocie, który we drzwiach samych wymknął się z piskiem i burczeniem z pomiędzy bosych nóg dziewczyny.

— Psik Burczyk! — wołała pani Dolewska, starając się wypędzić kota. — Pociąg go tu wpuściła, Marysiu? A mówiłam ci już sto razy, żebyś kota nie wpuszczala! psik Burczyk!

Ale z Burczykiem niełatwa była sprawa, wiedział on bowiem z wielokrotnego doświadczenia, co zna-

czy wniesienie samowara do pokoju, wiedział, że z nim przybędą bułki i śmietanka, z których mu zawsze, po długim gderaniu i wypędzaniu, dostawała się jakaś cząstka. Nastąpiło więc w pokoju ogólne zamieszanie. Marysia, postawiwszy samowar na stole, wspólnie z panią Dolewską wypędzała Burczyka; pstrokaty kot przebiegał z pod kanapy pod krzesło, z pod krzesła pod stół, unikając wedle możności zbliżenia się ku drzwiom od sieni; samowar na stole piszczał i szumiał, a pani Owsicka i panna Zuzanna ze zdwojonym zapałem całowały ręce księdza proboszcza. W końcu jednak te wszystkie komplikacje tém się skończyły, że Burczyk został w pokoju i tryumfująco usiadł na oknie. Marysia nakryła stół przed kanapą, ponsową, w wielkie czarne kwiaty, serwetą, postawiła na nim samowar, imbryk z białego fajansu, zdobny w girlandę róż, tacę ze szklankami, nalewkę ze śmietanką i talerz z bułkami; panna Zuzanna i pani Owsicka, na widok tych przygotowań, uwolniły z uścisków ręce księdza proboszcza, i całe towarzystwo zasiadło wkoło szumiącego samowara. Pani Dolewska otworzyła wtedy czarną szafkę, stojącą w rogu pokoju, wyjęła z niej herbatnicę ze szkła zielonego i cukiernicę ze szkła białego i rozpoczęła nalewanie herbaty.

— Przerwałem pannie Zuzannie — z uśmiechem ozwał się proboszcz — opowiadanie jakiejś nowej historyi.

— Panna Zuzanna opowiadała nam swój sen o Lucysiu — rzekła pani Dolewska, podając proboszczowi szklanę z herbatą.

— A słyszałem, że uczyniła go Samsonem, Iwa rozdzierającym. No, panie Lucyanie, strzeż się teraz zdradzieckiej Dalili.

— Sądzę, księżę Stanisławie — odpowiedział doktor — że w N. i z latarnią Dyogenesa Dalili-bym nie znalazł.

I, usiadłszy obok księdza, zaczął z nim rozmawiać o bieżących sprawach miasteczka.

Trzy kobiety, nie chcąc przeszkadzać rozmowie dwóch ludzi, których uważały za nieskończenie wyższe od siebie istoty, zbliżyły się do siebie i, pijąc herbatę, rozmawiały półgłosem.

— A już to nie darmo nieboszczyk mój mąż, święć Panie nad jego duszą, mówił — ozwała się, dolewając śmietanki do herbaty, pani Owsicka — że z pana Lucyana będzie człowiek całą gębą. Bywało, dzieciak taki, że patrzeć nie było na co, a już gadał mądrze, jak stary. To mój nieboszczyk, bywało, mówi: Ej, panie mój kochany, zuch będzie z tego chłopca, i do tańca i do różańca; bo to żwawy, jak skra, a mądry, jak Salomon. Czemu też to pani Józefowa nie żeni swego jedynaka?

— A z kimże on ma się żenić tutaj? — odrzekła, wzruszając ramionami, matka Lucyana — czy nie z panną Dembowską którą, albo z panną Jęczmionkowską?

— A już to prawda, gdzie im tam do Lucysia! One to, at sobie, pocziwe dziewczęta i nic więcéj, a jemu to mądréj żony trzeba, bo dobrze mówił mój nieboszczyk mąż, świeć Panie nad jego duszą, że mądry z głupim to, panie mój kochany, taka para, jak woda z ogniem; jedno będzie szumiéc, a drugie pischéc, aż i ogień zgaśnie, i woda wyschnie. A u nas niéma takiéj, jakiéj panu Lucyanowi trzeba.

— A jużci niéma takiéj — odrzekła pani Dolewska, i oko matki z dumą spoczęło na głowie jedynaka. — Ot, moja pani Owsicka, mówiła daléj — pracowałam, pracowałam całe życie, ale Pan Bóg dał mi doczekać tego, że syna wykierowałam na człowieka. Żeby mój nieboszczyk Józef widział jego teraz, toby-to był szczęśliwy! Ale jemu Pan Bóg nie dał doczekać téj pociechy.

I spojrzenie bladych oczu kobiety pobiegło w przestrzeń, jakby przebić chciało ściany domu i ujrzeć śród cieniów nocy grób człowieka, który dał jéj całe szczęście, jakiego doznała w młodości, a umierając, na łzy i pociechy, na troski, dumę i nadzieję, zostawił jéj syna.

— Tak, tak, pocziwe dziecko — ciągnęła daléj pani Dolewska, sprowadzając znowu spojrzenie na piękną głowę jedynaka; — alboż ja nie wiem tego, że on dla mnie zakopał się tutaj, bo nie chce mnie staréj porzucać, albo wlec gdzie w świat z sobą? Ot gdzieindziéj byłby pewno bogatszy i szczęśliwszy, lu-

dzie-by się poznali na nim i żonę-by pewno znalazł sobie po sercu. Ale już ja stara i Pan Bóg mię może prędko do swojej chwały zabierze, a wtedy i memu Lucyanowi droga się otworzy; tymczasem jest mi pociechą na starość, i jaką jeszcze pociechą!

I w pracy zgrubiałą ręką otarła oczy, bo w bladych jej źrenicach zaświeciły łzy.

Dwie słuchające kobiety wzdychały i kiwały głowami, łykając ze smakiem herbatę.

— Doskonała herbata u pani aptekarzowej dobrodziejki — ozwała się po chwili panna Zuzanna. — Jak człowiek zziębnie, modląc się długo w domu Bożym, to taki napój na zdrowie służy.

— A czy nie masz teraz u siebie herbaty, panno Zuzanno? — spytała pani Dolewska.

— A gdzieby tam u mnie była — smutnie odpowiedziała, źle stojąca w finansach, Szeherezada.

Pani Dolewska nie odpowiedziała, ale, przeszedłszy pokój, wyjęła z szuflady szafki starą jakąś gazetę i po chwili część herbaty, znajdującą się w zielonej herbatnicy, została w nią zawinięta i zniknęła w kieszeni czarnej sukni panny Zuzanny.

— Bóg zapłać pani aptekarzowej dobrodziejce — rzekła z wdzięcznością Szeherezada — otóż to, jaka matka, taki syn, jaki syn, taka matka.

— To wszystko jego praca, moja panno Zuzanno — odpowiedziała pani Dolewska. — Od tego czasu, jak on tu przyjechał, niczego mi nie braknie, wszyst-

kiego jest dostatek, i poczciwe dziecko pozwala mi robić, co mi się podoba. A czemuż nie mam podzielić się z dobrymi ludźmi, kiedy Bóg tak każe i Lucyś chce tego. Przecież beczkę soli zjadłyśmy z sobą, przez kopę lat się znamy.

— Oj kopę lat, kopę lat, pani aptekarzowo dobrodziejko! Dawniej lepsze czasy były.

— Dla mnie teraz najlepsze czasy, kiedy mój Lucyś wyszedł na człowieka i ciągle jest ze mną.

I długo jeszcze w podobny sposób trzy kobiety mówiły do siebie półgłosem, a cała rozmowa ich, jak ziemia około swęj osi, obracała się około myśli o młodym człowieku, który siedział naprzeciw nich, z czołem na dłoni wspartém. Imię jego nieustannie wracało na ich usta, bo jednej z nich był synem jedynym, a dwie inne kochały go, jak dziecię, obok nich na człowieka wzrosłe, czciły jak wyższą, doskonalszą istotę.

Zakukał donośnie wielki zegar na ścianie. Pani Owsicka podniosła do góry wskazujący palec prawej ręki i zaczęła liczyć: raz, dwa, trzy i t. d. Po dziesiątém uderzeniu umilkł głos i zarazem palec pani Owsickiej dobitnie uderzył w stół, a z ust jej, równie dobitnie powiedziany, wypadł wyraz:

— Dziesięć!

— Najświętsza Panno Ostrobramska! — zawołała, zrywając się z siedzenia, panna Zuzanna — a toż się zagadałam! Dziesiąta godzina! Moje uszanowanie

pani aptekarzowej dobrodziejce — mówiła, dygając — dziękuję za herbatę i łaskawe względy; pora już do domu, wielka pora.

— A że pora, to pora — potwierdziła, wstając, pani Owsicka. — Adiu, moja pani Józefowo, a zajrzyj téż pani kiedy do mnie. To niedaleki świat, przez ulicę.

Mężczyźni przestali rozmawiać i patrzyli na żegnające się kobiety.

— Dobranoc, ojcze Stanisławie, dobranoc proboszczuniu! — pobożnie szepnęły dwie odchodzące, i znowu dłonie księdza znalazły się w ich gorliwych uściskach.

— Moje uszanowanie, panu konsyliarzowi dobrodziejowi — dygając przed Lucyanem, rzekła panna Zuzanna.

— Żegnam pana Lucyana — zawtórowała pani Owsicka. — A czy nie pisał do pana pański kolega, pan Karłowski?

— Nie pani — odpowiedział Lucyan — nie mamy zwyczaju pisywania do siebie.

— A grzeczny, bardzo grzeczny z niego kawaler, panie mój łaskawy; zaraz znać, że z Warszawy — mówiła pani Anna, a po chwili pani Dolewska wyprowadziła swoich gości do sieni.

Skrzypnęły drzwi od podwórza, ozwały się jeszcze kilkakrotne „dobranoc” i wkrótce kołnierz lisi pani Owsickiej sunął wspaniale około kościelnego ogrodze-



nia, a przy nim dreptała po błocie panna Zuzanna, półgłosem opowiadając pani Owsickiej, że jako żywo widziała nie dawniej, jak wczorajszej nocy anioła Gabryela, stojącego w powietrzu nad samym domem księdza Stanisława.

Tymczasem pani Dolewska wołała w sieni:

— Marysiu! zabieraj samowar! — ale widząc, że głos jej jest wołaniem na puszczy, sama weszła do pokoju na prawo.

Pokój ten był dość duży, czysto wybielony, miał dwa okna, ozdobione firankami i wazonikami z mirtem; w jednym z nich, niedawno snąc zasadzona i przykryta szklanką, rosła gałązka rozmarynu. Przy ścianie naprzeciw drzwi, zasłane kołdrą włóczkową w wypłowiałe pasy, stało łóżko z wysokim stosem białych poduszek, a obok łóżka stoliczek z wielkim czarnym krucyfiksem, nad którym, w ramach oklejonych złocym papierem, wisiał wizerunek Matki Bożkiej Ostrobramskiej. Dalej wkoło ścian stały komódki, szafeczki, szafy, skromne stołki i drewniane, ponsowo malowane ławeczki; na ścianie, w jednym kącie, wisiało dużo szarych uprzedzionych motków, w drugim pęk święconej, kolorowemi wstążkami upstrzonej wierzby. Między oknami na komodzie, w czarnych ramach, oparty był dość duży, bardzo źle malowany obraz zdjęcia z krzyża Chrystusa i leżała czarno oprawna księga Nowego Testamentu. Piec był ogromny, z zielonych kafli, z szerokim przypieckiem, a przed

przypiekiem stał stolik z niemalowanego drzewa i paliła się na nim łożowa świeca, zaciemniona nieobciętym knotem. Na przypiecku siedziała Marysia, z pończochą naciągniętą do cerowania na rękę i ze sterczącą w niej ostrą igłą. Rozczochrane włosy dziewczyny, rysowały za nią na piecu dziwaczne rogi i różki, głowa jój co chwila opadała na dłoń, ociągniętą pończochą, a zakłuta igłą, podnosiła się, uderzała o piec i znowu opadała.

— A co — wchodząc, rzekła do siebie pani Dolewska. — Jakbym zgadła, już śpi hultajka, jak zabita. Marysiu! Marysiu!

I podchodząc, dotknęła ramienia służącój. Głowa dziewczyny podskoczyła, aby z całą mocą uderzyć o piec, poczem nastąpił balans na lewo i prawo, narreszcie z trudnością odzyskana równowaga głowy, szerokie otworzenie oczu i zerwanie się na równe nogi.

— Idź śpiochu, zabieraj samowar — rzekła pani Dolewska, szczypcami zdjętymi z wążkiój, zielonój tacki objaśniając świecę.

Dziewczyna, sapiąc i ciężko stąpając bosemi nogami, poczęła się krzątać około herbacianych przyborów, a pani Dolewska weszła do bawialnego pokoju.

— Późno już jest, moja droga matko — rzekł Lucyan, zbliżając się do niój i biorąc jój rękę — czas, abyś poszła na spoczynek. Tyle się zawsze przez dzień cały natrudzisz!

— A ksiądz proboszcz, czy już nas opuszcza?

— Nie — odrzekł ksiądz — my z Lucyanem pogwarymy jeszcze trochę w jego pokoju.

— A no, to już ja pójdę sobie, dziecko moje kochane — rzekła, obejmując jedną ręką szyję pochylonego przed nią syna, a drugą przesuwając po jego czarnych włosach, któremi się snać szczególniej lubowała.

— Czy uwierzy [ksiądz proboszcz — mówiła dalej — że Lucyś, kiedy był mały, miał włosy jasne jak len, potem zaczęły robić się coraz ciemniejsze, a teraz takie czarne, jak krucze pióra.

Proboszcz stał o parę kroków i w milczeniu patrzył na grupę, złożoną z młodego człowieka o pięknej i bladej twarzy, pochylonego pod dłońią matki i ze stariej kobiety, pieszczącej się z włosami swego jedynaka.

— No, dobranoc ci, moje dziecko — rzekła wreszcie pani Dolewska, całując syna w czoło. — Bóg z tobą; dobranoc księdzu proboszczowi, dziękuję za odwiedzenie i za łaskawą przyjaźń dla mego Lucysia.

Gdy pani Dolewska wyszła do swojej sypialni, Lucyan, wzięwszy świecę, otworzył wazkie drzwiczki, znajdujące się między piecem i zegarem i uczyniwszy ręką gest, zapraszający księdza, wszedł tam za nim i zamknął drzwi za sobą.

Pokój, w którym się znaleźli, był wązki a długi, o jedném szerokiém, zasłoniętém sztorą i wychodzą-

cém na ogródek, oknie. Na oknie tém nie było już wazoników z kaktusem i geranium, ale pod niém stało pięknie rzeźbione biurko, na którém leżały rozrzucone papiery, jedna książka otwarta i wszystkie do pisania przyrządy. Przed biurkiem był wygodny, zieloną skórą obity fotel, a ziemię pokrywał niewielki, ale gustowny kobierzec. Naprzeciw drzwi, pod ścianą, stała ładna kozetka, za stoliczkiem zarzuconym dziennikami i z dwoma fotelami, a nad nią wisiała piękna kopia z obrazu Verneta, przedstawiająca noc księżycową na morskiém wybrzeżu. Ściana przeciwległa oknu, zakryta była szafą o dużych szklanych szybach, zapełnioną kilku rzędami oprawnych i nieoprawnych książek, między któremi wpadały najprzód wkoło grube tomy z łacińskimi, angielskimi i niemieckimi napisami medycznych tytułów. Parę zgrabnych, rzeźbionych, jak biurko, komód, uzupełniało umeblowanie. Pomędzy szafą z książkami i boczną ścianą, były wązkie drzwiczki, prowadzące do sypialni Lucyana. Wniesiona świeca słabo rozświetlała głąb tego pełnego smaku pokoju i blade rzucała promienie na ciemne tło obrazu Verneta.

— Jak téż ten pokój niepodobny jest do całego domu waszego! — rzekł ksiądz, siadając na fotelu przed biurkiem.

— Tak — odpowiedział Lucyana, przysuwając sobie inny fotel i siadając naprzeciw swego gościa—w in-

nych częściach tego domu, panią wyłączną jest moja matka; urządza je ona zupełnie według woli i przyzwyczajęń swoich. Zdaje mi się, że od chwili, w której po raz pierwszy ojciec mój wprowadził ją do swego domu, nic w nim nie zmieniła i zmienił-by nie chciała, a ja także nie poważyl-bym się nigdy poruszyć czegokolwiek w sanktuarium jęj pamiątek i zwyczajów. Ale, w tym pokoju rozpościeram wyłączne panowanie moje i urządziłem go według własnego upodobania. Cóż chcesz, księże Stanisławie, taka już moja natura, że muszę lubić to, co piękne i mile w oko wpada.

— Niewygodna to natura dla człowieka, mieszczącego w N. — odrzekł ksiądz. — Jak widzę, pracujesz ciągle, Lucyanie — dodał, patrząc na otwarte dzieło o fizyologii Moleschotta.

— Nie dotykaj książki tęg, księże Stanisławie — żartobliwie rzekł Lucyan — całej smoły piekielnej mało jest na jęj spalenie.

— A wiem, wiem — czytając tytuł, odpowiedział ksiądz. — Moleschott, jeden z najradykałniejszych materyalistów.

— Materyalista in extremis — dodał doktor — dowodzący, że człowiek pochodzi od kwasu węglowego, tlenu, wodoru i kilku kwasów ziemnych.

— Ha — rzekł ksiądz — różne są kierunki umysłów ludzkich; przecież, mojęm zdaniem, jeżeli człowiek pracuje ze szczerém pragnieniem dobra i praw-

dy, to jakiegokolwiek są błędy umysłu jego, znajdują one przebaczenie u Tego, który sam jeden tylko błędzić nie może.

— Zapewne; to też przebaczenie sobie wzajemne i poszanowanie opinii każdej jednostki, jest najpożądniejszym, a zarazem najtrudniejszym do osiągnięcia szczytem rozumu ludzkiego.

— Szczytem miłości, powiedz Lucyianie, miłości, tchnącej z każdego wyrazu Chrystusowej nauki, której ludzkość pochwyliła formę, a treści dotąd jeszcze w życie wprowadzić nie zdołała.

— Jeżeli, księżo Stanisławie, mówisz, że poszanowanie opinii każdej jednostki i przebaczenie jej błędów, jest szczytem miłości, ja zawsze jednak dodam, że jest ona i szczytem rozumu. Boć każdy, kto zna władzę, jaką natura wywiera na ustrój społeczeństw i przebieg dziejów ludzkości, ten wie, że człowiek, jako jednostka, nie rozwija się pojedynczo i oderwanie. Duch czasu, miejsca i okoliczności, rodzi ludzi i wielkich i miernych, i zupełnie niskich duchem. Niejeden, który w pewnych okolicznościach mógłby być mądrym i zacnym, pod naciskiem społecznym staje się złym lub ciemnym, i wzajemnie. Wola człowieka ogromną tu zapewne gra rolę i na niej polega cały postęp ludzkości. Wszakże, zważywszy wszystko, co na niego wpływa, co go pociąga, odtrąca, popycha, kępuje, szczytem rozumu jest nie rzucać potępiania na błędzących, ale samo zło tylko po-

tępiąc w zasadzie i starać się oddziaływać przeciwnemu, a oddziaływać światłem umysłowém i gorliwém szukaniem i objawianiem ludziom prawdy, bo przez światło tylko, to jest przez pojęcie i uznanie prawdy, ludzie stopniowo otrząsać się mogą ze złego, a wszelkie anatemy rzucane przeciw jednostkom, są tylko dowodem płytkiego umysłu, lub złego serca.

— W zapatrywaniu się swoim z innego, niż ja, wychodzisz punktu, Lucyanie, ale zgadzamy się na jeden rezultat, a więcej nie potrzeba, abyśmy się rozmawiali wzajemnie. Ale, a propos rezultatu, powiedz-że mi, jak idą twoje filantropijno - utylitarne plany?

— Tępo idą — odrzekł Lucyan, i twarz zachmużyła mu się trochę. — Lud ciemny jest, trudno go nakłonić do działania czegokolwiek we własnym interesie; zresztą środków materialnych mi brak i innych jeszcze rzeczy.

— Cóż? czy przynajmniejś zdołałeś ich nakłonić do zachowania najważniejszego higienicznego warunku, czystości?

— Gdzie tam! to istna praca Syzyfa. Dziś przyrzekną, jutro nie dotrzymają; przez ustępstwo, wdzięczność, lub życzliwość, raz usłuchają rady, a dziesięć razy wilcza natura do lasu ich pociągnie. Póki lud nie będzie zdolny sam jakakolwiek prawdę pojąć, dare-



mnie ją mu wmawiać; i prośby i groźby nie pomogą, te ostatnie szczególniej.

— Cóż na to poradzić? — rzekł zamysłony ksiądz Stanisław.

— Światła, światła co najwięcej trzeba — z zapalem odpowiedział Lucyan. — Nie wyobrazisz sobie, księże Stanisławie, jak mię boli nędzny stan ludności, którą otoczony jestem. Gdybym mógł, zaraz-bym zdziałał w N. ulepszenia, któreby ją materyalnie i moralnie podnieść musiały. A najprzód, pomyślał-bym o higienicznych warunkach miasteczka, bo w zdrowym tylko ciele zdrowa mieszka dusza, i w zdrowej, czystej atmosferze tylko mogą się rozwijać silni duchem ludzie. N. jest błotniste; okopał-bym je więc rowami, aby woda miała ścieki; z ulicy uczynił-bym groblą; plac-bym wybrukował; budynki gospodarskie poodsuwał-bym od mieszkań, aby podwórza były obszerniejsze i czystsze; stare, w pół rozwalone budowle zniósł-bym, a na ich miejscu założył-bym ogródki. Potém, przechodząc do strony moralnej, wypędził-bym z karczmy żyda, który chłopów rozpaja i odziera, założył-bym szkółki i t. d., i t. d. Ale, wszystko to są zamki na lodzie, niepodobne do urzeczywistnienia, dla niedających się zwyciężyć przeszkód; a tymczasem widzę, że usiłowania moje topnieją i ku niczemu nie służą. Cząstkowe dobro, jakie zdziałać mogę, nie zostawia żadnego śladu i nieraz rozpacz mię ogarnia,

gdy porównywan to, co mógłbym zrobić, z tém, co robię.

— Powinno pocieszać cię przekonanie — rzekł ksiądz Stanisław — że robisz wszystko, co możesz.

— Mnie za mało jest przekonania, że spełniam mój obowiązek. Ja kocham nad wszystko pojęcie dobra i prawdy, i pragnę działać w ich imię, a gdy mi do działania tego pola i możności braknie, duszę się jak w klatce. Ja potrzebuję żyć całą pełnią życia, do czegoś dążyć, coś kochać i w imię czegoś pracować całą siłą moją. Inaczéj niéma dla mnie zadowolenia ni spokoju.

— Rozumiem ja to, rozumiem — powoli ozwał się ksiądz Stanisław. — Miałem i ja niegdyś to samo pragnienie szerokich czynów, wielkich miłości i oto dlatego wczéśnie posiwiał mi włosy i twarz zestarzała. Alem ja znalazł pociechę i uspokojenie u stopni ołtarza, a ty, Lucyanie, szukaj ich w sile własnego ducha. Nie goń za niepodobném, bo widma na bezdroża prowadzą, hamuj swoje ognistą naturę, jak zapal szlachetnej krwi niesfornego rumaka i nie omijaj tego, co możesz uczynić, dla tego, cobyś chciał, a nie możesz.

— Pojmuję prawdę słów twoich, księżu Stanisławie, i zewnętrznie urobiłem już siebie według téj prawdy. Jakiokolwiek uczucia grają we mnie, nauczyłem się być na zewnątrz spokojnym i rozważnym w słowach i czynach. Ale, najwyższego stopnia panowa-

nia nad sobą, to jest pogody myśli, mimo wszystkiego coby ją zaćmić mogło, spokoju wobec samego siebie nawet, nie zdołałem w sobie jeszcze wyrobić. Wiem, że to koniecznie potrzebne, ale cóż chcesz, księże Stanisławie, człowiek całe życie się uczy. Otóż i ja teraz przechodzę szkołę zwyczajania swoich niecierpliwości i zawładnięcia sobą, tak wewnątrz, jak i zewnątrz.

— Gorącą masz naturę, Lucyanie, i nic dziwnego... takiś jeszcze młody! I jam taki był w młodości mojej. Przebyłem też w życiu ciężkie próby i miałem walki podobne twoim; dlatego to może zupełnie cię rozumiem. Popędy twoje, lubo szlachetne, za silne są i za ogniste. Hamować je należy, bo, gdy nie znajdują dla siebie materiału, strawić cię mogą. Namiętności ludzkie, mój Lucyanie, są pierwotnie jak rumaki czystej krwi: jeśli człowiek włada nimi i kieruje, zanieść go one mogą szybko i daleko, tam, gdzie rozsądną wolą swoją stanąć zechce; ale jeżeli puści im wodze, polecą na oślep i, w szalonym pędzie z nim razem, w przepaść runą. To też panować należy nad młodzieńczym zapałem i wyrabiać w sobie stoicyzm.

Umilkł ksiądz i Lucyan zamyślił się; po czole jego przechodziły cienie i w oczach błyskały ognie, jak zwykle, kiedy bywał wzruszony.

— Tak, tak, księże Stanisławie — rzekł po chwili milczenia — masz słuszność we wszystkiém, co mó-

wisz. To też ja rachuję na czas i własną wolę, aby zawładnąć tém, co wre we mnie. Ale, jako człowiek doświadczony i znający serca ludzkie, nie dziwisz się pewnie temu, że gdy oglądam się po ciasnym i smutnym zakresie, w jakim zamknąłem moje życie, źle mi bywa chwilami, gorzej, niż opowiedzieć mogę i chcę.

— O, wcale się temu nie dziwię, mój drogi — łagodnie odpowiedział ksiądz. — Znam ciebie: jesteś ognisty, namiętny, siły natury twojej dziewicze, bogate, dopominają się o użycie i dlatego wrzysz i targasz się wewnątrz, choć na zewnątrz jesteś spokojny. Ale ten spokój twój zewnętrzny, zwieść może tylko niedoświadczone i niebadawcze oko; ja w twojej twarzy widzę, jakby odzwierciedlenie mojej własnej przeszłości i dlatego wiem, co znaczy ta twoja wzrastająca bladłość i ten namiętny ogień, który często pali się w twoich oczach. Są to dla mnie oznaki niepodbitego jeszcze wola ducha. Otóż, z powodu właśnie tej znajomości ciebie, czuję, że mam niejako obowiązek podawania ci przyjaznych i serdecznych przestróg. Panuj nad sobą, Lucyane, panuj nad porywami swojemi, aby cię one nie zawiodły na zgubne drogi; strzeż się wulkanicznym swoim sercem pokochać jakie złe widmo, bo wtedy nie odnajdziesz samego siebie i swojej siły moralnej, i spalisz się pożarem, własną ręką roznieconym.

Lucyan w milczeniu podał rękę księdzu i, od-

garnawszy z czoła swoje piękne, czarne włosy, rzekł:

— Doprawdy, księżu Stanisławie, nie chciałem cię tak długo sobą zaprzętać; przyszło to jakoś samo z siebie, a raczj z twego zacnego serca, które się mną tak przyjaźnie zajmuje. Ale, mam cię prosić o radę jeszcze w innym względzie.

— Cóż to takiego, kochany Lucyanie? — zapytał ksiądz.

— Oto widzisz, księżu Stanisławie, od roku już uczę syna pani Grodzickiej. Zdolny i bardzo dobrych skłonności jest to chłopak; ale przy moich nawet usiłowaniach, marnie zginą jego zdolności, jeśli go do szkół nie oddamy. Matka nie może tego uczynić, ani ja także; chciałem się więc zapytać, czy między sąsiadami N. nie znasz kogo z dobrą chęcią, coby dał środki na wychowanie tego dziecka, z którego dzielny człowiek z czasem być może?

Ksiądz Stanisław zamyślił się na chwilę.

— Hm, ciężkie mi dajesz zadanie— odpowiedział — bo w całej okolicy naszej, są tylko dwa rodzaje właścicieli ziemskich: albo wielcy panowie, którzy ciągle mieszkają za granicą i w stolicy, i których nie znam, albo drobna szlachta, nie mogąca łożyć tak stosunkowo znacznych kosztów.

— To szkoda! — rzekł zmartwiony Lucyan.

— Poczekaj, poczekaj... — mówił znów, namyślając się ksiądz — mam ja wprawdzie bogatą para-

fiankę, bardzo zającą... ale... czy znasz panią Klotyldę Warszawską?

— Dziedziczkę Jodłowej? nie znam — odrzekł Lucyan.

— Jestto kobieta... kobieta... jakby to ją określić... młoda, piękna, rozpieszczona losem, jak motyl latająca po świecie, bez innego celu, jak dla dogodzenia swoim fantazyom, ale przytém dobrego serca, niezmiernie wrażliwa na biedy ludzkie i bardzo miła osoba. Trzeba-by jęj zaproponować wychowanie twego protegowanego.

— Ależ ona nie mieszka podobno w Jodłowej — zarzucił Lucyan.

— Dembowski mówił mi dziś — odparł książdz — że spodziewa się jęj przybycia w Kwietniu; a przecież chłopca i tak nie można oddać do szkół inaczej, jak po wakacyach, to jest w Sierpniu. Gdy więc dowiem się o przyjeździe pani Warszawskiej do Jodłowej, pojedę i zaproponuję jęj to, a prawie pewny jestem dobrego skutku.

Po chwili powstał książdz Stanisław i, uściskawszy rękę Lucyana, wyszedł z domu doktora. I postać jego wysoka, poważna, przesuwająca się śród mroku nocy, obok kościelnego ogrodzenia, dążąc do niedalekiej plebanii.

W oknie Lucyana długo jeszcze z za zielonej sztory błyszczało światło, ale nie zagasło ono prędko i w pokoju pani Dolewskiej.

Przed dużym czarnym krucyfixem długo w noc klęczała matka Lucyana; spracowane swoje ręce złożyła na piersi, a srebrne włosy, uwolnione od czepka, opłynęły jej szyję i skronie. Świeca, za nią stojąca, żółtawym płomykiem oświecała zamodloną postać staruszki. Milczenie było zupełne, przerywane tylko dochodzącym z drugiego pokoju chrapaniem Marysi i głębokimi westchnieniami, podnoszącymi pierś pani Dolewskiej wtedy, gdy wzywając ukrzyżowanego Boga i Maryją Ostrobramską, wymawiała w modlitwie imię jedynaka. Modliła się za syna swojego.

O modlące się matki! gdzież jesteście wtedy, gdy piersi synów waszych płoną bólami żywota, gdy w serca ich wkradają się żmije fałszu, grzechu, lub rozpaczy.

Gdzież jesteście wtedy, gdy śmierć zamyka te oczy, któreście tyle razy całowały z miłością; gdy robaki ziemne gnieźdzą się i pełzają w tych włosach, które tyle razy macierzyńską pieściłyście dłonią?

O matki! czemu piosenka, którą tak słodko śpiewałyście nad kolébką synów waszych, nie brzmi nad nimi wtedy, gdy życie rozciąga ich na ognistém łożu cierpienia? czemu nie brzmi ona nad nimi wtedy, gdy im nad głową zastuka młot, zamykający wieko ich trumny — ostatni akord dziwnej pieśni życia?

O pieśni i modlitwy matek! czemu tak szybko przebrzmiewają dźwięki wasze i słowa? Czy i wy



może, jak wiele innych na ziemi rzeczy, jesteście  
ową bańką stubarwną, o której dzieci myślą, że le-  
ci do nieba, a która jednak, w mętną zmieniona pia-  
nę, upada i miesza się z prochem i błotem téj  
ziemi!?!...

---

## VIII.

### Kobieta-zagadka.

W imię zdrowego rozsądku, świętej spokojności i rozstrojonych wrzawą nerwów, pytam: czego się ci ludzie tak szalenie po mieście ruszają? Czy Warszawa zapaliła się na wszystkich swoich końcach? Czy się gdzie jaki cud ukazał?... Na chodnikach tłumy biegną, potrącają się i, nie mając czasu na przeprosiny, biegną dalej... Środkiem ulic powozy pędzą jak szalone, furmani krzyczą, konie galopują, a błoto, odskakując od kół i kopyt końskich, bryzga, i ludzi, idących piechotą, zamienia w nieznaną dotąd zoologii gatunek centkowanych dwunożnych. Dorożki do najęcia nigdzie ani znaleźć, bo ile tylko jest ich w całym mieście, wszystkie zajęte przez wyfrakowanych panów, w wysokich kapeluszach i białych rękawiczkach, którzy jeżdżą od domu do domu, wysiadają z dorożek, wchodzą w bramy i na piętra, wymawiają z ukłonem sakramentalny wyraz: win-

szuje! wsiadają znowu i dalej pędzą, z kartami wiotkowymi w ręku. Kiedy między piechotą idącymi ludźmi spotykają się znajomi, brzmi po sto razy wyraz: wieszuję! a mniej elegancki świat, starym zwyczajem, dodaje: daj Boże za rok szczęśliwie doczekać!

Kto-by nie wiedział o przyczynie tej całej radości i tych wszystkich powinszowań, sądził-by, że wyrok niebieski zdjął z ludzkości klątwę pierworodnego grzechu, albo, że jaki najazd barbarzyńców został zwyciężony przez Europę odparty, albo, co najmniej, że się wszyscy tego ranka poženili, lub że się wszystkim ubiegłej nocy urodzili pierworodni. A to poprostu ludność Warszawy obchodzi uroczystość Nowego Roku.

Taką jest moc zwyczaju. Ileż razy ludzie dziękują sobie, nie wiedząc za co, wieszują, nie wiedząc czego, wierzą, nie wiedząc w co, dla tego, że tak dawali, wieszowali, wierzyli i robili ich praojcowie. I dziwi się tu Chińczykom!...

Nie wszyscy jednak bawią się, wieszują i przyjmują powinszowania. Oto z po-za rogu jednej z ulic, na szeroki i pełen ludzi chodnik wysuwa się biedne małe chłopię, skostniałe od zimna, blade i z zapadłymi policzkami. Łachmany lichój sukmanki niezupełnie zakrywają mu nagą szyję i pierś; zmięty i brudny, o szerokich brzegach kapelusza, ocienia, spletanymi włosami orzucone, czoło. Jakby ukradkiem, wysuwa się ze schyloną głową na chodnik, zda się, prze-

praszając ulicę, że śmie po niéj stapać, przyciska się do muru i drży cały, tuląc ręce w łachmany sukman-ki. Mnóztwo ludzi go mija, a on, wyciągając niekiedy dłoń, woła jęklwym głosem:

— Wielmożny panie! piękna pani! dajcie grosik na chléb!

Precz z drogi, nędzne dziecię! Czy nie widzisz, że panowie i panie winszują sobie uroczystości Nowego roku? Jak śmiesz przeszkadzać im w tém zatrudnieniu? Choćbyś tu stał do dnia sądnego, tobie nikt nie powinszuje twoich łachmanów i twego głodu, a jednak tobie-to właśnie i tobie podobnym najbardziej- by należało winszować, że o rok jeden skróciła się nędzna wasza po téj ziemi wędrówka.

W dużym domu, stojącym na jednéj z szerszych ulic Warszawy, w niewielkim ale pełnym smaku salonie, przechadza się piękna kobieta. Suknia jéj długa, jędrna, z lekkim szelestem sunie się za nią po kobiercu, pokrywającym posadzkę. Głowę schyliła nieco w zamyśleniu, czy może pod ciężarem grubych, ciemno-kasztanowatych warkoczy, które otaczają jéj czoło i w misternych zakrętach opływają szyję i ramiona, lśnią wplecionym w nie sznurem dużych, bia-łych pereł. Przed bramą jéj od kilku godzin stawa-ły ciągle powozy, przyjęła już dnia tego mnóztwo wi-zyt, dowiedziała się, że wszyscy jéj znajomi serdecznie się cieszą, iż o rok jeden została starszą, wzajemnie tego samego szczęścia winszowała innym, a teraz, gdy

cały ten gwar uciszył się już nieco, chodzi samotna po swoim salonie i może rozmyśla nad dniem prawie minionym. W jednym końcu jéj salonu stoi palisandrowy fortepian, w drugim marmurowa konsola z wielkiém zwierciadłem, a ona przechodzi od fortepianu do konsoli i od konsoli do fortepianu, z wyrazem twarzy, w którym dosadnie maluje się myśl: o, jakże mię ci ludzie znudzili!.. Raz stanęła przed zwierciadłem; białą, przedziwnych kształtów, rękę przesunęła po błyskających perłami warkoczach i odwróciła się niechętnie, jakby i do lustra rzec chciała: „nudzisz mię!”

I znowu rozpoczęła swoją monotonną przechadzkę, a jak-by pod wpływem jakiegoś ciężkiego wewnętrznego uczucia, brwi jéj ściągnęły się, wzrok błędził machinalnie po barwnych kwiatach kobierca i ręce, skrzyżowane na piersi, zacisnęły się lekko, drobnemi palcami mnąc bezwiednie grubą materję rękawów.

Rozsunęła się powoli aksamitna portyera, we drzwiach stanął lokaj i zaanonsował:

— Pan Pantaleon Kwiatkowski!

Piękna kobieta stanęła na środku salonu, lekko ironiczny uśmiech ożywił jéj usta i odpowiedziała:

— Prosić!

Po chwili, o dłuższej i cieniżej, we frak obciągniętej, postaci, w blade-różowych rękawiczkach i z długimi włosami, woniejącemi jaśminowym olejkiem,

wszedł do salonu Konwalius Konwaliorum, zbliżył się ku gospodyni domu i, patrząc w sufit, wypowiedział uroczysto zniżonym głosem:

— Pani! kiedy ziemia nasza, obracając się na swój osi, raz jeszcze uczyniła krąg około życiodawczego słońca; kiedy, ścięty kosą czasu, jeszcze rok przepłynął w przeszłości niepowrotnej ocean; przychodzę u stóp twoich, pani, złożyć życzenia, które powstały w podbitém twemi wdziękami sercu wieszczka.

— Dziękuję panu, dziękuję — przerwała piękna kobieta — i wzajemnie życzę panu pomyślności i najszczęśliwszych poetycznych natchnień. Niechże pan siada.

I, sama siadając na małej kozetce, wskazała gościowi swemu fotel, stojący naprzeciw.

— Dziwnie, zaprawdę, losy rządzą drogami ludzkiemi — mówił poeta, siadając i wstrząsając włosami, przyczém rozlewała się woń jaśminowego olejku. — Oto naprzykład dziś ja pragnąłem piérwszy złożyć u stóp twych, pani, kwiaty życzeń, które rozkwitły na gruncie mojego serca i kilka już chwil zaledwie dzieliło mię od upragnionego celu, do którego dążyłem, a którym był przybytek twojego mieszkania, gdy nagle jeden z rydwanów, przemykających się po forum naszego grodu, orzucił mi oblicze kałem téj ziemi. Byłem więc zmuszony szukać strumienia wód, aby obmyć z méj twarzy to nieczyste dotknięcie zewnętrz nego świata, a tymczasem Saturn kosą swoją ściał dwie

godziny dnia dzisiejszego i oto jestem, jako człowiek, który mówi: przybędę piérwszy, a przybywa ostatni...

Ciężkie westchnienie wydarło się z piersi poety i pochylił głowę pod strasznym ciosem, który go dołknął.

— O, nic nie szkodzi — powiedziała gospodyni domu — wierzę w dobre chęci i życzenia pana. Jakże pan czas przepędzał, od chwili jakem go nie widziała?

Konwalius rozpaczliwie wstrząsnął włosami.

— My, pani — odrzekł — my męczennicy najświętszych uczuć, my wiecznie zapoznani przez pełzającą po nizinach prozy i materji ludzkość, żyjemy dla tego tylko, aby cierpieć.

— Jednakże — wtrąciła kobieta — zdaje się, że poezya nie jest tak znowu wzgardzoną, jak pan utrzymujesz...

— Ród ludzki — przerwał, kiwając głową, Konwalius — ród ludzki dąży do swój zguby; bo bozka poezya przestała być jego matką-karmicielką, bo nikczemna proza...

— Zdaje mi się, panie Kwiatkowski, że jeżeli ludzie w rzeczywistych barwach świat widzą, nie przeszkadza to, aby prawdziwa poezya...

— Pani! — zawołał poeta, gwałtownie cofając się z fotelem — i z twoich-że to bozkich ust przychodzi mi słyszeć najstraszniejsze bluźnierstwo? O, teraz poezya powiedzieć może tobie pani: — et tu, Brute, contra me?



— Owszem, ja kocham poezją — przerwała kobieta i figlarnie dodała: — szczególnież mistyczną.

— O mistycyzm! — zawołał ułagodzony wieszcz — mistycyzm to kwiat poezyi! Łatwo napisać coś tak, aby wszyscy śmiertelnicy ciasnym swoim umysłem zrozumieli myśl wieszczą; ale wydobyć z jaźni swojej akordy niezrozumiałe pojęciu lichych robaków, a śpiewać dla gwiazd, obłoków, strumieni, śpiewać dla kwiatów, aniołów i duchów... to jest dopiero szczyt, do którego wznieść się musi wyłoniona z piersi prawdziwego wieszczą poezya. Mistykami byli Juliusz, Zygmunt...

— To téż poezye pana — rzekła znowu z udaną powagą gospodyni domu — mają głębokie piętno mistycyzmu; zbliżają się one formą do arcydzieł Krasieńskiego...

— Jakto, pani — z nowém oburzeniem zawołał drażliwy wieszcz — jakto! ja, ja! miałbym naśladować! jakto! pani posądzasz mego ducha o niewolnicze zginanie hardego czoła przed modłą chociażby mistrzowską! Widzę, że, jak zwyczajnie, jestem zapoznany... Nie, pani — dodał z goryczą i godnością — nie naśladowuję nikogo, jestem zawsze wierny sobie samemu i zawsze oryginalny.

I opierając zboląłą głowę o tylną poręcz fotelu, pograżył się w gorzkiej ironii milczenia, a w braku rzymskiej togi, której poważnemi fałdy mógł-by owinać swój obrażony majestat, pełnym godności ruchem zapiał frak, aż po samę szyję.

— Któż-by mógł zaprzeczyć panu zupełnej, wyłącznej oryginalności? — rzekła gospodyni domu. — Ale zostawmy na później rozprawy o poezyi — dodała — bo dziś mam pana zapytać...

— Tak, pani — przerwał poeta — tak, pani, jestem zupełnie, wyłącznie oryginalny i nawet śmiem twierdzić, że daném mi będzie na nowe a nieznanne dotąd tory wprowadzić poezyą polską. Czego, ażeby dać pani dowód, przeczytam jój mój najnowszy, bo wczoraj dopiero ukończony, poemat o dyable Borucie.

I mówiąc to, sięgnął do kieszeni fraka, z której sterczał zwój papierów.

— Z przyjemnością posłucham poematu pana o dyable Borucie inną razą, ale teraz, chciał mi pan powiedzieć, czy nie znasz...

— Dyabeł Boruta — rozpoczął wieszcz.

— O mój Boże! — tupiąc nóżką i odbierając poecie rękopis, zawołała piękna kobieta. — Ależ ja w tej chwili nie jestem usposobiona do słuchania najpiękniejszych nawet poezyi. Daj to pan, przeczytam sama; a teraz staraj się pan zebrać swoje wieszce myśli i posłuchaj uważnie mojego pytania.

Tak była piękna ze swoją figlarną minką i nakazującym tonikiem, że Konwalius zapomniał o dyable Borucie i rzekł uroczystym głosem:

— Bogini, rozkazuj słudze twojemu!

— Otóż pytam pana, czy nie znasz w Warszawie jakiego pana Karłowskiego?

Poeta pochylił głowę, palec w różowej rękawiczce przyłożył do czoła i zamyślił się.

— Pana Karłow-skie-go — powtórzyła kobieta, kładąc nacisk na każdej zgłosce. — Młody, wysoki, szczupły, blondyn, z błękitnymi oczyma. Pytam o niego wszystkich moich znajomych, ale nikt go nie zna.

— Ja go znam — rzekł wieszcz, tryumfalnie podnosząc głowę, i palec wskazujący posyłając w powietrze — ja go znam — powtórzył i dodał uroczyście: — to bardzo przyjemny człowiek.

— Czy pan bywasz u niego?

— Nie, pani, widziałem go raz tylko. Jest to młodzieniec bardzo piękny i, jak wniesć mogłem, uczuciowy.

— Zkądże pan znasz jego uczuciową stronę?

— O ile dostrzegło wiesz oko moje, był on zachwycony twemi, pani, wdziękami.

— Gdzież to było?

— W teatrze. Pytał mię, pani, o twoją nazwę doczesną.

— I powiedziałaś mu pan moje nazwisko?

— Powiedziałem, że mianem twem jest piękność.

— Nie wiele się dowiedział.

— Powiedziałem mu także, iż tłum nazywa cię „Kameleonem”, ale że ja wieszczu odgadłem twoje prawdziwe imię, które jest... bogini.

— To wszystko bardzo pięknie, ale czy pan wiesz, gdzie pan Karłowski mieszka?

— Nie powiedział mi kędy ma siedlisko swoje, a w moje progi nie wstąpił, mimo, żem go wzywał, aby przyszedł nakarmić się owocami mojego ducha.

— A więc, panie Kwiatkowski — mówiła piękna gospodyni, powabnie opierając się o podnóżki kozetki i końcami paluszków dotykając rękawiczki poety — a więc, ponieważ pan znasz pana Karłowskiego, chciałbyś wyszukać jego mieszkanie i powiedzieć mu, że pragnę go poznać bliżej.

Poeta patrzył na nią szeroko rozwartemi oczyma, a ona mówiła dalej:

— Bo to widzisz, panie Kwiatkowski, ostatnią moją podróż do Warszawy odbyłam w towarzystwie pana Karłowskiego, a choć mało rozmawialiśmy z sobą, oddał mi ważną przysługę znalezieniem mojego pierścionka, który zgubiłam, a który mi jest drogą pamiątką..., chciała-bym raz jeszcze podziękować mu w moim domu.

I mówiąc to, patrzyła na poetę najpiękniejszym spojrzeniem swoich wielkich, ciemnych oczu, i paluszków nie zdejmowała z jego rękawiczki.

— Stanie się, pani, według woli twojej — uroczyście wyrzekł Konwalius. — Choć-by mi trupem ledz przyszło, przyprowadzę go do stóp twoich, jak scytyjskiego niewolnika.

— O! miły poeto — zawołała, wyraźnie rada z niego kobieta — nie legniesz trupem, a pan Karłowski, jako gość pożądany, nie jako niewolnik przybędzie tutaj.

— Szczęsny sto razy, kogo okują kajdany twoich, pani, wdzięków — wygłosił poeta i zabierał się do wyjścia.

— No, kochany wieszczu — wdzięcznie rzekła gospodyni domu, podając mu rękę — nie zapomnij-że o mojem poleceniu i powiedz panu Karłowskiemu, że Kameleon chce go widzieć u siebie.

A gdy Konwalius wyszedł już z salonu, pobiegła ku drzwiom, rozchyliła portyereę i zawołała za nim:

— A jak się pan dobrze sprawisz, będziesz miał prawo przeczytać mi poemat o dyable Borucie.

Po wyjściu poety, młoda kobieta stanęła na środku salonu, złożone ręce opuściła na ciemną suknię, głowę pochyliła, a po twarzy jęj przebiegały, jak błyskawice, różne wrażenia. Usta uśmiechały się, to figlarnie, to dumnie lub szydersko nieco, w oczach błyskały ogniki złote, migocąc z po-za długich rzęs. Tak stała, zamyślona przez chwilę; nareszcie podniosła głowę, szybkim ruchem osunęła z ramion warkocze, zaśmiała się srebrzystym, cichutkim, figlarnym śmiechem i szepnęła:

— To on, jak uważam, naprawdę mi się podobał. Tém lepiej! pobawię się trochę. — I znowu stanęła, spuściła głowę i rzekła: — Pobawić się.. ach, mój Boże! kiedyż ja się przestanę bawić? O, kiedyż będę miała siłę przestać się bawić!...

W owęj chwili twarz jęj była posepna, tragiczna niemal; w mgnieniu oka jednak wyraz ten minął

i, szybko pobiegłszy ku drzwiom, pociągnęła taśmę dzwonka.

We drzwiach stanęła ładna i z całym wykwintem, właściwym służącej wielkiej pani, ubrana subretka.

— Marylko — rzekła do niej pani Kameleon — suknia moja na dzisiejszy wieczór czy przyniesiona z magazynu?

— Wczoraj jeszcze, proszę pani.

— To dobrze, a kwiaty?

— Oto są, pani. — I z małego pudełka, które trzymała w ręku, wyjęła wdzięcznie i misternie uwity wieniec z ciemnych gałęzi cyprysu i pączków białych róż.

— Taki smutny wieniec, proszę pani — zauważyła służąca.

— Smutny! — machinalnie powtórzyła za nią piękna pani — smutny?.. masz słuszność. Cyprys, to kwiat grobowy, ale za to pączki róż, to młodość i nadzieja. Owszem, ten wieniec jest piękny i mądry — mówiła dalej jakby do siebie — bo ileż razy w życiu człowieka cyprys łączy się z różami. Na pozór same róże błyszczą, a wkoło nich wiją się ciemne cyprysu gałązki...

Milczała chwilę, patrząc wciąż na fantastyczny wieniec, a twarz jej znowu była posepną.

— Schowaj to, Marylko — rzekła wreszcie, oddając kwiaty. — A co się tam dzieje z tym chłopcem, którego dziś kazałam z ulicy przywołać?

— Dałam mu obiad, proszę pani — odpowiedzia-

ła służąca — a teraz zasnął w moim pokoju. Stracił był zgłódniały i zziębnięty.

— Biedne dziecko! — rzekła pani Kameleon — jak się przebudzi, przyprowadź go tu do mnie, rozpytam się o jego rodziców. Jeżeli nie ma ojca ani matki, to go odeślę do siebie na wieś. A twoja siostra, Marylko, czy idzie za męża?

— Po jutrze ślub jej, proszę pani.

— Weźże sobie na to wesele moją suknię, którą miałam onegdaj na wieczorze u pani N. Chcę żebyś mi ładnie tam wyglądała.

Uczęśliwiona dziewczyna, ucałowała ręce pięknej swojej pani.

— Ach, jaka pani dobra! — rzekła i wybiegła z pokoju.

— Dobra, dobra — cicho powtórzyła pani Kameleon — tak, mogła-bym kiedyś, a może i dziś jeszcze mogę być dobrą, ale czyż nią jestem?...

I zwolna przechodziła przez salon.

— Tak — cicho mówiła dalej — są w piersi mojej skarby słodczy, ukochania, dobroci; są one, słyszę je tam w głębi, jak szepcą mi dobre rady i natchnienia, jak, niby anioły-stróże, bronią mię od ostatniego upadku; ale zarazem ile tam w téj piersi mojej demonów złego, ile uniesień grzesznych, płochych próżności, jak tam szamocą się i targają te gorące, nieposkromione wrażenia, które mię porywają w coraz nowe szale, w coraz nowe błędy!... Dobra! do-



bra!... Nie, ja nie jestem dobra, ja jestem Kamelionką, igraszka chwili, straszne moralne nic!

Bezwiednie usiadła przed fortepianem i, pogrążona w dziwnych rozmyślaniach swoich, jakby w analizie samej siebie, oparła czoło na ręce, a usta jęj poruszały się cichym szeptem:

— Dobra! nie, ja nie jestem dobra, ja jestem dwoi-  
sta: dobra i zła, wesola i posępna, poważna i szaleją-  
ca, myślą i pragnieniem w wyżynach, ciałem w nice-  
stwie ziemskiém. Anioły i szatany zeszyły się na wal-  
kę w piersi mojej i wcielił się we mnie odwieczny myt  
dwóch sprzecznych potęg: dobrego i złego.

Niżej jeszcze pochyliła głowę i machinalnie prze-  
biegała ręką klawisze, które pod jęj dotknięciem za-  
brzmiały tonami jakichciś dzikich akordów. Te bo-  
lesne i jakby szydercze dźwięki na twarz jęj również  
szyderczo-bolesny wywołały wyraz. Umilkły klawisze  
i ręka kobiety upadła między fałdy jedwabnej sukni.

— Ha — mówiła znowu — cóż nie jest dwoistém  
na świecie? Przejechałam wzdłuż i wszerz cały pra-  
wie świat oświecony, widziałam wiele rzeczy i znałam  
wielu ludzi, a wszystko było dwoiste i wszyscy byli  
dwoiści. Za każdym szczęściem kryje się niedola, bo-  
gactwo podszyte bywa nędzą moralną, piękne słowa  
kryją brzydkie myśli, pod uśmiechniętymi maskami,  
są zapłakane twarze. Człowiek jedną ręką dopełnia  
dobrego czynu, drugą występku, jedném okiem patrzy  
w niebo, drugim w otchłań bezdenną, jedną połowę

serca oddaje miłości, drugą nienawiści. Cóż na świecie nie jest dwoiste?...

Znowu umilkła i ręką przebierała klawisze, które tą razą ozwały się smutnie, ale łagodnie, błagalnymi, jakby miłosnemi akordy.

— Jest jednak na ziemi rzecz jedna nie dwoista — mówiła znowu, niby wsłuchując się w przebrzmiałe tony — jest jedno uczucie, szerokie jak świat, czyste jak niebo w poranku, szczere jak modlitwa dziecka; tą piękną, tą bez skazy i dwoistości rzeczą, jest prawdziwa, wielka, bezgraniczna miłość. Błogosławiony, kto ją czuć może, komu ona pierś oczyści ze wszystkich grzesznych technień życia, myśl podniesie ku szczytom cnoty i poświęcenia. Ale miłość taka istniejeż dla mnie? Czym jój godna jeszcze? Czy w długich latach szalów i próżności nie rozsiałam, nie zmarnotrawiłam wszystkich skarbów tego serca, które niegdyś takie było młode, takie ciepłe, takie marzące?...

Westchnęła i znowu uderzyła w klawisze, które jeden już tylko akord wydały tą razą, ale przeciągły głęboki, jakby boleśnie pytający.

Po raz drugi ten sam uderzyła akord i, podniosłszy głowę, zawtórowała mu pytaniem:

— I gdzie teraz to moje dawne serce?

Potém obu rękoma już grać zaczęła, a melodia płynęła z pod jój palców dziwna, żalonna, niekiedy odzywając się tęskną, jakby echa ubiegłe przywołującą nutą, niekiedy przeciągłym, niby żalonnym

tonem. Po chwili otworzyły się jęj usta i wydobył się z nich śpiew łzawy, głębokł.

Zmrok zaczął zapadać, bogate sprzęty i barwne kobierce coraz bardzłj tonęły w cieniu wkoło pięknej kobiety, a ona, owlnęta tym cieniem i ciszą swego salonu, śpiewała :

Gdzie moje serce, takie przeczyste,  
Jak modre wiosną niebiosy ?  
Gdzie moje serce, takie przejrzyste,  
Jak kropla kryształnej rosy ?

Gdy śród rozmyślań smutnych godziny  
Snuję nić zmarłej przeszłości,  
Zstępuję w ducha mego głębinsy,  
Szukając wiary, miłości.

I gdy szyderstwo znajduję w łonie,  
Próżnią i pustych win roje,  
W odmcęie bólu myśl moja tonie  
I wołam : gdzie serce moje ?...

Zaledwie umilkła nuta smutnej piosenki, gdy we drzwiach, z kilkoramiennym świecznikiem w ręku, stanęła Marylka. Strumień światła spłynął na salon i na siedzącą przy fortepianie kobietę i przejrzał się w dwóch grubych łzach, które po jęj przedziwnie białej spłynęły twarzy.

— Wszystko już gotowe, proszę pani — ozwała

się, stojąca na progu ze świecami w ręku, subretka.—  
Może się pani już zacząć ubierać na wieczór.

Po chwili, w wytwornym budoarze, pani Kameleon stała przed wielkiem zwierciadłem, które odbijało jój postać od stóp do głowy.

Rozplecione włosy snopami ciemno-złotyeh promieni opływały białe fałdy muślinu, któremi się owinęła; przed nią leżała suknia z pajęczych koronek i wianuszek z róż i cyprysu, a obok zwierciadła, na tle ponsowego aksamitu, wiły się grube sznury pereł.

Piękna kobieta rozjaśniła czoło, oczy jój błysnęły weselem, na ustach zawisł uśmiech zadowolenia. Z pomocą Marylki zaczęła misternie splatać swoje miękkie i wonne włosy, a wkrótce w budoarze brzmiała nuta lekkiego, wesołego walca.

Przed błyskiem próżności pierzchnęły poważne rozmyślenia, uśmiech zastąpił łzy, wesoła nuta walca spędziła z ust żalсны śpiew tęskniącój za niepokalaną młodością kobiety.

Niedarmo świat ją nazwał Kameleonem, niedarmo byli tacy, którzy ją nazwali kobietą-sfinxem. Sfinxem była ona nie tylko dla drugich, ale niestety... i dla siebie.

A biada temu, kto zawczasu nie nauczy się bawawczo zaglądać w głąb' samego siebie i ściśle rachować złe i dobre potęgi, władnące jego istotą! Biada temu, kto, nie posiadłszy wielkiój mądrości samopoznania, sam dla siebie zostanie zagadką; bo, nie od-

nalazłszy w sobie gwiazdy przewodniej, kierowniczej busoli, pójdzie na oślep po drogach życia, jak po manowcach. Wolą nie ujmie on steru popędów swych i namiętności, bo nie będzie wiedział, jak się poczyna i kędy ich koniec, bo złe głosy wydadzą mu się dobrymi, a dobre zapozna i odrzuci, jak nie swoje. Smutna igraszka wrażeń, instynktu, trafu, mimowoli kaleczyć będzie i siebie, i drugich, wrażenia biorąc za uczucia, uczuciom nie dowierzając, błędne ogniki przelotnych myśli poczytując za gwiazdy przewodnie, a głębokie i dobre natchnienia tłumiąc, jak kaprys chwilowy.

---

## IX.

### Na co się przydał Konwalius Konwallorum.

I stała się owego czasu w Warszawie następująca komplikacya. Kobieta, która widziała, jak, przez tygodni kilka, gonił ją młody człowiek, jak, gdy wychodziła z teatru, i on wychodził, jak śledził ją na ulicy, chcąc pewnie zobaczyć, do jakiego domu wejdzie—kobieta, która widziała to wszystko i oprócz tego spostrzegła jeszcze piękne błękitne oczy, ujmujący sympatyczny uśmiech i gęste jasne włosy mężczyzny,—kobieta ta zapragnęła go poznać; a że była panią rozpieszczoną i przywykłą do dogadzania wszelkim swoim zachciankom, wysłała na wyszukanie jego poetę. Młody człowiek, nie wiedząc o szczęściu, które go miało spotkać, szukał ciągle swego ideału, a wieszcz, chcąc spełnić wolę swojej bogini, od rana do wieczora nosił swoją bladą fizygnomią po wszystkich ulicach Warszawy, patrzył na okna wszystkich

piętrowych domów, ścigał na chodnikach wszystkich blondynów, jak duch Banka pojawiał się we wszystkich cukierniach i restauracjach, wzywał na pomoc wszystkie bożki pogańskie, a o biurze adresowém... ani pomyślał.

W taki sposób zaczął się dla trojga tych ludzi rok nowy. Kobieta czekała, młody mężczyzna spodziwał się i szukał, a poeta wzywał bogi i szukał także.

Raz, gdy, narażając na pośmiewisko swoją wieszczą godność, Konwalius Konwaliorum gonił jakiegoś wysokiego i szczupłego blondyna przez całe Krakowskie-Przedmieście i, straciwszy go z oczu, patrzył na okna domu, w którego bramie, jak mu się zdawało, zniknęła jego zguba, ozwał się za nim głos jednego ze znajomych:

— Czego tak pilnie wypatrujesz? panie Pantalencie.

Poeta, słysząc się wezwanym swoim doczesnym mianem, spojrział na swego znajomego i odrzekł:

— Chcę się dowiedzieć, gdzie mieszka *on*?

— Kto to ten *on*?

— Młodzieniec.

— Jaki młodzieniec?

— Którego chce ujrzeć *ona*.

— Kto go tam zdoła zrozumieć? — szepnął znajomy, a głośno dodał:



— Jeżeli chcesz dowiedzieć się gdzie kto mieszka, to idź do biura adresowego.

Konwalius z pogardą spojrział na znajomego i uczynił gest ręką, jakby chciał ze świata usunąć człowieka, który się tak prozaicznie wyrażał; ale gdy ów robak ziemski odszedł o kilka kroków, namyślił się i postąpił za nim.

— A gdzie jest *to*, czego barbarzyńską nazwę wyrzekłeś? — spytał.

— Co? biuro adresowe?

— Tak.

Znajomy wskazał mu miejsce „tego”, co nosiło barbarzyńską nazwę i poeta poszedł we wskazanym kierunku, szepcząc:

— Ród ludzki biegnie ku swój zgubie, bo bozka poezya przestała być jego matką-karmicielką...

Kto inny, będąc tak, jak Konwalius, zachwycony wdziękami pani Kameleon, nie okazał-by może podobnej gorliwości w wyszukaniu młodzieńca, którego ona tak żywo chciała poznać; ale wieszcz, z gatunku Konwaliusów, kochają kobiety, tak jak gwiazdy i kwiaty:

„Jak najcudniejsze z darów przyrodzenia,

„Jak najpiękniejsze piękności odcienia”.

Są oni w miłości zwolennikami Platona, bo alboż nie jest najwznioślejszą eteryczną bez wzajemności miłość?

„Alboż prosimy o wzajemność kwiatów, gwiazd albo księżycy?”

I znowu:

„Wszak najsmutniejszym z żebractwa żebractwem,  
„Jest o wzajemność dla miłości prosić”.

Zakochane więc Konwaliusy śmiało boginiom swoim służyć mogą za owe pierwotnej naiwności jaskółki czy gołąbki, pod skrzydełkami swemi przynoszące miłosne poselstwa. Poselskie gołąbki i jaskółki zaginęły już w pomroce zbiegłych wieków i naiwni wieszczowie coraz rzadsi są także. Typ ich jednak nie zaginął jeszcze całkiem, o, daleko od tego! Błąkają się oni wśród tłumu śmiertelnych z blademi twarzami, długimi włosy i ciągłą skargą na ustach. Olbrzymi potęgą swego wieszczego ducha, wyzywają do walki społeczność, jej ustawy i przesady; wyzywają do walki wszystkie moce ziemskie i piekielne, a gotowi są... uciec przed pierwszym lepszym budoarowym Fidelkiem, który zaszczeka na ich długą fizygnomią. Męczennicy najświętszych a zapoznanych przez ludzkość uczuć, noszą po świecie błady wyraz swego męczeństwa i mszczą się, tworząc wszędzie, gdzie się obróca, męczenników....

I stało się dnia pewnego, że pan Karłowski wszedł do mieszkania swego chmurny i w złym humorze; z gestem zniecierpliwienia rzucił kapelusz na krzesło

i, usiadłszy przy fortepianie, zdobiącym jego mały ale wytworny salonik, począł zeń wydobywać oderwane akordy. Wówczas wszedł lokaj, oznajmując wizytę pana Pantaleona Kwiatowskiego.

— Pantaleon Kwiatowski? — powtórzył Cypryan, przypominając sobie, gdzie i kiedy słyszał to nazwisko. — A wiem, wiem, poeta! — i jakby nagła myśl przyszła mu do głowy, żywo dodał: — prosić, prosić!

— Słyszę dźwięki muzyki, — ozwał się uroczysty głos wchodzącego Konwaliusa, — a wieszcie moje ucho zgaduje, że to pan uprawiasz rolę wdzięcznej siostry bożkiej poezyi.

— Ja lubię muzykę — odparł, witając gościa Cypryan, — i gram trochę, a nawet często i z zamiłowaniem. Niechże pan siada.

— Tak, przeczułem, od pierwszego wejrzenia na oblicze pana, iż jesteś moim bratem duchowym, że muzy nie są ci obce; i *ona* to przeczuła...

— Kto to *ona*? — przerwał Cypryan.

— Ona, bogini, Kameleon...

— A więc pan widzisz panią Kameleon? — podchwycił Cypryan, któremu radość z oczu błyskała.

— Siedm już razy wschodziło słońce — odpowiedział poeta, wyciągając rękę i pływając nią w atmosferze, — siedm już razy wschodziło słońce od dnia owego, w którym ona czarodziejskimi ustami swemi

rzekła do Konwaliusa: pójdź i znajdź siedlisko pana Karłowskiego, a znalazłszy je, powiedz, że pani Kameleon chce ujrzyć go w progach swoich. I ja, bracie duchowy, przez siedm dni i siedm nocy szukałem ciebie, nim przysłała chwila nadziei, że woła jęj spełnioną zostanie.

— A znakomity wieszczu! — radośnie zawołał Cypryan, — niech uściskam dłonie twoje za tak miłe poselstwo. Pozwól, że się oddalę na chwilę, aby natychmiast oblec ciało moje w strój, godny jęj komnat i oka, a potem skierujemy kroki nasze ku siedlisku bogini.

I sam, rozśmieszony pseudo-poetycznym żargonem, którego użył, zaśmiał się głośno, serdecznie, zwykłym sobie, swobodnym, młodzieńczym śmiechem.

— Słowa miodem z ust twoich płyną — odparł wieszcz zachwycony, nie zważając na wybuch śmiechu młodego człowieka. — Tak, słuszném jest, abys, idąc do nięj, pokropił się hyzopem i namaścił wonnemi olejkami; ale słuszném téż jest, abys się wprzódy posilił owocami mojego ducha. Niech dusza twoja przejdzie w narzędzia twojego słuchu, bo mówić ci będę mój hymn do wiosny.

— Obawiam się tylko, aby nie było zbyt późno...

— A więc słuchaj.

I, wznosząc rękę ku malowanym niebiosom sufitu, poeta zaczął deklamować hymn do wiosny, zawierający trzysta dwadzieścia cztery wiersze.

Cypryan z westchnieniem rzucił się na fotel, z którego był już powstał, i słuchał najprzód z rezygnacją, potem z lekką niecierpliwością, a nareszcie, gdy już miarkował, że hymn ma się kończyć, wyciągnął rękę do kapelusza. Ale rękę tę, w drodze zatrzymał Konwalius i rzekł:

— A teraz hymn do lata.

— Ale, mimo całej przyjemności, jaką znajduję...  
— zaczął męczennik.

— A więc, słuchaj! — przerwał wieszcz i deklamował hymn do lata, który zawierał wierszy okrągło czterysta.

W ten sam sposób nastąpił hymn do jesieni i hymn do zimy, które razem zawierały wierszy sześćset czterdzieści. Za każdą razą pan Karłowski wyciągał rękę do kapelusza; ale Konwalius łapał ją w drodze i, powtórzywszy: „a więc słuchaj!” pędził dalej na poetycznym rydwanie.

Cypryan lekko wybijał o podłogę takt jakiegoś mazura, nie był jednak tak zniecierpliwiony, jakby mu się to inną razą zdarzyło; wyraźnie myślał o czém inném a bardzo miłém, bo, nie słuchając hymnów poety, uśmiechał się, przesuwał rękę po swoich lśniących kędziarach i co chwila patrzył na zegarek, wskazujący dość wczesną jeszcze godzinę.

— Prześliczne! — zawołał, gdy nareszcie umilkł Konwalius i Cypryan mógł się domyślić, że się już

skończył hymn czwarty; — co za kolosalną pan masz pamięć!

— Bracie duchowy! — wygłosił wieszcz — umiem na pamięć czterdzieści tysięcy wierszy, wyłonionych z moich głębin duchowych.

Tą razą Cypryan gwałtownie już i stanowczo pochwycił kapelusz.

— Panie szanowny! — zawołał — inną razą obficie mi udzielił skarbów swojej pamięci, a teraz pójdźmy do pani Kameleon, bo niedobrze jest, aby bogini czekała.

— Masz słuszość, bracie duchowy — odparł, ostatnim argumentem przekonany, wieszcz, — pójdźmy!

Po chwili obaj wyszli na ulicę, kierując kroki ku mieszkaniu bogini.

Pani Kameleon siedziała w salonie swoim na koczecie, z gazetą w ręku, smutna czy znudzona, bo piękne jej brwi lekko były zsunięte i usta ułożone z wyrazem niezadowolenia. Ubrana była w suknię zupełnie czarną, z żałobnym paskiem i żałobną na szyi wstążeczką. W stroju kobiet często się odzwierciedla wewnętrzne ich usposobienie i Bóg tylko wie, jakie smętne myśli były w głowie pięknej kobiety, gdy kładła na siebie to żałobne ubranie.

Lokaj kilka razy oznajmiał różne wizyty, a ona, nie odrywając oczu od szpalt dziennika, odpowiadała ciągle: nie przyjmuję! ale nareszcie, gdy sługa wy-

głosił: pan Pantaleon Kwiatowski i pan Cyprian Karłowski — odsunęła gazetę i rzekła prędko:

— Prosić!

— O bogi! pani w żałobie! — zawołał wieszcz, na widok smutnego stroju kobiety, rzucając postać swoją w tył, a ręce w powietrze.

Ale piękna gospodyni domu nie zwróciła uwagi na patetyczny wykrzyknik i, wdzięcznie kiwnąwszy głową pocie, podała rękę Karłowskiemu i rzekła:

— Witam pana i cieszę się, że go tu widzę. Chciałam raz jeszcze mu podziękować za znalezienie mojego pierścionka.

Zasiedli około zarzuconego książkami i dziennikami stoliczka i, wśród żywej rozmowy, wizyta przeciągnęła się dłużej, niżby na to pozwalała ścisła etykieta.

Piękna pani była ożywiona, strzelała dowcipem i wiedzą, nic rozmowy prowadziła z łatwością, jaką daje bystry umysł i wielka w życiu towarzyskie wprawa. Cyprian przeszedł też siebie w dowcipie i właściwej mu rzutności myśli, a ile razy sympatyczny jego uśmiech twarz mu ożywił, gospodyni domu z wyraźną przyjemnością spoglądała na niego swemi wielkimi, pełnemi ognia, oczyma. Potém, gdy wieszcz wygłosił, że znalazł swego duchowego brata przy fortepianie, takim wdzięcznym gestem pokazała gościowi muzyczny instrument, że ten nie miał siły się oprzeć, usiadł przy nim i pokazał, że grał pięknie, z poję-



ciem i poczuciem sztuki. Potém znowu wieszcz naj-  
błagalniejsze wyrzekł zaklęcie, aby pani Kameleon  
zaśpiewała, i pokazało się, że śpiewała umiejętnie,  
głos miała sopranowy, szeroki i wyrobiony, a w nim  
ogniste i namiętne tony, które wreszcie były i w mo-  
wie jój, i w twarzy, i w całej osobie. Pokrzyżo-  
wało się dalej, że i Cypryan miał piękny tenor i umiał  
śpiewać, rozłożyły się więc na pulpicie nuty jakiegoś  
duetu, którego zaśpiewanie odrazu wybornie się  
udało, a potém Cypryan sam jeszcze zaśpiewał pio-  
senkę:

Mon Dieu! mon Dieu!  
Comme elle est belle,  
Avec ses yeux  
Noirs si doux!  
Je donnerais ma vie pour elle  
Et je l'adore à genoux.

A gdy to śpiewał, patrzył na gospodynią domu  
i oczy jój spotkały się z tym jego wzrokiem, płoną-  
cym młodzieńczém wzruszeniem.

Tak, wśród muzyki i pełnej zajęcia rozmowy, wśród  
woni pomarańczowych drzew, kwitnących u okien,  
biegły chwile, coraz gorętszym płomiennem zapalając  
oczy młodego człowieka, coraz żywszy rumieniec  
wzruszenia wywołując na przezroczytą twarz pięknej  
kobiety.

— Ale, ale — zawołała śmiejąc się — przypominam sobie, że pan nie znasz jeszcze mego prawdziwego nazwiska.

— Alboż pani... — zaczął Cypryan.

— O! czyś pan przypuszczał, że ja się naprawdę nazywam Kameleon? A to wybornie! to oryginalnie!

I śmiała się swoim figlarnym, cichutkim śmiechem.

— Widzisz pan — mówiła dalej, — przed dwoma laty przepędzałam zimę w Warszawie i kilku moich znajomych sprzeczało się z sobą o kolor moich oczu. Jeden mówił, że są czarne, inny, że piwne, to znów, że szare, zielone i już nie wiem, jakie tam więcej. A że nie mogli się żadną miarą pogodzić, potworzyły się zakłady i rozpoczęły obserwacye moich oczu. W końcu zgodzili się wszyscy na jedno, że oczy moje nie mają żadnej stałej barwy, bo raz bywają czarne, inną razą piwne, lub szare, lub zielone. Nikt więc nie przegrał ani wygrał zakładu, ale pan X., który owę zimę był w Warszawie niezmiernie modnym i naśladowanym, wyrzekł, iż należała-by mi się nazwa: Kameleon. Słowo to, przechodząc z ust do ust, rozniosło się po całym znającym mię świecie i wszyscy prawie zaczęli mię tak nazywać, o czém ja dowiedziałam się naturalnie. Kiedyś mię pan na banhofie pytał o nazwisko, przyszła mi figlarna myśl mistyfikowania go i powiedziałam to dziwaczne przyzwisko,

ale rzeczywiście nazywam się Klotylda Warska. Spodziewam się — dodała, po krótkiej chwili milczenia, — że pan się nie gniewa o tę moją mistyfikację?

Bóg tylko wiedział, jak dalekim był gniew od zachwyconego Cypryana. Imię „Klotylda” wdzięcznie i słodko zabrzmiało mu w uszach; przypomniał sobie, że podobno zawsze szczególną do tego kobiecego imienia miał predylekcyą; ale zarazem przypomniał téż sobie, że o pani Warskiej już kiedyś zasłyszał, gdzieś w czasie podróży swoich, w Paryżu czy w Wenecyi, jako o pięknej, bogatej, dowcipnej, wabnej i wabiącej Litwince. Przez chwilę zastanowił się Cypryan nad temi przypomnieniami, a pani Klotylda machinalnie rysowała jakiś kwiatek na marginesie dziennika.

— Więc rodzinnemi stronami pani, o ile słyszałem, są okolice Wilna? — ozwał się po chwili młody człowiek.

— Tak — odrzekła pani Warska — okolice mało tu znane, a piękne, górzyste, leśne. Rodzinne miejsce moje, wieś Jodłowa, sąsiaduje z Ponarskiemi górami. Strona to posepna, tęskna, ale owiana dziwnym urokiem powagi i spokoju. Na górach szumią ciemne sosny i jodły, po głębokich parowach wiją się niezliczone strumienie, w dolinach szarzeją wsie i różnemi odcieniami zielenieją zasiane role. Jodłowa, to ciche i ustronne miejsce, w którym miło

odetchnąć po gwarze i tłumie miejskim, wśród woni lasów i pól, sam-na-sam z naturą i Bogiem. Ale patrz pan — dodała, otwierając duże, leżące na stole album — oto jest Jodłowa.

Młody człowiek ujrzał wprawna i umiejętną ręką narysowany piękny krajobraz. Nizki, ale duży biały dom stał oparty o wzgórze, porośnięte lasem i otoczone szerokimi alejami starych grubych jodeł. Po-za jodłami, z jednej strony rozciągał się szeroki, równy obszar pola, zamknięty u skraju widokregu czarnym pasem lasów; z drugiej strony na wzgórzu, między szczytami drzew szarzały krzyże cmentarza i białał jeden wysoki pomnik, strzelając ku niebu srebrnym krzyżem i niby stróż całego obrazu, unosząc się nad domem, starymi jodłami i szeroką równiną.

Przez chwilę w milczeniu patrzyli oboje na kartę albumu.

— W tym domu rodziłam się i przepędziłam najwcześniejsze dzieciństwo moje — mówiła znowu Klotylda — a tak wielki jest urok rodzinnego miejsca, że uciekam doń zawsze, gdy się poczuje zmęczona, lub smutna i nigdy bez głębokiego wzruszenia, nie witam tych starych jodeł, które szumem swoim przywołują mi na pamięć przeczyste, swobodne lata dziecięce, ojca mego, matkę...

Gdy mówiła ostatnie wyrazy, Cypryan, patrząc na krajobraz, usłyszał lekkie drżenie jęej głosu.

— Pani nie masz rodziców? — spytał sam wzruszony i patrząc na nią.

— Ojciec mój, panie — odrzekła — zabity został we Włoszech, w pojedynku z markizem M. Możeś pan słyszał kiedy o tym sławnym pojedynku; wiele on wrzawy w swoim czasie uczynił, a matka moja... oto jój pomnik... umarła, gdym miała lat dziesięć.

I wskazała na rysunku biały, wysoki pomnik.

— A pan masz matkę? — spytała żywo.

— Tak, pani, mam ukochaną i najlepszą z matek.

— Jakżeś pan szczęśliwy! — odrzekła Klotylda, trzymając wzrok utkwiony w rysowany krajobraz. — Ja matkę moję pamiętam, jakbym ją wczoraj jeszcze widziała. Była dobra i piękna, jak anioł. Przypominam sobie, że nieraz na tém oto wzgórzu między jodłami, kłękaliśmy z nią obie do modlitwy porannej, że potém siadywała pod jedną z tych jodeł, ja u jój kolan wilałam wieńce z polnych kwiatów, a ona długo, słodko mówiła mi o Bogu, o naturze, o cnocie i miłości, téj miłości szerokiej, która cały świat ogarnia, a którój pełne było jój własne serce. Dotychczas jeszcze w snach ukazuje mi się często twarz jój biała, ocieniona czarnymi włosy, jaśniejąca dużemi ciemnymi oczyma; dotychczas jeszcze, kiedy jestem sama, gdy cicho koło mnie, zdaje mi się, że słyszę jój słodki, pieszczony głos, że czuję jój miękką dłoń, muskającą mi twarz i włosy. Najdroższe to i najlepsze

wspomnienie mojego życia, niczém niestarte, nigdy niezapomniane. O, matka, to wielkie słowo, panie... jam moje zawczasie straciła...

Przy ostatnich wyrazach podniosła oczy i Cypryan widział, jak powoli... powoli zachodziły one grubą, przezroczystą łzą, która wydo była się z jój błyszczących źrenic, zawisła na rzęsach, zadrżała i... zniknęła.

— Pani! — zawołał nagle Konwalius, który w milczeniu dotąd słuchał rozmowy dwojga młodych; — ród ludzki nie zaginał, gdy natura zdolna jest jeszcze wyłonić ze swych czeluści istotę tak doskonałą, jak ty, pani. Słowa, które różami z ust twych wypłynęły, natchnęły ducha mego wielkim poematem, który unieśmiertelni imię Konwaliusa Konwaliorum, a który przyniosę ci w dani, wprzód nim ziemia dwa razy zdoła uczynić swój krąg około życiodawczego słońca.

Uśmiechnęła się Klotylda, słysząc ten wykrzyknik wieszczca, ale powolnym, smętnym uśmiechem, w którym znać było jeszcze przed chwilą migoczącą w jój oku łzę.

Ale Cypryan nie uśmiechnął się; patrzył on na nią wzrokiem, zasnutym mgłą wzruszenia. Bo jeśli wesola i dowcipna kobieta wydawała mu się zachwycającą i powabną, o ileż więcej pociągającą była z tém drzeniem głosu, z tą łzą w oku, wywołaną wspomnieniem stron rodzinnych i wspomnieniem matki.

W owéj chwili Cypryan poczuł w piersi rodzące

się uczucie silne, namiętne, jakiego nigdy nie znał. Dotąd miłości jego wszystkie bywały wesołe, swobodne, lekkie, jak motylki wlatywały mu do serca i głowy, pofruwały i wylatywały w świat znowu, nie zostawiając innego śladu swego przelotu, jak oddalone jakieś echa śmiechu, wesela. Tą razą inaczej było. Cypryan poczuł ogarniającą go dziwną jakąś rzewność, jakby bolesne przecucie, jakby obawa ścisnęła mu serce; poczuł, że ta kobieta, za którą, szczęściem lub fatalizmem wiedziony, gonił tak długo, stała mu się już drogą nad wyraz, poczuł, że po-raz pierwszy kocha głęboko, z szalem, z upojeniem, z namiętnością, która na nic się nie ogląda, nic nie liczy i nic nie waży.

I wesoły, swobodny, lekki i śmiejący się zwykle, młody człowiek, stał się w owęj chwili poważnym, zamysłonym, instynktowo, bezwiednie smutnym. Miłość objęła go i nagle przeistoczyła, a przeistoczenie to najlepiej świadczyło jemu samemu o głębokości zrodzonego w nim uczucia. Bo ze śmiechu, swawoli i wesela, zrodzić się może naiwne, lekkie, rozwiewne uczucie, ale takie tylko jest głębokiém i silném, którego kolebką łaża, a pierwszym objawem smutek.

Chcesz się dowiedzieć, jakiego rodzaju i stopnia jest miłość, której rodzenie się w piersi swój czujesz? Zważ, czy wesoły jesteś, czy smutny. Jeżeliś wesoły, pobawisz się chwilę wrażeniem i wkrótce o niém zapomnisz, — jeżeliś smutny, gotuj się do wielkiego



szczęścia, lub do wielkich cierpień prawdziwej miłości.

Bystremu i wprawnemu oku Klotyldy nie mogło ujść, jakkolwiek pokrywane, wzruszenie Cypryana. Popatrzyła na niego długo, badawczo i, jakby przypomniawszy sobie, że zaniedbuje jednego ze swych gości, zwróciła się z rozmową do Konwaliusa.

Nareszcie po trzech czy czterech (w raju zegarków niéma) godzinach wizyty, Cypryan żegnał panią Warską, która, podając mu rękę, rzekła z uprzejmym uśmiechem :

— Spodziewam się, że pan zechcesz być częstym moim gościem.

Nazajutrz rano, lokaj przyniósł mu misternie złożony bilecik, z wonnego i cienkiego papieru. Serce mu uderzyło silnie, otworzył go szybko i przeczytał :

„Wczoraj zapomniałam panu powiedzieć, że w każdą Środę wieczorem, przyjmuję moich znajomych i przyjaciół. Dziś więc poprawiam to zapomnienie, prosząc, abyś pan chciał do ich liczby należeć, a powitam go zawsze u siebie z prawdziwą przyjemnością.“ *Klotylda.*

Piérwszą myślą Cypryana, po przeczytaniu tego listu, było pytanie: jaki jest dzień dzisiejszy?

Był to Wtorek. A więc jutro, myślał młody człowiek i, przycisnąwszy do ust drobne pismo kobiece, zaczął chodzić po swoim pokoju i... marzyć.

Marzył Cypryan owém poranném świtaniem uczucia, przed którym wszystkie miłości przeszłe pierzchają, jak blade gwiazdy przed wschodzącém słońcem; marzył, a więc, według słów jakiegoś autora, który nazwał marzenie tyfusem ducha, duch jego pograżył się w sny gorączkowe.

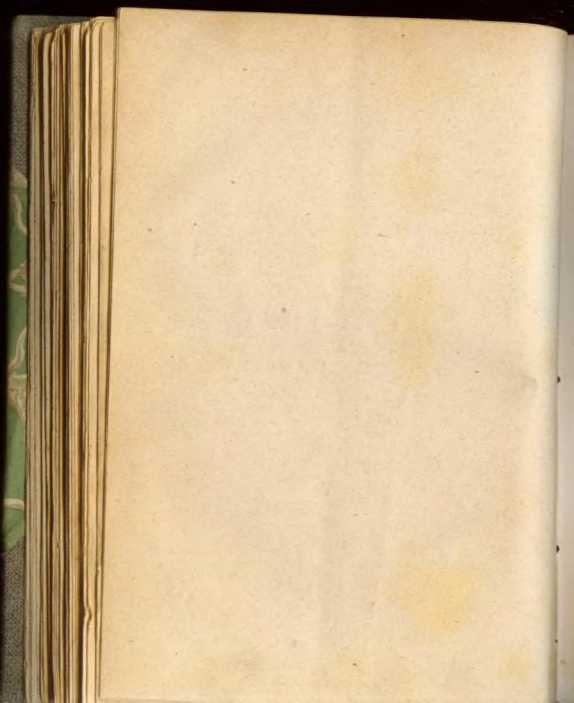
✦ Marzenia! marzenia! jakżeście wy piękne, gdy w głowie człowieka stajecie strojne w powaby upragnionych radości! Różana szata wtedy was owiewa, ku niebu się wznosicie skrzydłami białemi, a technieniem waszém nadzieja i słodkich obietnic szept.

Marzenia! imię wasze kłamstwo! Zwodne rusalki, różane szaty swoje szybko zmieniacie w mętną parę i mgłę, z której na rozkochanego w was człowieka, spływają zamiast kwiatów — rozpacz i łzy.

Szczęśliwy stokroć i zaprawdę stokroć naiwny, kto na ziemi marzy o szczęściu; ale gdy mu to marzenie za rzeczywistość nazawsze bodaj ma starczyć, niech śpi, póki go macosza dłoń życia nie zbudzi.

CZĘŚĆ II.

WRAŻENIE I MIŁOŚĆ.



„Najstraszniejsze dla człowieka są sidła,  
które mu jego własne zastawia serce.”

(*Wiktor Hugo: Pracownicy morza.*)

## I.

### J o d l o w a.

Rysunek, w albumie pani Klotyldy Warskiej, nie przesadził piękności jej cichej litewskiej wioski, owszem, nie odtworzył jej całkiem. Bo można przynieść na papier, lub płótno kształty, zarysy, barwy, krajobrazy; ale któż zdoła ołówkiem, lub pędzlem odtworzyć tę szeroką, różnostronną, a jednak logiczną i jednolitą harmonią szczegółów, które inne z rana, inne o zmroku, inne znowu przy gwiazd pochodniach, lub blasku księżyca, zalewają piękną okolicę smugami światła i cieni, mnóstwem piękności drobnych, a jednak złączonych w jedną potężną całość? Któż zresztą ołówkiem lub pędzlem odtworzy uroczyty spokój pól szerokich, cichą rozmowę drzew w głę-

binach leśnych, albo łagodny, a jednak brzemienny żywotną siłą miliona istot gwar, który, lecąc od trawki do trawki, od owadka do owadka, od kwiatu do drzewa i od drzewa do obłoków, wznosi się z ziemi ku niebu, jak drżący hymn tryumfu i dziękczynienia? Te wszystkie cuda na wielkim obrazie świata, odmalować może jeden tylko pędzel i jeden malarz. Pędzlem tym jest natura, w kierowniczym i wszechpotężnym ręku Boga.

Ta sama pocztowa szeroka droga, która przebiegała N., nie dalej, jak o lekką milę od miasteczka tego, zwracała się w wielki zakręt, aby ominąć dość wysoką górę. Na szczycie góry tej, wśród ciemnych i wiecznie szumiących jodeł, szarzały krzyże i białe marmur grobowego pomnika, a las, obrastający boki góry, łączył się z rozległym ogrodem jodłowskiego dworu.

Piękny był ten ogród powagą jodeł starych, grubych i wysokich, dawno, przed wiekami chyba, zasadzonych w szerokie aleje, łączących się w górze ciemno-zielonym, kolczastym, gęstym sklepieniem. Aleje te krzyżowały się ze sobą w różnych kierunkach; szerokie ciągnęły się prosto wytkniętą linią, węższe przerzynały je, skręcały na prawo i lewo, obiegały kwadraty, koła i gubiły się gdzieś wysoko w głębiach lasu, obrastającego górę, niby rzeki w głębiach morza. Między temi wysokimi ścianami jodłowych alei, na gładkich, rozległych przestrzeniach, zieleniały

brzozowe gaiki, błyskając białą korą; odwieczne dęby rozłożystemi gałęzmi ocieniały grupy ławeczek i stoliczków; gdzieśgdzieś wśród aksamitnej murawy, wązka, kręta ścieżka wiodła do jakiejś cichej, w głębi gaju ukrytej altany, albo do stóp którego z posągów, stojących na oplecionych bluszczem podstawach. W samym środku ogrodu był staw obszerny i czysty; w głębi jego przeglądały się pochylone gałęzie jodeł, a powierzchnią muskało śnieżnymi skrzydły wspaniałe stado łabędzi. W całym ogrodzie, nie było ani jednego kwiatka i ani jednego takiego miejsca, któreby się zaśmiało do człowieka radośnie, promiennie. Ciemne jodły szeptały tam wiecznym szumem jakieś tajemnicze rozmowy, opowiadając sobie może podsłuchane radości i podpatrzone łzy tych, którzy tam u ich stóp przez długie lata ruszali się, cieszyli, boleli i... pomarli dawno. Nad stawem gromadami pływały w powietrzu jaskółki, rozlatując się w cienie gęstych brzozowych gajów, kędy jękiem płaczącym witały i straszyły je sowy. Białe ławeczki i smukłe posągi w zmroku wieczornym, lub przy świetle księżyca, wydawały się błądzącymi po ogrodzie widmami, które zstąpiły z górnego cmentarza, a zdala od góry płynęły jęki i szумы lasu, jakby poselstwo, słane od sióstr szczęśliwych, do sióstr wygnanych, od jodeł dziękującej natury, do jodeł ogrodu.

Wchodząc do ogrodu tego od strony góry, długo można było iść wśród tych ciemnych, szumiących prze-



strzeni, pod sklepieniami jodeł i po miękkich kobiercach, otaczającej brzoźowe gaje murawy, nie widząc mieszkalnego domu, nie słysząc najlżejszych odgłosów, towarzyszących zwykle ludzkim krzątaniom się i zachodom. Aż nagle, w końcu najszerszej, przeryniającej sam środek ogrodu, alei, odkrywała się obszerna przestrzeń, niczem już nieocieniona, lecz tylko w wielkie koło otoczona nisko ciętym szpalerem bżów i jaśminów i ścieląca się pod stopy jednopiętrowego białego i dużego domu. Pod dwiema jodłami, kończącymi aleję, jak stróże stały na wysokich piedestałach, dwa mistrzowską ręką urobione białe posągi, a od nich, w tysiącznych skrętach, wiły się wazniuchne, usypane jaskrawym żwirem dróżki, dokoła klombów, woniejących wytwornemi kwiatami, zbiegając się pod szerokim i długim, o dwóch marmurowych wschodach, gankiem domu. Na ganku tym, wśród wielkich drzew pomarańczowych, mirtowych i cyprysowych, stały niedbale i bez symetrii ustawione kanapki, fotele i marmurowe stoliczki, a gdzieś niedzie z pomiędzy zieleni, wychylała się biała kamelia, lub różowa datura i wglądała w długie a wązkie, o starożytnym kształcie i lustrzanych szybach, okna domu.

Z drugiej strony domu był dziedzińiec obszerny, otoczony niskim żelaznym ogrodzeniem i osadzony w wielkie półkole jodłami tak grubemi i staremi, jak te, które były w ogrodzie. Za bramą szeroka droga,

wysadzona klonami i jarzębiną, wiodła do pocztowego gościńca, który, wychylając się z za góry, biegł z prawej strony ogrodu tak blisko dworu, że turkot kół i odgłosy pocztowego dzwonka, wyraźnie dochodziły do wnętrza domu. Z lewej strony, pod ścianą jodeł, stały murowane duże oficyny; od nich ku ogrodowi ciągnęły się szklane ściany cieplarni i ananasarni, a za nimi był drugi dziedziniec, otoczony gospodarskimi budowlami, nad którymi królował szary, obszerny dom, zamieszkiwany zwykle przez rządców, lub dzierżawców Jodłowej.

Pani Warska pochodziła z jednej z najstarszych i z dawien dawna możnych rodzin téj prowincyi, i Jodłową odziedziczyła po dziadach, pradziadach. Tradycye miejscowe mówiły, że najmłodsza jodła jodłowskiego ogrodu, miała półtora wieku, a najstarsi ludzie w okolicy, ledwie pamiętali ów dzień, kiedy dziad pani Klotyldy, skończywszy budowanie stojącego obecnie domu, sprosił do siebie na festyn całą szlachtę z obrębu mil kilkudziesięciu, uiluminował ogród, kapełę sprowadził z Warszawy, a z piwnic wytoczył dla panów beczki tokaju, dla służby beczki miodu.

Gdyby jodły tamecznego ogrodu mówić umiały, mogły-by wiele ciekawych opowiedzieć rzeczy o pokoleniach, które z kolei u stóp ich żywot swój wiodły i kończyły. Zaczawszy choćby od dziada terażniejszej dziedziczki, opowiedziały-by, jak kasztelan jo-

dłowski, w późnym wieku, doczekał się syna, dziedzica dóbr, imienia i ogólnej estymy, jaką z dawien dawna cieszyła się jego rodzina. Radość ztąd była wielka, ale niestety krótka, bo oboje kasztelaństwo, nie doczekawszy dziesiątej wiosny swego jedynaka, pomarli.

I opowiadały-by, gdyby mogły, stare jodły, jak potem młody kasztelaniec wrócił z zamorskich krajów, w których się uczył, piękny, ognisty, odważny. Był on tak gwałtowny, że w przystępie gniewu strzelił raz do człowieka, a choć na szczęście chybiła drżąca od wewnętrznego wzburzenia ręka, to ludzie długo zapomnieć nie mogli straszego ognia, jakim w owiej chwili zapalały mu oczy i zapłonęła twarz cała. I był on tak namiętny, że młode kobiety nie mogły długo zniesć jego spojrzenia, gdy patrzył na nie, jak żuzle palącemi się oczyma. I był tak odważny, że największe niebezpieczeństwa go nie straszły, nie zrażały najstraszniejsze przeciwności.

Lubił on na pół dzikim koniu uganiać się po polach i lasach, wtedy, gdy najgwałtowniejsze huczały burze, pioruny były w szczyty odwiecznych drzew i wichry rozwiewał mu nad czołem jego czarne, jak smoła, włosy. Lubił w samotnym ostępie sam-na-sam zmierzyć się z rozdrażnionym niedźwiedziem, albo pograć się w falach bystrzej i spienionej rzeki, sięgając jej głębi i po długiej chwili wypływając na powierzchnię, z muszlą zdobytą na samym dnie wód.

Do kasztelanica zjeżdżali się liczni towarzysze i przyjaciele, młodzi i ogniści jak on. Wtedy nie tokaju już, ale szampana płynęły potoki; w ścianach domu rozlegały się śpiewy rycerskie, miłośne i myśliwskie, a mimo ówczesnego zwyczaju, nigdy ani jeden nie rozworzył się stolik. Gdy raz któryś z gości napomknął o grze kartowej, kasztelaniec zsunął swoje czarne brwi i odrzekł:

— Ręka moja nie dotknie nigdy cudzych pieniędzy, a ze swojemi wolę uczynić to...

I łącząc czyn do słowa, wyjął z bogato rzeźbionej szuflady garść złota i przez otwarte okno rzucił je ludziom, ścinającym murawę dziedzińca.

Gwarne te sceny nie często jednak powtarzały się w Jodłowej, bo kasztelaniec długie nieraz odbywał podróże, a i w domu zamykał się niekiedy samotnie, całe dni i wieczory zimowe przesiadując w sali, której ściany zawieszono były portretami jego przodków. Przed ogniem, trzaskającym na dużym staroświeckim kominie, z książką w ręku, siadywał on godziny całe, a oczy błędziły po rycerskich twarzach i postaciach pradziadów. Przy czerwonych błyskach płomieni, portrety zdawały się drżeć, strzelać oczyma i występować z ram. Z rąk kasztelanica wypadła wtedy książka, czoło jego zachodziło posępną chmurą i pierś wznosiła się ciężkiem westchnieniem. A im dłużej wpatrywał się w portrety, tém głębszy żal, tém gwałtowniejsza rozpacz zdawała się go ogarniać; aż zry-

wał się, klaskał w dłonie na służbę i rozkazywał osiodłać czarnego sułtana, o białej na łbie strzale, wsiał na konia i o zmroku leciał przez pola, wichrami gnany, niby czarny duch niepokoju. I dopióro, gdy nad głową jego zaszumiał las i zamigotały gwiazdy, zwalniał bieg konia.

Po takich fantastycznych wycieczkach wracał znowu do portretowej sali i długo w noc służba słyszała jego równe kroki, ale nie widziała, jak, oświetlona gasnącym ogniem kominka, dumna postać jego zginała kolano przed rycerskimi twarzami naddziadów.

Po kilku tygodniach takich rozmyślań i targań się niespokojnego ducha, zrywał się znowu do lotu, opuszczał na długo Jodłową, i tylko echa z dalekich stron donosiły mieszkańcom jój okolicy, jak gdzieś na świecie kasztelanie słynął ze swych szaleństw, z których jedno dotykały najwyższych szczytów bohaterstwa, inne podobne były do zbrodni. Jedne z tych szaleństw czyniły go sławnym Lovelasem stolice, inne jeszcze rycerskim Bayardem, broniącym niewinności i cnoty, albo rozrzutnym Epikurejczykiem, ścielącym różami posadzki swoich salonów i rzucającym złoto w żebrzące tłumy.

A wszystko razem stanowiło tło człowieka o namiętnościach gorących jak lawa wulkanu, o porywach szlachetnych, aż do poświęcenia i gwałtownych, ale nigdy niskich lub brudnych. Rozważni ludzie, patrząc na niego i słysząc o nim, mawiali, iż był to pię-

kny i szlachetny człowiek, miotany krwią płomienną i niespokojnym, szalonym duchem.

Raz z jednej takiej podróży, wrócił do Jodłowej już nie sam jeden. Przyjechała z nim młoda i bardzo piękna kobieta, o białém jak śnieg licu, kruczych włosach i dużych, ciemnych, łagodnych oczach. Była to jego żona.

Zakłęty mocą piękności i anielskiej dobroci młodej dziewczycy, na parę lat uspokoił się burzliwy duch kasztelanica. Latem, twarz Hanny, jak biała róża, zakwitła w mrocznych alejach ogrodu, gdy przechadzała się z mężem, z głową na jego ramieniu opartą; w zimie głos jój srebrzysty rozlegał się łagodnie w portretowej sali, gdy, przy świetle kominkowego ognia, czytała mu ulubione jego rycerskie epepeje a on w swój dłoni pieścił wtedy i muskał jój długie, czarne warkocze, któremi przez dziecięcą swawolą owijała mu, niby lśniącemi węzami, szyję, pierś i ramiona.

Ale po dwóch czy trzech latach, demon kasztelanica pognał go znowu z domowej ustroni w świat gwaru i tłumów, a stare jodły widziały smukłą i bladą kobietę, samotnie przechadzającą się pod ich cieniem i z załamanemi rękoma stojącą u stóp posągów, ze wzrokiem wpatrzonym w głębie wód, jakby w nich szczęście swoje stracone odnaléć chciała.

Lecz nie wraca, nie wraca szczęście, gdy raz od

człowieka odleci! Nie odszukać go ani w błękitnie niebios, ani w głębinach wód, a chyba tylko odtworzyć je można, skrwawione i męczeńskie, we własnej piersi, w bezsamolubnym, wielkim jakim uczuciu.

To też ani błękit niebios, ani wód głębin, ani szum lasów, w których dosłuchiwała się echa od swoich stepów rodzinnych, nie wróciły Hannie minionego szczęścia. Mąż jej szalał znowu, porwany szatańskimi potęgami krwi swojej i ducha, wracał zaś do niej niekiedy żądający i czuły, ale chmurny i posepny, a nigdy nieuspokojony.

Lecz odtworzyła ona w samej sobie smutne, ale piękne i bohaterskie, szczęście wewnętrzne. Tłem szczęścia tego były dwa uczucia: bezgraniczna litość dla wszystkiego co cierpiało i miłość macierzyńska. Hanna miała córkę; Klotylda urodziła się w rok po przybyciu jej do Jodłowej.

Wzrastało dziecko, nie znając prawie ojca, ale wzrok matki łzawo nieraz i trwożnie spoczywał na niem, bo twarz dziewczęcia była istnym jego portretem. Ludzie przesądni mawiali: będzie szczęśliwa, bo podobna do ojca; a matka drżała na te słowa i łzy polykała tajone, bo ona jedna tylko może na świecie wiedziała, jak wiecznie nieszczęśliwym, wiecznie miotanym i rozdartym na dwoje przez złe i dobre moce, był kasztelan.

Oczy Klotyldy były, jak u ojca, wielkie, pałające, zmieniające barwę w miarę wzruszeń wewnętrznych:



brwi jęj, jak jego, zginały się dumnie i energicznie regularnym zarysem; usta kształtne, wilgotne, były namiętnie. Uniesienia miewała te same, tę samą fantastyczność pomysłów, gwałtowność żalu lub radości, miłości czy gniewu, i tę samą brzydzącą się fałszem i wszelką nizkością prawość i dumę rycerską. Tylko z duszy Hanny przelała się w jęj serce wielka miłość dla biednych i cierpiących, i ujmująca słodycz obejścia się z otaczającymi, przed którą, im starsza była, tém więcej ustępowały wybuchy gniewu, odziedziczone po ojcu.

Hanna troskliwie pielęgnowała w córce dobre zarody, a starała się tłumić popędy groźne. Wcześniej przyzwyczajała ją do dziękczynień i błogosławieństw ludzkich, dając jęj możność zasmakowania w zadowoleniu, płynącym z pełnienia dobrych czynów. Kwiatami i poezją pragnęła zmiękczyć zbytnią energią, nauką ochłodzić ognistą wyobraźnię dziewczęcia, spokojem i słodką macierzyńską pieczęcią ukołysać ducha, który w dzieciństwie już zapowiadał burze przyszłości.

Trudne to było zadanie; może-by jednak moc macierzyńskiego serca zwyciężyła w łonie ukochanego dziecka złe, które w nie z krwią ojcowską spłynęło, ale niestety! Klotylda zaledwie dziesiąty rok kończyła, gdy jodły stare, smutnie wstrząsając ciemnymi szczytami, patrzyły na orszak pogrzebowy, towarzyszący trumnie Hanny. Cierpienia życia zbyt wielkim ciężarem

przygniotły żonę kasztelanica; gasła ona stopniowo, powoli, i tak, jak żyła, słodka, cierpliwa, nie o sobie myśląca — skonała, martwiącą ręką przyciskając do piersi głowę Klotyldy.

Wkrótce o jej przejściu przez świat, o jej pojawieniu się w Jodłowej, świadczył tylko marmurowy, kędyś z Włoch sprowadzony pomnik, który nad jej mogiłą stanął na górze, panując całej okolicy i, niby anioł-stróż, bielą unosząc się wśród jodeł ciemnych po-nad domem, mającym być kiedyś domem jej córki.

Gdy złożono w ziemię martwe zwłoki pięknej i anielskiej Hanny, kasztelaniec dumiał nad jej mogiłą długo, boleśnie. Co w owej chwili działo się w sercu i w sumieniu jego, niewiadomo, bo nie zwykł był zwierzać się nikomu na świecie; ale gdy podniósł głowę, długo jakąś ciężką myślą schyloną, słudzy, modlący się na grobie swojej pani, dojrzeni po raz pierwszy w oku dumnego i hartownego, jak stał, człowieka, drżącą na żrenicach łzę. Stoczyła się ta łza po mężkiem obliczu, a wzrok kasztelanica padł na córkę, która z rozognioną twarzą, z rozwianym włosom, drobnemi rękoma obejmowała świeżą mogiłę. Kasztelaniec pochwycił dziecię w gwałtowny uścisk i z niemi razem ukląkł na grobie, szepcząc niezrozumiałe wyrazy, jakby zmarłej coś przyrzekał, jakby ją o coś błagał.

Odtąd kasztelaniec, nagłym zwrotem, zdarzającym

się nieraz u ludzi namiętnych, pokochał córkę z całą gwałtownością swęj wulkanicznęj natury. Pysznił się szybko rozwijającą się bystrością jęj umysłu i wdziękami, wróżącemi wielką pięknosć; uczył ją sam śpięwać, rysować, a domownicy dziwili się, widząc, jak nieugięty pan ich posłuszny był nieraz kapryśnej woli dziecka, jak on, twardy i hartowny, miętko ją pieścił, bawiąc się warkoczami jęj ciemno-kasztanowatych włosów.

— Dziecię — mawiał jęj czasem — tyś niepodobna do matki; ona miała czarne włosy.

Na te słowa dziewczę nachmurzało białą twarzączkę i wieszało się ojcu na szyję, pytając:

— Czy ty mnie bardzo kochasz, ojcze?

— Dziecko, życie-byłm oddał za ciebie.

— I zrobisz wszystko, o co cię poproszę?

— Wszystko — odpowiedział kasztelanic, całując gładkie jak marmur czoło córki.

— Zrób ojcze tak — prosiła — aby matka moja powstała z tego zimnego, brzydkiego grobu, w który ją włożono, i niech potęm przyplynie po nas z góry gwiazda złota i zabierze ją, ciebie, mnie i Jodłową całą tam pod błękitne niebo, gdzie nikt nie umiera i nikomu za umarłymi nie tęskno.

Kasztelanic uśmiechał się, w oczach migotały mu smutne blaski, brał dziecię na kolana i mówił:

— Klotyldo, żądasz dwóch rzeczy, które stać się

nie mogą: umarli nie wstają z grobów i gwiazdy nie stępują nigdy na ziemię.

Wtedy pierś dziecka podnosiła się łkaniem gwałtowném.

— Czego płaczesz? — pytał ojciec.

— Chcę matki mojej i gwiazdy — odpowiadała Klotylda.

Kasztelaniec składał ją płaczącą na miękkich ko-  
biercach, a sam, stojąc nad nią i patrząc na konwul-  
syjne podnoszenie się jej piersi, mówił:

— Dziecię, ty nigdy szczęśliwe nie będziesz, bo  
masz moją naturę. Jam także przez życie całe  
z grobu wywoływał umarłą i gonilem za gwiazdą  
jakąś, przeczutą a niedościgniętą.

Wszyscy i wszystko wkoło Klotyldy korzyło się  
przed jej wolą. Słudzy i domownicy myśli jej w spoj-  
rzeniach czytać pragnęli, bo każda chmurka na czole  
dziecka wywoływała błyskawice gniewu w oczach pa-  
na Jodłowój, a gniew ten straszny był wszystkim.  
Lecz posłuszeństwo dla Klotyldy nie trudne im było,  
po matce bowiem odziedziczyła ona nieskończoną do-  
broć dla podwładnych i niższych od siebie, a otacza-  
jący ją mawiali: Będzie tak dobra, jak nieboszczka  
pani.

Mimo całej namiętnej miłości dla swjej córki, ka-  
sztelaniec nie mógł dłużej pozostać w Jodłowój. Zwy-  
czaj, który mu przeszedł w naturę, wewnętrzny ja-  
kiś ogień trawiący, a może i wyższe jakieś cele

gnały go w świat. Był moźnym, rozumnym, energicznym, a głowa jego wrzała myślami i pierś płonąła pragnieniem, które się w Jodłowej pomieścić nie mogły.

Klotylda kończyła lat czternaście, kiedy po raz pierwszy opuściła z ojcem Jodłową, a w rok potem wszystkie prawie europejskie dzienniki opisywały szczegóły straszego w Medyolanie pojedynku między kasztelanem i francuzkim markizem, pojedynku, w którym pierwszy z nich poległ.

W przeddzień walki, kasztelanie wskazał przyjacielowi rozplakaną córkę i dodał:

— Jeżeli umrę, powierzam ci ją, Edwardzie. Odwieź ją do kraju, do Jodłowej; niech się tam po mnie mogiłą matki pocieszy.

I wtedy tylko, gdy żegnał ukochane dziecko, głos mu zadrżał i po hardém czole przebiegła chmura głębokiej boleści.

Po śmierci kasztelanica, Edward Warski, chorą z rozpaczki Klotyldę odwiózł do kraju i opiekował się nią, tak umiejętnie i zręcznie, iż, mimo niestosowności wieku, zapanował nad wyobraźnią i wrażliwą naturą dziecka i został wkrótce jęj mężem. Powiadano ogólnie, że towarzysz zabaw młodości kasztelanica mniej był rozkochany w jęj córce, niż w dobrach, które odziedziczyła. Bądź co bądź, po dwóch latach dość smutnego pożycia, rozstali się z sobą na wieki: śmierć, zabierając ze świata pana Warskiego, dała im rozwód

Wtedy ośmnastoletnia wdowa ukazała się w Jodłowej tylko dla urządzenia majątkowych spraw swoich, poczem wionęła w świat i, jak dawniej o jej ojcu, tak potem o niej, do stron rodzinnych dochodziły wieści, na których odgłos, znający ją w dzieciństwie ludzie podnosili ramiona, mówiąc:

— Krew ojca przeszła w jej żyły.

Ale wszyscy biedni z okolic Jodłowej, włościanie, ofycjaliści, starzy słudzy jej rodziców, o których nie zapomniała wśród szarów i zabaw nawet swoich, którymi opiekowała się i których obdarowywała, wszyscy ci ludzie mawiali:

— Serce matki w niej się odrodziło.

Tymczasem dwór jodłowski, choć opuszczony przez dziedziczkę swoją, utrzymywany był wytwornie, z najwykwintniejszą starannością. Klotylda Warska dzierżawcę swego, pana Dembowskiego, poczciwego szlachcica, o zapaśnej kieszeni, sumiastym, siwym wąsie i stentorowym głosie, zobowiązała kontraktem do najściślejszego dozorowania każdego zakątka dworu i zachowywania go w tak porządnym i pełnym smaku stanie, w jakim zostawił go jej ojciec. Pan Dembowski, rzetelny i uczciwy do drobiazgowości, sumiennie spełniał polecenie dziedziczki; więc, lubo sama pani była w Paryżu, we Włoszech, czy w Warszawie, dwór jej roił się mnóstwem lokajów, ogrodników, wozniców; w domu woskowane posadzki salonów jak szkło błyszczały, w ogrodzie i cieplarniach kwitły

przepyszne kwiaty, a w stajniach rzały starannie karmione i doglądane wierzchowce i powozowe konie. Wydatkom tym wszystkim, podobnie jak znacznym potrzebom pani Warskiej, wystarczała Jodłowa i kilka innych, należących do niej, a sławnych urodzajnością, folwarków.

Na drugim dziedzińcu, oddzielonym od mieszkalnego domu i dworskich oficyn żelaznym otoczeniem i nieprzejrzaną prawie ścianą jodeł, w szarym domu, przeznaczonym na mieszkanie dzierżawcy, schludnie było i porządnie, bo pan Dembowski lubił ład, a żona jego dobrą była gospodynią, ale skromnie i po szlachecku. W obszernych i wygodnych pokojach posadzki nie woskowane były, ale czerwono malowane; przed kanapami z jesionu stały stoły, pokryte siatkowemi serwetami domowej roboty; w rogach bawialnego pokoju, na staroświeckich etażerkach, rozstawione były różnokształtne filiżanki z podejrzanej porcelany, albo bukiety z włóczkowych, także domowej roboty, kwiatów, chronione od pyłu szklanemi, wzdłuż i wszerz pękniętymi, kloszami. Na oknach, zamiast pomarańcz i kamelii, zdobiących dworski ganek, za firankami z białego muślinu, kwitły miesięczne różyczki, rezeda i pelargonja, a niekiedy tylko, wyniesiona z cieplarni, ukazywała się wonna datura, albo wspaniała hortensya, nielubiona przez samą panią Dembowską, bo mówiono, że klótnią w dom wносиła.



Pan Dembowski jednak, tak był skrupulatnie sumienny i uczciwy, że za daturę nawet i hortensyą gniewał się na córki, dowodząc, że nie powinny brać ich z cieplarni, boć przecie on kwiatów w Jodłowej nie wziął w dzierżawę, a więc nie ma do nich prawa.

W tém-to szlacheckim mieszkaniu, jednego z ostatnich dni kwietniowych, wielki panował rozruch. Pan Dembowski wszedł z rana do pokoju żony i córek z listem w rękę i rzekł:

— Pani Warska dziś wieczorem do Jodłowej przyjedzie. Niech jéjmość z dziewczętami obejdzie ogród i dziedziniec, mosanie tego, i napędzi ogrodników, aby u nich wszystko było w należyтым porządku. Reszta moja rzecz.

Po chwili stentorowy głos dzierżawcy brzmiał w stajniach i kuchni; furmani wyprowadzali konie, wierzchowe przepędzając na linach, powozowe pojąc i czyszcząc, a kucharze krzatali się tak, aż dym gęstemi kłębami buchał z kuchennych kominów. Pani Dembowska chodziła po wszystkich drogach i drózkach ogrodu, patrząc, czy starannie wygracowane, a panienki, z pomocą małych ogrodniczków, układały do salonów bukiety i kosze z kwiatami, a oprócz tego, odświeżały własne sukienki i wstążeczki, aby móż przyzwoicie pokazać się przybywającej dziedzicze, *światowej*, jak mówiły, i eleganckiej pani.

Gdy rozniosła się po dworze wieść o mającém za kilka godzin nastąpić przybyciu pani Warskiej, nikt

nie poczuł obawy, ani niezadowolenia. Począwszy od samego dzierżawcy i jego rodziny, aż do sług, należących do najniższych stopni w hierarchii domowej, wszyscy mieli rozpromienione twarze i cieszyli się, że raz już przecie ujrzą w Jodłowej śliczną i dobrą panią.

Najstarszy stangret pieścotliwie splatał długą grzywę ulubionego jój wierzchowca, Pegaza; ogrodnik całe dwie godziny wysiłał swój smak i umysł na ustawienie wazonów, strojących ganek; kucharz łamał sobie głowę nad wynalezieniem nowego sposobu urządzenia pasztetu, a stary, siwy Ignacy, kamerdyner kasztelanica, za młodych jego jeszcze lat, przechadzał się po salonach, zdmuchywał pyłki ze stołów, po raz setny ocierał lustra i poprawiał symetryą rozstawionych wszędzie bukietów.

Gdy zmrok zapadać począł, pan Dembowski, w świątecznym ubraniu, zapalił fajeczkę i wyszedł na ganek swego mieszkania, a trzy jego jasnowłose córki, w niebieskich, wykrochmalonych perkalikach, zaczęły się przechadzać za jodłami i żelaznym otoczeniem dworskiego dziedzińca, chcąc tego dnia jeszcze, choć przelotnie, choć wysiadającą z powozu, zobaczyć panią Klotyldę.

Zmrok zapadł już zupełny; stary sługa pozapalał w salonach lampy i kilkoramienne świeczniki, oświecił przedpokój i u stropu podjazdowego ganku zawiesił

latarnie. Gdy spełnił tę ostatnią czynność, wszedł na ganek pan Dembowski.

— A cóż, Ignacy! — ozwał się grubym swoim basem — pani nie przyjeżdża, mosanie tego, co?

— Przyjedzie — odpowiedział stary — już kiedy napisała, że przyjedzie, to przyjedzie.

— Prawda, że ona bardzo akuratna, mosanie tego.

— Rychtyk, jak zegarek. Co w tém, to poszła po ojcu; już kiedy, bywało, co powie, to jak amen w pacierzu, choćby pioruny były, tak musi być i koniec.

Z dała, łagodny wietrzyk wiosenny, przyniósł odgłos pocztowego dzwonka.

— Ot, jedzie! — zawołał Dembowski, i zaczął nasłuchiwać.

— Jedzie! — zawtórował sługa, i słuchał także.

Ale im bardziej zbliżał się dzwonek, tém większy wyraz rozrzewnienia zalewał twarz starego Ignacego. Słuchał i mrugał oczyma, posłuchał jeszcze i zagryzł siwego wąsa. Dzwonek był tuż, tuż blisko bramy. Ignacy skrzywił się potężnie i wierzchem ręki pociągnął po zwilgotniałych oczach.

Dembowski patrzył na niego i zaśmiał się swoim rubasznym, głośnym śmiechem.

— A cóż to, mosanie tego! — zawołał — cebuli powąchałeś, Ignacy, że ci lzy płyną z oczu?

— Oj, nie cebuli powąchałem, ale stare czasy przypomniałem — odparł Ignacy. — Przecież to ja

jój ojca na ręku nosilem i ją widziałem w kołysce, i trumnę nieboszczki pani, het tam, na górę niosłem. Ja jój nigdy nie mogę widzieć bez łez; taka to już moja natura.

— A ja znów — odpowiedział dzierżawca — jak patrzę na panią Warszawską, to mi wszystkie uśmiechy z serca na usta lęzą, mosanie tego. Taka śliczna! taka miła! Ej, Boże odpuść... nie dziwić się tym ludziskom, co to tam za nią, na wielkim świecie, łby tracą!

— Ej tracą, tracą! co tam tracą! — nierad z téj wzmianki, zamruczał Ignacy. — Czy to właśnie wierzyć ludzkim plotkom? Kto miał łeb, to go nie stracił, a kto miał tylko połowę, to i niewielka szkoda. Co to tracą! jak tracą! A żeby i tracili, czy to jój wina? czy ona może im zabronić, czy co? Ot, piękna i dobra, jak anioł, i kwita!

Nadjeżdżający powóz przerwał gderanie Ignacego, który ujmował się za dobrą sławą swój pani. W bramę wjeżdżała sześciokonna karetka i szybkim kłusem podjechała pod ganek. W mgnieniu oka Ignacy otwierał już drzwiczki powozu, a pan Dembowski, z barankową czapką w ręku, stał na pierwszym schodzie ganku.

Z powozu wysiadła pani Warszka, w czarnej sukni i kapeluszu z czarną koronkową zasłoną, a za nią wyskoczyła jój ulubiona i nieodstępna sługa, Marylka.

Wysiadając, Klotylda uśmiechem i skinieniem gło-

wy powitała Ignacego, potem, ujrawszy dzierzawcę Jodłowej, żywo postąpiła kilka kroków i, podając mu obie ręce, rzekła głosem, w którym dźwięczała serdeczna uprzejmość:

— Witam pana. Takem już zatęskniła do Jodłowej i do państwa tu wszystkich, żem przyjechała nareszcie, i to na parę miesięcy.

Pan Dembowski poniósł do ust obie śliczne rączki, a ściskając je w swoich grubych i ciemnych dłoniach, zawołał:

— Witamy, witamy panią dobrodziejkę! ho, ho, ho! mosanie tego!

W miejscu, gdzie między oranżeryą i domem przedziały się nieco gałęzie jodłowe, z za niskiego otoczenia wyglądały na dworski dziedziniec trzy jasnowłose, o rumianych policzkach, głowy, i śród zmroku błyskały błękitne perkaliki trzech córek pana Dembowskiego.

— Czy widzisz, czy widzisz ją? — szeptała najstarsza Elżunia, przechylając się na wszystkie strony, aby lepiej ujrzeć panią Warszawską.

— Widzę, widzę! — odszepnęły dwie inne.

— Ależ suknia! — szepnęła średnia, Antosia.

— Aż szeleści, jak wiatr! — zauważyła najmłodsza, Magdzia.

— Patrz, patrz, jak pięknie idzie!

— Podała ojcu rękę.

— Nie, obiedwie.

— Słyszysz, słyszysz, coś mówi!

— Ot teraz światelko od latarni na twarz jój padło. A, że piękna, to piękna!

— Jeszcze piękniejsza, niż była w przeszłym roku.

— Ach, ten ojciec, zasłonił ją!

— O, znowu podaje ojcu rękę.

— Ot i poszła!...

— Szkoda!

— Jutro ją pewnie zobaczymy.

— W przeszłym roku była u nas, zdaje się, trzy razy.

— Nie, dwa i to zawsze na chwilkę, bo pamiętasz, że mama zaraz po jój wyjeździe wyjechała z Magdzą na całe lato do ciotki Lipowskiej.

Rozmawiając w ten sposób, dziewczęta odeszły od ogrodu dworskiego dziedzińca i zaczęły przechadzać się przed gankiem swego mieszkania, wkoło dużego klombu z różanych i bżowych krzewów.

— Dziwna rzecz — ozwała się Magdzia — czemu pani Warska ciągle nie mieszka w Jodłowej? Tu tak pięknie! Mój Boże, gdybym ja miała taką Jodłową, nigdy-bym jój nie opuszczała.

— Ej, co ty wiész! — odpowiedziała Elżusia — czyś ty kiedy widziała wielki świat? Ja, jak byłam dwa miesiące w Wilnie, u ciotki Kaczyńskiej, to widziałam z daleka, jak tam panowie pięknie kłaniają się i mówią, a panie zawsze w aksamitach i atlasach, ciągle tańczą, jeżdżą z wizytami, słuchają muzyki, albo

patrzą na teatr i cóż dziwnego, że pani Warska, taka piękna, taka bogata, woli żyć na tym wielkim świecie, niż w Jodłowej.

— I cóż tam jój tak bardzo miłego daje ten wielki świat? — zarzuciła znów Magdzia.

— Bawi się dobrze i basta! — zdecydowała Antosia.

— Et, mnie bo się zdaje, że człowiek nie na to stworzony, żeby się bawił — szepnęła Magdzia.

— I cóż-byś ty robiła, gdybyś była bogatą? — szepnęła Elżusia.

— O, nie powiem, nie powiem! — ze śmiechem zawołała Magdzia.

— Czemu nie powiesz?

— Powiedz ty wprzódy, Elżusiu.

— Jabym bawiła się, jak pani Warska.

— A ty, Antosiu?

— Jabym jedną część majątku oddała rodzicom i wam, drugą ubogim, a za trzecią nakupiła-bym sobie tyle czekoladowych cukierków, żeby mi na całe życie wystarczyło.

— Ha, ha, ha! — zaśmiały się siostry.

— A ja anibym się bawiła, anibym czekolady nie nakupiła — rzekła Magdzia.

— A cóżbyś zrobiła?

— Nie powiem, bo będziecie się śmiały.

— Nie będziemy, tylko powiedz, powiedz!



— No, to już powiem, nie śmieście się ze mnie. Oddała-bym wszystko panu Lucyanowi.

— Panu Dolewskiemu? — zawołały siostry — a tobież, Magdziu, z kąd on do głowy przyszedł?

— Ot, tak! ni z tąd, ni z owąd — odparło dziewczę — może od téj gwiazdki, co nad naszym domem świeci, może od téj jodły, co nad nami szumi. Alboż to on pierwszy raz przyszedł mi do głowy?

— Ej, Magdziu, Magdziu! — pogroziła starsza siostra.

— No i cóż w tém złego?

— Już to ja dawno spostrzegam, że ty się zakochałaś w panu Lucyanie.

— Ej, zakochałam, to nie; ale on taki dobry! — odrzekła Magdzia, cała płonąć rumieńcem.

— To prawda, a jakie ma piękne oczy! — zawtórowała Antosia.

— Tak, ale czyż to on patrzy na nas? — zauważyła Elżusia.

— Alboż to koniecznie trzeba, żeby zaraz i patrzył — zarzuciła najmłodsza. — Wiadomo, że my jesteśmy biedne wiejskie dziewczęta, w domu wychowane, że nic nie umiemy, nic nie znamy. O czém-że on będzie z nami mówił i dlaczego miał-by się nami zajmować, kiedy jemu czego innego trzeba? Ale zawsze można przyznać, że takiego dobrego i miłego człowieka, jak on, chyba niéma na świecie.

— Ach, wiecie, co mi przychodzi do głowy? — za-

wołała Elżusia — jak on pozna panią Warską i pani Warska jego...

— To i cóż będzie?

— To się pewno pokochają.

— A może... — bardzo cicho szepnęła Magdzia.

— A to-by szkoda było pana Lucyana — rzekła Antosia.

— A toż czemu? owszem, śliczna-by z nich dwójga była para.

— Ej, albo-by to pani Warska wyszła za niego? — rozmawiała dalej Antosia. — Prawda, że jest piękny, dobry i rozumny, ale biedny, i to tylko ma, co zapracuje, a ona bogata i mówią ludzie...

— Cóż tam ludzie mówią?

— Że okrutna z niej bałamutka.

— A mnie się zdaje — rzekła Magdzia — że choć pani Warska i bogata, i, jak mówią, bałamutka, dlatego pana Lucyana pokochać może.

— A cóż-bys ty na to powiedziała, Magdziu? — figlarnie spytały siostry.

Magdzia milczała przez chwilę, aż odrzekła:

— Jeżeli-by pan Lucyana był przez to szczęśliwy, poszła-bym piechotą do Ostrój Bramy, podziękować Matce Bożkiéj.

— Panienci! panienci! proszę na kolacyą! — zawołała służąca, z fartuchem u pasa i w chustce na głowie, niosąca przez dziedziniec z kuchni ku gankowi

wielką salaterkę, z której rozchodził się zapach zawi-  
janych zrazów.

Panienki szybko pobiegły ku domowi, bo wiedzia-  
ły, że ojciec nie lubił czekać, i gdy mu się to kiedy  
zdarzyło, gdérał straszliwie.

Zaledwie weszły do jadalnego pokoju, w którym,  
koło nakrytego i jedną świecą oświetlonego stołu, sta-  
ły proste, czerwono malowane krzesła, z innych drzwi  
wszedł pan Dembowski.

— Cicho, dziewczęta! — rzekł — matka niezdro-  
wa, położyła się.

— A co to mamie? — zawołała Magdzia, biegnąc  
już ku drzwiom pokoju matki.

— Nie idź tam, mosanie tego, może zasnęła.  
Przeiębiła się widać i dostała bólu głowy i dresz-  
ców.

— Już to mama od kilku dni nie jest zdrowa —  
zauważyła Antosia.

I posmutniałe nieco dziewczęta zasiadły z ojcem  
do wieczerzy; niemniej jednak z wiejskim i młodym  
apetytem zmiatały z półmisków i salaterek zrazy za-  
wijane i kaszę gryczaną ze szwedami.

Kilka chwil przedtém pani Warska, po chwilowej  
rozmowie na ganku z dzierżawcą swoich dóbr, powie-  
działa mu grzeczne: do jutra! i wbiegła do oświetlo-  
nego wnętrza swego domu.

Wnętrze to odpowiadało wytwornością i smakiem  
zewnętrznej stronie jodłowskiego dworu. Piękna dzie-

dziczka z dużych, ozdobnych sieni, weszła do obszernej sali jadalnej, której kilka okien wychodziło na dziedziniec. Między temi oknami, w wązkich złożonych ramach, powprawiane były w ścianę lustra od sufitu do posadzki; przeciwną ścianę całkiem prawie okrywały portrety przodków pani Warskiej. U okien nie było firanek ani kwiatów, lecz tylko pod każdym z nich, na marmurowych podstawach, widać było wielkie etruskie wazony, albo posągi, niosące na głowach kosze owoców, a w rękach czary i wieńce. W środku sali stał starożytny stół, rzeźbiony z orzecha, a wkoło niego również staroświeckie i rzeźbione, o wysokich poręczach, krzesła. Posadzka cała pokryta była kobiercem o arabeskach ciemnych barw, a między portretami otwierało się dwoje wązkich a wysokich, jak okna, i także bogato rzeźbionych, drzwi.

Drzwi te prowadziły do dwóch salonów. Pierwszy z nich duży, o kilku oknach, wychodzących na ogród, zastawiony był sprzętami, pamiętającemi kasztelańskie czasy. Stały tam kanapy i fotele à la Louis XV, białe, z wyłaczanemi brzegami, obite ponsowym aksamitem, o złotych, szerokich frenzlach; stoliki marmurowe, na których barwiły się mozaikowane rajskie ptaki i bukiety; u okien wielkie bronzowe jastrzębie w dziobach utrzymywały ponsowe aksamitne firanki, zdobne złotą frenzlą; na ścianach wisiało kilka obrazów, o ciemnym tle i szerokich, złożonych ramach. Posadzka bez kobierców, poprzrzy-

nana czarnemi dębowemi kwiatami, lśniła się jak szkło; u sufitu wisiał wielki pająk, drząc kryształowemi ozdobami.

Drugi salon mniejszy był i całkiem już nowożytny. Zdobiły go miękkie kozetki i głębokie, paliowym atlasem pokryte, fotele, konsole marmurowe ze zwierciadłami i pięknym zegarem, lekkie atlasowe firanki u okien i drzwi, i wielkie, kunsztownie wyrabiane kosze, pełne kwitnących krzewów.

Z tego drugiego salonu jedne drzwi prowadziły do biblioteki, w której parę tysięcy tomów poustawiano w rzeźbionych i oszklonych szafach; drugie wiodły do niewielkiego pokoju, o szerokich szklanych drzwiach, wychodzących na ganek do ogrodu. Pokój ten urządzony został przez samą już panią Warszawską i był ulubioném jęj miejscem w Jodłowej, a kto wchodził doń, mógł sądzić, że magiczną siłą jakąś na daleki Wschód został przeniesiony.

Ściany pokoju tego były całkiem okryte grubą, ułożoną w szerokie fałdy, materją wschodnią, wyrabianą w barwne arabeski i koła; fałdy te pokrywały i sufit, tworząc rodzaj okrągłego sklepienia i schodząc się w wielką różę, od której spuszczała się szafirowa lampa. Wkoło ścian biegły bardzo niskie otomanki, okryte wschodniemi kobiercami i poduszkami; na posadzce leżał podobnyż kóbierzec; w dwóch rogach pokoju stały sięgające sufitu zwierciadła; w dwóch innych w spiralne kolumny ustawione były wazony

z kwiatami, a z po-za ich gałęzi wychylały się szafirowe także lampy. Materya, pokrywająca sufit i ściany, tworzyła zarazem zamknięte portyery u dwojga drzwi, z których jedne prowadziły do mniejszego salonu, inne do sypialni pani Warskiej.

Jak wschodni gabinet grubą wschodnią materyą, tak sypialnia ta ściany i sufit pokryte miała fałdami białego, przezroczystego muślinu. Między niemi stały kanapki, fotele, łóżko, małe biurko z przyborami do pisania, toaleta z ogromnym zwierciadłem i niskie, kołyszące się krzesła. Na marmurowym kominku widać było zegar alabastrowy i takąż lampę, a naprzeciw łóżka, pół-ukryta w fałdach draperyi, wisiała wyborna kopia Madonny Sytyńskiej.

Kłotylda szybko przeszła przez salę jadalną i dwa oświetlone salony i zatrzymała się we wschodnim gabinecie, u którego stropu paliła się szafirowa lampa. Zdjęła kapelusz i okrycie, oddała je Marylce i, zbliżywszy się do zwierciadła, wyjęła z włosów utrzymujący je grzebień. Strumień długich, grubych warkoczy opłynął jej ramiona i stan.

We drzwiach, w pełnej uszanowania postawie, stał Ignacy.

— Czy jaśnie wielmożna pani każe podać sobie wieszczkę? — zapytał.

— Dziękuję ci, Ignacy — rzekła, zsuwając z czoła opadające włosy — będę tylko piła herbatę. Marylka mi ją poda.

Stary kamerdyner skłonił się i miał wyjść.

— Pogaś światła w salonach — rzekła, podchodząc doń, Klotylda — widziałam już, że wszystko jest w porządku i wybornie utrzymane, i dziękuję ci za to, mój poczciwy.

Ignacy z jedną ręką podniesioną w górę, dla podtrzymania portyery, stanął jak wryty na te słowa; na twarzy jego znowu zagrało rozczulenie. Stał i patrzył na nią przez chwilę, aż wreszcie wyjąknął:

— Chwała Bogu, że jaśnie wielmożna pani przyjechała już do nas.

Klotylda zbliżyła się i drobną rękę położyła na jego ramieniu.

— Tracisz widzę pamięć, mój stary — rzekła z uśmiechem — zapomniałeś, że nie lubię, kiedy poczciwy sługa mego ojca i dziada nazywa mnie jaśnie wielmożną panią.

Było to zbyt wiele dla serca starego kasztelańskiego sługi; obu dłońmi pochwycił rękę Klotyldy i poniosł ją do ust.

— Moja droga, dobra pani! — wyszeptał.

— A jakże tam ma się żona twoja? — spytała Klotylda — a wnuczka twoja, Franusia, która w przeszłym roku za mojej tu bytności za mąż wyszła, czy zdrowa i szczęśliwa?

— Żonisko zdrowe, ale biedna Franusia...

— No cóż?

— Mąż jój, który, jeśli pani pamięta, był leśni-



kiem u pana M., stracił miejsce i teraz w biédzie oboje, a już i dziecko jest.

— O, toś ty już pradziadunio—zaśmiała się Klotylda. — A za cóż mąż Franusi [stracił miejsce? czy pije może, albo niepocziwie służy?

— Oj nie, pani! trzeźwy to i pocziwy człowiek, tylko, że go sobie rządzca pana M. nie spodobał.

— No, kiedy tak, to zaradzimy temu i znajdziemy mu lepsze jeszcze miejsce, niż to, które utracił. A dziecko ich czy już ochrzczone?

— Nie jeszcze. Urodziło się przed tygodniem.

— A przyjmiecie mnie za matkę chrzestną?

Tu Ignacy znowu poniósł do ust rączkę swojej pani.

— A teraz — rzekła ona — idź spać, mój pocziwy stary; musiałeś się dość namęczyć, przygotowując wszystko na moje przyjęcie. Już tu przy herbacie Marylka mi posłuży.

Skinęła z uśmiechem głową i odeszła, a Ignacy zniknął za opuszczoną portyera.

W jadalnej sali spotkało go dwóch nowoprzyjętych na służbę lokajów.

— Cóż tam pani? — spytali kamerdynera — w dobrym humorze przyjechała, co?

— Niech ją Bóg błogosławi! — odpowiedział stary, któremu się w oczach łzy kręciły — to anioł!

W godzinę potém, Marylka wynosiła ze wschodniego gabinetu srebrny przybór, z którego pani

jój piła herbatę, i zapalała w sypialni alabastrową lampę.

— Idź spać — rzekła do niej Klotylda — rozbiore się i położę sama.

Po odejściu Marylki, powstała z otomanki, na której leżała, zbliżyła się ku drzwiom od ogrodu, otworzyła je i wyszła na ganek.

Noc była gwieździsta, ciepła i cicha bardzo, wszystko już spało w Jodłowej. Łagodne tchnienie, połączone z wonią kwitnących po klombach kwiatów, owiało Klotyldę, niby pocałunkiem powitania; nad głowami posągów zaszumiały jodły, a między zielenią myrtu i cyprysu błyskały białe wazonowe róże i kamelie.

Klotylda stała przez chwilę, zapatrzona w ciemne, gwieździste sklepienie nieba, którego szczyty jodeł dotykać się zdawały, w posągi, w kwiaty... odetchnęła szeroko, obie ręce przycisnęła do piersi i rzekła:

— Jak tu pięknie! jak wonno! jak cicho!

Oparła głowę o gałąź i stała w milczeniu. W myślach jój przesuwać się musiały różne obrazy, bo po chwili szybkim ruchem wyciągnęła obie złożone ręce i szepnęła:

— Ojczy mój! matko moja! wyście tu żyli!

I zatopiona we wspomnieniach i rozmyślaniach, jakimi ją owiała Jodłowa, weszła do gabinetu, stanęła przed zwierciadłem i machinalnie zaczęła rozplatać swoje warkocze.

Po chwili uśmiech zaigrał na jęj ustach; obejrzała się i rzekła do siebie:

— Ciekawam, jak się *jemu* spodoba Jodłowa!?

Rozplatała, splatała swoje włosy i owijała niemi głowę, jak we wschodni turban, a potem przeszła do swęj sypialni.

Alabastrowa lampa łagodnie oświecała wytworny ten pokój, zegar odzywał się z cicha, jednostajnymi tętunami, a między fałdami muślinu, rozświetlona padającym na nią promieniem lampy, jaśniała twarz Madonny.

Ku nięj skierowała się Klotylda, ukłękła, złożyła ręce na piersiach i wzrok utkwiała w obrazie. Powoli wzrok ten łzą zachodził, pierś się podnosiła wzruszeniem, a usta roztwierały cichym, niedosłyszonym szepem modlitwy.

— Przed Tobą, o Maryo! modliła się matka moja przeczysta, do Ciebie ja, grzesznica, myśl moję posyłam. Z burz mego życia nietkniętą i ciepłą wyniosłam wiarę w Ciebie, o niepokalana! Teraz lepsza i czystsza, niż kiedy, klękam przed Tobą, niech przyszłość moja przeszłość odkupi. A Ty, Maryo, pomagaj biednemu sercu mojemu, aby w spokoju i miłości spocząć już mogło!...

W kilka chwil potem, zupełna cisza panowała w sypialni. Białe światło opromieniało ciągle twarz Madonny i drżący promień rzucało na uszpioną między fałdami muślinu Klotyldę. Owiał ją snąc spokój

Jodłowej, bo spała cicho, jak dziecię, głowa jej, stroj-  
na w koronę z warkoczy, spoczywała na białej  
obnażonej ręce, pierś lekkim oddechem podnosiła się  
spokojnie.

Zegar metalicznym dźwiękiem oznajmił północ,  
Klotylda poruszyła się, a uśpione i wpół otwarte jej  
usta cichym pytaniem wymówiły wyraz: przyszłość?

W tej samej chwili zagaśła na kominku paląca się  
lampa, ciemność zupełna ogarnęła pokój, a w dali,  
z głębi jakiejś stariej jodły, płaczkliwie zajęczała zło-  
wroźbna sowa.

## II.

### Byłaby to ta sama?

Nazajutrz po przybyciu pani Warskiej do Jodłowej, w mieszkaniu dzierżawcy Dembowskiego panował ten smutny ruch i zachód, który znamionuje zwykle wejście do domu nieproszonego gościa — choroby. Pani Dembowska leżała w silnej gorączce, a zapłakane jej córki, zapomniawszy już o tak zajmującym je wczoraj przybyciu dziedziczki i o swoich świeżych niebieskich sukienkach, krzątały się na palcach około chorągwej matki i szeptały z sobą pocichu, znosząc jej do łóżka słoczek i buteleczki z domowymi lekami.

Magdzia wybiegała często na ganek i, ręką zasłaniając wzrok od słonecznego światła, patrzyła w stronę szerokiej drogi, wiodącej z N., a gdy ją pustą ujrzała, wzdychała, ocierała łzy ponsową na szyi związaną chusteczką i, wróciwszy do pokoju, szeptała siostrą:

— Jeszcze nie widać doktora.

A w domu dziedziczki cicho było i spokojnie. Od dziedzińca smugi słonecznych promieni przez okna płynęły na lśniące posadzki salonów, od ogrodu, przez drzwi otwarte, wiała do wschodniego gabinetu woń wiosennych kwiatów.

Okolo południa do gabinetu tego weszła z ogrodu pani Warska. Ubrana była w biały kaszmirowy szlafroczek, przewiązany w pasie grubym sznurem z niebieskiego jedwabiu, i takiż sznur w misternych skrętach ozdobił jej głowę, niby wąż opasując warkocze i wijąc się między włosami. Wbiegła do gabinetu, śpiewając arya z Rigoletta: *la donna e mobile*; rękawiczki i parasolkę rzuciła na otomankę, a sama usiadła na taborecie przy drzwiach otwartych, wpatrując się w śnieżny i drżący rosą kielich narcyzu, zerwanego w ogrodzie.

Uchyliła się portyera i we drzwiach stanął Ignacy.

— Co powiesz, mój stary? — żartobliwie spytała, zwracając się ku niemu, Klotylda.

— Pan Dembowski pyta, czy może panią widzieć?

— Proś, proś, niech wejdzie tutaj.

Po chwili w przyległym salonie dały się słyszeć ciężkie kroki i niebawem ogromna statura szlachcica pojawiła się na tle wschodniej draperyi gabinetu.

— Dzień dobry panu — rzekła Klotylda, powstając nieco i podając mu rękę, — niech pan siada. — I wskazała mu taboret naprzeciw swego.

Dembowski pocałował rękę pięknej dziedziczki i usiadł tak lekko, aż taboret jęknął; ale nie zaśmiał się swoim serdeczném ha, ha, ha! tylko przygryzał siwego wusa i dwie zmarszczki zrysowały jego zwykle rozpogódkone, otwarte czoło.

— Przeszedłem — rzekł usiadłszy, zdać pani dobrodziejce sprawę ze stanu gospodarstwa w Jodłowej i zasięgnąć jéj zdania, a raczój zezwolenia, co do pewnych zmian, jakie uczynić myślę.

Cały ten okres wypowiedział, nie wtrąciwszy ani razu „mosanie tego”; co było u niego oznaką niezmiernego zakłopotania czy zmartwienia.

— Wiem, panie Dembowski — uprzejmie odpowiedziała Klodylda, — że Jodłowa nie może być w lepszych rękach jak w pańskich i że wszystko, coś pan uczynił lub uczynić zamierzasz, musi być dobre. Wszakże nie uchylam się od osobistego wejrzania w stan mego majątku, tylko odkładam to na potém. Za kilka dni przejrzymy z panem wszystko i wspólnie się naradzimy; dziś mam kilka korespondencyi do napisania i czuję się nieco zmęczona podróżą.

— Jeżeli tak — rzekł, powstając Dembowski, — wielką i mnie robi pani łaskę tą zwłoką, bo, Bogiem a prawdą mówiąc, przyszedłem dziś z mojem sprawozdaniem tylko przez poczucie obowiązku, ale, mosanie tego, łeb mam dziś czém inném zajęty.

I energicznie uderzył się dłonią w czoło.

— Cóż to? czy nie zmartwienie jakie? — życzliwie spytała Klotylda.

— Zmartwienie, zmartwienie, pani dobrodziejko! Żonisko mi się rozchorowało, mosanie tego, ni ztąd, ni z owąd; a nim doktor przyjedzie, Bóg wie, co się stać może.

Łzy zakreściły się w oczach starego szlachcica i chciał pożegnać dziedziczkę.

— A czy daleko mieszka doktor? — spytała ona.

— Dobrą milę ztąd, w N.

— Posłałeś pan po niego?

— Od kilku godzin, mosanie tego, ale widać go w domu nie znaleźli.

— A to nim doktor przyjedzie, ja pójdę chorą zobaczyć i może tymczasem poradzę cokolwiek, aby jej ulgę przynieść. Idę z panem.

Mówiąc to, szybko włożyła rękawiczki, wzięła parasolkę i po chwili była z dzierżawcą na dziedzińcu.

— Bo to, widzisz pan — mówiła idąc, — gdym mieszkała w wielkich miastach, nieraz godziny całe rozmawiałam o medycynie z uczonymi doktorami i czytałam téż trochę książek, traktujących tę naukę; dla tego zdarza mi się niekiedy, w nagłej potrzebie, tymczasową przynajmniej dać radę choremu.

— Jakto, i pani dobrodziejką nad takimi rzeczami łamała sobie głowę? — spytał Dembowski z pełnym niedowierzaniem, spoglądając na piękną główkę, strojną w warkocze i sznur błękitny.



— A dla czegoś-by nie? — odparła Klotylda. — Przecież choć małą wiedzę w tym względzie można czasem komuś pomódz. Nie jest to zresztą nic nadzwyczajnego, bo są kraje na świecie, w których kobiety wiele się uczą i zostają naprzykład doktorami, profesorami i t. d., tak dobrze, jak i mężczyźni. A i mnie bardzo często przychodziła myśl i ochota oddać się wyłącznie jakiemu naukowemu zawodowi, tylko, niestety! zawsze mi zabrakło wytrwania.

Dembowski uszom swoim nie wierzył; kobieta-doktor nie mogła się pomieścić w jego głowie.

— A to, Panie odpuść, piękni tam doktorowie: baby! — pomyślał, i dodał głośno:

— I nacóż-by to się zdało pani dobrodziejce, za pozwoleniem, mosanie tego?

— Na co? — odparła Klodylda. — O! panie Dembowski, szczęśliwy każdy, czy to mężczyzna, czy kobieta, kto serce i umysł swój zajmie poważnemi rzeczami, nauką, pracą; bo przez to wiele dobrego innym zdziałać może i sam nierównie lepszym się staje.

W téj chwili weszli oboje do szarego domu dzierżawcy.

W bawialnym pokoju trzy panny Dembowskie, zarumienione i nieśmiałe, spotkały dziedziczkę Jodłowój, którą nadchodzącą ujrzały przez okno.

— Dzień dobry paniom — rzekła uprzejmie Klotylda, ujmując je z kolei za ręce. — W przeszłym roku widziałyśmy się parę razy, ale króciutko; spo-

dziewam się, że tego lata częściej widywać się będziemy. Z góry wpraszam się do waszych młodziutkich serduszek i sama już kocham was, jako córki najzaciejszego ojca.

Elżusia i Antosia ze spuszczonei oczyma oddały Klotyldzie nieśmiały uścisk ręki; jedna tylko Magdzia z zachwytem wpatrzyła się w jej twarz, poczem schyliła się nagle i gorąco ucałowała jej rękę. Klotylda podniosła jasnowiącą główkę dziewczęcia i na ustach jej złożyła serdeczny pocałunek.

— Zaprowadźcie mnie do swojej mamy — rzekła po chwili — nim doktor przyjedzie, może ja jej co pomogę.

Dziewczęta zdziwione spojrzwały po sobie, a pierwsza Magdzia wskazała drzwi sypialnego pokoju matki.

Klotylda stanęła przed łóżkiem Dembowskiej, która w gorączce nie poznawała nikogo. Twarz bogatej i świetnej pani wyrażała w tej chwili serdeczne współczucie i powagę. Ujęła rozpaloną rękę chorą, położyła dłoń na jej czole i przez chwilę stała tak, pogrążona w głębokim namyśle. Potem zwróciła się do Magdzi i rzekła z cicha:

— Niech pani każe przynieść lodu; matce pani trzeba lód do głowy przykładac, inaczéj zapalenie rozwinie się szybko, nim doktor przyjedzie.

Magdzia wybiegła. Klotylda znowu zamyśliła się nad chorą, a Elżunia i Antosia szeptały między sobą:

— Jaka ona piękna!

— Jaka dobra, serdeczna!

— Czy ona się zna na doktorstwie?

— Zapewne, musi być bardzo rozumna.

Dembowski wysunął się pocichu z pokoju. Przyniesiono łód i córki podeszły do łóżka.

— Już ja to sama zrobię — rzekła Klodylda, — a do pomocy biorę tylko Magdzą. Wszakże tak ci na imię, miłe dziecię?

— Tak, proszę pani — odpowiedziała dziewczyna, podnosząc znowu z zachwytem do ust rękę pani Warskiej.

Klodylda ułękła przy łóżku chorój i z pomocą Magdzi zaczęła przykładać łód do jój głowy.

Dobra godzina tak minęła, gdy pod gankiem dał się słyszeć turkot kół i otworzyły się drzwi sypialnego pokoju.

Magdzia pokraśniała, a Klodylda zwróciła głowę ku drzwiom, w których pojawił się Lucyan Dolewski.

Wzrok młodego doktora padł najprzód na kłęczącą u łóżka chorój i twarzą zwróconą ku niemu kobietę w bieli. Wąski promień słońca, przekradając się z za rolety zasłaniającej okno, wyraźnie rozświecał na mroczném tle pokoju jój strojną i piękną głowę.

Lucyan zatrzymał się u drzwi przez krótką chwilkę i patrzył; nie znał on kobiety, którą ujrzał niespodzianie, nie wiedział kto ona, a jednak był pewny, że gdzieś, kiedyś ją widział. Twarzą jój wywołana, sta-

nęła w mgnieniu oka przed wyobraźnią jego ciemna głąb' kościelnój kaplicy i o biały filar oparta, zgięta boleścią, postać kobiety. „Byłaż-by to ta sama?” pomyślał i przypomniał sobie jeszcze, że tę samą twarz, tę samą postać kobiecą widział raz już w przeszłości... w jakimś pięknym, gorącym śnie...

Na widok wchodzącego doktora, Klotylda powstała i odeszła z Magdzą ku oknu, a pan Dembowski zbliżył się z Lucyanem do łóżka.

Lucyan badał przez chwilę chorą, a w końcu rzekł do Dembowskiego:

— Choroba nie rozwinęła się jeszcze zupełnie; mam nadzieję, że będziemy mogli zapobiedz złemu jój kierunkowi. Ale — dodał — któż to z państwa tak trafnie zastępował mię dotąd przy chorój? Podziwiać należy niekiedy dobre przeczucie, bo przykładanie lodu do głowy niezmiernie tu było potrzebne i o wiele wstrzymało postęp choroby.

Dembowski rozjaśnił czoło i za całą odpowiedź pocałował w rękę Klotyldę.

Klotylda patrzyła ciągle na doktora, z wyrazem, który oznaczał lekkie podziwienie; zdawało się, jakby przypominała sobie także, gdzie i kiedy go widziała.

— Ja to — ozwała się w końcu, widząc, że doktor ze zdziwieniem patrzy na oznakę milczącej wdzięczności Dembowskiego — ja to odważyłam się w nieobecności pana udzielić rady, którój pomyslnie skutki widziałam wiele razy.

Lucyan skłonił się lekko i całą uwagę swą zwrócił na chorą, obok której usiadł, a Klotylda z Magdzą wyszły do bawialnego pokoju i, chodząc, rozmawiały ze sobą. Prostota w obejściu się i serdeczność świetnej pani Warskiej tak ośmieliły wiejską dziewczynę, iż z całą naiwnością i szczerotą oddała się sympatyi, jaką poczuła do dziedziczki Jodłowej i, trzymając jej rękę, opowiadała o swoich zatrudnieniach, sposobie życia, sielskich przyjemnościach i t. d.

— Jak się nazywa doktor, który leczy twoję mamę? — spytała Klotylda.

— Pan Lucyan Dolewski — odpowiedziała Magdusia, a świeża, choć opalona jej twarzyczka, zapłonęła żywym rumieńcem. Uśmiechnęła się, spostrzegłszy to, Klotylda.

— Czy pan Dolewski dawno tu mieszka? — spytała znowu.

— Zdaje mi się, że właśnie za miesiąc trzy lata się skończą od czasu, jak przyjechał do N.

Klotylda poruszyła głowę, jakby namyślając się nad czémś, i szepnęła do siebie:

— Dziwna rzecz! więc chyba to nie on tam był.

— Co pani mówi? — spytała Magdzia.

— Nic, nic, moja droga. Powiedz mi, dla czego pan Dolewski wybrał sobie miejsce pobytu w takiej mieścinie, jak N.?

— Bo tam, proszę pani, mieszka jego matka, starszka, której smutno-by było rozstać się albo z sy-

nem, albo z miejscem, w którym całe życie przepędziła. Pan Lucyan bardzo kocha swoją matkę i dla niej pozostał w N.

— To bardzo pięknie z jego strony — odrzekła Klotylda i myślą pytała siebie ciągle: gdzie ja jego widziałam? czy to był on, czy ktoś do niego podobny?

Przeszło dobre pół godziny, nim pan Dembowski wyszedł z Lucyanem z pokoju chorój. Doktor poważny był i zamyślony, twarz Dembowskiego rozjaśniła się nadzieją.

— Oto jest, pani dobrodziejko — rzekł, zbliżając się do Klotyldy i wskazując jój doktora, — nasz kochany eskulap, mosanie tego, Lucyan Dolewski, a to, Lucysiu, śliczna moja dziedziczka, pani Warska, którą ja od lat dziewięciu jestem najpokorniejszy sługa i podnózek, mosanie tego.

— Miło mi powitać w pani sąsiadkę — rzekł, kłaniając się Lucyan, — o ile zaś wnosić mogę z tak trafnie udzielonej przed chwilą rady, trochę... kolegę w zawodzie medycznym.

— Gdybym była mężczyzną — odrzekła Klotylda — miałbyś pan ze mnie niezawodnie kolegę, bo w hierarchii nauk medycynę niezmiernie wysoko stawiam, a ludzi, którzy z zamiłowaniem oddają się trudnemu lekarskiemu powołaniu, bardzo wysoko szacuję. Jakże pan znajduje stan pani Dembowskiój?

— Choroba jest dość ważna, ale środki zaradcze

nie będą spóźnione. Mam nadzieję, że niebezpieczeństwo nie zagrozi choréj.

Gdy Lucyan to mówił, Magdzia z nieopisanym wyrazem patrzyła na niego. Błękitne jéj oczy, zaszła mgłą lez na myśl o chorobie matki, wpatrywały się w twarz doktora z rodzajem wielbiącej wdzięczności. Spojrzeniu temu towarzyszył ciągle znikający i odradzający się rumieniec. Ale ani rumieńca, ani wyrazu oczu Magdzi nie widział Lucyan, bo patrzył ciągle na panią Warską, a w myśli krążyły mu ciągle wyrazy:

— Byłaż-by to ta sama?

I Klotylda patrzyła na niego, ale inaczej, niż Magdzia. Ciemne jéj oczy, w téj chwili bardzo czarne i migocące złotemi w głębi ognikami, wpatrzyły się w twarz doktora badawczo, uparcie, a w myśli jéj krążyło ciągle pytanie:

— Byłże-by to ten sam?

Cudowną jest gra oczu ludzkich! Kto umié w nich czytać, może z nich wysnuć całą historią serc, minioną i przyjść dopiéro mającą. Inaczej patrzą szczęśliwi zawsze; inaczej ci, co wiele cierpią; inaczej tacy, których uczucia burzliwe są i namiętne; inaczej ci, którzy czują głęboko, ale łagodnie i słodko. A zawsze dla badacza język spojrzeń wymowniejszy być może, niż mowa ludzka, którój wyrazy, według słów poety:

„W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną”.

Po kilku chwilach rozmowy, Lucyan skłonił się lekko dwom paniom i odszedł do stołu, na którym leżały przyrządy do pisania. Spojrzenie Klotyldy szło za nim ciągle, a on, jakby pociągnięty magnetyczną jego siłą, odwrócił się i spotkał się z jéj oczyma. Wyrzaz twarzy jego nie zmienił się, tylko ręka, rozdzierająca papier, lekko zadrżała.

Po zapisaniu recepty spojrział znowu na Klotyldę, która, profilem zwrócona ku niemu, z zamyśleniem patrzyła w okno. Profil ten bardziej jeszcze przypomniał mu mroczną kaplicę i rozplakaną kobietę.

W téj chwili Klotylda, której się zdawało, że nikt na nią nie uważa, przesunęła z wolna rękę po czole i lekko westchnęła. Lucyan orzucił wzrokiem całą jéj postać, kształtną i smukłą; potem, oczy jego od błękitnej przepaski przeniosły się na pochyloną nieco głowę, utonęły w bogactwie włosów, strojnych w smugi błękitne i zatrzymały się na białym profilu, którego linie były-by rozkoszą Fidyaszowego oka. Nikogo nie było w pokoju; Klotylda stała nieruchoma, sądząc zapewne, że doktor zajęty był jeszcze pisaniem; w końcu zwróciła nagle twarz ku niemu i dojrzała jego błyszczące, przykute do niéj spojrzenie. Oczy jéj nie były już w owéj chwili tak płonące, ani tak czarne, jak wprzódy, ale stały się ciemne, łagodne i smutne. Lucyan powstał i chciał się do niéj zbliżyć, gdy w tém ona sama postąpiła ku niemu i, podając mu rękę, rzekła:



— Mam nadzieję, że zechcesz pan zostać moim znajomym. Gdy mieszkam w Jodłowej, przepędzam czas samotnie, jak pustelnica, i każdemu, kto mnie odwiedza, rada jestem bardzo.

Lucyan uklonił się w milczeniu, Klotylda wydo-  
była z za przepaski zegarek i, patrząc nań, dodała :

— Jeżeli chora nie potrzebuje ciągłej obecności pana, to może pan zechcesz zjeść ze mną obiad. Jadam o godzinie szóstej, a w tej chwili jest trzecia.

— Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia pani, jeśli tylko pozwoli mi na to stan chorój — odpowiedział Lucyan z ukłonem.

Klotylda skinęła wdzięcznie głową, uśmiechnęła się i wyszła, a po chwili Lucyan słyszał, jak w przy-  
ległym pokoju żegnała Dembowskiego i jego córki. Stał, jakby czarem przykuty do miejsca, na którym z nią rozmawiał i, słuchając jej głosu, pomyślał :

— Tak, najpewniej jest to ta sama!

W godzinę potém, Lucyan oznajmił rodzinie Dem-  
bowskich, że chora nie jest i prawdopodobnie nie bę-  
dzie zagrożona żadném niebezpieczeństwem, a uspo-  
kojona tém Magdzia rzekła do niego :

— Nie prawdaż, panie Lucyane, że pañi Warska jest bardzo piękna ?

— Tak — odpowiedział doktor ; — ale jakim spo-  
sobem znalazła się ona u państwa przy łóżku chorój ?

— O, pani Warska taka jest dobra! Gdy się tylko dowiedziała od ojca, że mama chora, natych-

miast przyszła, zaczęła pocieszać nas, serdecznie z nami rozmawiać, poszła do mamy i tak się nią zajmowała, że doprawdy mnie aż łzy wdzięczności w oczach stawały.

— Więc o tyle jest dobrą, o ile piękną — rzekł jakby do siebie Lucyan i dodał, zwracając się do Magdzi:

— Czy pani wie, co najwięcej podoba się w kobiecie i co najczęściej ku niej pociąga?

Magdzia oderwała wzrok od zielonej gałązki, z którą bawiła się machinalnie, i spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem.

— Dobroć i smutek — dodał z dziwnym oddźwiękiem w głosie i wyszedł do pokoju chorój.

Magdzia siedziała przez chwilę zamyślona, oskubując listki gałązki, a w końcu szepnęła:

— Więc jemu podobać się może kobieta dobra i smutna. Mój Boże! ja przecież nie jestem zła, i smutna bywam nieraz, o nieraz! a jednak...

Wstała i powoli podeszła do zwierciadła. Spojrzała na swoją okrągłą i opaloną twarz, na swoje ciemną perkalikową i niezbyt świeżą sukienkę i porównała siebie myślą z delikatną, strojną, pełną wytwornego piękna, panią Warszawską. Daleko odrzuciła od siebie gałązkę zieloną, i zakryła twarz rękoma, szepcząc:

— Jaka ja jestem straszna! on mnie nie może *nigdy*

kochać! On ją będzie kochał, tak, niezawodnie, przeczuwam, że ją będzie kochał!...

Z zakrytymi oczyma stała przez chwilę, potem podniosła głowę, jak do modlitwy złożyła ręce i, wznosząc oczy ku błękitnemu niebu, które za oknem lśniło pogodą, rzekła cicho:

— Boże mój, Boże! nie patrz na łzy moje i smutek i jemu tylko daj szczęście!

W tej chwili rumiana i niezbyt ładna twarz wiejskiego dziewczęcia opromieniła się aureolą wielkiej, bezsamolubnej miłości i bohaterskiego zaparcia się siebie.

Tak niekiedy w sercach ludzi, żadną zda się nie zasiane ręką, wyrastają cnoty wielkie, niby przez naturę pielęgnowane kwiaty na czystym polu. Co tchnęło je w piersi człowieka, on sam o tym nie wie; zaczął kochać, poświęcać się, wyrzekać się siebie, tak, jak kwiat zaczyna kwitnąć i woń rozlewać, z wyższego rozporządzenia jakiegoś, z rozkazu natury, na świadectwo czystości ludzkiego ducha.

Około godziny szóstej po południu Lucyan wchodził do wytwornego mieszkania pani Warskiej. Stary Ignacy, który otrzymał był widać od swjej pani rozkaz w tym względzie, z ganku wprowadził go do jadalnej sali i szedł dalej przed nim, wskazując mu drogę i podnosząc ciężkie u każdych drzwi portyery.

Stanąwszy we drzwiach wschodniego gabinetu, ka-

merdyner z ukłonem wymówił nazwisko gościa i sam się cofnął, a Lucyan ujrzał pół-leżącą na otomance Klotyldę.

Powstała na jego widok, postąpiła kilka kroków i podała mu na powitanie ciepłą, miękką dłoń.

Drzwi od ogrodu były otwarte, woń narcyzów płynęła przez nie i łączyła się z silnym zapachem kwiatów, ustawionych po rogach pokoju w dwie spiralne kolumny. Zachodzące słońce złociło głowy białych posągów, stojących naprzeciw drzwi w ogrodzie i, przekradając się przez lustrzane szyby okien, rzucało czerwonawe smugi na barwną draperyą ścian. Cisza głęboka otaczała miękki i wonny pokój; tylko z ogrodu dochodził lekki szum jodeł i kiedyniekiedy przerywany śpiew słowika, który, w jednym z brzozowych gajów odbywał pierwsze wiosenne próby swego głosu.

Wszyscy ludzie w ogólności, a szczególnie wrażliwi i namiętni, podlegli są niezmiernie wpływowi zewnętrznego otoczenia. Klotylda, stojąca na środku wytwornego pokoju, otoczona grą barw i światła, owiana upajającą wonią kwiatów, ukazała się Lucyanowi piękniejszą jeszcze, niż wprzód. Przez chwilę wydało mu się, że siłą jakąś magiczną został przeniesiony do jednego z tych bajecznych, zaklętych pałaców, w których przedziwnie piękne mieszkają księżniczki.

Wytworne piękno, wśród którego się znalazł, silnie

działając na estetyczny smak i gorącą wyobraźnię jego, upoiło go na chwilę, jak opium; ale szybko otrząsnął się z tego odurzającego wrażenia i, zaczynając pierwszy rozmowę, rzekł, iż bardzo się cieszy, mogąc udzielić pani Warskiej dobrych wieści o choréj, którą tak żywo zajmować się zdawała. W końcu dodał:

— Jeżeli niebezpieczeństwo stanowczo usunięte zostało, pani przyczyniłaś się w części do tego trafną radą, która uprzędziła moje przybycie.

— Podwójnie więc zadowolona jestem — odrzekła Klotylda. — Innych środków nie odważyła-bym się używać dla choréj, bez zatwierdzenia medycznego autorytetu, ale ten, jaki radziłam, wiedziałam z pewnością, że jest niezbędny i pomocny.

— Czyś pani studyowała medycynę? — z uśmiechem spytał Lucyan.

— Zawsze miałam szczególną predylekcyą do téj nauki. Kilkakrotnie już zamyślałam expatryować się do Anglii lub Ameryki i oddać się wyłącznie temu zawodowi; nigdym jednak nie wytrwała w zamiarze i skończyło się na tém, że nie opuszczała żadnej sposobności słuchania kursów publicznych medycyny, oddając się przytém z wielkiém zamiłowaniem naukom przyrodniczym, które są jéj podstawą.

Lucyan przypatrywał się jéj już nie tylko z zajęciem, ale i z ciekawością.

— Pani więc jesteś rzadkim wyjątkiem między kobietami, które ogólnie mało oddają się nauce i poważnej pracy — rzekł po chwili.

— O! i jam się téż mało, zbyt mało jój oddawała. My, kobiety, w niedogodnych pod tym względem zostajemy warunkach. A jednak nauka i praca podnosi, tak kobietę, jak i mężczyznę, tak jój, jak i jemu, bywa pociechą w cierpieniu, dźwignią w upadku, hamulcem w namiętności. Panowie szczęśliwsi jesteście, że się możecie uczyć wiele i gruntownie, że macie pole do wprowadzania w czyn waszój wiedzy i rozwinięcia całej energii waszój działalności. To was zbawia... podczas kiedy my, jeśli życie nas zawiedzie, nie zapełniwszy nam serca miłością żony i matki, nic już więcéj na świecie do czynienia nie mamy i wszystkie siły nasze żywotne musimy wkładać w błahe próżnówki, we fraszki, w zboczenia nieraz, które oplakujemy same, ale w które wpadamy; bo taką jest nieubłagana logika życia ludzkiego, iż każdy człowiek w cośkolwiek wlać musi całą energią swoję i miłość.

— Nie zawsze tak bywa, jak pani mówi — odpowiedział doktor po chwili milczenia. — I my, mężczyźni, ustrojem społecznym, niezależnemi od nas okolicznościami, zbyt często skrępowani bywamy i, nie mogąc rozwinać energii i myśli naszój, rzucamy się jak w klatce i targamy nasze pęta, nie mogąc ich rozerwać. W podobnych położeniach jedni z nas

rezygnują się i, poprzestając na szczupłym zakresie, umieją jako tako w mikroskopijném swoim kółku stać się spokojnymi i użytecznymi. Innych ogarnia apatya, sen moralny. Tacy, zdobywszy jaki taki dobrobyt, usypiają w wygodnym fotelu, po smacznym obiedzie, śmiejąc się z tych idei, które niegdyś tak bardzo kochali i starając się przekonać siebie samych, że ludzkość, kraj, nauka, są to mrzonki, za któremi w pogoni nóg sobie łamać niewarto. Inni jeszcze, najniezwyklejsi, ani zrezygnować się, ani usnąć w klatce nie mogą. Nie potrafią oni zgasić w sobie płomienia własnego ducha; więc, w ciasnych ścianach klatki swojej, targają się nieustannie; pragnienia ich i myśli odlatują daleko, unosząc z sobą spokój, dręcząc ich obrazami szerokiego świata, w który im ulecieć nie wolno. Na takich czyhają straszne hydry namiętności, zgubnych często, w których objęcia rzucają się z szaleńcem, radzi, że się upoją, że zapomną, że w cokolwiek wlać będą mogli ogniste siły swojej natury. Tacy ludzie stają się czasem pijakami, a czasem — dodał z uśmiechem — zabijają się lub umierają z miłości dla kobiet.

— Więc pan sądzisz, że z miłości dla kobiet umierają ludzie tylko wtedy, gdy w miłość tę wleją siły, których gdzieindziej zużytkować nie mogli? — spytała, śmiejąc się, Klotylda.

— Nieinaczéj — odpowiedział młody doktor. —

Jestem daleki od lekceważenia indywidualnych uczuć, wiążących nieraz tak pięknie i trwale dwoje ludzi. Ale wierzę także, że uczucie takie nie ma być alfą i omegą ludzkiego istnienia, że ugiąć się, złamać się pod niem, może tylko taki człowiek, któremu ono zastąpić musiało wszystko: czyn, ideę, sławę. W klatce niema wyboru pożywienia; zgłodniały bierze w nięj taki pokarm, jaki spotyka; a jeżeli pokarm ten jest trucizną, żyje nią czas jakiś, a potem... umiera, i tém się kończy jedna z tragi-komedyi ludzkich na świecie.

Klotylda patrzyła z zajęciem na rozumną i ożywioną twarz doktora.

— Masz pan słuszność — odrzekła po chwili namysłu. — Pod wpływem złego ustroju społecznego, ileż najlepszych usposobień psuje się i krzywi, ileż bogatych zasobów ducha upada w kał, albo przynajmniej marnuje się bezużytecznie! A z tego wszystkiego wynika przekonanie, iż największém nieszczęściem ludzi są... klatki.

— Straszniejsze stokroć od owych klatek żelaznych krwawej pamięci Ludwika XI — rzekł, uśmiechając się, Lucyan.

W téj chwili podjęto portyereę i we drzwiach stanął Ignacy, oznajmując podany obiad.

Niewielki stolik nakryty był na ganku od ogrodu, między drzewami pomarańcz, myrtu, kwitnących datur i kamelii.



Oboje młodzi ludzie zasiedli do stołu, nieco wzruszeni i zamysłeni. Nie chcąc i sami nie wiedząc o tém, wypowiedzieli sobie wzajem skryte udręczenia swoje; jedno drugiemu poruszyło struny, na dnie ich piersi drgające.

Tak na instrumencie dusz ludzkich gra przeznaczeń ręka; porusza ona strunę jednego serca, aby nią głos drugiego rozbudzić, a gdy się ozwa już obadwa tony, łączy je w wiekuiącą harmonią, albo... w fałszywy akord niezgody i zawodu.

Obiad był wytworny; przy stole rozmowa między Lucyanem i Klotyldą toczyła się nieustanna.

— Dawno pan był w Warszawie? — spytała od niechęcenia niby, pani Warska; ale w oczach jej błysnęła ciekawość, z jaką zadawała to pytanie.

— Byłem tam poraz ostatni w Październiku zeszłej jesieni.

— Jam także w tym samym miesiącu przyjechała tam ze wsi.

Lucyan pomyślał, że właśnie w Październiku widział kobietę, płaczącą w kościelnej kaplicy; Klotylda przypomniała sobie, że właśnie w Październiku widziała w kaplicy młodego człowieka, do którego Lucyan był niezmiernie podobny.

— Jakie piękne posągi! — rzekł młody doktor po chwili, wskazując na marmurowe postacie, stojące naprzeciw ganku pod jodłami. — Przywodzą mi one na myśl jedno z najlepszych dzieł sztuki, jakie posiada

Warszawa, posąg złożonego w grobie Chrystusa, w kaplicy kościoła Karmelitów.

Mówiąc to, patrzył badawczo na Klotyldę.

— W kościele Karmelitów? O! widziałam, widziałam nieraz; lubię tam się modlić — odpowiedziała Klotylda.

Spostrzegła badawcze spojrzenie Lucyana i przeczyny rumieniec przebiegł po twarzy jej i czole.

Spuściła oczy, niby poprawiając fałdy swojej sukni, i pomyślała:

— Tak, to on tam był!

A Lucyan, spostrzegłszy jej rumieniec i lekkie zmieszanie, pomyślał również:

— Tak, to ona tam była!

Przez chwilę milczeli oboje. Klotylda, nie patrząc na gościa swego, obiegła wzrokiem parter kwiatowy, a gałąź mirtu, pod którego drzewem siedziała, spadając na jej głowę, wieńczyła ją drobnymi listkami.

Lucyan nie odrywał od niej spojrzenia; mimowoli pomyślał, że z tym mirtem nad czołem, z lekkim rumieńcem, który parę razy wrócił na twarz jej, jakby pod wpływem myśli tajemnej, w białym stroju swoim, podobna była do młodej, idealnej oblubienicy, idącej ku ołtarzowi ślubnemu.

Myśl ta, jak ognista błyskawica, przebiegła mu przez głowę; nie zdawał sobie sprawy z uczucia swego, ale czuł instynktownie jakieś ściśnienie ser-

ca, bolesne czy rozkoszne, sam tego rozpoznać nie mógł. Powiodł ręką po czole, które zapłonęło mu nagle.

W tej samej chwili Klotylda, ciągle zamysłona, podniosła rękę i uchyliła z nad czoła gałąź mirtową; ale gdy ta ugięła się znowu w dawnym kierunku, wyciągnęła rękę i odłamała ją od drzewa.

— Pocoś pani złamała tę gałązkę? — mimowoli rzekł Lucyan.

— Ciężyła mi na głowie, a nie chciała ugiąć się w innym kierunku. Pan żałujesz roślin? Wierzysz pan pewno, że one czują i cierpią.

— Zapewne, pani... — zaczął Lucyan.

— A więc — przerwała mu Klotylda — na wynagrodzenie chwilowej przykrości, ja... panu sprawiłam, ofiaruję panu tę gałązkę...

I, śmiejąc się, wyciągnęła do niego rękę z gałązką...

Lucyan ukłonił się z uśmiechem i wziął gałązkę, przy czém ręką jego dotknęła palców Klotyldy, a spojrzenie padło na karminowe, wilgotne jej usta, które, roztwarte śmiechem, ukazywały dwa rzędy białych, drobnych zębów. I poczuł znowu takie samo ściśnienie serca, jakiego przed chwilą doświadczył, i znowu płomień przesunął mu się po czole. Otrzymał się jednak szybko z wrażenia i zaczął mówić o... teatrach warszawskich.

.Dziwne to serce ludzkie! Gdy jest młode, niezu-

żyte, namiętne, wszystko niém wstrząsa. Uśmiech, spojrzenie, kwiatek podany, dotknięcie ręki czyjéjś, porusza w niém struny, które nie prześpiewały jeszcze pieśni swojej. Drobnostka zda się nieraz rzucać w nie zaród potężnego uczucia, a ileż razy z kwiatka, którego oddanie i przyjęcie rozpoczyna dwojga serc związek, wysnuwa się długi wieniec cierniowy, mający się zakończyć kwiatem, u stóp grobowego krzyża rozkwitłym!

Po obiedzie zaraz zmrok zapadł; we wschodnim gabinecie, między zielenią wazonów, zapłonęły dwie szafirowe lampy, przeglądając się w naprzeciw stojących zwierciadłach. Uchylona portyera ukazywała salon, oblany pół-światłem, a za nim, żywiej nieco oświetloną, bibliotekę. Zawsze tu ta sama cisza panowała w domu i za domem, ta sama woń rozlewała się po salonach, ten sam szum jodeł i daleki śpiew słowika dochodził z ogrodu.

Klotylda usiadła na otomance; błękitne światło okrywało jéj twarz przezroczystą bladością i na białą suknię rzucało smugi jakby niebieskawéj mgły.

Wyglądała jak huryska, owinięta w obłoki.

Lucyan zatrzymał się we drzwiach ogrodu i w milczeniu patrzył wokoło. Przed nim były wielkie salony, tonące w ciszy i pół-światle, pokój wschodni pełen woni kwiatów, piękna kobieta owiana błękitnymi promieniami; za nim, na pogodném niebie, zapalały się gwiazdy, jodły szumiały, posągi bieleły

na mrocznym tle i ciszę głęboką przerywał tylko daleki śpiew słowika.

Niech-by starożytny stoik, owinięty we wspaniałą togę powagi i zbrojny w stalowy pancerz hartu, znalazł się w otoczeniu takim, a bogowie tylko wiedzą, czy nie rozmarszczyło-by się jego zamysłone czoło, czy wyobraźnia, serce, zmysły nie zawołały-by: „teraz kolój i na was!”

Lucyan czuł się pochłonięty pięknnością, upojony wrażeniami; patrzył na Klotyldę długim, dziwnym spojrzeniem i milczał przez chwilę. W końcu, czyniąc wysilenie, aby zawiązać sobie, rzekł:

— Ten dom duży, cichy, pełen kwiatów i światła, przywodzi mi na myśl bajeczne, czarnoksiężkie pałace...

— A ja zaklętą księżniczkę, nie prawdaż? — śmiejąc się, przerwała Klotylda.

— Którą z zaklętego pałacu wywieźć ma jakiś rycerz — dodał Lucyan.

— O, średnie wieki minęły — zaśmiała się znów Klotylda. — Ja z mego zaklętego pałacu wyjadę sama, gdy się tylko w nim... znudzę.

Lucyan na tę wzmiankę o wyjeździe poczuł znów ścisnienie serca, ale tą razą wyraźnie już bolesne.

Spojrzał na Klotyldę: nie patrzyła na niego, tylko wzrokiem obiegała wkoło pokój, a oczy jej miały w ową chwilę kolor zielonawy jakiś i wyraz jakby nieco szydrczy.

W ogóle uderzała Lucyana dziwnie zmienna gra jej fizyognomii i barwy oczu. Cały prawie dzień z nią przepędziwszy, nie mógł-by powiedzieć, czy była smutna, czy wesoła, i jakiego koloru były jej oczy. Mimowoli przyszedł mu na myśl przyjaciel jego, Cypryan Karłowski, który przed kilku miesiącami tak zawzięcie szukał kobiety, nazywającej się „Kameleon”.

— Znalazł-by tutaj prawdziwą kobietę-kameleona — pomyślał — i głośno dodał:

— Czy pani nie znasz w Warszawie pana Cypryana Karłowskiego?

Na te słowa Klotylda poruszyła się żywo na otomance, zawahała się z odpowiedzią, a w końcu odrzekła zwolna:

— Tak... znam pana Karłowskiego... Ale—przerwała nagle — może pan zechcesz zobaczyć obrazy, które mam w salonie, urządzonej jeszcze przez mego dziada, i bibliotekę, posiadającą kilka bardzo rzadkich dzieł.

Mówiąc to, powstała i poprowadziła gościa swego ku obrazom i bibliotece.

Nie uszło uwagi Lucyana żywe poruszenie się Klotyldy na jego pytanie i szybka zmiana rozmowy; sądził jednak, iż może niestosownie trochę zapytał ją tak nagle o swego przyjaciela, a zresztą przypisywał wszystko kameleonowemu układowi pięknej pani.

Przed obrazami i w bibliotece rozmawiali wiele o szkołach malarstwa i piśmiennictwie różnych narodów. Lucyan był wymowny i ożywiony; Klotylda ukazywała mu się coraz piękniejszą wiedzą i szeroką, szlachetną myślą. Czuł się coraz żywiej, coraz magnetyczniej pociągany ku niej; nie zdawał sobie sprawy z niczego, ale bezwiednie wydało mu się, że był przeniesiony w świat inny, niż ten, w którym żył dotąd, że coś zmienia się w nim i koło niego, że silniejszym tętnem uderzają wszystkie pulsy jego istoty.

W parę godzin Lucyan, wśród tej czarownej nawet atmosfery, jaką był otoczony, przypomniał sobie obowiązek lekarza i żegnał panią Warską.

— Nie zatrzymuję pana — rzekła — bo miałabym sobie do wyrzucenia, jeśliby z mojej przyczyny biedna pani Dembowska ucierpiała. Ale mam nadzieję, że się będziemy widywali. Pan zostaniesz pewno w Jodłowej, aż do wyzdrowienia chorój?

— Nie, pani, mam wielu chorych w N. i w okolicy, i jednej pacjentce wyłącznie oddać się nie mogę; ale często, codziennie może, przez czas jakiś przyjeżdżać tu będę.

— I zawsze dom mój zastaniesz pan otwartym dla siebie — rzekła Klotylda... — Zresztą — dodała — zresztą... — I zawahała się, jakby nie była pewna, czy ma dokończyć.

Lucyan stał przed nią, urokiem do miejsca przykuty, owładnięty żalem, że już opuścić ją musi.

— Zresztą — kończyła Klotylda — znamy się z panem dawniej, niż od dzisiaj... Czy pan nie przypominasz sobie, żeśmy się już raz widzieli... kiedyś?...

Serce Lucyana uderzyło gwałtownie na to przypomnienie, które wydało mu się jakby zwierzeniem, dowodem zaufania.

— W kościele Karmelitów nad posągiem...—rzekł cicho.

— Tak — odpowiedziała, i głos jój trochę zdrżał.

— Pani musiałaś być w owój chwili bardzo nie-szczęśliwą.

— Byłam wtedy — odrzekła zwolna — w jednej z tych chwil, w których zaciężają nam na ramionach wszystkie przeszłości bóle i... grzechy..., w których człowiek pyta się: po co żył, po co żyje, jakie są jego cele i drogi?

— Tak — mówiła znowu po krótkim milczeniu — byłam w chwili owój bardzo smutna. Pan, nieznamy, obcy, podałeś mi rękę, a w głosie i w oczach pana widziałam współczucie. Odtąd, ile razy byłam tam nad tym posągiem, stawałeś mi pan w pamięci; a teraz, gdyśmy się spotkali, chcę widzieć w panu dawnego znajomego i... przyjaciela — dodała ciszej, podając mu rękę.

Lucyan ujął za tę rękę miękką i białą, przycisnął ją



silnie do ust gorących i wyszedł. Niepodobna mu było nic mówić; pocałunkiem tym powiedział wszystko, powiedział jeszcze wiele błyskiem oczu, który strześlił mu z pod powiek i oblał żarem rumieńca twarz Klotyldy.

Szybko przebiegł salony i dworski dziedziniec. Przed gankiem Dembowskiego zatrzymał się przez chwilę, aby ochłodzić płonące czoło. W głowie mu wirami kręciły się myśli bezładne; w piersi czuł płomień, ogarniała go gwałtowna namiętność, pierwsza namiętność życia...

Klotylda po wyjściu jego szybko przebiegła salon. Twarz jej wyrażała niepokój i niezadowolenie, niezwykły rumieniec ją zalewał.

— Znowu, znowu to, co już być nie miało! — mówiła cicho do siebie. — Znowu wrażenie inne, znowu zmiana! Nie, to być nie może... ja się nie poddam... dziś już mi nie wolno!...

— Ależ, jaki on piękny!... — mówiła dalej — ile ognia w oczach, szlachetności w układzie, energii w mowie!... Mój Boże! i pocóż ja o tém myślę? A tamten... Ach! ręka mi się pali od tego pocałunku!

Wbiegła do swój sypialni, uklękła przed obrazem Madonny, czołem uderzyła o ziemię i ze łkaniem wyrzekła:

— O Maryo! siły, siły dla mnie biednej! Czyż

nigdy nie uspokoją się wewnętrzne burze moje? Ratuj mię, o przeczysta!

I w téj kornéj postawie, z rękoma splecionemi nad głową, długo została; potém usiadła przed biurkiem i napisała list, a gdy skończyła i powstała, spokój na twarz jéj powrócił; zawołała Marylki i, oddając jéj list, rzekła:

— Jutro, bardzo rano, niech list ten na pocztę odwiozą.

Zwinna subretka, przechodząc koło lampy, spojrziała na pismo, i figlarny uśmiech przebiegł jéj usta. Po chwili, oddając list Ignacemu, wraz z załączonym doń rozkazem pani, wspięła się na palce i, wskazując adres, szepnęła coś na ucho staremu słudze.

Ten z razu się zmarszczył, ale po drugiem słowie Marylki, rozsunął brwi i rzekł:

— Daj Boże! daj Boże! Ale przypomnę pannie Maryannie przysłowie: „jest to cnota nad cnotami“ i t. d. Wié panna Maryanna koniec?

— Wiem, wiem — odpowiedziała garderobiana — ja téż tylko panu Ignacemu powiedziałam.

I rozeszli się w różne strony.

A Lucyan około północy wjeżdżał do N. W oknach ubogich domów ciemno już było, mieszkańcy ich spali, znużeni dniem pracy i ubóstwa; w plebanii tylko błyskało światło. Pod gankiem właśnie proboszcza stanęła bryczka Lucyana i po chwili młody człowiek

znalazł się w cichym, oświetlonym lampą pokoju księdza.

Pokój ten był dość obszerny, skromnie, choć wygodnie, urządzony; na białych ścianach wisiało kilka obrazów świętych, a w głębi pokoju, nad grubą otwartą książką, z czołem opartém na dłoni, siedział ksiądz Stanisław. Zatopiony w czytaniu, nie słyszał wejścia młodego człowieka; łagodny i blady profil jego wyraźnie rysował się w świetle lampy, które rzucało mu na włosy srebrne promienie, niby aureolą okalając mu czoło.

Głęboka cisza tego pokoju, otaczająca człowieka, spokojnie zatopionego w księdze i rozmyślaniach, dziwną sprzecznością z jego własném w owęj chwili usposobieniem uderzyła Lucyana.

Stał przez chwilę i patrzył, potem zbliżył się i powitał księdza.

— A, to ty, Lucyane — rzekł prośszacz, podnosząc głowę i podając mu rękę. — Żkądże tak późno przybywasz?

— Z Jodłowej. Pani Dembowska chora; wzywamno mnie.

— Czy bardzo chora?

— Choroba dość jest ciężka, ale niebezpieczeństwa niema.

— To dobrze — odpowiedział ksiądz, uważnie patrząc w twarz Lucyana, na której niezwykłym

rumieńcem i wyrazem ust odbiły się wrażenia dnia tego.

Przez chwilę milczeli obadwa. Ksiądz Stanisław ujął za rękę doktora i rzekł:

— Lucyanie, co tobie jest?

— Nic, nic — odpowiedział żywo młody człowiek — zmęczony trochę jestem. Cóżby mi mogło być? Owszem, dzień mi zszedł użytecznie i miło. Poratowałem chorą matkę rodziny i poznałem panią Warszawską.

— A, poznałeś panią Warszawską? — rzekł ksiądz przeciągle i z kolei jego czoło nieco się zachmurzyło.

— I jakże ją znajdujesz?

— Bardzo miła — obojętnie odrzekł Lucyan; ale ksiądz postrzegł, że usta mu lekko zadrżały.

— Przyjechałem, aby spytać się ciebie, księżu Stanisławie — mówił dalej Lucyan — czy zechcesz pojechać do Jodłowej, poprosić panią Warszawską o opiekowanie się synem Grodzickiej.

— Owszem, pojedę z chęcią. A czy sądzisz, że ona zechce dopełnić tego dobrego czynu?

— O, niezawodnie! — zawołał z ożywieniem doktor. — Dziwnie ona jest dobrą.

— Zkądże wiesz o tém?

— Wystaw sobie, księżu Stanisławie, że znalazłem ją klęczącą przy łóżku Dembowskiej i własnymi rękoma okładającą lodem głowę chorą. Dodaj do tego, że mało znała Dembowską i że wczoraj do-

piéro wróciła z podróży, więc musiała być zmęczona.

— Prawda, że to pięknie z jój strony — zwolna rzekł ksiądz — ale...

— Dziwna to kobieta — przerwał Lucyan — bez żadnych przesądów, trzymających się tak uparcie klasy, do której należy; serdeczna, uprzejma, cudnie piękna, a z tém wszystkiém, jakaś taka smutna chwilami...

— Dobrze, Lucyane — wzajemnie przerwał mu ksiądz — ja pojedę do Jodłowej i co będę mógł, zrobię dla syna Grodzickiej; ale ty tam nigdy już nie jedź!

— Dlaczego? — zawołał Lucyan — i jak mogę to zrobić, mając tam pacjentkę?

— Do pacjentki jedź, ale u pani Warskiej nie bywaj. Syrena cię już oczarowała.

Po czole Lucyana przesunęła się chmura niezadowolonia; miał coś odpowiedziéć, ale ksiądz mu przerwał.

— Słuchaj, Lucyane, nie gniewaj się za to, co ci mówię. Sam młodość miałem burzliwą i wiem, jakie męki przynosi szlachetnemu sercu uczucie, nie w porę powzięte, albo niewłaściwie skierowane. Dziś jestem kapłanem; serce moje, moja wyobraźnia, ukołysały się u stopni ołtarza; duch mój uspokoił się myślą o życiu lepszym, niż ziemskie. Ale pamięć przebytych bólów została i boję się ich dla ciebie, Lu-

cyanie, bom twój przyjaciel, bo nie chcę, aby szlachetne twoje serce zmęczyło się bezowocnymi i krwawymi walkami. I dlatego ostrzegam cię: z ogniem nie igraj, bo dla ciebie to niebezpieczne. Znam trochę panią Warszawską i wiele o niej słyszałem. Mnóstwo ludzi ją kochało, a ona nikogo. Jest to jedna z tych kobiet, które grają na świecie rolę rusałek: pociągają za sobą ludzi, a potem ich topią. Zastanów się i badaj siebie. Jeżeli zgubne wrażenie wpadło już w piersi twoje, broń się póki czas, nie jedź tam, unikaj jej, bo z naturą swoją będziesz musiał potem wiele cierpieć...

Lucyan słuchał księdza w milczeniu, chodząc po pokoju. Po chwili rzekł:

— Zobaczmy! Tymczasem dobranoc ci, księżo Stanisławie, bo już jest późno, a moje poczciwe matczyisko pewnie swoim zwyczajem na mnie czeka. A pojedź, proszę cię, do Jodłowej, bo mi ten Mieczek na sercu leży.

W kilka chwil potem, w oknie Lucyana błysnęło światło, a on, z czołem na dłoni opartym, usiadł przy swoim biurku. Przed nim leżała mirtowa gałązka.

W bawialnym pokoju kukawka zegaru odzywała się donośnie, oznajmując pierwszą i drugą godzinę po północy, a młody doktor siedział jeszcze, nieruchomy, wpatrzony w siebie. Powstał nareszcie i rzekł;

— Tak, to szaleństwo, to gra niebezpieczna! Nie będę już u niej wcale, a przynajmniej nie prędko.

Mówiąc to, wziął w rękę gałązkę, popatrzył na nią przez chwilę ze smutnym uśmiechem, potem oberwał jej drobne listki i ogołoconą łodygę daleko od siebie odrzucił.

— Był to sen piękny, ale tylko sen, o którym zapomnieć trzeba... — rzekł do siebie.

Zgąsło światło w pokoju doktora: na posadzce leżały wśród cieniów rozsypane listki mirtowe. Ślady te miały mu nazajutrz przypomnieć to, co on snem nazywał.

Niestety! łatwiej jest obedrzeć z liści gałązkę zieloną, niż wyrwać z serca raz tam zrodzone uczucie: łatwiej powiedzieć: zwyciężę! niż zgasić w sobie kipiący ogień wewnętrzny.

Kiedyż ludzie będą mogli rozkazywać własnemu sercu, tak, jak już w części rozkazują żywiołom? Kiedy, zawładnąwszy własnymi namiętnościami, jak władają ogniem, wodą i parą, rzucą zaprzeczenie słowom poety: „najstraszniejsze dla człowieka są sieci, które mu własne jego zastawia serce?”

### III.

#### Nie chcą się zejść, a schodzą się.

Tydzień mijał od bytności Lucyana u pani Warskiej, a przez ten czas młody doktor codziennie odwiedzał swoją pacjentkę, przyjeżdżając najczęściej konno, na dzielnym i pięknym gniadoszu, i codziennie téż dziewczka Jodłowej przez okna swego domu widziała go, jak szybko mijał żelazne otoczenie jej dziedzińca i ogrodu.

Czy to wypadkiem, czy umyślnie, młody doktor bywał u Dembowskich bardzo rano i odjeżdżał wtedy, gdy odsłaniały się zaledwie rolety w oknach sypialni pani Warskiej.

Kiedy pierwszy raz Klotylda zobaczyła Lucyana, jadącego po-za jodłami, pochyliła się ku oknu tak, że aż z ręki Marylki wypadł grzebień, którym czesała gęste włosy swój pani.

— Kto to przejechał konno? — spytała.

— To doktor z N., pan Dolewski — odpowiedzia-



ła dziewczyna, spojrzawszy uważnie przez szyby. — On, proszę pani, codzień o téj saméj porze przyjeżdża do pani Dembowskiéj.

Klotylda usiadła znowu przed zwierciadłem i schyliła czoło na dłoń, może dla ukrycia przed Marylką tego, że brwi jéj trochę ściągnęły się niezadowoloniém i lekki rumieniec szybko przebiegł twarz. Ale czegoż nie dostrzeże wprawne i ciekawe oko ulubionéj przez panią garderobiany?

Marylka widziała w zwierciadle pochyloną twarz Klotyldy, dojrzała rumieniec i ściągnięcie brwi.

Przez kilka chwil, milcząc, muskała grzebieniem włosy swéj pani, które ciemnymi smugami opływały całą jéj siedzącą postać; w końcu część ich zręcznymi palcami zaczęła splatać w gruby warkocz i ozwała się od niechcienia:

— Pan Dolewski, proszę pani, musi być bardzo dobry doktor, bo pani Dembowska ma się już znacznie lepiej.

Klotylda odjęła rękę od oczu i rzekła:

— Zapewne. Splataj prędzéj włosy, Marylko, chcę wyjść do ogrodu.

Garderobiana ujęła drugie pasmo włosów i, splatając je, odezwała się znowu:

— Nie wiem, doprawdy, proszę pani, dlaczego mi tak żal tego pana Dolewskiego. Taki młody, piękny i rozumny, musi mieszkać w tém szkaradném N. Ale to on dla swójej matki robi, proszę pani.

— Czyś widziała kiedy matkę pana Dolewskiego?  
— spytała Klotylda niedbale.

— A jakże, pani. Ciotka moja, Owsicka, w wielkiej przyjaźni żyje z panią Dolewską, a ja, nim dostałam się do pani, mieszkałam u ciotki.

— Czy pan Dolewski był już wtedy w N.?

— Nie, proszę pani; pan Dolewski wrócił z uniwersytetu przed trzema laty, a ja szósty rok jestem u pani. Ale i wtedy, bywało, przyjeżdżał na wakacje, więc często widywałam i jego, i matkę.

— To pani Owsicka jest twoją ciotką, Marylko?

— Tak, proszę pani.

— Czy imię jój Anna?

— Tak, pani. A z kądże pani wie imię mojej ciotki?

— Przeszłej jesieni jechałam z nią do Warszawy w jednym wagonie.

— Doprawdy, a gdzie to ja wtedy byłam?

— Czekalaś na mnie w Warszawie.

— A prawda! Toż dopiero ciocia musiała być uszczęśliwiona, że panią poznała.

— Nie wiem, czy wiedziała nawet z kim jedzie, bo miałam twarz zasłonią i nie powiedziałam mego nazwiska.

— To dopiero! Wyobrażam sobie, jak ciocia musiała być ciekawa z kim jedzie; bo to, proszę pani, straszna ciekawska z téj cioci.

Klotylda nic nie odpowiedziała, a Marylka splata-

ła trzeci warkocz; ale, że koniec czesania był daleki, bo warkoczów z włosów Klotyldy tworzyło się wiele, subretka ozwała się znowu po chwili:

— Nie wiem, co to jest, proszę pani, że pan Dolewski, wracając wczoraj od pani Dembowskiej, był taki jakiś blady, mizerny, że strach. Wprawdzie on, jak zapamiętam, od dzieciństwa swego, był zawsze blady, ale takim, jak wczoraj, to go nigdy nie widziałam.

— Gdzież wczoraj widziała pana Dolewskiego? — spytała Klotylda obojętnie niby, rozsuwając w palcach koronkę, zdobiącą szeroki jój rękaw.

— Niosłam haftowany peignoir pani do pralni i przechodziłam koło bramy dziedzińca właśnie wtedy, kiedy pan Lucyan przed gankiem Dembowskich na koń siadał. Na ganku stała panna Magdalena i coś do niego mówiła. Ja patrzę na niego i myślę sobie: pozna mnie, czy nie pozna? a może i ukłonić się nie zechce? Aż poznał i ukłonił się, ale bardzo, proszę pani, był blady. Chory być musi chyba; sądziła-bym, że zmartwiony, ale śmiał się, rozmawiając z panną Magdaleną.

— No, kończ-że już to czesanie, Marylko — z gestem niecierpliwości rzekła Klotylda, i wzięwszy swoje warkocze z rąk układającej je starannie służącej, owinęła je niedbale wkoło głowy i przez wschodni gabinet wybiegła do ogrodu.

— Święty Boże! — zawołała po wyjściu jój zdi-

wiona subretka — pani poszła do ogrodu bez parasolki i bez rękawiczek! widziane-ż to rzeczy, w takie słońce? I czesać się nie skończyła; siedziała jak na szpilkach! Ej, jakoś mi się zdaje... czy nie będzie to tylko coś nowego... umyślnie mówiłam o *nim* i widziałam... widziałam... no, ale cóż będzie z *tamtym*?...

I nad tém pytaniem swoim zadumała się Marylka, stojąc na środku pokoju i kładąc w usta koniec laski od parasolki, którą miała intencją zanieść pani swój do ogrodu.

Dumała tak dobrze z pięć minut, potem podniosła ramiona, uśmiechnęła się i odpowiedziała swoim myślom:

— A mnie co do tego? Pani dobra dla mnie i koniec, a zresztą niech sobie robi, co chce. Może i ja, gdybym była na miejscu pani, wołała-bym pana Lucyana, niż *tamtego*...

Tak rezonując sobie w duchu, subretka wybiegła do ogrodu za swoją panią, z parasolką i rękawiczkami; ale w środku kwiatowego parteru raz jeszcze przystanąła i, jakby sobie coś ważnego przypomniała, podniosła w górę wskazujący palec i rzekła do siebie:

— Tylko... że *tamten* bogaty, a *ten* biedny! ot co; ale, żeby nie to, dalibóg, gdybym była na miejscu pani, wołała-bym *tego*, niż *tamtego*...

Nazajutrz z rana, Klotylda, jak dnia poprzedniego, siedziała przed lustrem z rozplecionymi włosami,

gdy Marylka, rzuciwszy w okno bystre spojrzenie, rzekła:

— Ot, znowu pan Dolewski jedzie.

Pani Warska ani się poruszyła, ale tylko spytała obojętnie:

— Przyjeżdża, czy odjeżdża?

— Odjeżdża, proszę pani — odpowiedziała służąca i badawczo spojrzęła na odbitą w lustrze twarz swjej pani; ale nic nie zobaczyła, bo Klotylda szybkim rzutem twarz całą, niby niechący, zarzuciła włosami.

Tegoż dnia, nad wieczorem, pani Warska długo chodziła samotna między starami jodłami ogrodu; zamysłona patrzyła na pływające łabędzie i pod gajem brzoźowym słuchała śpiewu słowika, aż zwróciła się powoli i poszła ku mieszkaniu państwa Dembowskich.

Żona dzierzawcy miała się już daleko lepiej; uspokojony o nią, Dembowski, wyjechał do jednego z dalszych folwarków, aby zajrzeć do gospodarstwa. Antosia i Magdzia siedziały przy matce, a Elżunia w bawialnym pokoju bawiła gości, dwóch braci Harasimowiczów, z sąsiedztwa, którzy przyjechali odwiedzić Dembowskiego, a nie zastawszy go w domu, zostali na herbacie.

Młodszy z Harasimowiczów, Onufry, był konkurentem o rękę Elżuni. Dembowski chętnie go przewymował, bo szlachcic miał spory kawał dobrej ziemi

i gospodarował rządnie; ale Elżunia znieść go nie mogła, pomimo, że grał na gitarze i śpiewał przy tym instrumentem mnóstwo przedwiecznych pieśni.

Starszy Harasimowicz, Dyonizy, nie pieścił już matrymonialnych nadziei, bo mu piąty krzyżyk ciążył na łysiej głowie, ale pociechę i zapomnienie wszelkich młodzieńczych marzeń znajdował w płaskiej flasze, nie opuszczając nigdy kieszeni kamizelki jego. O kamizelce owój dziwne po okolicy krążyły opowiadania, a wszystkie miały za źródło starego żyda Efraima, krawca obojga płci, mieszkającego w N. Raz naprzykład Efraim, zawezwany do sporządzenia kamizelki przez jednego z tamecznych elegantów, zażądał objaśnienia, czy ma zrobić w niej kieszeń „na szerokość trzech palców, czy trzech rąk?”

— Co ty bredzisz, żydzie? — spytał właściciel mającej się szyć kamizelki.

— Bo to, proszę jasnego pana — odpowiedział Efraim — pan Harasimowicz Dyonizy każe zawsze robić sobie kieszeń w kamizelce na trzech rąk.

— A to na co?

— Ny, on tam wstawia butelkę z wódką, ja widział — odpowiedział żyd.

Innym razem pytał kogoś, czy kieszeń w kamizelce ma być zrobiona na zegarek, czy na flaszkę? Spytany schwycił żyda za pejsy, myśląc, że ten bierze go za pijaka.

— Ny — krzyczał Efraim — niech jasny pan ma

litość! A czego ja winien, że pan Harasimowicz każe mnie zawsze robić kieszeń na flaszkę. On jeździ często do Wilna, a ja myślał, że teraz nastąpiła taka moda.

Flaszeczka, spoczywająca zwykle w owej anegdotycznej kamizelce, zapelniona bywała bozkim nektarem kartoflowego wyciągu, którego-by pan Dyonizy za nic w świecie nie dotknął ustami publicznie, i gdy kto przed obiadem lub śniadaniem zapraszał go na kieliszek wódeczki, wymawiał się, upewniając, że mu doktorowie, pod karą śmierci, wzbronili używania jakichbądź trunków. Ale tak protestując, wychylał się milczkiem do innego pokoju i tam z rozkoszą przyciskał do ust szklaną szyję nieodstępnej towarzyszki swego życia. Ślady gorącej a tajonej miłości jego ku niej krwawym rumieńcem odbijały mu się na nosie i tłustych policzkach, czego sentymentalny pan Onufry okrutnie się wstydził, i za co niemilosiernie mu dokuczał drwinkami i wymówkami. Pan Dyonizy mścił się, wysmiewając matrymonialne zapędy brata, których łódź, pełna romansowych pieśni i dźwięków gitary, rozbiła się o twarde, jak skała, serca trzech komisarzówien, czterech asesorówien i pięciu czy sześciu córek dzierżawców i właścicieli z sąsiedztwa. Z tego wszystkiego wynikła między braćmi wzajemna niechęć. To też i do Jodłowej nie przyjechali oni razem, ale niespodzianie się tam zjechali, a niezbyt

radzi ze spotkania, siedzieli milcząco w bawialnym pokoju Dembowskich.

Zmrok już zapadać zaczął, kiedy Klotylda weszła do tego pokoju. Na stole kipiał samowar, Elżunia zabierała się do nalewania herbaty, a wszyscy siedzieli odwrócenii ode drzwi, któremi wchodziła pani Warska, pan Dyonizy z ręką przyciśniętą do oszkłonej flaszki piersi, pan Onufry z gitarą na kolanach.

— Niech-że pan co zaśpiewa — mówiła Elżunia, nie słysząc wejścia Klotyldy, która zatrzymała się nieco u drzwi.

Pan Onufry z gracyą ujął gitarę, brzęknął po strunach i, z przymileniem zwracając się ku pannie Dembowskiéj, zaśpiewał ochryplym basem :

Niech mnie pani kocha,  
Niech mię pani lubi  
Przynajmniej choć trocha,  
Bo mię pani zgubi.

— Ach, stare jak świat! — zawołała Elżunia — słyszałam już to tysiąc razy. Proszę o co innego.

Onufry Harasimowicz znowu brzęknął po strunach, ale tą razą sentymentalnie zwiesił głowę na piersi i zawiódł żałośnie :

Pytasz mnie, Klimeno, czego wzdycham?

Bo kocham!

Pytasz mnie, Klimeno, czegom smutny?

Bo kocham!



— Ot, pij pan lepij herbatę—przerwała Elżunia — bo widzę, że nic już dzisiaj porządnego nie zaśpiewasz. Panie Dyonizy, może pan herbatę z rumem pić będziesz? — dodała, zwracając się z butelką w rękę do starszego brata.

— Z rączek pani — odparł z elegancją pan Dyonizy—sama trucizna słodką-by mi była; ale wszelkich trunków doktorowie używać mi zabronili.

To mówiąc, zérknął ku drzwiom, obok których siedział, i wymknął się cichutko, szepcząc:

— Natychmiast będę służył!

— Aha! — mruknął brat młodszy — poszedł na ustronie, dać buzi kochance! —a zwracając się do Elżuni, dodał z uczuciem:

— Jakżem nieszczęśliwy, że śpiewaniem mojem nie mogę dziś ukontentować pani!

— A, bo pan śpiewasz rzeczy stare jak świat. Kiedy byłam w przeszłym roku w Wilnie, u ciotki Kaczyńskiej, to mówiono mi, że tych wszystkich pana pieśni już od stu lat nikt nie śpiewa.

Harasimowicz młodszy westchnął i opuścił głowę na piersi, ale po krótkiej chwili podniósł ją z miną tryumfatora i zawołał:

— Pani! umiem jedną nowiuteczką, jak Boga kocham, świeżuteńką, jak z igły zdjęta!

To mówiąc, uderzył po strunach i zaczął:

„Po stracie szczygła nieszczęsna szczyglica...”

Na pierwszym jednak wierszu przerwało mu otwarcie się drzwi do sypialni pani Dembowskiej i wykrzyk. Magdzia wyszła z pokoju matki i, spostrzegłszy Klotyldę, przypatrującą się ciekawie charakterystycznój scenie świata, obcego jój całkiem, podbiegła i, pochwyciwszy obie ręce pani Warskiej, do ust je przycisnęła. Klotylda delikatną swoją dłonią twarz jój podniosła i serdecznie pocałowała ją w usta.

I Elżunia poczęła witać panią Warską, tłumacząc się z nieuwagi. Harasimowicz młodszy powstał z gitarą u łona, Harasimowicz starszy stanął we drzwiach, z ręką przyciśniętą do piersi.

— Może pani życzy sobie herbaty? — nieśmiało spytała Elżunia.

— Dziękuję — odpowiedziała pani Warska — przed chwilą jadłam obiad. Przyszłam odwiedzić chorą i zabrać z sobą Magdzię, na krótką przechadzkę.

To mówiąc, weszła z Magdzią do sypialni Dembowskiej.

— Czy to pani Warska? — cicho spytał Harasimowicz starszy.

— Tak — odpowiedziała Elżunia.

— Ładna bestyjka! niech ją... — zaszeptał Harasimowicz młodszy, ale nie dokończył swego zdania, przez szacunek dla obecnej płci pięknej.

A Klotylda, chwil kilka przesiedziawszy u łóżka chorój, innemi drzwiami wyszła z Magdzią z dziedziń-

ca folwarcznego na dworski, gdzie zaczęły chodzić zwirową drogą pod jodłami.

— Kto są ci panowie, których znalazłam dziś u was? — spytała Klotylda.

— Sąsiedzi z okolicy, nazywają się Harasimowiczowie — odpowiedziała Magdzia, a na ustach jej zawisł pogardliwy uśmiech.

— Może który z nich jest pretendentem do twojej ręki, Magdziu? naprzykład ten, który gra na gitarze i śpiewa?

— O, niech Pan Bóg broni, takie straszydła!

— Dlaczego nazywasz ich straszydłami?

Magdzia zamysliła się.

— Dlaczego?... dlaczego?... — odrzekła po chwili, patrząc w ziemię — alboż ja wiem dlaczego? Wszyscy ci ludzie, którzy bywają u ojca, wydają mi się tacy nieznośni, szpetni! Ja sama nie wiem, czego im braknie, ale *przeczuwam*, że ludzie inisi być powinni.

— I nie myślałaś nigdy nad tém, czemu się oni tak tobie nie podobają?

— Owszem, najdroższa pani, myślałam, ale nie wymyślić nie mogłam, może dlatego, że nie znam wcale świata i mało innych ludzi widziałam. Ale już to tak u mnie ze wszystkiém i zawsze; jeżeli widzę coś brzydkiego, natychmiast czuję, że to brzydkie, ale nie umiem sobie zdać sprawy, dlaczego ono jest takie i czego braknie brzydkiemu, aby było piękném. Ale za to wszystko, co piękne, kocham nad życie. La-

tem naprzykład, kiedy w domu niema pilnej roboty, całemi wieczorami siaduję sobie na ganku i patrzę na gwiazdy, i kocham je, bo czuję, że one piękne; albo idę do lasu i słucham szumu drzew, i czasem zdaje mi się, że gałęzie rozmawiają ze sobą, a czasem, że to z dalekich, dalekich stron jakieś głosy leca, może echa wszystkich razem zebranych ludzkich śmiechów i płaczów. Ot, widzi pani, lubię gwiazdy i lubię szum lasu, bo czuję, że jedno i drugie jest piękne; lubię téż kwiaty, szczególniej białe i ponsowe, i jak będę umierała, poproszę moich sióstr, aby mi na grobie zasadziły białe róże i zasiały ponsowe gwoździki.

— Wszystko, coś mi powiedziała — odrzekła po chwili milczenia Klotylda — dowodzi, że masz wrodzone przecucie piękna, nie znając jego warunków. Ale zkadże ci, moja Magdziu, przyszła myśl o śmierci i mogile?

— Ja, pani, często o tém myślę.

— Czy być może? — ze zdziwieniem zawołała Klotylda. — Takaś młoda! Miałaż-byś być nieszczęśliwą?

Magdzia, milcząc, przycisnęła do ust rękę Klotyldy, która przy świetle gwiazd dojrzała na świeżej jej twarzyczce wyraz łagodnego, ale dojmującego smutku.

— Co tobie jest, Magdziu? — rzekła, obejmując ją i przyciskając do siebie — powiedz mi, co ci jest? czy może już twoje serduszko westchnęło do kogoś?

— Tak, pani — odparło dziewczę cicho i po lekkim wahaniu się — ale to zupełnie tak, jak gdybym chciała gwiazdę zdjąć z nieba, albo na szumie lasu do raju zalecieć, albo zamienić się sama w kwiatek biały. Wszak wszystko to jest niemożliwe, nieprawdaż, pani najdroższa? Otóż tak samo i to, co czuję, musi zostać nazawsze w moim sercu, niepowiedziane, nieokazane nikomu, jak gwiazda zostanie na niebie.

— I czemuż-by tak być miało? — spytała wzruszona tém wyznaniem Klotylda.

— Wszak pani sama powiedziała — odrzekła cicho Magdzia — że mam *przecucie* piękna. Otóż i w *nim* jam *przezuciła* piękność tak wielką, że wobec niej zgasły przede mną gwiazdy na niebie. Ze wszystkich ludzi, których dotąd widziałam, *on* jeden wydał mi się zupełnie, *doskonale* pięknym i dobrym. Wszyscy inni mieli zawsze w sobie coś brzydkiego lub niedobrego, co mię raziło i odtrącało... *on* jeden *nigdy*...

— Któż to ten *on*? — spytała, tuląc ją do siebie, Klotylda.

Magdzia ukryła twarz na jej piersi i odszepnęła:

— Pani najdroższa! mój aniele złoty! tego nawet tobie nie powiem.

— Nie mów, jeśli ci to ma być przykro; ale dla czegoż tak wątpisz o sobie? może i *on* ciebie kocha, albo będzie kochał.

— O nie, nigdy! nigdy! — zawołała Magdzia —  
ja *przeczuwam*, że to być nie może...

Klotylda wiedziała, o kim mówiła Magdzia; ręka  
jój, obejmująca stan dziewczyny, lekko zadrżała.

— A on nigdy ci nie mówił, że cię kocha? — spy-  
tała po chwili.

— Nigdy — odparła Magdzia. — Ach! on taki  
szlachetny, taki prawy! czyż mógłby kłamać?

— Więc zkadże przyszła ci ta miłość?

— Alboż ja wiem, pani? Znam go od bardzo da-  
wna, ale długo nie czułam tego, co teraz czuję. Raz,  
pamiętam, był u nas i o czémś rozmawiał z ojcem, a ja  
sama nie wiedziałam, dlaczego oczu od niego oderwać  
nie mogłam. Patrzyłam na niego i robiło mi się dziwnie  
jakoś, miałam takie poczucie, jakby mi serce rozsze-  
rzało się w piersi i topniało w łzy; a te łzy biegły mi  
do oczu, do czoła, do twarzy, czémś takiem gorącym,  
że gdym spojrzęła w lustro, przy którym siedziałam,  
zobaczyłam, że byłam ponsowa jak gwoździk. Odtąd,  
moja pani droga, niéma takiój godziny dnia, żebym  
o nim nie myślała i niéma takiój nocy, żebym o nim  
nie śniła; a gdy się zastanowię nad tém wszystkiem,  
przeczuwam, że ja go kocham!...

— Ale dlaczegóż tak straciłaś nadzieję otrzyma-  
nia wzajemności?

— O, moja pani droga, bo *przeczuwam*, jaki on  
jest i jaką ja jestem. Ode mnie do niego tak daleko,  
jak od téj trawki do gwiazdy. Ja sobie prosta, nie-

umiejętna dziewczyna, ani piękna, ani rozumna, a jemu *innéj* trzeba.

— Ależ tobie to bardzo smutno być musi.

— Tak, moja pani droga. To téż siostry mówią, że bardzo posmutniała. Czasem płakać mi się chce, czasem do niczego ochota nie bierze, i gdybym miała skrzydła, tobym tak, zdaje się, zaraz poleciała pod niebo, byle dalej od ziemi. A jednak nie pragnę, ażeby inaczej było... bo wiem, że jemu nie było-by ze mną dobrze, bo jemu *innéj* trzeba... a jabym nieba mu przychyliła, gdybym mogła, całym życiem mojem kupiła-bym dla niego szczęście... Zresztą, dobrze mówi nasz ksiądz Stanisław, że życie człowieka jest króciuchne jak sen; wszystko w niem mija i tylko to zostawia po sobie ślady, co dobrego uczynimy na świecie. A mnie się zdaje, że dobrze jest cierpieć w milczeniu i pokorze, zapomnieć o sobie saméj i pragnąć szczęścia tylko dla ukochanych naszych...

Klotylda ze wzruszeniem słuchała słów dziewczyny, popatrzyła chwilę na jéj oczy, wzniesione ku górze i zamglone wilgocią, a w końcu rzekła:

— Powiedz mi, dziecko, zkąd ci przyszły te myśli podniosłe i święte? zkąd w tobie uczucie to bohater-skie? Tak, masz słuszność, tyś wiejska dziewczyna, mało uczyłaś się, mniej jeszcze widziałaś; jakimże więc cudem odgadłaś tajemnice najświętszych uczuć, posiadałaś szerokość najwznioślejszych myśli?...

Magdzi twarz zarumieniła się z razu, a potem po-

wlokła wyrazem zamyślenia. Długo nie odpowiadała ; szły obie ręka w rękę pod szumiącemi jodłami.

— Więc mówisz pani — ozwała się wreszcie dziewczyna — że mam jakieś myśli, jakieś uczucia niezwykajne w położeniu mojem cichém i ciemném? Prawda, siostry moje, dobre i kochane, nie miewają takich myśli i uczuć. Jak się to stało? zaczekaj pani... powiem zaraz.

Znowu milczała przez chwilę, a potem mówiła :

— Najprzód, zdaje mi się, pani, że już sam Bóg rozmaicie różnych ludzi tworzy. Zdarzało mi się widzieć dzieci, chowane razem, a jednak jedno z nich bywało smutne, inne wesołe, jedno dobre, inne złe. Jam z dzieciństwa smutniejsza była od moich sióstr; mało cieszyłam się zabawkami, patrzyłam więcej na niebo, niż na ziemię. Potem, pani, kiedy obraz jego zaczął ukazywać mi się w każdej godzinie dnia i w każdym śnie nocy, po-raz pierwszy położyłam rękę na sercu i zdało mi się, iż czułam, jak pod dłonią moją serce to rosło, rozszerzało się, żeby ogarnąć sobą wszystko, co żyje wkoło. Potem, przy każdym widzeniu jego, pilnie słuchałam tego, co mówił, a on tak pięknie mówi! I z jego słów tworzyły się w mojej głowie obrazy, nad któremi myślałam po odjeździe jego długo, długo!... brzmienie ich zostawało w moich uszach, i mimowoli zaczynałam mówić tak, jak on. Raz byłam u Grodzickiej w N. I on tam przyszedł i przyniósł z sobą książkę, i zapytał mię, czym jęj nie czyta-



ła. Powiedziała, że nie, bom do owego czasu nigdy nie czytywała. Poprosiłam go o tę książkę; dał mi ją i czytałam, i nauczyłam się jęj na pamięć. Były to poezye Mickiewicza. I wszystkie słowa, i wszystkie obrazy tych wierszy osiadły odtąd w mojem sercu, a gdym się nad niemi zastanawiała, myśl mi krążyła po głowie tak szybko, że musiałam co najprędzej czém inném się zając, bo czułam, iż długo takiego stanu wytrzymać-bym nie mogła. Tak uczucie do uczucia, myśl do myśli, składały się, jak ziarno do ziarnka, i dlatego może pani mówi, że dziwnie jakoś myślę i czuję.

Klotylda nie nie odpowiedziała; była wzruszoną naiwną spowiedzią dziewczęcą. Dochodząc do ganuku Dembowskich, miały się już pożegnać.

— Czy pan Dolewski będzie jutro u was? — spytała Klotylda.

— Przyjedzie jeszcze jutro, a potem aż za dni kilka.

Mówiąc to, Magdzia patrzyła na Klotyldę i wyraźnie coś powiedzieć chciała; ale wahała się przez nieśmiałość, aż w końcu objęła ją rękoma i, tuląc się do jęj piersi, szepnęła:

— Moja droga pani! mój aniołku śliczny! nie będziesz się gniewała na mnie za to, co powiem?

— Ja miała-bym się na ciebie gniewać za cokolwiek? Mów, mów wszystko, moje miluchnę dziecię!

— Pan Lucyan...— szepnęło dziewczę— pan Lucyan... od tego dnia, w którym był u pani... zrobił się jakiś inny...

— Jakież to?... — spytała z uśmiechem Klotylda.

— Ja nie wiem — odrzekła Magdzia. — Nie jest smutny... nie... ale jakby zamysłony, jakby niespokojny... słowem nie taki jak zawsze. Mnie przykro na niego patrzeć, bo *przeczuwam*, że on cierpi, i dla tego, pani droga, mówię to tobie, bo nie chcę, żeby on cierpiał...

— A cóż ja na to poradzę, dziecko?

Magdzia wyprostowana stanęła naprzeciw Klotyldy, ujęła jej rękę w swoje dłonie i rzekła pewniejszym już głosem:

— O pani, takie piękne jak ty anioły, mają skrzydła śnieżne i miękkie, któremi mogą z czoła ludzi chmury smutku spędzać. Takie piękne, jak ty, anioły od gwiazd pożyczyły promieni do oczu swoich, aby rozświecać niemi myśli tych, którzy są niespokojni i smutni. Ty pani jesteś i pięknym i dobrym aniołem; powioń skrzydelkiem, spójrz błyszczącemi oczyma, a przestanie cierpieć ten, który cierpieć nie powinien.

To mówiąc, wysunęła rękę z dłoni Klotyldy i wbiegła do sieni, a pani Warska powoli zeszła z ganku i, bardzo zamysłona, ze schyloną głową, poszła ku swemu mieszkaniu.

Nazajutrz Marylka zdziwiła się mocno, usłyszawszy dzwonek pani swojej, wzywający ją do sypialni o parę godzin wcześniiej niż zwykle.

Zaledwie ósma była godzina, gdy Klotylda w bia-

lém ranném ubraniu wyszła do ogrodu, minęła klomby kwiatowe, staw i obszerny trawnik i weszła do szerokiej, ciemnej alei, której jedna strona, otoczona żelazném ogrodzeniem, dotykała pocztowego gościńca. W środku alei tej, była w ogrodzeniu furka, wychodząca na szeroką drogę, po obu stronach, mającą brzoźowe ławeczki.

Klotylda z książką w ręku usiadła na ławeczce obok furki, gdy zdala dał się słyszeć tentent konia. Podniosła głowę i niedaleko siebie ujrziała jadącego konno Lucyana. I on ją zobaczył, zwolnił bieg konia i przez chwilę zdawał się wahać, czy ma się zbliżyć do dziedziczki Jodłowej, przez którą przed kilku dniami tak uprzejmie przyjętym został. Nie zbliżył się jednak, tylko ukłonił się z grzecznością i uszanowaniem. Klotylda oddała mu ukłon, ale, gdy odjechał, na twarzy jej odmalował się wyraz zdziwienia i żalu. Wypuściła z rąk książkę, pochyliła czoło na obie dłonie i długo pod cieniem jodeł siedziała w zamysleniu.

Gdy w godzinę potém weszła do swojej sypialni, ubierając ją Marylce zdało się, że na jej oczach widziała ślady łez; nie była jednak pewna tego, tém bardziej, że, w czasie ubierania się, Klotylda rozmawiała z nią i parę razy głośno się rozśmiała z dowcipnej gadaniny subretki. Śmiech ten wszakże uderzył garderobianę czémś niezwykłym, drżało w nim coś, z czego nie umiała zdać sobie sprawy, dla tego pewnie,

że nigdy jeszcze dźwięku takiego w śmiechu swój pani nie słyszała.

Kto uważnie słucha wszystkich odgłosów ludzkiego serca, ten w śmiechu nie samą tylko wesołość usłyszeć może; drżą w nim niekiedy tajone i tłumione łązy. Ale żeby ich w śmiechu czyjś dosłyszec, trzeba wprzód samemu ścisłą z cierpieniem zawrzec znajomość; trzeba, według słów jednego z pisarzy, posiąść jedyną naukę, mogącą wwiesć człowieka w głębinsy serc innych ludzi, trzeba się nauczyć „alchemii łez”.

Tego wieczora Magdzia przybiegła do Klotyldy, siedzącej na ganku od ogrodu.

— No cóż, moja Magdeczko — spytała ją żartobliwie pani Warska, — czy pan Lucyan i dziś był „jakiś „nny” ?

— Dziś, pani — odrzekło dziewczę, — pan Lucyan był bardzo wesoły; opowiadając o czémś ojcu, śmiał się kilka razy; ale ja w tym śmiechu coś niedobrego *przeczułam*...

— I cóż ty tam w tym śmiechu *przeczułaś*, mazureczko ?

Magdzia pochyliła się do ucha Klotyldy i szepnęła:

— Ja, pani, w śmiechu jego *przeczułam* łązy.

Potem Magdzia usiadła przy nogach Klotyldy na niskim stołeczku i położyła głowę na jój kolanach. Klotylda muskała jój jasne włosy i zaczęła w nie wplatać gałązkę zieloną. Dziewczyna patrzyła w milczeniu w głąb' oświetlonego szafirową lampą gabinetu,

potém podniosła głowę i, spoglądając w twarz Klotyldy, rzekła znacząco :

— Jak tu pięknie, jak tu cicho, jak tu wonno ! Dom twój, pani śliczna, to istny raj na ziemi, a tyś w nim jasnym aniołem !...

Klotylda uśmiechnęła się smutnie i ustami dotknęła czoła Magdzi, a dziewczyna, razem z pocałunkiem, poczuła spływającą na jéj czoło łzę.

— Czy i w raju nawet łzy płyną ? — spytała cicho, patrząc ciągle w twarz Klotyldy.

— Dziecię moje — odrzekła piękna kobieta, — gdzieś daleko po-za światem tym, jest pewnie raj taki, zgotowany wybranym, w którym cichną wszystkie smutki i niepokoje serca ludzkiego ; ale w każdym ziemskim raju, na dnie wszystkich rozkoszy i piękności, muszą zawsze znaleźć się łzy...

Gwiazdy pogodnej nocy wiosennej długo oświeślały grupę dwóch kobiet, pół ukrytą w cieniu mirtów i pomarańcz.

Kiedy około północy Klotylda została sama, zadzwoniła i wszedł Ignacy.

— Proszę cię, Ignacy — rzekła, — aby jutro o godzinie ósmej rano Pegaz stał osiodłany pod gankiem ; chcę pojechać konno.

Nazajutrz Marylka znowu się zdziwiła, gdy dzwonek pani wezwał ją o wcześniejszej, niż zwykle, godzinie.

Klotylda włożyła amazonkę i kapelusik z czarném

piórkiem i stanęła na środku sypialni swojej zamysłona. Potém szybko postąpiła ku drzwiom i znowu wróciła, przeszła parę razy pokój, patrząc w ziemię, nareszcie przebiegła salony i stanęła na ganku od dziedzińca.

Pegaz siwy w wielkie ciemne jabłka, z małą główką i wygiętym karkiem, stał przed gankiem osiodłany i grzebał nogą w piasku. Cugle wierzchowca trzymał stangret w angielskiej liberyi.

Klotylda popatrzyła na konia i rzekła do Ignacego:

— Każ Pegaza odprowadzić do stajni — nie pojedę!...

Stangret z koniem zwrócili się ku stajni. W tej chwili, za jodłami i żelaznym otoczeniem dziedzińca, dał się słyszeć tentent konia i szybko na tle zieleni przemknęła zgrabna postać jeźdźca.

Jadący z oddali nawet poznał stojącą na ganku panią domu, bo zdjął czapkę z pełnym grzeczności ukłonem.

— Ignacy — zawołała Klotylda — zawołaj na Michała, niech przyprowadzi Pegaza.

Ignacy łagodnie uśmiechnął się pod siwym wąsem z kaprysów swój ukochanej pani, a stangret z Pegazem zwrócili się znów ku gankowi.

Po chwili, piękna pani Klodylda wyjeżdżała konno z bramy dworskiego dziedzińca.

Lucyan Dolewski całą godzinę przesiedział przy

chorój, poczem oświadczył, że przyjedzie dopiero za tydzień, bo konwalescentka może się bez niego obejść, a on ma pacjentów, do których na dni kilka pojechać musi.

— A u pani Warskiej, czy pan nie będzie?—spytała go Magdzia.

— Dziś nie — odrzekł obojętnie; — zawczasie jeszcze na wizytę — dodał, patrząc na zegarek.

— Widziałam jednak — ozwała się Elżusia — że pani Warska pojechała już konno na spacer.

Na te słowa w oczach Lucyana zamigotało jakieś dziwne światło; znawca fizyognomii ludzkich rzekłby, iż było błysk nadziei.

— Jak się ma pani Warska? — spytał, zwracając się ku Magdzi.

— Zawsze śliczna i dobra jak anioł — odparło dziewczę.

Doktor pożegnał wszystkich, siadł na koń i z wolna jechał pocztową drogą.

Pogodnie i cicho było na świecie, znikąd odgłosów żadnych; spokój panował w naturze, a jednak Lucyan, jadąc, oglądał się ciągle wkoło, jakby czegoś szukał oczyma, jakby dosłuchiwał się jakichś odgłosów. Na drzewach, zdobiących drogę, drżały listki poślacane słońcem, w powietrzu czystym krzyżowały się strugi błękitnych i złotych promieni. Młody człowiek jechał drogą z wolna, zamyślony, niespokojny,

a przed nim migotały ciągle ciemne, smutne oczy Klotyldy i ukazywała się na promieniu zawieszona biała, przezroczysta jęj twarz. Jechał powoli i był już na zakręcie drogi pod samą górą, gdy między jodłami, wysoko nad sobą, posłyszał szelest niezwykły i chrzęst łamiących się gałęzi. Spojrzał w górę: śród czarnych i gęstych drzew, wąziuchną dróżką, zwolna i coraz niżej, na siwym koniu, zstępowała Klotylda. Wybornie ujeżdżony koń z wdziękiem i ostrożnie stapał po spadzistej pochyłości, a ona, jedną ręką trzymając cugle Pegaza, drugą uchylała sobie z nad głowy opadające wciąż kolczaste gałęzie. Chwilami znikala całkiem po-za drzew gęstwiną i wychylała się znowu na szerszą przestrzeń, cała opromieniona słońcem i orzucona zielonemi kolcami jodeł.

Gniady koń jeźdźca na pocztowej drodze, stanął jak wryty, wstrzymany nagle gwałtowną ręką swego pana. Lucyan patrzył na zjawisko, zstępujące ku niemu z góry.

Wązka dróżka, którą jechała Klotylda, rozszerzała się coraz bardziej, spadzistość coraz mniej była stromą, amazonka na siwym rumaku coraz prędzej zbiegała ku drodze, i po chwili była już o kilka tylko kroków od jeźdźca na gniadoszu.

— Dzień dobry pani — zawołał, uchylając czapki Lucyan.

— Dzień dobry panu — ódrzekła amazonka.



Pegaz stanął obok gniadosza i zwrócił się w tym samym co tamten kierunku.

Poranny wietrzyk i szybka jazda, lekkim rumieńcem zabarwiła twarz Klotyldy, Lucyana przeciwnie był błądy tą błądzącością wzruszenia, która wszystką krew do serca sprowadza.

— Pani tak wczesnie odbywa konne przejażdżki?  
— ozwał się po chwili młody człowiek.

— Ranek był piękny, jeździłam na cmentarz. —  
I ukazała ręką widniejący na górze pomnik.

— To pomnik matki pani?

— Tak panie.

Rozmowa, obojętnym prowadzona tonem, przetrwała się. Pegaz z wolna postąpił naprzód, gniadosz szedł za nim.

— Pan jedziesz od chorój? — ozwała się po chwili milczenia, Klotylda.

— Tak pani, a raczej od konwalescentki.

— Czy długo jeszcze pan będziesz ją codziennie odwiedzał?

— Przeciwnie, przyjadę ledwie za dni kilka.

— A przez ten czas pan ciągle będziesz w N.?

— Mam odwiedzić pacyentów, o kilka mil ode mnie mieszkających.

Znowu umilkli, jadąc ciągle razem drogą szeroką. Minęli górę, a wkoło nich rozłożyły się barwne kwiatami i ozłoczone słońcem łąki. Pod lasem żół-

ciały pasące się stada, z dali do pocztowej drogi dochodził ryk bydła i smętna jakaś piosenka pasterza. Powietrze majowe drżało całe promienni i cichym gwarem owadów.

— Chcesz pan — ozwała się po długim milczeniu Klotylda — chcesz pan spróbować doskonałości naszych wierzchowców? Kto z nas kogo prześcignie?

I, nie dając Lucyanowi czasu do odpowiedzi, pochwyciła silnie cugle swego konia, zawołała nań pieśczośliwie i popędziła drogą jak strzała.

Gniadosz Lucyana, targnięty ręką pana, zerwał się z miejsca i pogonił za Pegazem.

Biegli tak jedno za drugim, unoszeni dzielnymi końmi, całą wiorstę; w końcu gniadosz doścignął Pegaza, przepędził go o kilkanaście kroków i stanął, silną ręką wstrzymany.

Klotylda też stanęła.

— Zwycięstwo przy panu! — zawołała ze śmiechem, podnosząc rękę do kapelusika, niby rycerskim ukłonem.

Twarz jęj pałała żywym rumieńcem zmęczenia, pierś podnosiła się szybkim oddechem, w pół otwarte usta okazywały dwa rzędy białych zębów.

Wyraz twarzy Lucyana był obojętny, bladeść tylko jego, zamiast zniknąć przez ruch i zmęczenie, powiększyła się jeszcze. Patrzył na Klotyldę i uśmiechał się zwykłym swoim poważnym uśmiechem.

Pani Warska spojrzała w stronę swego dworu.

— Daleko odjechałam od domu — rzekła — trzeba wracać. Pan mię odwiedziś w Jodłowej, nieprawdaż? — dodała, patrząc w twarz doktora i wyciągając ku niemu rękę.

Lucyan wziął drobną rączkę i przez chwilę zatrzymał ją w swój dłoni.

— W Jodłowej, pani — odpowiedział — w Jodłowej... tak, będę... ale nie wiem kiedy.

To mówiąc, schylił się na koniu, pocałował rękę Klotyldy i miał odjechać, gdy ona raz jeszcze zwracając się ku niemu i wstrzymując swego konia, rzekła :

— Przyjedź pan, przyjedź, bo mi na seryo brak towarzystwa pana.

I rozjechali się w przeciwne strony; ale o parę wiorst od Jodłowej, Lucyan zdjął czapkę z gorejącego czoła i rzekł gwałtownie do siebie :

— Szaleństwo! co się ze mną dzieje? dziwny wpływ wywiera na mnie ta kobieta. Pocóżem ją spotkał? Ha! los... wszakże nie chciałem tego... Głowa mi płonie! szalony jestem! Nie, tak być nie może, ja się od tego obronić muszę!...

A Klotylda, pożegnawszy Lucyana, nie pojechała prosto do domu, ale zwróciła się na prawo, drogą ku lasowi wiodącą. Jechała zwolna, a na twarzy jej malowały się: niepokój i wzruszenie; wreszcie, gdy już wjechała w głąb' lasu, poniosła rękę do czoła i rzekła do siebie :

— Pocóż go spotkałam? Dziwne wrażenie wywiera na mnie ten człowiek. Wolała-bym była go nie widziéć, a jednak sama go szukałam. Pocóż ta kobieta zachorowała? poco on tu przyjeżdżał? Ha! bądź co bądź, nie poddam się!

---

IV.

O d p u s t.

W pogodny dzień przed zachodem słońca, Klotylda siedziała z Magdzą na ulubionym swoim ganku, gdy Marylka oznajmiła, że pani Grodzicka z N. pragnie ją widzieć.

— A, pani Grodzicka! ta właśnie, o której synu mówił mi wczoraj ksiądz proboszcz. Proś, proś ją tutaj! — rzekła Klotylda.

Po chwili, wprowadzona przez Marylkę, weszła na ganek pani sędzina, w swoim nieśmiertelnym, osztytym wytartym aksamitem kaftaniku i z niezbędnymi filutkami na skroniach. Mimo przepychu, którym ujrzała się otoczoną w Jodłowej, jak przystało na ex-właścicielkę Wólki, karety i budoaru, pełnym godności ukłonem powitała panią Warszawską. Klotylda powstała uprzejmie z kanapki, usiadła na fotelu, a zaszczytne miejsce wskazała przybyłej.

— Przyjechałam, aby podziękować pani — ozwała

się Grodzicka — za łaskawie udzielone mi przyrzeczenie pomocy w wychowaniu mego syna...

— Ja to właśnie — żywo przerwała Klotylda — winnam dziękować pani za przyjemność, jaką mi to sprawi, że będę jój użyteczną, przyczyniając się zarazem do wychowania, dzielnego może na przyszłość człowieka. Słyszałam, że syn pani ma wielkie zdolności.

— A, już to, pani dobrodziejko, odziedziczył po swoich przodkach. Kiedy był jeszcze małym dzieckiem, mąż mojej siostrzenicy, marszałek X., lubił bawić się z nim w moim budoarze w Wólce i zawsze mówił, że Mieczek będzie tak rozumny, jak dziad jego a mój nieboszczyk ojciec. Mam, pani dobrodziejko, bogatą familią i sama niegdyś jeździłam karetami i mieszkałam w pałacu, ale teraz... kiedy, skutkiem nieszczęśliwych okoliczności, straciłam fortunę, mój Mieczek byłby się zmarnował, gdyby nie starania pana Lucyana, a teraz łaskawe względy pani dobrodziejki...

— Mówił mi właśnie ksiądz Stanisław, że pan Dolewski uczył przez lat parę syna pani, mimo licznych zajęć, jakich powołanie jego wymaga. Bardzo to zapewne pięknie z jego strony, ale od końca wakacyi syna pani wysłemy do szkół wileńskich, a potem da Bóg do uniwersytetu.

Twarz Grodzickiej rozjaśniła się wielką, macie-

rzyńską radością, ły wdzięczności nabiegły do jéj oczu.

— Dokończysz pani — rzekła drżącym od wzruszenia głosem — szlachetnego czynu zaczętego przez poczciwego pana Lucyana. Niech was oboje Pan Bóg i Najświętsza Panna błogosławi, a z wami i księdza Stanisława, który umiał przemówić do twego serca, pani, za mną i za mojem dzieckiem.

To mówiąc, powstała pani sędzina i miała już zegnać Klotyldę, gdy nagle, jakby sobie coś przypomniała, rzekła :

— Czy pani dobrodziejka nie będzie jutro w N. na odpuszcie?

— Jakiż to będzie odpust, kochana pani?

— Dzień świętego Stanisława, patrona kościoła naszego i księdza proboszcza.

— Dzień ósmego Maja — wtrąciła Magdzia.

— A, kiedy tak, to będę koniecznie. Pomodłę się i powinszuję księdzu proboszczowi, dla którego mam prawdziwy i głęboki szacunek.

Grodzicka wyszła, a Klotylda spojrzała na Magdзиą, która siedziała w cieniu zielonych gałęzi i patrzyła na wschodzące gwiazdy.

— O czém tak myślisz, Magdziu? — spytała.

— Myślałam o tém — odparło dziewczę — że gdyby te dwie gwiazdy, co tak pięknie świecą, połączyły się ze sobą, było-by z nich słońce.

Klotylda uśmiechnęła się.

— Marzysz, dziecko — odrzekła; — pójdź ze mną do biblioteki, poczytamy trochę.

Tymczasem Grodzicka, wróciwszy do N., nie miała nic pilniejszego do zrobienia, jak podzielić się z kimkolwiek wieścią, że pani Warska podjęła się wychowania jój syna i że nazajutrz ma być w kościele na nabożeństwie i u księdza proboszcza z powinszowaniem.

W miasteczku i okolicy mało osób widziało panią Warską. Niektórzy pamiętali ją, gdy, dzieckiem będąc małym, przyjeżdżała do kościoła ze swoją matką, a wszyscy tyle rzeczy nasłuchali się o niej, wyobrażali ją sobie tak piękną, tak *światową*, tak niepodobną do nich wszystkich, że wzbudzała ogólną ciekawość. Wieść o jój dobrym czynie, względem syna Grodzickiej, ciekawość tę powiększyć jeszcze musiała.

Pani sędzina z opowiadaniem swoim pobiegła do pani Owsickiej, u której w owej chwili obecną była panna Zuzanna. Szeherezada podreptała coprędzej, aby o tém, co nastąpić miało nazajutrz, oznajmić „pani aptekarzowej dobrodziejce”.

U pani Dolewskiej znalazła grubą panią Jęczmionkowską, obywatelkę z sąsiedztwa, z dwiema dorosłemi córkami, bywającą u aptekarzowej z powodu syna jój doktora, któryby się wielce zdał na męża pełnoletniej Elfrydy albo Zenobii. Pani Jęczmionkowska wysłuchiwała wszystkiego, a wracając do domu, spotkała w drodze Harasimowicza młodszego. Wy-



chyliła się z krytej nejtyczanki i zawołała do szlachcica, jadącego bryczką:

— Panie Onufry! jutro na odpuszcie będzie pani Warska z Jodłowej.

Pan Onufry odpowiedział, jak tylko mógł najgłośniej, że zna już panią Warską i pojechał dalej, rozmyślając nad wyborem pieśni, z którymi się jutro popisywać będzie; ale, gdy dojeżdżał do bramy swego domu, ujrzał jadącego konno pana Barszcza i, zawoławszy na furmana, aby się zatrzymał, spytał sąsiada, czy będzie na jutrzejszym odpuszcie, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, dodał, niby od niechcienia:

— Byłem onegdaj w Jodłowej i *poznałem* panią Warską. *Mówiła mi*, że będzie na jutrzejszym odpuszcie.

Pan Barszcz otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

— Tak, tak, — potwierdził Harasimowicz — *poznałem* panią Warską; śpiewała przy mojej gitarze „już księżyc zaszedł” i zapraszała mię do siebie. Ale już to sąsiad wiesz, że ja do bratania się z panami nie bardzo skory. Niech wprzódę się naproszą. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Ale, pani Warska ładna, dalibóg ładna.

To powiedziawszy, pojechał Harasimowicz, a Barszcz na swoim kasztanowatym, o białym ogonie koniku, galopem puścił się ku dworowi młodego pana Rodryga Wiercińskiego. Wpadł do Wiercina, prze-

biegł przez zapyłone pokoje panicza, u którego był to-tumfackim i pieczeniarem, i znalazł gospodarza domu, stojącego przed lustrem i pogrążonego w studyach nad udoskonaleniem nowo wynalezionego sposobu zawiązywania krawata na węzeł o jednej kokardzie, a dwóch końcach.

Barszcz śpiesznie go uwiadomił, że na jutrzejszym odpuście w N. będzie przybyła niedawno z Warszawy dziedziczka Jodłowej. Pan Rodryg ucieszył się niezmiernie tą nowiną.

— Młoda wdówka — zawołał, klaskając w palce jak w kastaniety. — Wiész co, Barszczu, że to partyjka nielada. Pojadę, pojadę. Tylko ten przekłety węzeł, nie mogę zawiązać go, jak należy. Barszcz! zawiąż mi krawat tak, żeby była jedna kokarda, a dwa końce.

Serwacy Barszcz wspiął się na palce, bo był niski, a pan Rodryg wysoki, i wziął w obroty szyję swego mecenasa. Po kwadransie mozołu i sapania, wynalazek został udoskonalony, węzeł miał jedną kokardę, a dwa końce i Barszcz dostał za to na kolacyą kotlety baranie i kieliszek madery.

Tak w wigilią odpustu cała niemal okolica czekała jutrzejszego pojawienia się w kościele pani Warskiej i mówiła o niej. Jeden tylko człowiek w dniu tym nie posłyszał z niczyich ust jój nazwiska i nie dowiedział się o niczém. Lucyan Dolewski był nieobecny w N., bo od dni kilku siedział nieodstępnie

nad łóżkiem jednego z sąsiednich mieszkańców, choro-  
rego ojca licznej rodziny. W zasłonionym zielonemi  
roletami pokoju, wśród ciszy, otaczającej zwykle łożo  
chorego, młody doktor siedział dniem i nocą, śledząc  
wszystkie poruszenia pacyenta, doglądając go z całym  
poświęceniem kapłana czynu i nauki. Niekiedy tylko,  
gdy chory usypiał, młody człowiek zamyślał się z czo-  
łem na dłoni wspartym, a wtedy wśród ciemno-zielo-  
nego tła pokoju, łąką brylantową błyskały ku niemu  
wielkie, ciemne oczy i uśmiechem purpurowych, wil-  
gotnych ust, wabiła twarz biała.

I młodzieniec dumaniem z tych oczu i z tego lica  
wysnuwał całą postać ślicznej kobiety; obejmował ją  
gorącym marzeniem, muskał grube warkocze jej wło-  
sów, tonął w palających oczach i dotykał miękkiej,  
drżącej w jego uścisku ręki. A z dumań tych bu-  
dził go jęk chorego, przypominający młodemu do-  
ktorowi, że dla czynu, który go wzywał, miał odtrącić  
od siebie powabne mary wyobraźni swojej.

Zaledwie jednak dobroczynna dłoń doktora, dała  
chwilę spokoju złożonemu chorobą, marzenia wracały  
do Lucyana coraz uporniejsze, bo skąpane w gorączce  
kilku nocy bezsennych i w mgłę daremnego walczenia  
ze sobą.

Łatwiej powstrzymać w biegu bystry prąd wód  
spienionych, niż stłumić wzrost namiętności, szybko  
ogarniającej serce młode, a uczuć spragnione.

Łatwiej zbadać kierunek, w którym płyną pod nie-

bem obłoki białe, niż odgadnąć kędy zawiodą człowieka marzenia jego, w długim skąpane pragnieniu.

Łatwiej, o łatwiej było rozumowi ludzkiemu odkryć prawdę, że słońce stoi nieruchome, wśród krążących wkoło niego planet, jak powiedzieć sercu: stój! gdy ono, ogarnięte płomieniem, leci ku źródłu miłości...

\* \* \*

Nadszedł dzień ósmego Maja, pogodny i ciepły. Kościół w N. od samego rana obłożony był mnóstwem chłopskich wozów i szlacheckich parokonnych bryczek. Z wozów zsiadali chłopci w szarych świtach, od święta przepasanych czerwonymi pasami, zdejmowali z głowy słomiane o szerokich brzegach kapelusze i z niskim ukłonem przed zamkniętymi jeszcze drzwiami kościoła, naznaczywszy pierś wielkim krzyżem, zsiadali wkoło parkanu, śmiejąc się, gwarząc i witając sąsiadów z pobliskich wiosek.

Nieco zdala od mężczyzn, z drugiej strony parkanu i na kościelnym cmentarzu, rozsiadły się kwieciste, barwne grona młodych i dziewczek. Głowy miały strojne w ponsowe, białe i żółte chusty, a nad czołami sterczały pęki zieleni, zmieszanej z polnemi kwiatami. Szlachta, zsiadłszy z bryczek, odprawiała furmanów z końmi do karczmy, a sama gromadą szła do plebanii, winszować księdzu proboszczowi imienin. Po krótkiej tam bytności wychodzili wszyscy na miasteczko i przechadzali się grupami po placu. I tu tworzyły

się podziały na sfery i klasy. Dzierżawcy wielkich dóbr z góry patrzyli na drobnych posiadaczy, drobni posiadacze imponowali małym dzierżawcom, a ci zadzierali nosy przed ofycyalistami, którzy znowu ze wzgardą spoglądali na chłopów.

O, nigdzie i nigdy nie znikająca pycho ludzi, głupia pycho robaków!

Gwar więc pod kościołem był wielki. Sejmikowała drobna szlachta, gwarzyli chłopci, śmiały się i swawoliły dziewczęta, na rękach młodyc w niebogłosy wrzeszczały dzieciaki. A wśród tłumu, często gęsto ukazywały się rude pejsy i wyszarzane jarmułki żydów, chodzących od szlachty do ofycyalistów, od ofycyalistów do chłopów i prawiących jednym o urodzajach, innym o koniach i bydłe, innych nakoniec częstując tabaczką i zapraszając na gorzałkę.

Między tym tłumem przcisnęła się do kościoła pani Owsicka, ze swemi worami, napakowanemi książkami do nabożeństwa; panna Zuzanna w watomiej sapolie, mimo ciepła; pani Dolewska w czarnej wełnianej sukni, jedwabnej mantyli i czarnej jedwabnej chusteczce, zawiązanej na świeżo wygarniowanym czepeczku. Za niemi niebawem przeszła plac i weszła do kościoła pani sędzina Grodzicka, z bardziej niż kiedy wypomadowanemi filutkami i z dwunastoletnią Walerką, ustrojoną w różową muślinową sukienkę, dar panien Jęczmionkowskich, które, wiedząc o szczególnym współczuciu Lucyana Dolewskiego dla rodziny

Grodzickich, chciały tą ofiarą wydać się filantropkami w oczach powabnego doktora.

Wreszcie, o godzinie jedenastej, ozwał się głos dzwonu, oznajmujący blizkie nabożeństwo; jednocześnie dało się słyszeć kilkakrotne klaskanie z bata i wnet ukazała się amerykanka, zaprzężona czterema końmi w lejc, a z niej wysiedli przed kościołem pan Rodryg i pan Barszcz.

Wierciński miał ubranie, jakby zdjęte z żurnalu: piękny węzeł krawata, o jednej kokardzie, a dwóch końcach, piękną fryzurę, wyszła tylko co z objęć żelazka i najpiękniejsze ze wszystkiego pince-nez, tkwiące na zadartym nosku. Barszcz z miną tryumfatora wysiadł z eleganckiej amerykanki swego amfitryona i stanął w bramie kościelnego ogrodzenia, w postawie greckich bohaterów, z góry spoglądając na nędzne robaki, które przypelzły na własnych wozach i bryczkach, a nie przyjechały, jak on, elegancką cudzą amerykanką.

Ale jakby dla zaćmienia szumnego ekwipażu pana Wiercińskiego i jego pieczeniara, z przeciwniej strony wjechał na plac miasteczka kocz, zaprzężony czterema pękatem i pstrokatemi konikami. Kocz ten stanął także naprzeciwko bramy kościelnej; lokaj, wyglądający na pasterza i ubrany w coś, co miało oznaczać liberyą, zgramolił się z kozła, stęknął i, otworzywszy z trudem drzwiczki o zardzewiałych zawiasach, począł odkładać stopnie powozu.

Z wysokości na ziemskie niziny powoli i majestatycznie poczęła spuszczać się najprzód pani Jęczmionkowska, jaśniejąca zieloną suknią w kraty i ponsonem piórem u kapelusza. Za nią leciuchna jak motylek wionęła na ziemię panna Elfryda, fruując falbanami żółtego muślinu, niby motylemi skrzydły, a za tą jeszcze chwiejnym i sentymentalnym krokiem zstąpiła na padół płaczu bóstwo i piękność rodziny, panna Zenobia, ciągnąc za sobą krzywo wykrojony, ogromny kawał błękitnego bareżu, mający reprezentować ogon u sukni. Trzy panie przeszły przez tłum, matka sapiąc i patrząc z góry, Elfryda fruując, Zenobia chwiejąc się i płynąc. Panny oglądały się wkoło i szeptały między sobą:

— *Elfride!* nie widzę tu nikogo, *comme il faut*.

— Sam gmin, *Zenobie!* niższa klasa.

Zniknęły w głębi kościoła, a arka Noego, skrzyjąc i piszcząc, posunęła się do karczmy, ku wielkiemu zadowoleniu pstrokatych koni.

Potém zajechał Harasimowicz młodszy, piastując pudło z gitarą; potém Harasimowicz starszy, z dłonią przyciśniętą do szklanego puklerza; z plebanii wyszedł wąsaty organista, a w końcu ukazał się i sam ksiądz proboszcz, w towarzystwie kilku przybyłych na odpust księży.

W téj samój chwili dał się słyszeć głuchy turkot lekkiego powozu; z za domów na placu ukazały się najprzód cztery wielkie siwe konie, brzękające z cicha

kólkami angielskich szorów, potem służba bez liberyi, czarno ubrana i w białych rękawiczkach, nareszcie bardzo niska i mała podwójna karetka. Wszyscy zwrócili wzrok na piękny powóz, który stanął przed kościołem.

— Kto to? kto to? — szeptała między sobą szlachta.

— Dzielne konie!

— Co za pojazd, niech go lichy!

— Kto to przyjechał?

— To znajoma moja, pani Warska z Jodłowej — odpowiedział Harasimowicz młodszy, dodając:

— Przypatrzcie się jój tylko; ładna dalibóg bestyjka!

Z karetki wysiadła Klotylda, a za nią Magdzia Dembowska.

Pani Warska ubrana była w suknię z ciemnego jedwabiu; na głowie miała takiéjże barwy kapelusik, zdobny tylko cieniuchną czarną koronką. Nic na niej nie błyszczało, wszystko było ciemne i bez ozdób, a jednak wytworne. Magdzia, ubrana ręką Klotyldy, w białej, przezroczystej sukience i w słomkowym kapeluszu zdobnym jedną tylko różyczką, wyglądała obok świetnej i wytwornej kobiety, jak jój anioł-stróż.

Pan Rodryg, spojrzawszy na Klotyldę, oniemiał, wcisnął mocniej pince-nez, aż mu nos poczerwieniał i poniósł rękę do wysokiego kapelusza. Chłopi



i szlachta otworzyli szeroko oczy i usta, a Harasimowicz młodszy szepnął do sąsiadów :

— A co, czy nie mówiłem, że niczego sobie kobiecina? A jak śpiewa „już księżyc zaszedł” to cudo! Już ja się na tém znam!

Klotylda i Magdzia weszły do kościoła. Tam koło wielkiego ołtarza, więc na *arystokratyczném* miejscu, zasiadła pani Jęczmionkowska z córkami i kilka pań z *wyższej klasy*. Środek kościoła był pusty prawie, bo lud zaczynał dopiero napływać. Przy wejściu Klotyldy wszystkie panie, siedzące przed wielkim ołtarzem zwróciły na nią oczy, a domyślając się, że widzą panią Warszawską, jedne się wyprostowały, inne poprawiły sobie suknie, bo były pewne, że dziedziczka Jodłowej nie zaniedba przejść pompacyjnie przez kościół i usiąść na arystokratyczném miejscu, tak jak one zwykły były czynić. Pan Rodyg tego samego snąc był zdania, bo szybko przeszedł boczną nawą kościoła pod wielki ołtarz i stanął przy balustradzie, w pozycji najdogodniejszej dla pokazania swojej fryzury i węzła o dwóch końcach.

Ale Klotylda przy wejściu obejrzała się po kościele i, postąpiwszy kilka tylko kroków, usiadła z Magdzą w jednej z najbliższych ode drzwi ławek. Panie z pod wielkiego ołtarza poruszyły się na ten widok, spojrzały znacząco na siebie i szepnęły jedna do drugiej :

— Czy widzisz, czy widzisz pani, gdzie usiadła? To dla tego, aby mózdz lepiej strzelać oczyma po kościele.

— Imponuje, moja pani, nie chce obok nas usiąść.

— Niby to taka skromniutka, a dyabeł za skórą siedzi.

— Oho! albo to niewiadomo, co z niéj za ptaszek?

— Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

Pan Rodryg, widząc, że źle obrał punkt strategiczny, chciał uczynić rejteradę, ale już było zapóźno, bo lud ogromną masą szybko napłynął do kościoła i zagroził drogę odwrotu młodzieńcowi. Mógł wprawdzie za pomocą łokci utorować sobie przejście ku ławeczce, w której usiadła pani Warska, ale żal mu było narażać na niebezpieczeństwo, zetknięcia się z siermięgami, swoją piaskową marynarkę; został więc na niefortunném stanowisku i przez cały ciąg nabożeństwa był w smutnéj konieczności prezentowania swego pięknego węzła i zapiekanej fryzury paniom Jęczmionkowskim et compagnie.

Wkrótce rozległy się poważne akordy organów, z pod ołtarza chóralną pieśnią, uniósł się pod sklepienie kościelne śpiew księży; obłoki dymu z kadzielnic owiały obraz Najświętszój Maryi, a lud upadł na kolana, czołami uderzając o posadzkę ceglana. Całe zebranie zamodliło się gorąco, prócz pań, siedzących pod wielkim ołtarzem i pana Rodryga, z gracyą oparłego o balustradę. Piérwszym przeszkadzały w mo-

dlitwie wzajemne lustracye pomarańczowych, zielonych i błękitnych sukien i myśl o tój *kukietce*, która nie chciała obok nich usiąść; drugiemu sprawiała roz-targnienie kokarda własnego krawata, która wydawa-ła mu się ciągle dłuższą od końców i dogryzała złość na to, że ani on pani Warskiej, ani pani Warska jego widzieć nie może.

W niebie utonęli myślą prostaczkowie, w niebie téż utonęły Klotylda i Magdzia, a ci, którzy, na pre-tensyach swoich zawieszeni między niebem a ziemią, zaparli się prostoty, nie doszedłszy do światła Boże-go, zostali, jak zwykle, wodnoziemnymi istotami.

W parę godzin potem skończyło się nabożeństwo; miasteczko roilo się ludem, który nie odjeżdżał do domów, czekając wieczornych niesporów; karczma wrzała hulanką i pijatyką chłopów, a przed gankiem plebanii stało kilka bryczek szlacheckich, arka pani Jęczmionkowskiej, amerykanka pana Rodryga i ka-retka pani Warskiej.

Książd Stanisław przyjmował gości, którzy po na-bożeństwie przyjechali złożyć mu, w dniu jego imie-nin, życzenia.

W niewielkim bawialnym pokoju, na kanapie, na-przeciw drzwi wchodowych, rozsiadły się pani Jęcz-mionkowska i dwie znajome jój panie. Na jednym z fotelów, obok kanapy, siedziała Grodzicka, na dru-gim Dolewska; trochę dalej ponsowiały wory z książkami Owsickiej i tuliła się w kątek Szeherazada. Pod

olnami na niskich ławeczkach zasiadły panny Jęczmionkowskie, z dwiema czy trzema podobnemi sobie towarzyszkami, a między niemi błędsza, niż zwykle, Magdzia. Nieco opodal, pod ścianami i piecem, stali i rozmawiali z sobą bracia Harasimowiczowie, pan Barszcz i dwóch Jęczmionkowskich, ojciec i syn; przez drzwi otwarte widać było w drugim pokoju przechadzającego się proboszcza, z dwoma czy trzema księżmi i panem Dembowskim.

Klotylda siedziała profilem zwrócona do drzwi wchodowych, tuż obok pani Dolewskiej, a obok niej okręcał się na jednej nodze pan Rodryg, coraz więcej wciskając pince-nez na zadarty nos. Zaraz po wejściu do plebanii prosił on księdza proboszcza, aby go przedstawił pani Warskiej i od téj chwili nie opuszczał jej krzesła, mało jednak mając zręczności zamienienia z nią choćby słów kilku, bo Klotylda z wielkiem zajęciem rozmawiała z panią Dolewską.

Mały pokój wypełniony był licznym zebraniem, gwar w nim panował wielki.

— Przyznam się sąsiadce — mówiła, szepcąc, pani Jęczmionkowska do siedzącej obok wyczepierzonej damy — że nic tak dalece pięknego, nie widzę w téj pani Warskiej. At sobie, wystrojona lalka, nic więcej.

— Sławny bęben za górami — odparła sąsiadka.

— A czy pani Sylwestrowa widziałaś, jak to

ona w czasie nabożeństwa, strzelała oczyma po kościele?

— A jakże, i na własne oczy widziałam, jak w kościele chichotały się z tą Dembowską, co to już teraz nosa do góry zadziera, dla tego, że z wielką panią jeździ.

Biedna Magdzia, ani spodziewając się, iż była przedmiotem czyjś rozmowy, szukała tymczasem spojrzaniem kogoś, którego ciągle, jak nie było, tak nie było, a panie, mówiąc o chichotaniu i strzelaniu oczyma, zapomniały o tém, iż tłum ludzi nie dozwolił im nawet ani razu ujrzeć pani Warskiej w czasie nabożeństwa.

— Albo i teraz — zaszepotała jeszcze Jęczmionkowska — czy sąsiadka widzisz, jak z pod oczka patrzy na pana Wiercińskiego?

— Zwyczajnie *kukietka!* Zaprowadzi z nim zaraz romans, sąsiadka zobaczysz.

— *Zenobie! Zenobie!* — ozwała się Elfyda do siostry, siedzącej blisko drzwi wchodowych — *fermez la porte, car il fait des vents.*

— *Bien ma chère* — odrzekła Zenobia, płynąc ku drzwiom.

— Boże mój, Boże! — szepnęła panna Zuzanna pani Owsickiej — jakaż to śliczna ta pani Warska! Rychtyk taka sama śniła się mnie w dzień świętych aniołów-stróżów, niby-to przyszła do mnie i mówi...

— A czy wiesz, panno Zuzanno—przerwała Sze-

herezadzie Owsicka — że ja z panią Warską jechałam w przeszłym roku do Warszawy, w jednym wagonie, i nie wiedziała-bym o tém, panie mój kochany, ale powiedziała mi to dziś siostrzenica moja Marylka, co to u niéj jest panną służącą.

— A jaka pani Warska dobra! — wtrąciła Grodzicka — mego Mieczka na wychowanie wzięła.

Tymczasem Harasimowicz młodszy spoglądał z pod oka przez okno na swoją bryczkę, na której leżało pudełko z gitarą, a Harasimowicz starszy oglądał się, rozmyślając, któremi-by drzwiami najłatwiej się wymknąć, aby na ustroni dać buzi szklanéj kochance.

— Gdzież to syn pani dobrodziejki? — protekcyjnalnie ozwała się z wysokości kanapy, pani Jęczmionkowska do pani Dolewskiej, mając sobie za obowiązek, względem własnej godności zaciągnięty, przymrużyć zapadłe w tłustych policzkach oczy, przy publiczném przemawianiu do aptekarżowéj.

— Nie wrócił jeszcze od pana B., który na tyfus choruje, i Bóg wie, kiedy wróci — odrzekła matka Lucyana.

Na te słowa Dolewskiej, Zenobia Jęczmionkowska mdlejąco opuściła głowę na piersi, Elfryda rozpaczliwie wionęła złotemi falbanami, a Magdzia smutnie pochyliła główkę.

— Miałam przyjemność poznać syna pani — rzekła Klotylda do Dolewskiej — był nawet tak grze-

czny, że mię odwiedził i kilka godzin bardzo mile przepędziłam w jego towarzystwie.

Twarz matki Lucyana rozjaśniła się radością, jak zwykle, gdy słyszała pochlebne o synu swoim wyrazy.

— A mówił mi Lucyana, że był u pani dobrodziejki — odrzekła. — Opowiadał mi o Jodłowej, że tam istne cuda...

Nie dokończyła mówić, bo otworzyły się drzwi i wszedł Lucyana.

Kilkotygodniowy pobyt w ciemnym i smutnym pokoju chorego, kilka nocy bezsennych, ciągła praca przerywana marzeniami i marzenia, przerywane pracą, powlokły mu twarz lekkim wyrazem zmęczenia, pięknie kontrastującym z blaskiem jego szafirowych, głęboko osadzonych oczu.

Pierwszą osobą, którą ujrzał, wchodząc, była, siedząca naprzeciw drzwi, Klotylda. Na widok jej strojnej lecz poważnej postaci, pochylonej z uprzejmym uśmiechem ku jego matce, doświadczył uczucia nagłej radości. Uczucie to odbiło się uśmiechem na smutnych jego ustach i rozpromieniło blade, od zmęczenia, czoło. Klotylda także spojrzała na niego, gdy wchodził i przez chwilę spotkały się z sobą ich oczy.

Między pannami ruch się zrobił: naiwna Magdzia zarumieniła się po uszy, Elfryda szerzej wionęła falbanami i zasznurowała usta, Zenobia melancholicznie

oparła łokieć na stole, a czoło na dłoni i rzekła do siostry:

— *Elfride! il me se fait faible!*

Elfryda nic nie odpowiedziała, aby nie popsuć układu ust.

Ale Lucyan nie spojrział nawet na dziewicze grono, lecz podszedł do stojącego we drzwiach drugiego pokoju księdza Stanisława i, ściskając ręce proboszcza, wieszował mu imienin.

Potém zwrócił się do matki, a całując jój rękę z miłością, spojrział w jój twarz i rzekł:

— Moja droga mateczka, pewno swoim zwyczajem, niepokoiła się o mnie.

— Żebyś się ty nie zaraził tylko tym tyfusem — odrzekła Dolewska, całując czoło syna.

— O, zdrów jestem, jak nigdy! — odpowiedział Lucyan i zwróciwszy się ku Klotyldzie, podał jój rękę na powitanie.

— Co to za in-dy-wi-du-um? — spytał pan Rodryg Barszcza.

— To doktor — odszepnął totumfacki.

— Aha! fel-czer!

— Nie, doktor.

— To wszystko jedno

Tak zdecydowawszy, panicz z pince-nez zwrócił się znowu ku Klotyldzie; ale o zgrozo! ujrzał ją, ją, która nie raczyła do niego dziesięciu słów przemówić, zajętą żywą rozmową z fel-cze-rem.



Lucyan stał za krzesłem pani Warskiej i, pochylony nieco ku niej, opowiadał jej o czémś z uśmiechem, a ona, zwrócona ku niemu, słuchała go z zajęciem i odpowiadała z widocznym ożywieniem. Rozmowa ta, bardzo zresztą naturalna, ściągnęła baczną uwagę wszystkich.

— Uważasz sąsiadka, dwóch razem łowi! — szepnęła Jęczmionkowska-matka.

— Dwa grzyby w barszcz — odrzekła ta sama pani, która wprzód wypowiedziała przysłowie: „sławny bęben za górami”. Wyraźnie wcielił się w nią duch nieboszczyka Szanso-Pansa.

A wzrok pańien Jęczmionkowskich, w miarę jak się przedłużała rozmowa Klotyldy z Lucyanem, zapalał się niechęcią. Zenobia melancholicznie wyrzekała w duchu na niewdzięczność mężczyzn, a Elfyda zaczęła żałować różowego muślinu, darowanego córce Grodzickiej, w celu zwabienia powabnego doktora okazaną dobroczynnością.

— *Elfride! il me se veut dormir* — ozwała się z przekąsem Zenobia.

— Możesz się położyć i spać, pewno nikt na ciebie nie spojrzy — ze złością odrzekła siostra.

— Nowe sitko na kołku — wtrąciła obok siedząca panna, córka Szanso-Pansa w metempsychozie, wskazując na Lucyana i Klotyldę.

— Patrz sąsiad, jak ta ładna bestyjka bałamuci naszego doktora — zauważył Harasimowicz młodszy na ucho panu Barszczowi.

— Będzie romansik! — odrzekł ten, uderzając językiem w podniebienie.

O prowincyo! piękna jesteś ze swemi wioskami o szerokich polach i ciemnych, wonnych lasach; piękna prostotą serc ludowych, rzewna mozołem i łzami biednych.

Na tle twojém poeci snują sielanki, śród ciszy twój mędrzec lubi w badaniach utonąć, a kochankom błogo przepędzać chwile miłosne.

Lecz, o prowincyo! straszna jesteś przesądami swemi, okropna plotkami i pretensjami swoich mieszkańców, które, jak ospa szpecą i psują piękne twoje oblicze. Plagą jesteś dla tych, którym pozazdrościsz piękności lub wyższego rozumu.

I nie wstydzić się tobie śmiesznośc, płynących z niezgrabności zewnętrznej i braku ogłady, bo pod grubą powierzchnią może się kryć serce złote; ale wstyd niech ci będzie twoich żądań kłajających boleśnie, twoich zazdrości, potwarzy i nieprzełamanych przesądów!...

O, gdyby serca twoich mieszkańców były tak szerokie, jak twoich pól rozłogi; gdyby ich umysły rozjaśniły się światłem prawdziwém tak promiennie, jak pod wiosenném słońcem rozjaśniają się złote kobierce łąk twoich i drżące młouemi listkami głębie twoich gajów; gdyby ludzie, którzy cię zamieszkują, żyli ze sobą w takiej zgodzie, jak ptaszki unoszące się nad głowami rolników i byli tak pełni prostoty, jak pię-

kna przyroda twoja — wtedy, prowincyo, była-byś razem na ziemi!

Ale niestety! póki nie przechorujesz swojej ospy, dopóki panie Jęczmionkowskie, panny Elfydy i Zenobie, panowie Wiercińscy i Barszcze istnieć i puszyc się będą na łonie twojem, — póty, prowincyo, od wschodu do zachodu słońca codziennie módl się do Boga słowami poety: „Światła! światła! i jeszcze światła, o Panie!

Bóg wié do jakiego stopnia doszły-by sentymtalno-rozdrażnione komplikacye, sprawione między gośćmi księdza proboszcza tém, że dwoje ludzi z zajęciem rozmawiało ze sobą, gdyby na szczęście organista z pomocą wiejskiej dziewczyny nie wniósł na środek bawialni stołu nakrytego, na którym po chwili ukazała się przekąska.

Ksiądz Stanisław zapraszał gości na podaną wędlinę, sery, mleko kwaśne i zrazy zawijane.

— Czém chata bogata, tém rada — mówił proboszcz, wskazując stół gościom; — a może panowie wódeczki napiją się przed śniadaniem? — dodał, zwracając się do mężczyzn.

— Broń Boże! ani kropeczki — zawołał z oburzeniem Harasimowicz Dyonizy. — Doktorowie pod karą śmierci zabronili mi używać trunków.

To mówiąc, cofał się ku drzwiom i zniknął w sieniach.

— Czemuż to pan Lucyan nie był na nabożeń-

stwie? — pytała pani Jęczmionkowska, pół-ukryta za górą zrazów, które sobie położyła na talerz.

— Nie mogłem, pani, odstąpić wcześniej od cholego, bo o jedenastej dopiero nastąpiło przesilenie gorączki, a że to dobre dwie mile...

— A cóż ksiądz proboszcz mówi na taki brak nabożeństwa w panu Lucyanie? — zagadnęła inna dama, piastując w ręku olbrzymią porcyą chleba razowego z masłem i wędliną.

— Ja na to powiem — odrzekł ksiądz Stanisław — że wiara bez uczynków martwą pozostaje i że najmiłszą Bogu modlitwą jest czyn pocziwy.

— Czy będę dość szczęśliwy, aby mój *prezentować* pani cokolwiek? — spytał pan Rodryg Klotyldy, do której raz przecie mógł dostąpić.

— Dziękuję panu, mam już wszystko czego mi trzeba — odpowiedziała pani Warska, nie odwracając głowy.

— Sądzę, że pani tego jeść nie będzie, to *degutujące!* — rzekł, wskazując zrazy.

— Owszem, jest to rzecz wyborna — odpowiedziała dziedziczka Jodłowej i, posuwając swój talerz w stronę Lucyana, rzekła z uśmiechem:

— Panie Dolewski, czy mogę pana prosić o położenie mi na talerz tej potrawy?

Pan Rodryg wzdrygnął się cały, widząc, że jeść będzie zrazy i że prosiła o nie *felczera*. Spojrzał na

Lucyana przez pince-nez wzrokiem bazyliuszka i znowu rozpoczął rozmowę z piękną swoją sąsiadką.

— Jakże się pani podoba *seżurnowanie* na wsi?

— Ja bardzo wieś lubię.

— Co do mnie, jestem *zdegutowany* i jedynie tylko potrzeba *skomparowania* raportów ludzi zarządzających memi dobrami, mogła mnie *zobligować* do *prolongowania* mego tu pobytu. Podobna *rekluzya* nie może *kontentować* gustu człowieka, który *strawersował* całą Europę. Pani zapewne podziela moją opinią? *n'est-ce pas, madame?*

To powiedziawszy, spojrzął na Klotyldę, czekając odpowiedzi; ale śmiertelna zdjęła go zgroza, gdy ujrzał, że nie uważając na jego tyradę, jadła w najlepsze swoje zrazy, z uwagą słuchając opowiadania siedzącej obok niej pani Dolewskiej, o tém, jaki jój Lucyś dobry, jaki rozumny, jak ją kocha i t. p.

Ale panny Elfryda i Zenobia nie jadły zrazów, broń Boże! nie jadły nawet mléka, choć miało minę poetyczniejszą, więcej jakoś pasterską od mięsa. Umierały z głodu, patrząc na zastawione przed niemi proste lecz smaczne potrawy, a niczego nie tknęły, bo za nic w świecie nie zdecydowały-by się jeść przy liczнім zebraniu, a szczególnie w obecności powabnego doktora. Więc nic nie jadły biedne ofiary dziewiczej idealności, a w duchu pocieszały się myślą o kołodunach, które miały być w domu na obiad.

Każda z nich obiecywała sobie, że zje ich najmniej piętnaście i zakąsi porządnym kawałem baranięj pieczeni.

Za to mama Jęczmionkowska nie spuszczała się na przyszłość, ale, używając w terażniejszości tego, co Bóg dał, połykała zrazy jeden po drugim jak pigułki, kiedy niekiedy złośliwe spojrzenie rzucając na Klotyldę.

Harasimowicz Onufry, siedząc obok panny Zenobii, starał się z całej siły rozweselić melancholiczną sąsiadkę, obiecywał jej zaśpiewać po śniadaniu: „Pytasz mnie, Klimeno“ i zapytywał czy nie ma niestrawności, że nie nie jé. Na co Zenobia odwróciła twarz panińskim rumieńcem zalaną i rzekła przez ząbki:

— Otóż pięknie bardzo! jakie pan Onufry dziś *głupstwa gada!*

A Harasimowicz Dyonizy stuknął łokciem Barzczą i szepnął:

— Braciszek, panie, w umizgach; piękny mi adonis! he?

Nareszcie całe towarzystwo wstało od stołu i o zgrozo! pleć piękna ujrzała znowu Lucyana, stojącego za dwoma krzesłami, na których obok siebie usiadły Klotylda i jego matka i prowadzącego z panią Warszawską żywą rozmowę, do której mieszała się też i Dolewska.

Na twarzy staruszki rozlewała się radość; dojrza-

ła ona, że Klotylda bogatego i wymuskanego pana Rodryga traktowała bardzo obojętnie, a z synem jej rozmawiała prawie ciągle i z widoczną przyjemnością.

Serce matki uderzyło dumą, na widok téj kobiety pięknej, rozumnej, świetnej i bogatej, publicznie okazującej jej synowi tyle szacunku i życzliwości.

Lucyan dojrzał to rozpromienienie twarzy swój matki, i wzrok jego zdawał się do niej mówić:

— Nieprawda, że ona jest śliczna i dobra, jak anioł?

— Niechże pani sama osądzi — rzekła wesoło Klotylda, zwracając się do pani Dolewskiej — czy to jest grzecznie ze strony pana Dolewskiego, że mię dotąd raz tylko odwiedził?

— On zawsze taki zajęty... — tłumaczyła matka.

— Za karę musisz pan być u mnie dzisiaj na obiedzie.

— Radbym serdecznie korzystać z zaproszenia pani, ale dziś nie mogę.

— Dlaczego pan nie możesz? — spytała, badawczo patrząc w twarz młodego człowieka.

— Stan pacyenta mego, pana B., wymaga jeszcze mojej obecności, i chociaż przesilenie choroby szczęśliwie wróży, muszę przecież wracać doń na dni parę.

— I pan dziś tam pojedziesz?

Lucyan spojrział na zegarek.

— Za godzinę, pani — odpowiedział.

— I niczém nie można odwieść pana od tego postanowienia ?

— Niczém, pani.

— Panie Dolewski, szanuję pana za to — rzekła Klotyllda, po krótkiej chwili milczenia, przez którą z dziwnym wyrazem patrzyła w twarz doktora — jesteś pan człowiekiem czynu — dodała i wyciągnęła do niego rękę.

Twarz Lucyana zajaśniała takim wyrazem szczęścia, jakby się niebo przed nim otworzyło. Ujął podaną sobie rękę i poniósł ją do ust. W tej chwili zapomniał o istnieniu otaczających go ludzi: widział tylko jedną kobietę, słyszał tylko jeden głos.

O kilka jednak kroków od nich stał ktoś, co widział i słyszał wszystko i, zachmurzywszy czoło, dziwnie badawczo a podejrzliwie spojrział na Klotylldę.

Był to ksiądz Stanisław.

Reszta zebrania nic nie widziała i nie słyszała, bo właśnie w tej chwili rozległy się prośby, zwrócone do pana Harasimowicza młodszego, aby zaśpiewał.

— Czy pan Onufry ma z sobą gitarę? — pytała z kanapy pani Jęczmionkowska.

— Nie pamiętam dobrze, czym ją wziął ze sobą, pani dobrodziejko — odpowiedział, rumieniąc się z radości pan Onufry.

— O, niechże pan zobaczy w swojej nejtyczance!  
— zawołała Elfryda, fruując ku niemu falbaną.

— Prawdziwie, pani dobrodziejko... nie wiem, czy



śpiew mój... — zaczął Onufry, zacierając niby z zakłopotaniem ręce.

— O, niech-że pan będzie łaskaw, niech-że pan będzie łaskaw! — ozwało się kilka głosów.

— Nie należy odmawiać bliźnim Bożych darów, które się posiada — zawyrokowała z kanapy skarbnica przyszłów.

— Oh — westchnęła Zenobia, zerkając na Lucyana — pan zaśpiewasz nam coś melancholicznego; ja tak lubię śpiew melancholiczny, szczególnież w pewnych chwilach.

Skonwinkowany temi błaganiami wiejski artysta, ukłonił się damom z wszelką możliwą galanterią, wykonał zręczną piruetę na jednej nodze i wyszedł za drzwi; po chwili ukazał się znowu w pokoju z gitarą w objęciu, z głową pochyloną i powolnym krokiem przeszedłszy pokój, usiadł obok panny Zenobii i zanucił smętnie:

„Po stracie szczęgła nieszczęsna szczyglica...”

Gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki znakomitęj aryi, Klotylda pierwsza pożegnała księdza proboszcza, i po chwili karetka jej znikła z dziedzińca plebanii.

Po niej szybko rozjechali się wszyscy. Arka pani Jęczmionkowskiej, poważnie toczyła się po piaszczystej drodze, piszcząc żelaztewem, jak dusza w czyściu cierpiąca, a rozgniewana mama mówiła:

— Przebrzydła *kukietka!* swemi minami i strojami zakasowała was. A ten głupi Dolewski, to już dla niéj tylko miał oczy. Myśli, że poumieracie z desperacyi, czy co? Ot, wielka mi osobliwość, syn aptekarza! a że się dochrapał doktorstwa, to już zaraz i do wielkiéj pani w pretensyach!

— Mamo — ozwała się sentymentalna Zenobia — czy tylko z pewnością mama kazała Małgosi kołduny dziś na obiad zrobić?

A w eleganckiéj amerykance Rodryg Wierciński pienił się ze złości.

— A to scena prawdziwa! — wołał do Barszcza, burząc zapiekana fryzurę — czy widziałeś? Wszak traktowała mię *en chien*, miała oczy tylko dla tego felczera. No, zjé dyabła, jeżeli mnie zobaczy w Jodłowej! Żeby teraz uklękła przede mną, prosząc, nie pojedę!

— Tego ona i chce podobno — pomyślał w duchu Barszcz, a głośno dodał:

— Naturalnie, że nie warto; albo to pan taką partyą możesz zrobić, jak zechcesz. A czy nie zajdziemy do Lejby, wziąć buteleczkę tego doskonałego miodu, co to onegdaj przywiózł go do Wiercina?

A pani Dolewska szła z plebanii do domu, w towarzystwie Owsickiéj i syna.

— Czy wie pan Lucyan — wołała pani Anna — że ja z panią Warską jechałam w jednym wagonie do Warszawy, i nic nie wiedziałam o tém?

— A to kiedy?

— A wtedy, kiedy to i przyjaciel pana Lucyana jechał, jak się nazywa?...

— Karłowski?

— To, to, to, Karłowski! Otóż ja jechałam, panie mój kochany, on jechał i ona jechała, ale tak zasłoniła się welonem, że i twarzy jój widać nie było.

— Czy to było wtedy, jak Karłowski wracał z N. do Warszawy?

— A wtedy, wtedy, jak dziś pamiętam.

Lucyanowi dziwnie się jakoś zrobiło. Przypomniał sobie historią o kameleonie i poczuł ściśnienie serca na myśl, że kameleonem tym mogła być właśnie Klotylda.

— A zkądże pani wie, że to była pani Warska?— zapytał.

— Marylka mówiła mi, że ona sama, ubierając się raz, powiedziała jój: czy wiesz, że jechałam do Warszawy z twoją ciotką w jednym wagonie?

— Czy nie było z państwem innéj jeszcze damy?

— Nikogusieńko, tylko ja, ona i pański przyjaciel.

— A czy miała wtedy jaki pierścień na ręku? nie uważałaś pani?

— A jakże, ten sam co i dziś, panie mój kochany, od razu poznałam.

Lucyan przypomniał sobie, że w istocie widział dziś na palcu Klotyldy pierścień z wielkim brylantem.

Nie było wątpliwości: pani Warska była tą samą kobietą, która tak żywo zajmowała Karłowskiego.

— Co ty się tak dopytujesz o to, Lucysiu? — spytała Dolewska, ze zdziwieniem słuchając żywej rozmowy syna z Owsicką.

— To długa historya, moja matko — odpowiedział Lucyan i szedł dalej, zamysłony i milczący.

— Lucysiu, trzeba koniecznie, żebyś pojechał do Jodłowej. Pani Warska tak uprzejmie cię zapraszała — rzekła, na ganku swego mieszkania pani Dolewska.

— Pojadę tam, moja matko, jak tylko wrócę od pana B. — stanowczo odrzekł Lucyan.

---

V.

**Sielanka.**

I widziały stare drzewa jodłowskiego ogrodu, jak często, codziennie niekiedy, piękna Klotylda przechadzała się pod ich sklepieniem, wsparta na rękę młodego doktora.

A mirty i cyprysy strojące ganek jodłowskiego domu, ciekawie zaglądały wieczorem w głąb' wschodniego gabinetu i widziały, jak, pod szafirowém światłem lampy, oparta na otomance postać kobiety, wdzięcznie rysowała się śród barwnego tła draperyi, i słyszały stłumiony głos mężczyzny, mówiący do niej o czémś długo, długo...

I widziała figlarna Marylka, jak na przezroczytstėj twarzy jėj pani, wykwitał rumieniec, ile razy stopy dzielnego gniadosza zatętniały przed gankiem domu; i widział stary Ignacy, jak młody jeździec drżącą z niecierpliwości ręką, oddawał mu cugle wierzchowca; a sam jednym skokiem przesadzał wschody ganekowe, aby się coprędzej znalazł obok pani domu.

I wśród głębokiej ciszy wiejskiej, wśród jasnej majowej pogody, owiana wonią kwiatów i szumem drzew starych, zwolna i słodko snuła się dwojga serc sielanka, w tém tylko różna od innych na ziemi, że na dnie jej leżało snąć cierpienie i były łzy; bo często wieczorem, gdy tętent konia unoszącego Lucyana umilknął w oddali, malowana twarz Madonny widziała kornie schyloną przed sobą głowę kobiety i załamane smutnie jej ręce, a z po-za jodeł, otaczających dziedziniec, wychodziło dziewczę młode i smutne, smutno patrzyło w niebo, z którego gwiazdy nocne przeglądały się w łzach drżących na jej żrenicach.

I było tak miesiąc cały . . . . .  
. . . . .

Boże mój, Boże! gdyby spisać historią wszystkich na świecie miłości, jakżeby mało w niej było radosnej treści! A jednak ludzie upornie gonią te szybko gasnące iskry, które zbyt często niestety wiodą za sobą szereg mar ciemnych . . . . .

. . . . .

---

VI.

Pytanie.

Było to już po ósmym Czerwca.  
Okolo zachodu słońca, pani Dolewska siedziała na  
ganku swego mieszkania, z pończochą w ręku, gdy  
tuż za nią ozwał się pokorny głosik:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen!

— Pokój temu domowi!

— I temu, kto to mówi!

Po tém preludyum, pani Dolewska wskazała przy-  
byłój, pannie Zuzannie, ławeczkę naprzeciw siebie.

— Pokornie dziękuję pani aptekarzowej dobro-  
dziejce — z dygami odrzekła Szeherezada — siadę,  
siadę, bo zmordowałam się porządnie, jadąc w taki  
upał i do tego prostym chłopskim wozem.

— Gdzież to panna Zuzanna była? — spytała  
Dolewska, przerywając sobie głośne liczenie oczek.

— A w Jodłowej. Grodzicka mi poradziła, że-

bym udała się do pani Warskiej, z prośbą o pomoc w mojej biędzie.

— No i cóż? widziałaś panią Warską?

— Ach, moja pani aptekarzowo dobrodziejko — zawołała panna Zuzanna, składając ręce i kiwając swoją małą główką — co ja widziałam, co ja widziałam! śliczności! śliczności! Czy pani aptekarzowa dobrodziejka pamięta mój sen zaraz po Bożem Narodzeniu, że niby to był taki piękny pałac i taki piękny ogród, jak raj niebieski, i że nibyto po tym ogrodzie pan konsyliarz chodził pod rączkę z jakąś taką piękną panią, że aż oczy trzeba było mrużyć patrząc na nią, i że niby to wyskoczyła na nich bestya i pan konsyliarz rozdarł ją na dwoje?

— Pamiętam, i cóż ztąd?

— Otóż rychtyk słowo w słowo ja dziś wszyściutko to na własne oczy widziałam.

— Jakto, i bestyą? — spytała pani Dolewska z uśmiechem.

— A, broń Panie Boże! bestyi nie było, ale taki sam pałac, taki sam ogród i po tym ogrodzie tak samiućenko pan konsyliarz chodził pod rączkę z panią Warską. A pani Warska to taka była dziś piękna, niby to anioł, w białej sukni i z różowym kwiatuszkiem we włosach.

— A mój Lucyś chodził z nią po ogrodzie?

— A jakże!... Boże mój, Boże! pani aptekarzowo dobrodziejko, ta pani Warska, to anioł! Przywitała



się ze mną, jak ze swoją równą, prosiła siedzieć i rozmawiała i obdarowała mnie tak, że przez trzy miesiące przynajmniej, będę miała wszystkiego po uszy. I pan konsyliarz przywitał się ze mną, a potem nie mówił, tylko przewracał karty jakiś książki i spoglądał czasem na panią Warską. A potem wzięli się pod rączki i poszli w aleję, a ja poszłam do garderoby z Marylką i tylko zdaleka słyszałam, jak pan konsyliarz coś pani Warskiej opowiadał. A co, pani aptekarzowo dobrodziejko, czy nie sprawdził się mój sen?

Podczas tych słów panny Zuzanny, kilka oczek spadło z drutów pani Dolewskiej, a twarz jej miała wyraz to zadowolenia, to obawy; ostatnia śnać zwyciężyła, bo odrzekła pannie Zuzannie dość markotnie:

— Daj Boże tylko, panno Zuzanno, żeby tam na niego żadna bestya nie wyskoczyła.

— Broń Boże! Ogród naokoluteńko zagrodzony i zamknięty; gdzieby tam jaka bestya dostała się do takiego raju.

— Marysiu! Marysiu! — zawołała przezedrzwi pani Dolewska — a podawaj-no samowar! Pewno zaraz pan Lucyan przyjedzie. Pójdź tylko piérwój po bułki, a żwawo, nie tak, jak to ty zawsze łązisz, niby żółw'.

I uderzyła po obu kieszeniach.

— A gdzie są moje klucze? Marysiu, ty mazgaju, poszukaj mi moich kluczów!

W téj chwili w bramie podwórka ukazał się Lucyan, jadący na gniadoszu i, zeskoczywszy z konia pod gankiem, wesoło powitał matkę i jój wielomówną sąsiadkę.

Dzień ów przeszedł mu w Jodłowej bardzo mile. Przybył tam z rana, po trzydniowej niebytności. Klotylda spotkała go we wschodnim gabinecie, strojna, uśmiechnięta i radością zarumieniona, podała mu obie ręce i, patrząc mu w twarz swemi wielkimi ciemnymi oczyma, rzekła:

— Tak dawno pana nie widziałam! Coś pan tam robił przez te wiekuiste trzy dni?

Usiedli oboje obok siebie na otomance, naprzeciw drzwi od ogrodu, i zaczęli opowiadać sobie wzajem o swoich trzydniowych zajęciach. A mówiąc, patrzyli na kwiaty kołyszące się pod powiewem wiatru, na rojące się wkoło nich żółte i białe motyle, na opromienione słońcem posągi, a niekiedy patrzyli téż i na siebie. Lucyan namiętném okiem orzuczał smukły stan i strojne w różowe kwiaty włosy kobiety; ona wpatrywała się chwilami w jego płonące oczy. Potém przybiegła Magdzia. Gospodarzyła snać dziewczeczka, bo przy swojej błękitnej perkalikowej sukience miała fartuszek biały. Przybladła nieco w ostatnich czasach i niekiedy w spojrzeniu jój przebijał się jakiś smutek, wesoło jednak śmiała się i szczebiotała.

Podano śniadanie na ganku od ogrodu; jedli je we troje, rozmawiając swobodnie. W godzinę po śniadaniu, Magdzia odbiegła do gospodarstwa, a Klotylda rzekła do Lucyana:

— Pójdźmy czytać w ogrodzie.

— Dobrze, a co będziemy czytali?

I poszli do biblioteki. Klotylda była dnia tego wesoła jak dziecko, a wesołość jej ogarnęła i Lucyana. W bibliotece żartowali ze sobą i śmieli się, jak dwoje dzieci, które nie wspominają przeszłości, o przyszłości nie myślą, lecz cieszą się pięknnością terażniejszej chwili, jakby ona wieki trwać miała. Nareszcie, wybrawszy jedną w angielskich powieści, poszli do altany i czytali, a raczej Lucyan czytał głośno. Dźwiękowi głosu jego wtórowały śpiewy ptaków w gęstwinie i cichy szum gałęzi, splecionych nad ich głowami.

Nie tak nie zbliża dwojga myślących ludzi, jak wspólnie czytana książka. Za jej pośrednictwem patrzą oni na jedne obrazy, doświadczają jednych wrażeń, razem się smucą i razem się śmieją, a po odczytaniu ostatniej karty, spostrzegają, że nie tylko przeczytali książkę, ale i siebie wzajem głębiej poznali, ściślej, niż wprzód, jednocząc się ze sobą najważniejszym i najtrwałszym ze związków — braterstwem myśli.

Wracając z ogrodu, Klotylda i Lucyan układali plan konnej przejażdżki o zachodzie słońca, gdy

w większym salonie Ignacy podał Klotyldzie otrzymane z poczty dzienniki i list. Klotylda spojrzała na adres listu i Lucyan dojrzał wyraźnie lekkie zsuniecie brwi i szybki rumieniec. Przeprosiła gościa, iż go zostawi na chwilę samego i z listem otrzymanym wybiegła do swego gabinetu.

Lucyana niemiłe ogarnęło uczucie, które przecuciem raczej nazwać-by można. Nic nie mogło być prostszego, jak niezadowolenie pani Warskiej z jakiegoś tam listu i chęć przeczytania go w samotności. A jednak Lucyan dziwnie się zaniepokoił czémś... czém? nie umiał sobie zdać sprawy. Może przelotnym, dojrzanym przez niego, rumieńcem Klotyldy. Zresztą, któż potrafi dokładnie określić te nagłe smutki i obawy, które nieraz bez wyraźnej przyczyny, wśród chwil najśłodszych nawet, ściskają serce człowieka, jakby przypominając mu, że żyje na ziemi, że zatem wszędzie niespodzianie może ujrzyć przed sobą ciemną twarz nieszczęścia?

Lucyan z dziennikiem w ręku wszedł do mniejszego salonu i na łniącej posadzce ujrzał rzucony papier. Machinalnie, nie myśląc o tém, co czyni, podjął ten papier i spojrział nań. Była to koperta, tylko co przez panią Warską otrzymanego listu, którą ona rozdarła i rzuciła.

Na niej były proste słowa adresu: Pani Klotyldzie Warskiej, przez Wilno w Jodłowej, napisane kształtném i wprawném pismem. Wzrok Lucyana

przyłgnął do nich z takim wytężeniem, jakby w nich wyrok swój miał czytać. Powstał z krzesła, na którym siedział, rzucił kopertę na stół i rzekł prawie głośno do siebie:

— Tak! to jest *jego* pismo! Więc oni pisują do siebie!

Przy tych słowach silne cierpienie odbiło się na jego twarzy.

Po godzinie, Klotylda wyszła z gabinetu swego. Wesołość jej poranna pierzchnęła; była zamysłona i nieco smutna, ale wydawała się zupełnie spokojną. Przy obiedzie, poważnie rozmawiali ze sobą o kwestyach ogólnych, a gdy Lucyan przypomniał z rana ułożoną przejażdżkę, Klotylda odpowiedziała, że nie ma usposobienia do konnej jazdy i, siadłszy przy fortepianie, zaczęła śpiewać. Gdy skończyła wielką jakąś arya, Lucyan rzekł od niechcienia niby:

— Czy pani słyszała kiedy śpiew Karłowskiego?

— Słyszałam — żywo odparła Klotylda, i z śmiechem dodała:

— Lubisz pan śpiew Schuberta „Les adieux“?

I nie czekając odpowiedzi, pieśń tę śpiewać zaczęła.

Lucyan poczuł znowu niewytłómaczoną wewnętrzną obawę. Uderzyła go szybka zmiana rozmowy i przykro dotknięty wyrazy „Les adieux“.

Ale Klotylda, skończywszy śpiewać, usiadła obok

niego i rozpoczęła się między nimi jedna z tych popufnych, serdecznych a spokojnych rozmów, które tak miłe są dla pojmujących się wzajem ludzi.

— Nic w sercu mojem — mówiła Klotylda — zatrzyć nie może słodkiego obrazu mojej matki. Dziecinne lata upłynęły mi obok niej, owiane tchnieniem jej anielskiej dobroci, a sto razy szczęśliwszem byłoby życie moje całe, gdyby jej kochająca i mądra ręka dłużej przewodniczyła moim krokom.

— Szczęśliwszem? — zapytał Lucyan — alboż pani nie jesteś szczęśliwą?

— Tak — z wolna odrzekła — na zewnątrz wszystko każe się domyślać, iż zupełnie szczęśliwą jestem; ale pan wiész zapewne, że nietylko z zewnętrznych okoliczności, ale i z samych siebie czerpiemy zasoby szczęścia, lub nieszczęścia. Są ludzie, którzy wśród cierpień nawet, wśród ubóstwa, boleści, posiadają niezmacony niczem spokój ducha; są inni, którym natura wlewa w pierś zarody wiecznego niepokoju. Ci, otoczeni największemi rozkoszami ziemi, zawsze czegoś pragną, za czémś gonią, rwą się do przeoczutych, a niedoścignionych ideałów; zda się, że już chwytają je niekiedy, ale zawodzą się i znowu biegną w świat z radością i pragnącą piersią. Takim trudno o szczęście; do takich należał ojciec mój i należę ja.

I w ten sam sposób poważny, mówiła długo o ojcu swoim. Potem mówiła o podróżach swoich i lu-

dziach spotykanych, a w rozmowie tój była tak piękna powagą i mimo jój woli przebijającym się smutkiem, że Lucyan zapragnął ukłęknać przed nią i pocałować skraj jój białej sukni.

A gdy tak rozmawiali ze sobą, naprzeciw nich słońce zachodziło i przez otwarte okna, z po-za gałęzi jodłowych, słało im pod stopy krwawe promienie.

Gdy po rozmowie tój Lucyan powracał do domu, wszystkie obrazy dnia minionego stawały przed nim tak wdzięczne, tak rozkoszne, że pod ich wpływem twarz jego nabrała wyrazu spokojnej radości.

Zaledwie powitał matkę i pannę Zuzannę, Marysia wniosła na ganek samowar, i pani Dolewska, brząkając kluczykami, zajęła się urządzeniem herbaty.

— Jakże ci czas przeszedł w Jodłowej, moje dziecko? — spytała, nie podnosząc oczu od bułki, którą krajała.

— Wybornie, moja matko — swobodnie odpowiedział Lucyan. — Pani Warska jest osobą tak grzeczną i miłą, że znudzić się w jój towarzystwie niepodobna.

— A spodziewam się, spodziewam, panie mój kochany. Chyba był-by małowany kawaler, który-by się znudził z tak śliczną osobą, jak pani Warska — zabrzmiał blisko ganku głos pani Owsickiej, która nadchodziła, niespostrzeżona przez nikogo. — Spodzie-

wam się, że z panią Warską nudzić się nie można — mówiła dalej, zasiadając po przywitaniu się przy stole z herbatą. — Już to i wtedy, jak to ja z nią razem do Warszawy jechałam, choć była zasłonięta i nic nie mówiła, zaraz zmiarkowałam, że to *coś pańskiego*. Bo to, panie mój kochany, dobrze mówił mój nieboszczyk Wicuś, świeć Panie nad jego duszą, że pana po cholewach poznać.

— Ale, że też pani Wincentowa nie dowiedziała się wtedy, z kim jechałaś — wtrąciła Dolewska.

— Już to ja, panie mój kochany, zachodziłam i ztąd i z owąd, ale ciągle odpowiadała tak, nie, tak, nie, i więcej nic. A właśnie *wizawi* siedział ten przyjaciel pana Lucyana — jak się nazywa?...

— Karłowski.

— A tak, Karłowski, to ja z nim rozmawiałam, bo bardzo grzeczny i przyjemny z niego kawaler.

— A pani Warska nie rozmawiała z panem Karłowskim? — zapytał Lucyana.

— W wagonie ani słóweczka, panie mój kochany, ale potem na foksalu widziałam, że rozmawiali ze sobą; a piękna z nich para była, choć malować.

I długo jeszcze ciągnęła o tym przedmiocie rozmowę pani Owsicka, a po głowie Lucyana przebiegały dziwne myśli.

Postacie Cypryana i Klotyldy, pierścionek jój, znalezione przez pierwszego, rozmowa ich na banhofie, koperta z pismem Cypryana, rumieniec pani Warskiej



przy wzmiankach o nim, wszystko to utworzyło w wyobraźni jego zamęt obrazów, kręcących się wirem w myśli. To też nieruchomym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń i zapomniał o stojącej przed nim szklance z herbatą.

Przy każdym wspomnieniu o Karłowskim, czuł jakby przedsmak gorzkiego obudzenia się z pięknego snu.

Po kilku godzinach, gdy kukawka zegaru oznajmiała północ, Lucyan kończył list następującej treści:

„Dawnom już nie miał wieści od ciebie, kochany Cypryanie, i piszę, aby cię zapytać, co się tam z tobą dzieje. Spodziewam się, żeś zdrow i wesół, jak zwykle, i serdecznie tego ci życzę. Ja tu w mieście mojej exystuję, jak mogę, i nie jest mi tak znowu źle. Zobowiązysz mnie bardzo, jeśli, nie zwlekając, doniesiesz mi o sobie, boć przecie starymi jesteśmy przyjaciółmi, a dawne i dobre stosunki tak wrastają w serce, że czas i oddalenie zniszczyć ich nie mogą. Napisz mi na przykład o tém, jak się skończyła historia twoja z ową panią Kameleon, którą się tak zajmowałeś w czasie bytności mojej w Warszawie. Czyś znalazł tę kobietę, czyś ją poznał i zbliżył się do niéj? Oświadczyć ode mnie pełne szacunku ukłony rodzicom swoim, a sam przyjm serdeczny uścisk ręki od przyjaciela twego — Lucyana.

P. S. Ale, ale, o mało nie zapomniałem ci donieść, że w strony nasze, a nawet w blizkie sąsiedztwo N.,

przybyła przed kilku tygodniami pani Klotylka Warszka. Możeś słyshał o niej na wielkim świecie. Niepospolita to osoba.“

Zapieczętował list i kładąc go na stole, rzekł do siebie :

— Rzuciłem pytanie, niech los odpowiada!

---

## VII.

### O d p o w i e d ź.

I minęło jeszcze dni kilkanaście; sielanka w Jodłówiej snuła się ciągle, spokojna jeszcze... do czasu.

A cała okolica brzmiała dziwną, niepojętą dla jej mieszkańców wieścią, że bogata pani Warska rozkochała się w biednym doktorze, że i on za nią głowę traci i t. d. i t. d.

Ulubiona garderobiana pani Warskiej zapomniała o mądrej przestrodze Ignacego i, przyjechawszy do N. na nabożeństwo, szepnęła parę słówek swojej cioci, pani Owsickiej. Ta powzięta od siostrzenicy wiadomość zapakowała do ponsowego worka, razem ze „Złotym Ołtarzykiem” i powiozła ją do pani Rzepowej, przyjaciółki swojej z sąsiedztwa. U pani Rzepowej kilka słóweczek Marylki, zamienionych na dwadzieścia wielkich słów, połknęło chciwe ucho Harasimowicza młodszego, który, wracając do domu, spotkał pana Barszcza, jadącego konno do Wiercina.

— Czy słyszał sąsiad nowinę?

— Jaką nowinę? — spytał Barszcz z wysokości swego kasztanka.

— Nasz doktor... hę? słyszał sąsiad?

— Cóż? nie słyszałem.

— Zaczłapał się po uszy w téj ładnej *bestyjce*...

— W kimże to?

— A no, w mojej znajomej, w pani Warskiej.

— Nie może być! A ona?

— A i ona zakochana w nim szalenie.

— No proszę, i cóż z tego będzie?

— A cóż? może pobiorą się.

— Dyabła tam! A na co to jej potrzebne?—za-  
decydował Barszcz i pojechał.

Przybywszy na miejsce, rzekł do pana na Wiercinie:

— Czy pan wieśz o awanturze?

— O jakiej awanturze?

— Pani Warska... cóś... tego...

— Aha, ta z zadartym nosem! No cóż?

— Cóż tego... tego... rozumiesz pan? *skompromi-  
towała się*.

Ostatni wyraz akcentował z dumą; niedawno wyuczył się go z mozołem wymawiać od pana Rodryga.

— Nie może być! — zawołał, z radości podskakując na krześle, Rodryg, który serdecznie nienawi-

dził pani Warskiej za swoje omylone nadzieje. —  
I z kimże to tak, co?

— A rozumie się, z pięknym doktorem — odparł  
Barszcz, smokcąc kostkę od kotleta.

— Ha, ha, ha! *sacre bleu!* Tak nosa zadzierała,  
a z felczere... Barszcz! weź jeszcze jeden kotlet  
za nowinę.

Nazajutrz Wierciński z Wiercina pojechał do państwa Jęczmionkowskich. Miał on wielkie o sobie rozumienie i wielkie na przyszłość zamiary; ale jako człowiek, który *strawersował* całą Europę i był *zdegutowany* wsią, potrzebował *dystrakcyi* i prowadził romans „*sous main*” z panną Zenobią Jęczmionkowską. Po jego ztamtąd wyjeździe, pani Jęczmionkowska piechotą poszła do najbliższej sąsiadki, która widziała Klotyldę na odpuscie, i zakomunikowała jej, po długim opowiadaniu, że pani Warska... Panny Jęczmionkowskie, którym przed rozmową matka powiedziała: — „*Sortez vous en, mes filles*” — podслуchały wszystkiego pode drzwiami i, wróciwszy do domu, opowiedziały, co słyszały, swojej Kaśce, którą pompatycznie zwały panną służącą. Kaśka nie miała nic pilniejszego do zrobienia, jak opowiedzieć całą rzecz lokajowi Pawełkowi, który dnia owego, zdjawszy quasi-liberyą Jęczmionkowskich, wozził niepiękne rzeczy z obory na pole. Głupowaty Pawełek, chichocząc, opowiedział wszystko, co posłyszał od Kaśki, ekonomowi, który bardzo lubił, „jak mu bajki gadali”,

a ekonom przy kolacyi ubawił całą tą historią swoją żonę. Nazajutrz pani ekonomowa pojechała do N.; po drodze spotkała panią Owsicką i oznajmiła jej, iż wie z *najpewniejszych* ust, że ślub pani Warskiej z panem Dolewskim odbyć się musi wkrótce... że pani Warska zdesperowana i t. d. i t. d.

O prowincyo! jakże ty się kochasz w wielkości! Jesteś żabą, a dmiesz się, aby dorównać wołowi; chwytasz muszkę, a czynisz z niej słonia! Wołowi nie dorównasz, a staniesz się tylko pękata pretensją i złością. Lecz ileż nieszczęsnych muszek zadusisz w jadowitym uścisku swych języków!

Pani Owsicka, usłyszawszy tę historią, plunęła i pochwyciła się za głowę.

— A, panie mój kochany! — krzyknęła, — cóż to za koszalki opałki! A toż niestworzone rzeczy powymyślali. Zgiń maro, przepadnij, z takimi językami, co i ją krzywdzą, i jego!...

I poczciwa babina, przypomniawszy sobie, że była pierwszą przyczyną „koszałek opałek”, bo pod *sekretem* powiedziała pani Rzepowój, że Lucyan Dolewski często w Jodłowej bywa, wyjęła wielką szpilkę z *pultyńka* i nakłuła nią sobie język, a potem, zamknąwszy swoje oburzenie do ponsowego worka ze „Złotym Ołtarzykiem”, pobięła do riatki Lucyana.

— O ratuj mnie, święty Antoni Padewski! — zawołała, wbiegając do sypialnego pokoju pani Dolewskiej i padając na stołek; — otóż powymyślali dziwo-

łagi na biednego pana Lucyana, otóż nabajali, że aż uszy bolą słuchać!

— Jezus Marya! cóż to takiego? co mogli złego powiedzieć o moim Lucysiu? — zawołała przestraszona pani Dolewska.

Pani Anna opowiedziała historią o przyspieszonym ślubie... i t. d.

Matka Lucyana schwyła się za głowę.

— A to horrendum, moja pani! — zawołała. — Tak krzywdzić kobietę i posługiwać się do tego imieniem mojego syna, który ją czci i szanuje, jak świętą jaką! Ja jemu to wszystko powiem; jego noga nie postanie już w Jodłowej.

W kwadrans potem Owsicka zasapana poszła do domu; worek jej był lżejszy, bo wyrzuciła zeń swoje oburzenie, które zato boleśnie zaciężyło na szlachetnym sercu matki Lucyana.

Młody doktor był nieobecny; wyjechał z N. do jednego ze swych pacjentów. Pani Dolewską dnia tego dwa razy więcej gderała na Marysię, oparzyła sobie rękę gorącą wodą i co chwila gubiła kluczyki; ale gdy upłynęło parę godzin, a Lucyan nie wracał, gniew jej zaczął opadać i poczuła, że nie będzie miała siły zmartwić syna dla „głupich ludzkich gawęd”.

Po południu przyjechał Lucyan, a na jego widok Dolewska ostatecznie zdecydowała w duchu, że nie może „biedaka zmartwić”; postanowiła tylko dowiedzieć się „co tam między nimi zachodzi”. Bo lubo

ani przez chwilę nie uwierzyła w to, co mówiono, toć przecie i ją dziwiło częste bywanie Lucyana w Jodłowój. Myślała sobie kilka razy: „a może się pobiorą”! ale przychodziła rozwaga: „ona taka bogata”! — „I cóż ztąd, że bogata”? — odzywała się duma matki: „a *on* rozumny, piękny, poczciwy i mógłby także zostać bogatym przez pracę i umiejętność, gdyby gdzie w szeroki świat wyjechał”.

Rozmyślała tak nieraz pani Dolewska, robiąc pończoszkę, albo krzątając się koło gospodarstwa i czekając powrotu syna z Jodłowój, ale ani razu o nic go nie zapytała.

— A nuż, myślała, jemu przykro będzie, że się ja w jego sprawy mieszam.

Ale w dniu, w którym Owsicka ciężar zebranych plotek wyrzuciła ze swego worka na macierzyńskie jój serce, postanowiła zapytać Lucyana o wszystko.

— Może oni i kochają się, gołąbki — myślała. — Niech im Bóg i Najświętsza Panna błogosławi. Ale co z tego będzie? Już to *on* taki rozumny, to musiał wszystko dobrze obmyśleć; niechże i mnie powie.

Po obiedzie Dolewska wyszła do bawialnego pokoju i zawołała syna.

— Lucysiu, moje dziecko — rzekła, siadając na kanapie, — siadaj tu obok mnie, mam z tobą do mówienia.

— Co mi powie moja kochana mateczka? — zapytał Lucyana, siadając przy niej i całując jój rękę.



— Widzisz, moje dziecko — mówiła matka, — Owsicka była dziś u mnie i mówiła... — Zająknęła się, patrząc w twarz syna i nie wiedząc, jak ma przystąpić do swego pytania.

— Cóż mówiła Owsicka? — spytał łagodnie Lucyan.

— Mówiła, że... że ty tak często bywasz w Jodłowej...

— Alboż się kiedy z tém kryłem przed tobą, moja matko? — rzekł Lucyan z uśmiechem.

— Broń Boże! moje dziecko; ja też nie dla tego to mówię. Ale widzisz, ludzie gadają...

— Cóż ludzie gadają?

— Że ty, moje dziecko, kochasz się w pani Warskiej.

— I cóż ztąd, że ludzie o tém mówią? — spytał Lucyan po krótkim namyśle, w czasie którego wzruszenie odbiło się na jego twarzy.

— Nic, nic, moje dziecko, — żywo odparła Dolewska, spostrzegłszy zmianę w twarzy syna i drżąc na myśl, że mu sprawiła przykrość. — Ale widzisz, jabym chciała wiedzieć... czy to prawda.

Lucyan wstał, milcząc, przeszedł parę razy przez pokój, a potem, stając przed matką, rzekł stanowczym głosem:

— Ludzie prawdę mówią, moja matko. Ja kocham panią Warską.

Dolewska złożyła ręce, jak do modlitwy, i przez kilka chwil patrzyła na syna, milcząc.

— I cóż z tego będzie? — spytała cicho.

— Nie wiem, — odpowiedział Lucyan.

— A onaż, czy ciebie kocha? moje ty dziecko jedyne.

— Nie wiem, matko.

— Jakto, nie wiesz? czyście nigdy ze sobą o tém nie mówili? Już téż, kiedy ją kochasz, to, zwyczajnie jak między młodymi, musieliście o tém mówić ze sobą.

— Nigdy, moja matko.

— A czy ty wiesz, Lucysiu, co ludzie jeszcze mówią?

Lucyan milczał.

— Ludzie mówią — ciągnęła Dolewska, — że ty się żenisz z panią Warszawską.

Na te jej słowa nagły rumieniec zalał twarz Lucyana; usta mu drgnęły.

— Moja matko — odrzekł po chwili, — nie myślałem dotąd nigdy, do jakiego końca doprowadzi mnie miłość moja dla pani Warszawskiej. O miłości téj nigdy jej nie mówiłem, ale prawdą jest, iż kocham ją całą siłą mej istoty. Ty wiesz najlepiej, moja matko, że oprócz ciebie, *ona* jest pierwszą kobietą, którą kocham; jakkolwiek skończy się nasz stosunek, *ona* téż będzie ostatnią. Czuję, że w miłość dla niej wlałem całe uczucie, do jakiego zdolne jest moje serce.

Mówił to stanowczo, ale trochę znizonym przez wzruszenie głosem, a serce matki odgadło wszystko, czego nie dopowiedziały jego słowa. Zdjęło ją snąc przykre uczucie obawy, bo westchnęła ciężko i rzekła:

— Daj Boże, mój Lucysiu, aby się to wszystko szczęśliwie skończyło. Ja ci rad dawać nie będę, sam lepiej wiesz ode mnie, jak w tym razie masz postępować. Ale chciała-bym przecie, abyś się już dowiedział o swoim losie, bo ludzie powiadają, że w miłości złe, im później przychodzi, tém gorzej, a dobre, jeśli ma przyjść, to niech przyjdzie jak najprędzej.

To mówiąc, wstała, przyciągnęła głowę syna do swojej piersi i, położywszy na niéj znak krzyża, pocałowała jego czoło.

Była już u drzwi, gdy uderzyła się po obu kieszeniach i zawołała:

— A gdzie są moje klucze? Lucysiu, moje dziecko, poszukaj-no moich kluczy.

Ale piérwszy raz w życiu Lucyan nie spełnił tego rozkazu matki, bo go nie słyszał. Stał u okna, z oczyma wpatrzonemi w przestrzeń, a w myśli szalóném kołem wirowały mu słowa matki:

— Ludzie mówią, że ty się żenisz z panią Warszawską.

Pani Dolewska sama znalazła klucze na kanapie i wyszła z pokoju, brząkając niemi, a po chwili Lu-

cyan na gniadoszu swoim wyjeżdżał z miasteczka drogą ku Jodłowej.

Matka Lucyana, sama nie wiedząc o tém, dołała, według przysłowia, oliwy do ognia. Bo taką jest nieubłagana logika namiętności, że dopóki nie otrzyma przedmiotu swych pragnień, niéma dla niej spokoju, niéma stagnacyi. Coraz silniejsza i bardziej gwałtowna, wzrasta, aż dojdzie do swego kulminacyjnego punktu. Wtedy lada słowo, lada drobnostka potęguje ją tak, że pierś ludzka staje się dla niej za ciasną i musi objawić się wtedy na zewnątrz, jak długo w wulkanie wrzący podziemnie ogień. Miłość Lucyana dla Klotyldy szybko dażyła do kulminacyjnego punktu, popchnęły ją doń słowa matki.

Kiedy młody doktor zatrzymał w Jodłowej spienionego konia pod gankiem, słońce miało się ku zachodowi. Spotkawszy Ignacego, Lucyan zapytał go o panią Warszawską, a otrzymawszy odpowiedź, iż „pani jest w swoim gabinecie”, szybko przebiegł salony. W gabinecie nikogo nie znalazł i wyszedł na ganek.

Pod cieniem jednego z rozłożystych drzew mirtowych, na szezlongu, okrytym ponsowym aksamitem, leżała Klotylda. Oczy miała zamknięte, a w pół otwarte usta; długie rzęsy rzucały cień na lekko zarumienioną twarz; wkoło ust krążył uśmiech. Z za przezroczystej białej koronki widać było, jak pierś jój podnosiła się zwolna i spokojnie; jedném ramieniem, z którego się osunął szeroki koronkowy rękaw, oto-

czyła sobie głowę, druga ręka leżała na książce otwartej, wśród fałdów jej sukni. Gałęzie mirtu pochylały się nad nią, zdobiąc jej włosy i suknię zielonemi listkami.

Zmęczona upałem dziennym, a może konną jazdą, której oddawała się z cechującym ją we wszystkiém zapałem, ukołysana ciszą, zarumieniona, uśmiechnięta do snu swojego, owiana białą i zielenią orzucona, ukazała się oczom Lucyana.

Młody człowiek cicho się zbliżył do szezlonga i stanął ze wzrokiem przykutym do obrazu, jaki mu się ukazał.

Stał i patrzył — i stracił pojęcie czasu i miejsca. Coraz bardziej płonącym wzrokiem ogarniał uśpioną kobietę. Nagle ugiął kolano i namiętnie przycisnął do ust przezroczyste fałdy jej sukni. Ale jakby sam przeląkł się tego, co uczynił, powstał szybko i zbiegłszy z ganku, zniknął w zakręcie alei.

Miłość jego doszła już była w owęj chwili do swego kulminacyjnego punktu.

Klotylda otworzyła oczy, przesunęła ręką po rozrzuconych nieco włosach i, oglądając się wkoło, rzekła do siebie:

— Dziwna rzecz, zdawało mi się, że *on* tu był! Musiało mi się śnić chyba.

Wstała, poprawiła fałdy sukni i, nucąc półgłosem, zesza z ganku.

Słońce się zniżało, czerwonemi promieńmi prze-

mykając się gdzie niegdzie między gałęzmi jodeł. Klotylda przeszła kilka alei i, zbliżając się do stawu, ujrzała, stojącego nad nim w zamyśleniu, Lucyana.

— Tak, to *on* tam był, — szepnęła do siebie; — nie widziałam go, ale przeczułam.

Potém, zbliżywszy się żywo, rzekła:

— Dobry wieczór panu.

Lucyan odwrócił się i, ujrzawszy Klotyldę, odrzekł, podając jój rękę:

— Witam panią.

Powitanie to z obu stron było bardzo proste i zwyczajne, ale w twarzach swoich i spojrzeniach młodzi ludzie musieli wzajem dziwne wyczytać rzeczy, bo oboje poczuli, że nadszedł kres spokojnej ich sielanki, że ostatnie jój słowo miało być wyrzeczzone.

Lucyan wszakże opanował się i pierwszy przerwał milczenie, mówiąc o rzeczach obojętnych; poszli dalej obok siebie, wąską śród trawnika ścieżką i obeszli parę razy gładką szybę stawu. Od czasu, gdy się poznali, pierwszy raz rozmowa im nie szła; Lucyan gwałtownie bladł chwilami, Klotylda rumieniła się.

Słońce zaszło zupełnie, mrok zapadł.

— Pójdźmy do domu, bo czuję chłód, — rzekła Klotylda.

Powietrze jednak było bardzo ciepłe.

We wschodnim gabinecie paliły się już szafirowe lampy, a światło ich, płynąc przez drzwi otwarte,

rzucało błękitny odblask na kanapę, stojącą na ganku, pod dużym drzewem kwitnącym pomarańczy.

Klotylda, milcząc, usiadła na tej kanapce i wskazała Lucyanowi miejsce obok siebie.

— Dziwnie zmęczoną czuję się dzisiaj, —\* ozwała się po chwili, przesuwając ręką po czole.

— Zdaje mi się — odrzekł Lucyan — że pani jesteś smutna.

Klotylda rzeczywiście miała oczy ciągle spuszczone, a gdy je podnosiła, migotał w nich taki dziwny blask, jakiego dotąd Lucyan w nich nie widział.

— Tak, smutna dziś jestem, — rzekła znowu po krótkim milczeniu.

Pierwszy raz Lucyan z ust jej usłyszał to wyznanie. Pochylił się nieco ku niej i, patrząc w jej twarz, rzekł powoli i zcichą:

— Smutek pani widzę nieraz; nie znam jego powodów i wiem, że nie mam prawa o nie pytać. A jednak dałbym za to życie, żeby go od pani usunąć.

Klotylda nie odpowiedziała, tylko ręką zakryła oczy. Lucyan w obie swoje dłonie ujął drugą jej rękę. Klotylda nie wzbraniała mu tego. Zbliżenie takie, pierwszy raz zaszło między nimi; to też głos młodego człowieka drżący był od wzruszenia, gdy znowu mówić zaczął:

— Dla czego pani nie chcesz przelać części swego cierpienia w oddane ci a gorące serce? Czy pani wieśz, że najwyższą rozkoszą dla mężczyzny jest bro-

nić od trosk i smutków życia ukochaną kobietę? Piérwszy raz, kiedym panią ujrzał, byłaś we łzach; często bywasz smutną i dziś taką jesteś, a mnie to tajone cierpienie pani gorącą lawą w pierś płynie...

Nie mógł mówić dalej, bo ręka Klotyldy zadrżała w jego dłoniach i magnetyczne to drgnięcie głos mu stłumiło. Odśloniła oczy i zwróciła je płonące na Lucyana. Pod niebieskim promieniem lampy twarz jój bladła i rumieniła się naprzemian, usta otworzyły się przyspieszonym oddechem. Kilka razy chciała coś mówić, i znów wstrzymywała się.

Patrzyli tak na siebie przez chwilę, gdy nagle Lucyan poczuł silny, konwulsyjny uścisk jój dłoni; dwie błyskawice strzeliły mu z oczu: przycisnął do siebie gorącą rękę Klotyldy i, schylając się ku niéj, rzekł gwałtownie:

— Klotyldo! ja ciebie kocham!

Namiętność przekroczyła punkt kulminacyjny i wybuchnęła na zewnątrz słowem.

Widoczne drżenie przebiegło całe ciało Klotyldy; pochyliła głowę, ukryła twarz w dłoniach i cicho jęknęła:

— Boże mój, Boże! zlituj się nade mną!

Lucyan drżącym ramieniem otoczył jój złamaną postać, pochylił się ku niéj i, ustami dotykając prawie jój wonnych włosów, mówił:

— Klotyldo moja, czego ty się lękasz? czegoś



i w tój chwili smutna jeszcze? Tyś piękna i dobra, mnóstwo ludzi zginało pewno kolana przed tobą. Ale tak, jak ja, nikt cię kochać nie mógł. Ty stałaś się dla mnie wszystkiem; przyszłość moja jest tylko z tobą, albo jój wcale dla mnie niema. Ja w miłość dla ciebie wlałem wszystkie siły mojej istoty, których dotąd na nic zużytkować nie mogłem. Siły te oddawna burzyły się w mojej piersi, dławiły mię, dopominały się o użycie; dusiłem się i targalem w mojej klatce. Ty, Klotyldo, zstąpiłaś ku mnie, jak zbawienie; przy tobie odetchnąłem szeroko, pełnią życia, pełnią uczucia. I nie wiem już teraz, czy uczucie to istnieje we mnie i przeze mnie, czy ja istnieje w niem i przez nie. Wielu zapewne ludzi mówiło ci te same słowa, ale żaden z nich tak czuć nie mógł. Oni tam na szerokim świecie mieli obszerne pole działania, mieli bogactwo, mieli sławę. Ja nic nie mam, oprócz miłości dla ciebie: w nią wlałem wszystkie siły mojej duszy — całą istotę moję. Klotyldo! jam w oczach twoich wyczytał niebo moje; powiedz, że mnie kochasz! Co zaczęła mowa twego spojrzenia, niech dopowiedzą usta... Nie lękaj się... nie bądź smutna, droga!... jam silny i godny ciebie. Z ufnością i śmiało wesprzyj się na mojem ramieniu, złóż piękną głowę na mojej piersi... Nigdy, nigdy na mnie się nie zawiedziesz... Klotyldo... powiedz mi, że mię kochasz!...

Mówił coraz ciszej i coraz silniej przyciągał do siebie owładniętą wzruszeniem kobietę.

Zmrok i cisza była wokoło; drżące ramiona Lucyana opasały kibić Klotyldy; głowa jéj opadła na jego piersi i kwitnące gałęzie pomarańczowego drzewa ujrzały, jak usta jego namiętными pocałunkami okrywały jéj gorące czoło i miękkie zwoje jéj włosów.

Nagle Klotylda podniosła głowę, wydarła się z objąć Lucyana i, powstawszy, cofnęła się parę kroków.

Młody człowiek chciał ku niéj postąpić, ale wyciągnęła rękę, jakby usunąć go pragnęła od siebie.

— Nie zbliżaj się do mnie, Lucyanie — rzekła zniżonym i przeraźliwym głosem — dziś straszny jest dzień dla mnie... Ja ci nic nie powiem... bo jestem... jestem... nie, nie mam siły wymówić... odjedź! odjedź!...

Piers jéj podniosła się konwulsyjnym, głośnym łkaniem, dwa strumienie łez zalały twarz płonąca gorączkowym rumieńcem i, wśród łkania, powtórzyła raz jeszcze:

— Odjedź — błagam cię... i nie wracaj, aż cię wezwę!

Potém zbiegła z ganku i zniknęła w cieniach ogrodu i wieczoru.

Lucyan uczynił z razu poruszenie, jakby ją chciał gonić, ale stanął nieruchomy i, niosąc obie ręce do czoła, jęknął prawie:

— Boże mój, co się ze mną dzieje? Nie pójdę

za nią — odjadę; trzeba szanować jój wolę... Tak, ale jutro wrócę... koniecznie wrócę!...

Przebiegł szybko salony i po chwili na dzielnym gniadoszu pędził szeroką drogą. W rozpalonej jego głowie wrzała i wirowała myśl: „ona mnie kocha”, a nad nim niebo chmurzyło się coraz ciemniej, drzewa szumiały, schylone silnym wiatrem, a zdala od krańców widokregu odzywał się huk grzmotu zapowiedzią nadchodzącej burzy...

Późno już było, gdy młody doktor wszedł do swego pokoju. Na biurku leżał zapieczętowany list. Machinalnie rzucił nań wzrokiem, lecz zaledwie spostrzegł pismo adresu, drżącą ręką rozerwał kopertę i czytał:

„Kochany Lucykanie!

Dzięki ci za twą pamięć o mnie; śpieszę z odpowiedzią, byś nie sądził, że nie chcę zachować stosunku z tobą, który, przeciwnie, jest mi zawsze bardzo cennym i miłym. Na dowód, że nie przestał być twoim szczerym przyjacielem, podzielę się z tobą tém, co dziś jest główną treścią uczuć i myśli moich, a o czém, prócz najbliższych mi osób, nikt dotąd nie wie. Jestem zaręczony, Lucykanie, zaręczony na seryo. Owa pani Kameleon, o którą mnie zapytujesz, a właściwie pani Klotylda Warska, sąsiadka twoja, jest moją narzeczoną. Kocham tę kobietę bardzo; pierwsza to poważna miłość mego życia, i czuję, że podniosła mię, uszlachetniła. Zresztą znasz panią Warską, nie bę-

dziesz się więc dziwił memu dla niéj uczuciu. Stosunek mój z nią zaczął się, jak w romansach — tajemnicą, poszukiwaniem, wyrzekaniem na losy i t. d. Potém poznałem ją bliżéj, za pośrednictwem owego długowłosego poety, który, pamiętasz, tak znudził i zniecierpliwil nas kiedyś w teatrze. Bywałem u niéj często. Był to karnawał, spotykaliśmy się na zebraniach, balach, maskaradach. Rodzice moi mieszkali w Warszawie, i nieoceniona moja matka, przez wzgląd na mnie, zapoznała się z panią Warską i zapoznała z nią moję siostrę. Obie młode panie zaprzyjaźniły się serdecznie, co mi także wielce było przyjemne i korzystne; słowem, po trzech miesiącach oświadczyłem się i zostałem przyjęty. Na wyraźne żądanie pani Warskiéj, zostało to w tajemnicy; nie mam sobie jednak nic do wyrzucenia, że względem ciebie przekraczam jéj rozkaz, bo uważam cię za brata, a siostra moja wié przecie o wszystkiém. Zresztą, ufam bez granic w twoję dyskrecyą, która jest *à toute épreuve*. Nie potrzebuję rozpisywać się dłużej tą razą, bo wkrótce się zobaczymy. Ślub nasz będzie za miesiąc w N. Na tydzień przed dniem uroczystym przyjadę do Jodłowéj, a w przejeździe przez N. uściskam cię z radością, pocziwy mój druha. Tymczasem... do zobaczenia.

Cyprian."

"P. S. A nie bałamuć mi tam narzeczonéj, piękny doktorze!"

Lucyan skończył czytać i papier wypadł z drżących jego rąk. Rozśmiał się głośno, długim, szyderczym śmiechem i rzekł:

— Los odpowiedział, wszystko skończone!...

Potem skrzyżował ręce na piersi, szklanym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń i tak pozostał nieruchomy i niemy.

Upływała noc, godzina po godzinie, a Lucyan nie zmieniał postawy. Czuł, czy nie czuł? myślał, czy nie myślał?... nie wiadomo... Temu, ktoby się tu wtedy patrzył, zdawało-by się, że skamieniał.

Za domem burza szumiała grzmotem, wichrami, błyskawicą. Przez otwartą furtkę okna wionął silny powiew wiatru i zagasił na biurku stojącą świecę. Światło błyskawic, chwilami wdzierając się przez szyby, czerwonym blaskiem oświetlało ciemną głęb' pokoju i stojącą ciągle nieruchomą postać Lucyana.

Ucichła burza — pogodny świt letniego poranku zstępował na świat i szarym zmrokiem rozsuwał cienie w pokoju doktora.

A on stał ciągle na jedném miejscu, w téj saméj postawie, z tym samym wzrokiem; ani jeden muskuł jego twarzy nie drgnął, nie poruszyły się ni razu jego skrzyżowane na piersi ręce.

Kukawka zegaru oznajmiła trzecią ranną godzinę. W pokoju Lucyana ozwał się stłumiony jęk. W téj saméj chwili ciężka roleta u jego okna zapadła, cież

zapełnił pokój i tajemniczym mrokiem osłonił wielką boleść człowieka.

\* \* \*

Nazajutrz w południe pani Dolewska w bawialnym pokoju stała na krześle i nakręcała zegar.

— Co się jemu stało, że leci jak szalony? — mówiła do siebie; — musiała Marysia poruszyć wagi. Żeby Lucyś wyszedł ze swego pokoju, tobym się go spy —, która godzina, a tak nie wiem sama, jak nastawić. Ale co to jest, że Lucyś tak długo nie wychodzi? Musiał wczoraj późno do domu wrócić.

Otworzyły się drzwi i wszedł Lucyan.

— Jezus Maryja! — krzyknęła, spojrzawszy nań, pani Dolewska. — Co tobie jest, moje dziecko! jak ty wyglądasz?

I zestąpiwszy żywo z krzesła, podeszła ku niemu.

Lucyan był blady, wielką bladością zmęczenia i bólu; oczy miał zapadłe i podkrążone, między brwiami zarysowała mu się głęboka zmarszczka.

— Nic mi nie jest, moja matko — odpowiedział cichym, złamanym głosem — jestem trochę niezdrów, nic więcej.

I pocałowałszy matkę w rękę, wyszedł z domu, a po chwili wyjeżdżał konno za bramę. Dolewska niespokojnie patrzyła przez okno, szepcząc modlitwę do Najświętszej Panny Ostrobramskiej.

Lucyan minął miasteczko, zwolna pojechał wiorst

parę w stronę Jodłowej i znowu zwolna skreślił konia, wrócił do domu i zamknął się w swoim pokoju. Kiedy Dolewska przeze drzwi zawołała go na obiad, wyszedł spokojny na pozór, usiadł przy stole, ale nic nie jadł i nic nie mówił. Kilka razy otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz tylko smutniej jeszcze szklanym wzrokiem wpatrzył się w przestrzeń. Dolewska z przerażeniem spoglądała na niego, ale nie pytała o nic, nie gderała nawet na Marysię, nie szukała swoich kluczy, tylko często ze zmęczonej twarzy syna przenosiła wzrok niespokojny na czarny krucyfix, stojący u łóżka.

Po obiedzie Lucyan znowu siadł na koń, znowu odjechał parę wiorst w stronę Jodłowej, wrócił i poszedł do swego pokoju.

Nadszedł wieczór; o zmroku pani Dolewska długo modliła się przed krucyfixem i ciężko musiało być jej na sercu, bo z oczu na pomarszczone policzki upadło kilka łez.

Marysia, nie napędzana tą razą, z własnego natchnienia podała samowar. Pani Dolewska podeszła pode drzwi syna, chcąc go zawołać, lecz, pomyślawszy, posłała mu herbatę przez Marysię.

Gdy służąca wróciła, pani Dolewska zapytała:

- Co pan Lucyan robi?
- Nic — odpowiedziała Marysia.
- Nie czyta?
- Nie.

— I nie pisze?

— Nie.

Pani Dolewska westchnęła i wzięła się do pończoszki; ale gdy wkrótce robota jęj z rąk wypadła, a już zaczynało ściemniać się, rzekła do Marysi:

— Idź, zanieś lampę do pokoju pana Lucyana.

A kiedy dziewczyna wróciła, spytała:

— Co pan Lucyan robi?

— Nic, proszę pani.

— Herbatę wypił?

— Ani zaczął.

Dolewska poszła sama do pokoju syna. Na biurku stała nieporuszona szklanka herbaty, a Lucyan siedział nieruchomie na fotelu, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

— Lucysiu — rzekła Dolewska — kładąc mu rękę na ramieniu.

Drgnął lekko, jakby się ze snu obudził.

— Czy nie będziesz pił herbaty?

— Dziękuję ci, moja matko, nie będę — odpowiedział tym samym złamanym głosem, jakim mówił zrana.

Dolewska odeszła i od progu wróciła.

— Czyś ty bardzo chory? — spytała.

— Nie, matko, zdrow jestem zupełnie — odpowiedział, nie zmieniając postawy.

Dolewska wróciła do swego pokoju i, zamiast wziąć



się swoim zwyczajem do pończoszki, uknęła przed krucyfiks.

W parę godzin potem cisza głęboka panowała w miasteczku i w domu doktora; wieczór był późny... wszyscy spali.

Lucyan wstał z fotelu, na którym nieruchomie kilka godzin przesiedział, wziął w rękę list rozłożony i wpatrzył się w wyraz „narzeczona”. Po chwili pochwyił się obu rękoma za głowę i zawołał prawie głośno:

— Boże mój! ja tego nie rozumiem, to być nie może!

W bawialnym pokoju około drzwi jego coś zaszeleściało, ale Lucyan nic nie słyszał; uchylił roletę u okna i patrzył na piękną noc letnią.

— Nad jój domem — rzekł pół-głosem — te same gwiazdy świecą... a ja nigdy już tam nie będę... być nie powinienem!...

Znowu podniósł obie ręce do czoła i zawołał:

— Ach, umrzeć!...

Krzyk ten wydarł się z jego piersi boleśnie, jakby mu serce pękało.

— Lucysiu! — ozwał się ode drzwi cichy i miękki głos kobiecy.

Lucyan nie słyszał.

— Lucyane! — powtórzył głos z taką miłością i pieśczołą, że doszedł uszu pogrążonego w rozpaczy...

Odwrócił się Lucyan i ujrzał stojącą we drzwiach swoją matkę. Miała na sobie codzienną czarną suknię, tylko z głowy zdjęła czepeczek i srebrne włosy opływały jej szyję i opadały na pomarszczone czoło.

— Matko moja!... tak późno, nie śpisz jeszcze?...  
— rzekł Lucyan powoli, nierozbudzony jeszcze z letargu, w jakim go pogrążyło cierpienie.

— Nie śpię, Lucyane — odrzekła pani Dolewska, siadając i przyciągając go do siebie — byłam niespokojna, myślałam żeś chory i przyszłam zobaczyć cię. Serce matki przeczulo boleść syna i spać jój nie dało. Ty cierpisz, dziecko moje najdroższe.

— Strasznie, matko moja, niewypowiedzianie! — odpowiedział Lucyan po chwili milczenia.

— O! biedne moje dziecko! — jęknęła matka; ale szybko, wchłaniając w siebie boleść, dodała:

— Może jest na to jaka rada?

— Żadnej — odrzekł Lucyan.

— Czy ona ciebie nie kocha?

— Nie wiem.

— I nie pytałeś jój o to?

Lucyan stał i długo patrzył w milczeniu, aż znowu podniósł obie ręce do czoła, a klękając przed matką i pochylając głowę na jój kolana, zawołał:

— Matko! ona jest narzeczoną innego...

Cała rozpacz, do jakiej zdolna jest pierś ludzka, zamykała się w słowach tych i w jego głosie.

Długie milczenie zapanowało w pokoju. Dolewska oparła głowę syna na swojej piersi, oczy wzniosła w górę, jakby ztamtąd wzywała pomocy, a dłoń machinalnie przesuwała po czarnych i gęstych włosach Lucyana. Stopniowo natchnienie jakieś występowało jej na twarz, oczy rozjaśniły się niezwykle myślą. Obu rękoma podniosła głowę Lucyana, niby dziecięcia, a patrząc w twarz jego z nieopisaną miłością i słodyczą, mówiła:

— Lucysiu, dziecię moje! jam nigdy sama nie cierpiała tak, jak ty dziś cierpisz; bo życie moje było spokojne, choć smutne i ciężkie. Ale rozumiem cię, dla tego, widzisz, że cię kocham nad wszystko na świecie, że zdaje mi się, iż serce moje i twoje to jedno. Wiem więc, że cierpisz bardzo; ale dziecko, toć tam w książkach waszych piszą podobno, że człowiek nie powinien upadać pod cierpieniem, ani dać się złamać boleści. Ja tych książek nie czytam, ale ty wiesz o tém lepiej, niż ja. Powstań, dziecię moje, wezwij pomocy Boga i swój własnej woli. Jedna kobieta cię zawiodła: żyj dla ludzi, dla mnie, dla pracy!

Mówiąc to, pani Dolewska z prostej i gderliwej kobiety stała się natchnioną i mądrą matką.

O macierzyństwo! jakież uczucie i jakaż mądrość na ziemi dorówna tobie?

Lucyan, jakby podniesiony słowami matki, powstał i spokojniejszym już głosem mówił po chwili:

— O moja matko! jam ją kochał jak szalony, jam w miłość dla niej wlał całego siebie. I cóż dziwnego, że gdy zniknęła ona dla mnie na zawsze, ja siebie samego odnaléźć nie mogę? Daremnie umysł mój sili się na rozwiązanie zagadki; nie rozumiem tego, co było, nie rozumiem tego, co jest. Przez dni tyle spojrzeniem i uśmiechem, rumieńcem i bladością, radością i smutkiem, mówiła mi, że mnie kocha... a jednak była już narzeczoną innego... Kogóż więc zwodziła? mnie, czy jego? Komu kłamała? mnie, czy tamtemu? Byłże-by w niej fałsz i grzeszna próżność zalotnicy? Czyż zaćmi się przede mną pierwszy mój ideał? Nie, w to nie wierzę: ona prawa i czysta! A jednak... właśnie dla tego, że w zło nie wierzę... nic nie rozumiem...

Milczał przez chwilę i znowu mówił, jakby do siebie:

— Jeżeli kocha *jego*, pocóż mnie pociągała ku sobie? jeżeli mnie kocha, czemuż ma zostać *jego* żoną?... nie rozumiem... może dla tego, że *on* bogaty? Straszne przypuszczenie! wobec którego anioł zmienia się w potwora, słońce w blaszkę poślacaną, gwiazda... spada z nieba i tarza się w błocie... Nie, to być nie może!...

— Lucysiu — nieśmiało odezwała się pani Dolew-

ska — a żebyś pojechał do niej i otwarcie spytał jęj o wszystko ?

Smutnie uśmiechnął się Lucyan.

— Nie, matko — rzekł — to być nie może. Obecność moja mogła-by jęj sprawić niepokój albo cierpienie... a ja nie chcę tego. Aby okupić dla niej jedną chwilę spokoju i szczęścia, jabym dał życie całe... A teraz, gdym już powiedział jęj, że ją kocham, mogła-by ona być ze mną, jak za owych dni minionych?... Nie, matko — mówił dalej coraz wolniej i ciszej — ja nigdy *tam* nie będę i nigdy jęj nie zobaczę...

Nagłym ruchem przycisnął obie ręce do serca.

— Och, jak na myśl tę strasznie serce boli! Matko, jam chory bardzo, zatraciłem samego siebie, zatraciłem moje życie, które się tobie należy!... Przebacz, matko moja!...

Ukląkł przed matką, otoczył ją ramionami i głowę położył na jęj piersi.

— Lucyanie — ozwała się po chwili milczenia pani Dolewska — słowa nie pomagają boleści takiej, jak twoja. I cóż zresztą ja biedna, nieuczona kobieta, powiedzieć ci mogę? Ale spocznij na piersi matki, ona tylko, ona jedna, nigdy cię zawieść nie może. Niechaj łzy moje ochłodzą twoją biedną głowę; niech krzyż święty odzegna od ciebie złego ducha rozpaczy i sprowadzi ku tobie pomoc niebieską.

To mówiąc, drżącą ręką nakreśliła w powietrzu znak krzyża i pochyliła się nad głową syna, a lzy kropliste i obfite spadały z jéj oczu i tonęły w gęstych kędziorach Lucyana.

Gasnąca lampa słabo oświetlała tę smutną grupę, śród głuchego milczenia nocy.

---

## VIII.

### Urzeczony.

Lud ciemny wierzy w czary i gusła, między którymi ważną rolę gra „urok”. Dziecię było piękne i zdrowe... „złe oczy” nań spojrzały,... blednie i umiera — „urzeczone”. Młoda dziewczyna rumieniła się krasą wesela i świeżości, aż pozazdrościła jej czarownica, niemogąca odżalować swoich młodych lat; dziewczę smutniej, przestaje śmiać się i błyskać oczyma i szybkim krokiem zbliża się do grobu — „urzeczone”. Dziarski parobczak, dzielny w tanach i robocie, był wsi swojej chwałą i ozdobą; aż zakochała się w nim baba czarodziejka, a nie otrzymując wzajemności, zaszeptala coś nad czarką napoju, którą on niósł do ust, i oto napój ten stał mu się życia potrzebą; porzuca pracę, wyrzeka się miłości i, w trunku tonąc, zwierzęce — „urzeczony”.

Baje sobie lud gadki rozliczne, bo w prostocie swojej nie zna istotnych prawd życia, tylko przeczuwa je

i ubiera w fantastyczne kształty swój dziecięcej wyobraźni. Ale kto badawczo spojrział w przepaści serc ludzkich i posłuchał odgłosy dramatów, w nich zawartych, ten wie, iż najstraszniejszą czarownicą życia ludzkiego jest *bolesć*. Biedny ten, w kogo ona się wpatrzy wzrokiem swoich „złych oczu”, nad czyją głową zaszepta słowa swojego „uroku”. Ten, jeśli się nie wzniesie ku szczytom bohaterskiego męczeństwa i nie zdobędzie siły olbrzymiej, zblednie i pochyli się ku ziemi — „uręczony”.

Trzy tygodnie minęło od dnia, w którym Lucyan Dolewski otrzymał od przyjaciela swego odpowiedź na przesłane mu pytanie.

Lipcowe słońce gorąco i pogodnie przyświecało ziemi, po polach rozlegały się wesołe pieśni żniwiarek, a bujne kłosa, z pod ich sierpów spadając, obiecywały ludziom rok dostatków i obfitości. W ciepłe, gwieździste noce, z pod lasów po łąkach biegły przeciągłe odgłosy trąbek pastuszych i niby jeziora ślały się szeroko białe, lekkie mgły. Świat ubrał się w cały majestat piękności i zdawał się powoływać mieszkańców wsi do wesela i radosnego użycia.

Przy schyłku jednego z dni upalnych, na szerokiej ulicy, przerzynającej N., ukazała się zielona bryczka, zaprzężona we trzy pstrokate konie. Na niej siedziała otyła i czerwona jéjmość, w żółtej muślinowej sukni, *francuzkim* szalu i kapeluszu słomianym, pokrytym od pyłu białą muślinową chustą.



Po nierównym gruncie błotnistej ulicy bryka trzęsła się i skakała, a z nią razem trzęsła się i skakała otyła jéjmość. Nagle wzrok jadącej padł na wychodzącą z jednego z domów kobietę i wnet zawołała:

— Gawełek, zatrzymaj konie! — przycém laską od deszczochronu energicznie stuknęła w plecy powożącego w szarą świtce chłopaka.

Pstrokate konie stanęły, a jéjmość, wygramoliwszy się z bryki, odwróciła się do Gawełka i rzekła:

— Odprowadź szkapy do Szmujły i dobrze je nakarm, a tylko mi tam owsa nie przepij. Za godzinę zajedziesz pod dom pana doktora; już ja tam teraz piechotą pójdę.

Gawełek spojrział z ukosa na wielce mu nienawistną laskę od deszczochronu i, mruknawszy coś pod nosem, może przysięgę, że owsa nie przepije, zawrócił konie do karczmy, a jéjmość, z obu rękoma do uścisku wyciągniętymi, dążyła ku ujrzaną kobiecie.

— Moje uszanowanie pani Wincentowej!

— A toć, panie mój kochany, pani Janowa jak z nieba spadła!

Rozległy się okrzyki dwóch kobiet i dwie przyjaciółki, panie Rzepowa i Owsicka, poczęły się witać całusami, których odgłos rozchodził się po miasteczku, niby klaskanie z bata.

— Jak z nieba spadłaś, pani Janowo! — powtó-

rzyła Owsicka — nie częstoż odwiedzasz nas, panie mój kochany!

— A cóż, moja pani Wincentowa! Jak człek się zagospodarzy, to i o Bożym świecie zapomni, a wiesz przecie, że od czasu, jak Pan Bóg wziął do swojej świętej chwały mego nieboszczyka Jasia, wszystkie kłopotciska spadły na mnie, biedną wdowę. Ach! myślałam, że będę miała pomoc z brata, którego, nie wymawiając, sama wyhodowałam; ale gdzie tam! jak zasłabł jeszcze w Styczniu, to do tej pory cherla i cherla. Już do wszystkich znachorów woziłam go i nic nie pomogli. Myślę sobie, trzeba jeszcze doktora spróbować, i przyjechałam prosić pana Dolewskiego, aby pojechał do Wałków, mego Adasia zobaczyć.

Owsicka smutnie pokiwała głową i machnęła ręką.

— E! widzisz, moja pani Janowo! Widzisz-bo... z nim coś niedobrze...

— Cóż, cóż? — spytała Rzepowa.

— Ot, prawdę mówiąc... bo i na co to w bawelnę obwijać? Jać sama, panie mój kochany, żałuję jego, jak własnego dziecka...

— Cóż to takiego? — ciekawie pytała Rzepowa, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

— At — odrzekła, machnąwszy ręką, pani Anna, — urzeczony biedak i kwita!...

— Kto? kto?...

— A Lucyś Dolewski.

Rzepowa za głowę się chwyciła.

— Jezus, Marya, Józefie święty! zmiłujcie się na-  
de mną! a toż to nieszczęście!... Jakto? i nikogo już  
nie leczy?

— Owszem; jużto prędzej-by chyba umarł, panie  
mój kochany, niżby przestał leczyć. Ot, niedawno  
Harasimowicz starszy zasłabł, to przysyłał kilka razy  
po pana Lucyana i teraz zdrów już podobno. One-  
gdaj także żona Pawła kowala zasłabła, to pan Lu-  
cyan dwa razy na dzień do niej chodzi. Wtedy tyl-  
ko jeszcze znać w nim żywego człowieka, kiedy jest  
przy chorym; a jak odejdzie, to znowu, Panie odpuść,  
trup na sprężynach i koniec.

— Aj, szkodaż jego, szkoda! Ale moja pani  
Wincentowa, nie wiesz, kto to na niego urok rzucił?

— Ot, o wilku mowa, a wilk tuż! — szepnęła  
żywo Owsicka, chwytając Rzepową za rękę. — Patrz,  
pani Janowa, wychodzi od chorój kowalowej; zobacz,  
do czego podobny; przejdzie koło nas i ani nas spo-  
strzeże.

W istocie Lucyan z nizkiego domku kowala wy-  
szedł na ulicę. Na piérwszy rzut oka nie było w nim  
żadnej zmiany, która-by usprawiedliwiała opowiada-  
nie Owsickiej. Dopiero po bliższém wpatrzeniu się  
w twarz jego, można było dostrzedz, że spojrzały nań  
*złe oczy* ciężkiej boleści. Zwykła bladeść jego zmie-  
niła koloryt, stała się gorętszą i ciemniejszą; zapadłe  
podkrążone oczy straciły blask i patrzyły ciągle

w ziemię, albo w daleki jakiś, jemu tylko widzialny punkt. Usta jego zbladły i zaciśnięte były nieco, jakby pod wpływem ciągłego a ostrego bólu. Szedł powoli, jednostajnym, automatycznym prawie krokiem.

Dwie kobiety spojrzały na niego ciekawie, ale on nie widział ich nawet i poszedł ulicą, patrząc ciągle gdzieś daleko, daleko...

Gdy Lucyan odszedł, dwie kobiety zwróciły się ku mieszkaniu jego matki, i znać było po ich ożywionych gestach i kiwaniu głowami, że zajmowały się mocno poprzednim przedmiotem rozmowy.

— Tak, tak — kończyła Rzepowa, dochodząc już prawie do drzwi pani Dolewskiej — już to i ja widzę, że on biedak urzeczony. O! znam ja się na tém, znam! wszakże sama dwoje dzieci przez złe oczy straciłam.

Mówiąc to, weszła ze swą towarzyszką do sieni Dolewskiej.

— Marysiu! Marysiu! — ozwał się głos z bawialnego pokoju — a znowu musiałaś, ty nic dobrego, wagi poruszyć, bo zegar zepsuty. Mówiłam ci raz na zawsze, żebyś nie dotykała się zegaru, boś zgrabna do tego, jak wół do karety.

— Jak Boga kocham, ani dotykałam się, proszę pani; to pewno Burczyk poruszył — odpowiedział głos Marysi z sypialnego pokoju.

Ujrzawszy wchodzących gości, pani Dolewska

z trudnością zstąpiła z krzesła, na którym stojąc, nakreślała zegar. W twarzy matki Lucyana znać było zmęczenie moralne, oczy jej zasunęły się mgłą wilgotną, a na czole przybyła zmarszczka głęboka, świadectwo ciężkiej troski.

Dwie kumoszki, widząc zmianę w twarzy Dolewskiej, objęły ją, kiwając głowami, i zaczęły żałośnie objawiać swoje współczucie.

— Ach! — mówiła Rzepowa — czym ja się spodziewała zobaczyć panią Józefową w takim zmartwieniu? Oj, widziałam ja jego, widziałam! do ludzi niepodobny, urzeczony, moja pani, jak mi Bóg miły, urzeczony.

— Kto urzeczony? kto do ludzi niepodobny? o kim pani mówisz? — spytała Dolewska, zbierając wszystkie siły na macierzyńskie kłamstwo.

— A pan konsyliarz — odrzekła z westchnieniem Rzepowa.

— Co, mój Lucyś? — zawołała z wybornie udanym zdziwieniem staruszka. — A zkąd to pani wzięłaś te wszystkie banialuki? On urzeczony? A najprzód powiem pani, że w żadne uroki nie wierzę, bo tego i Pan Bóg zabrania; potem Lucysiovi memu nic nie jest, tylko ludzie wymyślili, nie wiedzieć co, jemu na krzywdę, a mnie na zmartwienie.

Rzepowa umilkła zmieszana, a Owsicka, widząc z tej energicznej obrony matki Lucyana, że się znowu przed przyjaciółką niepotrzebnie wygadała, zaczęła

w szlafroku swoim szukać szpilki, chcąc po cichu wynieść się z nią do sieni i język sobie nakłuć.

Tymczasem Lucyan powoli szedł ulicą i mijał domek Grodzickiej.

— Niech pani sędzina dobrodziejka spojrzy — mówiła w mieszkaniu ex-sędziny panna Zuzanna — pan konsyliarz dobrodziej idzie.

Grodzicka poprawiła filutki i spojrzała w okno.

— Co jemu jest? — rzekła — chodzi jak nie swój.

Panna Zuzanna westchnęła i ozwała się:

— Oj! pani sędzino dobrodziejko, źle o tém ludzie mówią.

— I cóż ludzie mówią?

— Ot gadają, że pana konsyliarza ktoś urzekł.

— Ej, wstydz się panna Zuzanna wierzyć w takie rzeczy! Żadnych uroków na świecie niéma, tylko wola Boga. Pan Lucyan musi być chory, albo czémś zmartwiony, nic więcej.

Gdy tak rozmawiały dwie stare kobiety, dwunastoletnia Walerka popatrzyła przez okno na idącego doktora, a potem wbiegła prędko do pokoiku, w którym zimą leżała chora na odrę. Tam na stole, zastawionym wówczas lekarstwami, na tym samym stole, na którym Lucyan złożył dar dobroczynny ubogiej rodzinie, stał w szklance wielki bukiet z niezapominajek i polnych róż. Walerka wyjęła bukiet ze szklanki, wymknęła się z domu bocznemi drzwiami i pobiegnęła ku mieszkaniu Dolewskich.

Minęła ulicę, plac i kościół, weszła zadyszana od biegu na dziedziniec białego domku, ale nie zbliżyła się ku gankowi, tylko cicho, ukradkiem podeszła pod okno pokoju doktora. Okno to było otwarte, powiewała w nim tylko roleta spuszczone. Walerka obejrzała się, a widząc, że nikt jéj spostrzedz nie może, z wysileniem przysunęła pod okno blisko leżący kamień, stanęła na nim i uchyliła roletę. Na oknie stał w szklance nieco zwiedły już bukiet, zupełnie podobny do tego, jaki trzymała w ręku. Prędko i śmiało wyrzuciła ze szklanki zwiedłe kwiaty, a włożyła w nią te, które przyniosła; potem popatrzyła chwilę na błękitny bukiet i, podnosząc palec do ust, szepnęła:

— Moje kochane kwiateczki! zostawiam was tutaj. Jak spojrzysz na was, dajcie mi choć jedną miłą chwilkę.

I zeskoczywszy na ziemię, odsunęła kamień na dawne jego miejsce, a sama szybko przebiegła dziedziniec. W bramie spotkała idącego ku domowi Lucjana.

— Dobry wieczór panu — rzekła, zbliżając się trochę nieśmiało.

Lucyan nie słyszał.

— Dobry wieczór panu — powtórzyła tak już blisko, że musiał na nią spojrzeć.

— Dobry wieczór pannie Waleryi — odrzekł Lu-

cyan, uśmiechając się bladym i martwym uśmiechem.

— Czemu pan tak dawno u nas nie był? — spytała Walerka, podnosząc ku jego twarzy swoje błękitne, łagodne oczy.

Lucyan popatrzył na nią przez chwilę, a potem, jakby sobie coś przypomniał, rzekł:

— Dziękuję pannie Waleryi za kwiaty, które stawiasz codziennie na moim oknie.

Walerka zmieszana się i spuściła oczy.

— A z kąd pan wie, że to ja tam stawiam te kwiaty? — spytała, mniąc w palcach koniec swjej muslinowej chusteczki.

— Widziałem — odpowiedział Lucyan.

Walerka chwilę milczała, idąc ciągle obok niego, potem stanęła przed nim tak, że się zatrzymali oboje i, składając drobne ręce na piersi, rzekła:

— Panie Lucyane, ja za pana co rano i co wieczór się modlę. Pan taki dobry! A jak spostrzegłam, że pan jesteś smutny, pomyślałam zaraz, że będąc panu stawiała na oknie niezabudki, dlatego, że one błękitne, więc panu niebo przypomną; a ksiądz Stanisław zawsze mówi, że komu smutno, ten powinien myśleć o niebie, to mu lżej będzie.

Lucyan raz jeszcze spojrział na Walerkę, rozśmiał się tym samym martwym uśmiechem i rzekł:

— Pannie Waleryi się zdawało; nie jestem wca-



le smutny. Wszakże za ładne kwiaty i dobre chęci dziękuję.

Odszedł, a Walerka pobiegła do domu.

Wszedłszy do swego mieszkania, Lucyan powitał matkę milczącym pocałowaniem ręki i ukłonem dwie obecne kobiety.

— Przyjechałam prosić pana — rzekła Rzepowa — abyś był tak dobry i zechciał odwiedzić mego chorego brata. Kaszle biedak i mizerniej w oczach.

— Będę u pani dziś jeszcze — odrzekł Lucyan z grzecznością, ale tym samym złamanym głosem, jakim mówił ciągle od pewnego czasu.

Gdy wchodził do swego pokoju, Dolewska prowadziła za nim spojrzenie; ale napróżno Rzepowa badawczo patrzyła na nią, nie dostrzegła ani łzy w oku, ani najmniejszej zmiany w fizyognomii. Mężtwo matki, nie chcącój na widok publiczny wystawiać boleści syna, zwyciężyło jój własną boleść.

Zaledwie zamknęły się drzwi od pokoju Lucyana, przez otwarte okna doszedł uszu trzech kobiet odgłos pocztowego dzwonka.

— Rzadka to rzecz — odezwała się Rzepowa — usłyszeć teraz dzwonek pocztowy, od czasu jak zbudowali *maszynę*.

Pani Owsicka, która od bytności swojej w Częstochowie, lubiła niezmiernie rozprawiać o podróży *maszyną*, rozpoczęła na ten temat długie opowiadanie.

Była już jednak u końca i Gawełek pani Rzepowej zajechał już przed ganek, gdy otworzyły się nieco drzwi od sieni i ukazała się przez nie głowa rozczochranego chłopaka.

— Czego chcesz, Julku? — spytała Dolewska.

— Na pocztę, proszę pani, przyjechał jakiś pan z daleka i chce widzieć się z panem doktorem.

— A nie wiesz, kto to taki?

— Nie wiem, proszę pani; ale musi być jakiś bogaty pan, bo jedzie pięknym koczem, a pocztylionowi, co go przywiózł, dał rubla tryngieltu.

— A dokąd ten pan jedzie, czy nie wiesz? — spytała zaciekawiona Owsicka.

— Do Jodłowej podobno.

W téj chwili we drzwiach swego pokoju stanął Lucyan. Słyszał widać całą rozmowę, bo rzekł do chłopca:

— Powiedz temu panu, że zaraz przyjdę na stacyą.

— Ktoby to był, panie Lucyanie? — spytała ciekawie Owsicka.

— Sądzę, że musi to być pan Cypryan Karłowski — spokojnie odpowiedział Lucyan i wyszedł.

Po chwili, zielona bryka Rzepowej trzęsła się i skakała po ulicy miasteczka, a z nią razem trzęsła się i skakała jéj właścicielka, laską od deszczochronu przypominając często nierówności drogi plecóm Gawełka.

Lucyan tymczasem zbliżał się do stacyi pocztowej, stojącej trochę na ustroni, o kilkanaście kroków od ostatniego domu miasteczka.

Przed stacyą stał ładny, cały błyszczący srebrnymi blachami, koczyk, a wkoło niego zwijali się pocztylioni i lokaj, z miny i ubrania wyglądający na kamerdynera bogatego pana.

Po najobszerniejszym pokoju stacyi, w eleganckim podróżnym ubraniu i z cygarem w ręce, chodził Cypryan Karłowski, gwizdząc jakąś aryetkę i kiedy niekiedy rzucając kilka słów stojącemu pokornie we drzwiach pocztowemu pisarzowi.

Nagle pisarz, dotknięty czyjąś ręką, z uszanowaniem ustąpił z drogi, i Cypryan serdecznym uściskiem powitał wchodzącego doktora.

— Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze. Jak się masz, mój poczciwy Lucyane? Dziękuję ci, żeś o mnie nie zapomniał. Czy otrzymałeś moją odpowiedź?

— Otrzymałem — odrzekł Lucyan, siadając tak, aby mu światło z okna na twarz nie padało.

— A więc wiesz o wszystkim — mówił Cypryan. — Matrymonialne moje zamiary, o których mówiłem ci w Warszawie, przybrały formę, i jakąż jeszcze piękną formę!... Jadę się żenić. Znasz moją narzeczoną, nie prawdaż?

— Znam — odpowiedział Lucyan.

— I jakże ją znajdujesz?

— Śliczna osoba; mogę ci tylko powinszować wyboru.

— A! powiadam ci, Lucyanie, że nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Co to za kobieta! Trzeba ją bliżej poznać, aby ocenić jej anielskie serce, jej rozwinięty umysł. Przeszłość wprawdzie miała nieco burzliwą... słyszałeś o tém pewnie... powiedziała mi sama o wszystkiém. No, ale co mi do jej przeszłości? Znasz pod tym względem moją teorię. Co było, to było, a teraz wierzę w jej prawość i dzisiejsze do mnie przywiązanie, jak w ewangelię. To samo już, że przed ostatecznym zobowiązaniem się powiedziała mi wszystko, dowodzi najwyższej szlachetności w kobiecie. Czy często bywasz u niej?

— Bywałem dość często, ale od pewnego czasu miałem wiele zajęcia...

— Ach, Lucyanie, Lucyanie! Jak miłość dla znacznej i rozumnej kobiety podnosi i uszlachetnia! Odkąd ją kocham, stałem się innym człowiekiem. Młodzieńcze niedorzeczności i szaty, jak dym, wyszły mi z głowy; zacząłem na serio myśleć i pracować; czuję, że świat, ludzie, wszystko, co dobre i piękne, żywiej mnie zajmuje. A potem... potem... wystaw sobie, jakie to śliczne będzie życie nasze wspólne! Posiadamy wszystko, co świat najpiękniejszego dać może: młodość, gorące serca, wzajemną miłość, bogactwo zresztą, które pozwoli nam używać wszystkich towarzy-

skich i umysłowych przyjemności... Spodziewam się, że będziesz na naszym ślubie, Lucyanie.

— Niezawodnie; a kiedy nastąpi?

— Najdalej za tydzień. Ale, zapomniałem cię przeprosić, Lucysiu, że nie zajechał do ciebie, tylko wezwał cię tutaj. Widzisz, stracił-bym przynajmniej kwadrans, albo pół godziny czasu, a tak pragnę ją zobaczyć, że mi każda chwila droga.

— Wierzę — odpowiedział Lucyan — i bynajmniej nie czuję się obrażonym.

— Konie gotowe! — ozwał się we drzwiach kamerdyner.

Cypryan żywo powstał.

— Do zobaczenia, Lucyanie! — rzekł — w tych dniach przyjadę do ciebie z Jod...

Nie dokończył wyrazu, bo wzrok jego padł na twarz Lucyana, tą razą zwróconą do okna. Pochwycił rękę przyjaciela i rzekł z niepokojem:

— Co tobie jest, Lucyanie, czyś ty chory?

— Od pewnego czasu jestem w istocie trochę chory, ale to mała rzecz...

— Ależ zmieniony jesteś dziwnie! Cóż to takiego?

— Choroba sercowa, o ile mi się zdaje.

— A więc może niezupełnie fizyczna? — żartobliwie rzekł Cypryan.

— O, najzupełniej! bądź tego pewny; przecież

jestem doktorem — z gorączkową żywością odparł Lucyan.

— Żeby to tylko nie było nic ważnego.

— O, niema o czém mówić — rzekł Lucyan i dodał: — Nie zatrzymuję cię, Cypryanie, bo wiem, że ci pilno być musi. Spodziewam się, że mnie odwiedzisz.

— Niezawodnie.

— Życzę ci szczęścia... kłaniaj się ode mnie pani... pani Warskiej — dokończył z wysileniem.

Po chwili koczyk, unoszony szóstką koni, żywo mknął ku Jodłowej, a Lucyan, stojąc na ganku stacyi, patrzył na unoszące się za nim kłęby kurzawy. Dziwny uśmiech przebiegał mu usta i okrywał twarz całą gorzkim wyrazem.

Gdy powóz Cypryana zniknął mu już całkiem z oczu, z wysileniem oderwał wzrok od drogi, na którą patrzył, i zwrócił się do miasteczka.

W godzinę potem wyjeżdżał konno z domu, kierując się powoli szeroką drogą w stronę... Jodłowej. Odjechawszy wiorst parę, zwrócił gniasza i prędkiej już pojechał ku Wałkom, majątkowi Rzepowej i jej chorego brata.

Zmrok zaczynał zapadać, okrywając miasteczko N., a w niém cichą plebanią, mieszkanie księdza Stanisława.

Przed niewielkim domem proboszcza, dziedziniec zasłany był gładką murawą; wśród niej rosło kilka

pięknych drzew akacyi, rzuconych po równym trawniku. Od bramy, otwierającej nizki płot drewniany, ku gankowi, opartemu na czterech niskich słupach, biegła wązka wydeptana ścieżka. Okna domu były otwarte, a pod niemi na kilku grządkach kwitły powoje i rezeda. Z za domu, po nad dachem, wznosiły się ciemnolistne, rozłożyste dęby, nadając surowe i poważne tło owianemu głębokim spokojem sielskiemu mieszkaniu księdza.

Gdy zmrok zapadać zaczął, przez otwarte okna plebanii dał się słyszeć gwar kilku młodych głosów, i po chwili z sieni domu wybiegło sześciu czy siedmiu chłopaków, z książkami pod pachą i sporemi kawałkami chleba z sérem przy ustach. Rzeźwa gromadka uczniów księdza proboszcza, śmiejąc się i swawoląc, wypadła za bramę i rozbiegła się po dziedzińcu, a ksiądz Stanisław stanął w otwartém oknie. Twarz jego, zawsze jednostajnie blada i łagodna, jaśniała głęboką ciszą wewnętrzną; czoło opromienione jasnymi, siwiejącemi włosami, miało gładkość i pogodę, płynącą z zadowolenia po dobrze spędzonym dniu.

Na ciemne, ale czyste niebo, zaczął wstępować księżyc w pełni; wiatr lekki rozwiewał w powietrzu woń rezedy. Wzrok księdza Stanisława wznosił się w górę, a łagodne usta jego poruszyły się szeptem cichój modlitwy.

Po-za nim otworzyły się zeicha drzwi pokoju i nieśmiały głos kobiecy ozwał się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki, amen — odpowiedział ksiądz, i odwróciwszy się, poznał stojącą w zmroku matkę Lucyana.

Gdy zbliżył się do niej, przycisnęła milcząc do ust rękę księdza, który poczuł spływające na nią łzy.

— Co pani jest? czego płaczesz? — spytał troskliwie, prowadząc ją do kanapy.

— Księżę Stanisławie — ozwała się kobieta, tłumiąc płacz z wysileniem — czy widzisz, co się dzieje z moim Lucyanem?

— Zmieniony jest i chory, ale nie należy rozpaczać; ufaj pani w Bogu...

— O tak, księżę proboszczu! — przerwała Dolewska — ufam w miłosierdzie tego Boga, w którego całe życie wierzyłam gorąco. I jakież-by On był ojciec ludzkości, gdyby się nie zlitował nad biednym sercem matki!?

— Wyroki Boże są niezbadane; należy z pokorą pochylać czoło przed niemi...

— O nie! — wybuchnęła matka — kiedy idzie o dziecko moje, ja z pokorą i poddaniem się nie mogę czekać na wyroki Bożkie. Gdyby pioruny Bożego gniewu na mnie samę spaść miały, w proch uderzyłabym czołem i zawołała-bym: „niech się dzieje wola Twoja!“ Ale, kiedy widzę moje dziecię jedyne, me-



go syna, który mi szczęściem był i chlubą, zgnębionego cierpieniem, na jakie nie zasłużył, konającego z boleści w oczach moich; o, księżo Stanisławie! wtedy nawet przed Bogiem nie mogę być pokorną. Mnie serce pęka z rozpaczy, bo jestem... matką!

I zaniósła się spazmatycznym, głośnym płaczem; ale po chwili wysileniem woli stłumiła gwałtowne wzruszenie i zaczęła mówić prędko, gorączkowo :

— Księżo Stanisławie, ja chcę go ratować! Wiész, że powodem wszystkiego złego jest ta kobieta... ta piękna pani, co to bierze ludzi na zabawkę i zabija ich, jak muchy. Ona Lucyana uwiodła swemi oczyma jaszczurki, swemi słodkimi słówkami, które wiszą ciągle u jój ust, jak robaki na wędce; ona ciągnęła go do siebie, uśmiechała się, zapraszała... Myślał-by kto, że to anioł, który zstąpił z nieba, a to żmija, co kąsa serce człowieka, aby uszło...

— Kobieto, zatrzymaj się! — przerwał ksiądz Stanisław — nie sądz...

— Przebacz, księżo Stanisławie — przerwała Dolewska — żal rozwagi nie ma; a żal matki, o! to taki żal, że podobnego chyba na świecie niéma, jak niéma miłości podobnej do miłości matki.

— Nie poddawaj się temu żalowi — rzekł ksiądz łagodnie — a raczej użyj całej energii, jaką cię natchnąć może miłość macierzyńska, aby syna z toni ratować. Mówiłaś, że chcesz go ratować; czy myślałaś już o środku jakim?

— Tak, księżę proboszczu. Dziś z rana, gdy Lucyan wyszedł ze swego pokoju, patrzyłam na niego długo i uważnie, i serce mi pękało. Gdzie jego dawny uśmiech? gdzie jego zdrowie? gdzie jego żywość i spokojność? Nie jest on smutny, ale gorzej jeszcze, jest martwy; nic nie mówi, niczego nie chce, nic go nie zajmuje. Milcząc, pocałował mnie w rękę, milcząc, usiadł przy oknie z książką w rękę; ale widziałam dobrze, że nie czytał, bo przez pół godziny trzymał oczy na jednej karcie i miał wzrok człowieka, który patrzy a nie widzi. Wytrzymać nie mogłam i poszłam do swego pokoju, aby łez moich nie zobaczył. Padłam na kolana przed ukrzyżowanym Chrystusem i, płacząc krwawymi łzami, w imię Jego bolesnej męki, błagałam, aby natchnął mnie myślą, jak mam wyratować z tego nieszczęśliwego stanu moje biedne dziecko. A kiedy wstałam, zdawało mi się, że mi kto w ucho szeptem: wyjedźcie z N.! Usiadłam i zaczęłam nad tém rozmyślać, i przypomniałam sobie, że ludzie mawiają, iż w wielkich smutkach trzeba niekiedy człowiekowi zmiany miejsca, trzeba, aby się oddalił od tego, co mu boleść sprawiło. I pomyślałam sobie: pójdę do księdza Stanisława i poradzę się: jeżeli on powie, że to będzie dobrze, to zaraz, za kilka dni, wyjedziemy z N. gdziekolwiek...

— Macierzyńskie serce twoje szczęśliwe miało natchnienie — odrzekł po chwili milczenia proboszcz.  
— Nie mogę i nie powinienem tać tego przed tobą,

że z Lucyanem źle jest bardzo. Gdyby to było tylko cierpienie moralne, zwyciężył-by je czas i jego własna wola; ale ja śledzę pilnie wszystkie oznaki, malujące się na twarzy jego, i widzę, że chory jest fizycznie, a chory taką chorobą, że każde silne wzruszenie zabić go może. Wzruszenie takie musiało-by tu przyjść koniecznie, boć przecie dziś narzeczony pani Warskiej pojechał do Jodłowej i ślub ich odbędzie się pewno wkrótce. Szczęśliwie-by było bardzo, gdyby Lucyan przed dniem tym fatalnym dla niego N. opuścił. Gdzież pani myślisz wyjechać?

— Gdzie on sam zechce.

— Wątpię, aby on, w dzisiejszym stanie swoim, miał jakąkolwiek wolą w tym względzie. Sądzę, że tymczasem najlepiej będzie do Wilna...

— Pomyślę o tém...

— A środki pieniężne na wyjazd i osiedlenie się w inném miejscu, czy macie?

— Nie wielkie wprawdzie, ale mamy. Toć Lucyś wyprocesował mi jesienią w Warszawie kilka tysięcy złotych; zresztą, byle się uspokoił i wyzdrowiał, on pracą swoją i rozumem wszędzie kawałek chleba znajdzie, a może... toć już niedługo mi na tym świecie przebywać...

— I nie żał pani będzie opuszczać N.? Wszak całe życie tu spędziłaś.

Dolewska pochyliła głowę i milczała długo, a potem odrzekła:

— I jakież żal dorównać może temu, który czuję, patrząc na boleść jego? Prawda, zem tu sercem i duszą całą przyrosła, że dawniej ani pomyśleć nie mogłam o wędrowce w świat nieznamy, na stare lata moje. Ale dla niego czegoż-bym nie zrobiła? czegoż-bym nie oddała? Zbawienie duszy mojej złożyła-bym u nóg Boga za jeden dzień szczęścia jego...

— O bohaterska siła macierzyństwa!— rzekł ksiądz Stanisław z cicha, i głośniejszym głosem dodał: — Więc przygotuj się pani do podróży, a jeślibyś spotkała opór w Lucyanie, czego się nie spodziewam, bo dziś wszystko dla niego jest obojętne, zawiadam mnie; postaram się wpłynąć na niego. Najważniejsza rzecz, aby wyjechał z N., nie widząc już pani Warskiej. O ile mi się zdaje, rozwinęła się w nim groźna choroba serca i wrażenia każdego bardzo się dla niego lękam.

Wkrótce pani Dolewska dążyła do mieszkania swego, a ksiądz, stojąc przy otwartym oknie, wpadł w głębokie rozmyślanie.

Patrzył długo na ciemne sklepienie niebios, powleczone siecią księżycowych promieni i białych chmur, słuchając szelestu lekkim wiatrem poruszanych akacyi. Smutek, jakim go natchnęła rozmowa z Dolewską, pierzchał stopniowo, a na twarz jego wracał zwykły łagodny spokój.

Po chwili wznosił wzrok i ręce splecione ku niebu i zamodlił się cichą modlitwą: „Szczęśliwy, o Panie, komu w piersi umilkły burze i walki żywota, kto

oderwał serce swoje od samolubnych miłości, a utonął cały w tém wielkiém, cichém uczuciu, które ogarnia świat cały, od Ciebie aż do robaczka. Albowiem, cóż spokojniejszego, jak człowiek, który ma serce proste? I cóż swobodniejszego, jak ten, który już niczego nie pożąda na ziemi?!“

---

## IX.

### Syn i matka.

Ranek był wczesny. We dworze jodłowskim zupełna panowała cisza; tylko z folwarcznego dziedzińca kiedy niekiedy dochodziły głosy wstających do pracy ludzi. W samym domu wszyscy spali jeszcze; zapyłone krzesła i stoły czekały ręki Ignacego, aby z nich starła warstwę kurzu, a koronkowy *peignoir* pani Warskiej spoczywał niedbale rzucony na krzesło, obok łóżka śpiącej Marylki, czekając, rychło się garderobiana obudzi i prasować go zacznie. Ale, mimo tak wczesnej godziny, pani domu już nie spała; białą okryta, uchyliła ciężką roletę u okna swój sypialni. Rożane promienie wschodzącego słońca wdarły się przez odsłonięte szyby i zabarwiły przezroczy-  
stą na ścianach draperyą. Twarz Madonny, tym samym rozjaśniona promieniem, zaróżowiała lekko i wychyliła się plastycznie z pomiędzy białych fałd.

Dlaczego Klotylda w tak niezwykłej dla siebie po-

rze odsłaniała okno swój sypialni? Czemu tak rano już niecierpliwą stopą deptała miękki kobierzec po-koju? Czy obudziło ją dotkliwie cierpienie jakie? czy tajemny jaki niepokój wybił ją ze snu o niezwykłej godzinie? I mogłoż to być właśnie wtedy, gdy przed dwoma dniami powitała w domu swym narzeczonego o wesołym oku, pogodnym, myślącym czole, ze śmiejącami się swobodnie ustami?

Cały dwór jodłowski częścią domyślał się, częścią był uwiadomiony, że piękny i grzeczny pan, o jasnych kędziorach i uprzejmém słowie, był narzeczoným dziedziczki Jodłowej. Dembowski nie posiadał się z radości, że pani Warska „raz już, mosanie tego, wybrała sobie dozgonnego przyjaciela“, Ignacy uśmiechał się pod siwym wąsem, z rozczuleniem spoglądając na piękną parę.

A Klotylda?... Klotylda nie była tak wesoła, jak by się spodziewać można było...

Silne pociągnięcie dzwonka zbudziło ze snu Marylkę. Zeskoczyła z łóżka zaspana dziewczyna, a zobaczywszy przez okno, że słońce wschodzi dopiero, przeżegnała się ze zdziwienia.

— Święty Boże! — zawołała — a co to się pani stało? Drugi już dzień budzi się o wschodzie słońca!

I pochwywszy *peignoir*, subretka pobiegła żywo do sypialni swój pani. Po chwili, Klotylda, owinięta w biały muślin i koronki, przebiegała aleje ogrodu.

Szczyty ciemnych jodeł, ozłoczone słońcem, zginały się lekko pod powiewem rannego wiatru; w głębiach gajów ptastwo zaczynało świergotać; nieruchoma szyba stawu błyskała srebrem i mieniła się różowemi smugami.

Klotylda stanęła nad wodą, oparła się o podstawę jednego z posągów i stała w zamysleniu, nieruchoma.

Nagle, między zielenią jednego z gajów, zamigotało przed jęj oczyma coś białego i dał się słyszeć odgłos lekkich kroków. Rozchyliły się gałęzie zamykające wejście do cienistej altany i na ścieżkę, obok której stała Klotylda, wyszła Magdzia.

Snać nie spodziewała się o tak rannę porze kogokolwiek znaleźć w ogrodzie, bo ubrana była w ranny kaftanik z białego perkalu i w półrozplecione włosy opadały jęj na szyję i ramiona.

— To ty, Magdziu, tak rano? — rzekła Klotylda i wnet dodała, biorąc za rękę dziewczynę: — Co to tobie jest? płakałaś?

W istocie, Magdzia miała oczy zaczerwienione od płaczu.

— Tak, trochę — odpowiedziała.

— Cóż ci jest? Czy masz zmartwienie? — nalegała Klotylda.

Magdzia wysunęła rękę z jęj dłoni i milcząc patrzyła w wodę; nagle podniosła głowę i, patrząc na panią Warszawską, spytała:



— Czy to prawda, pani, że ten pan, który wczoraj przyjechał do Jodłowej, jest twoim narzeczonym?

Uśmiechnęła się Klotylda.

— Tak, dziecię — odpowiedziała — to prawda; ale cóż to ma wspólnego z twemi zapłakanemi oczkami?

To mówiąc, zaczęła pieścizliwie muskać rozpleciony warkocz dziewczyny. Ale Magdzia usunęła się z lekka z pod pieścizącej ją dłoni i, patrząc znowu w wodę, mówiła:

— W istocie, panią dziwić to musi, że ja się pytam o to, bo i cóż to do mnie należy? Przebacz, pani, jeśli pytanie moje było zbyt śmiałe. Jam prosta wiejska dziewczyna, i przyzwyczałaś mnie zresztą do swój dobroci. Ludzie od dwóch dni mówią wkoło mnie, żeś zaręczona z tym bogatym i miłym panem; ja dotąd wierzyć w to nie mogłam. Ale kiedy sama tak mówisz, toć musi być prawdą.

Gdy Magdzia to mówiła, Klotylda postrzegła w niej wielką zmianę. Twarz młodziuchnej dziewczyny straciła niedawny wyraz dziecięcej prawie naiwności i nieświadomej prostoty, i powlokła się dojrzałą myślą; sam głos jej pełniejszy był, niż wprzódy, stanowczy. Klotylda patrzyła na nią ze zdziwieniem i miała coś mówić, gdy Magdzia ozwała się znowu:

— To wszystko, pani, nie ma żadnego związku ze mną. Tyś piękna, bogata, wolna; miałaś prawo

wybrać tego, kogo chciałaś i pojedziesz z nim w świat daleki, szczęśliwa, a mnie zostanie na całe życie słodkie wspomnienie chwil, które pozwoliłaś mi z sobą przepędzić. Więc związku to wszystko nie ma ani ze mną, ani z mojami łzami, ale...

— Ale cóż? — spytała Klotylda, biorąc rękę Magdzy.

Magdzia z wolna wysunęła znowu rękę z jej dłoni i mówiła dalej:

— Ale ja, pani, dziwną mam naturę, mnie serce boli za innych... ja za innych cierpię... Pamiętam, że kiedyś byłam małym dzieckiem, płakałam, patrząc na ubogich. Ojciec gniewał się za to i nazywał mnie mazgajem; więc kryłam się ze smutkiem, jakiego doświadczałam na widok nieszczęśliwych, ale cierpieć z nimi i nad nimi nie przestawałam. Jam, pani, dla siebie nigdy niczego bardzo nie pragnęła; całe szczęście moje, to szczęście tych, których kocham... tak mię Bóg już stworzył!...

— Więc czegoż teraz płaczesz?

Magdzia milczała chwilę, aż szybkim ruchem ujęła obie ręce Klotyldy i zaczęła mówić prędko, a z ciętą:

— Pamiętasz pani, jak mówiłam ci kiedyś, że jest na świecie człowiek, którego kocham. Miłość ta powstała mi w sercu, nie wiem kiedy, nie wiem jak, ale z nią razem poczułam, że za niego oddałabym życie i zarazem, że on mnie kochać nie może, tak jak

nie może zstąpić ku mnie żadna z gwiazd niebieskich. Od téj pory spokój jego stał się moim spokojem, jego cierpienie—mojém cierpieniem. Przez czas długi widywałam go rzadko i tylko, słysząc od wszystkich wkoło, że zacny jest i rozumny, dziękowałam za to Bogu i aniołom stróżom, i modliłam się do nich, aby był szczęśliwy. Ale z tém wszystkiém czuję teraz, że była wtedy jeszcze dzieckiem. Potém, zobaczywszy ciebie, pani, piękną, dobrą, rozumną, przeczulałam, że on ciebie pokocha. I tak się stało; a ja, patrząc codziennie prawie na was oboje, zaczęłam wysnuwać z siebie całe światy, nieznanne mi dotąd, zaczęłam cierpieć tak, jak nigdy nie cierpiałam. Raz przeczytałam w jednej z twoich ksiązek wyrazy: „z dziecka stała się kobietą“. Myślałam nad niemi i poczułam, że przestałam być dzieckiem. Niekiedy, patrząc jak oboje chodziliście po alejach ogrodu, czułam taki ból serca, że uciekałam, abyś nie zobaczyła mnie wtedy, bom była bardzo zmieniona. I tak, jak oto nad nami świeci teraz słońce pogodne, tak prawdą jest, że wszystkie te myśli i cierpienia jedną nicią pociągały moje serce ku wam obojgu, a rano i wieczorem zmieniały się w modlitwę za was... za szczęście wasze... Patrząc na niego, *przeczulałam*, pojęłam, jak bardzo cię kocha, i życie-bym moje oddała za to, abyś ty go kochała także... i... sądziłam... zdawało mi się, że tak było.

Umilkła na chwilę, pokonana wzruszeniem; twarz

j., wprzód blada, zabarwiła się rumieńcem, oczy, utkwione w twarz Klotyldy, błyszczwały łzą i energią naprzemian.

— A teraz, pani — mówiła znowu — przyjechał twój narzeczony, macie wziąć ślub ze sobą i pojechać daleko. To dobrze... masz pani prawo robić, co się tobie podoba... życzę ci szczęścia... Ale może to jeszcze zabytek niedawnego dzieciństwa mego, może prostota wiejskiej dziewczyny... ja tego wszystkiego nie rozumiem. Nie pytam cię, pani, o nic, bo wiem, że nie mam na to prawa, ale umysł mój gubi się w nierozwikłanej dla mnie zagadce... Co to było? co się stało? Czym ja się myliła? czy ty, pani, masz dwa serca? — nie wiem i nie rozumiem... Wczoraj byłam z ojcem w N. i widziałam *jego*...

Oczy Klotyldy błysnęły; ścisnęła silnie rękę Magdzy i zawołała:

— Widziałaś go? mów-że, mów! co się z nim dzieje?

Magdzia smutnie się uśmiechnęła i odpowiedziała głosem, w którym był ból i wyrzut:

— On, pani, umiera z boleści!...

Klotylda jęknęła i opuściła twarz na obie dłonie.

Magdzia z goryczą patrzyła na nią przez chwilę, potem dotknęła lekko jej ręki i rzekła:

— Teraz, pani, nie będziesz mię pytała, czego ja płacę; a jak zobaczysz jego, tak jak ja go wczoraj widziałam, sama zapłaczesz... i daj Boże, abys kiedy-

kolwiek potem płakać przestała; bo są rzeczy, których przez życie całe wyplakać nie można...

Klotylda długo stała, oparta o posąg, nieruchoma, a gdy podniosła głowę, Magdzi nie było już przy niej.

— Pojadę tam dziś — rzekła z gestem rozpaczliwej energii; — muszę go zobaczyć, bądź co bądź, choć raz jeszcze widzieć go będę...

Około południa, Klotylda siedziała we wschodnim gabinecie, ubrana tak zupełnie, jak gdy po raz pierwszy przyjmowała w Jodłowej Lucyana. Przy otwartych na ganek drzwiach siedział Cypryan, patrząc na nią pół żartobliwym, pół rozkochanym wzrokiem.

— *Ma belle fiancée* złe sny dziś mieć musiała, bo w tak pośepnym humorze nigdy jej jeszcze nie widział — rzekł, powstając i zbliżając się ku niej.

Klotylda nie odpowiedziała; oczy jej były spuszczone i utkwione w kobierzec, pokrywający posadzkę.

— Na seryo, Klotyldo — rzekł znowu Cypryan, siadając obok niej — blada dziś jesteś i smutna. Nie mogęż wiedzieć powodu?

— Lekkie niezdrowie... — odpowiedziała z cicha.

— To niedobrze; ale jeżeli lekkie, mam nadzieję, że prędko przejdzie. Nie uwierzysz, Klotyldo, jak miłe wrażenie wywierà na mnie Jodłowa. Mało podobnie pięknych miejsc widziałem. Patrząc na te

stare drzewa, wśród tej ciszy głębokiej, mimowoli człowiek poważnieje i myślą wznosi się nad błaha drobnotki naszego światowego, salonowego życia. Nie dziwię się, że to śliczne i poważne rodzinne miejsce twoje wykołysało ciebie, tak piękną i dobrą.

Ostatnie słowa wymówił ze wzruszeniem i ujął rękę narzeczonej; ale po chwili wypuścił ją z dłoni i rzekł z niepokojem:

— Jaką zimną masz rękę, Klotyldo! Możeś bardzo chora?

— O nie! — odrzekła, przesuwając rękę po czole, jakby myśli czarne odpędzić chciała.

— Nie dziw się moim natrętnym może pytaniom — rzekł Cypryan — bo widzisz, każda oznaka jakiegokolwiek twego cierpienia niepokoi mnie i martwi.

Klotylda milczała.

— Czy wiesz, Klotyldo — mówił dalej Cypryan — że chwilami czuję się tak szczęśliwym, tak uzacnionym moim głębokim uczuciem dla ciebie, że pytam samego siebie: czém zasłużyłem na szczęście takie? Byłem zawsze zepsutém dzieckiem, motylem mnie zwano; dobre serce stanowiło całą zaletę moję. Dziś stanął przy mnie anioł i podniósł mnie na wyżyny człowieczeństwa...

Klotylda ciągle milczała, nie odrywając wzroku od kobierca; Cypryan mówił dalej:

— Żeby to już prędkiej ten dzień stanowczy przyszedł, w którym oddasz się mnie bezwarunkowo i bez-

powrotnie! Chociaż tu pięknie jest i miło, pragnę jednak uwieźć cię w świat, bo to mi da jakby przeświadczenie, żeś już zupełnie, nazawsze moja. Chciałbym, abyśmy prędkiej oboje stanęli na tém polu, na którym rozwinąć mamy wspólną działalność naszą... abyśmy prędkiej nie tylko już ślub miłości, ale wzięli ze sobą ślub wspólnej pracy i czynu. Jak myślisz, Klotylda — mówił dalej — żebyśmy dziś zawiadomili tutejszego proboszcza, iż chcemy, aby ślub nasz odbył się w przyszłą niedzielę? Wszak indult przywiozłem.

Klotylda po raz piérwszy przez cały czas rozmowy spojrzała na Cypryana, ale takim dziwnym spojrzeniem, tyle w niém było cierpienia i jakby niewytlómaczonej obawy, że Cypryan zawołał:

— Klotyldo! ty musisz być bardzo chora!

A gdy nie odpowiedziała, powtórzył, tuląc jęj ręce w swoich:

— Droga moja! tobie może trzeba doktora. Ja zaraz posłę po Lucyana...

Nie dokończył, bo Klotylda gwałtownie wysunęła ręce z jego gorącego uścisku i, żywo powstając, rzekła:

— Nic, nic mi nie jest! potrzebuje być sama.

I nim Cypryan zdołał odpowiedzieć, zamknęły się już za nią drzwi jęj sypialni.

W kilka godzin potém, na ganku od ogrodu, oboje narzeczeni siedzieli przy obiedzie. Klotylda wy-

dawała się spokojniejszą, całkiem nawet spokojną, tylko miała ślady łez na oczach. Cyprian, trochę stroskany, spoglądał na nią, niemniej jednak rozmowa między nimi toczyła się żywa.

— A propos dzisiejszego niezdrowia twego, droga Klotyldo, przychodzi mi na myśl, żem zapomniał powiedzieć mojej pięknej pani o widzeniu się mojem w N. z Lucyanem Dolewskim. Co to za poczciwy i rozsądny człowiek! Nie prawdaż? Jest to jeden z najlepszych moich przyjaciół. Błagam cię o przebaczenie, alem mu wszystko, co między nami zachodzi, powiedział, a on mi mówił, że zna moją cudną narzeczoną. Czy bywał często w Jodłowej?

— Przez czas jakiś bywał dość często — odparła Klotylda, niosąc szklanke z wodą do ust.

— Ale żał mi tylko, żem go znalazł dziwnie jakoś zmienionym. Błady jest strasznie i bardzo, bardzo źle wygląda. Dał mi do zrozumienia, że się w nim rozwija choroba sercowa. A zła to zaprawdę choroba. Szkoda go!...

Szklanka z napojem zadzwoniła w ząbkach pięknej narzeczonej.

— Dobrze-by było — rzekła Klotylda — abyś pan odwiedził swego przyjaciela... tém bardziej, jeśli chory...

— Myślałem o tém, i dziś jeszcze pojedę do N., a jeśli mi dasz pozwolenie na to, Klotyldo droga, będę zarazem i u proboszcza... Wszak w N. mieszka ów



ksiądz Stanisław, o którym tyle pochwał słyzałem wczoraj z pewnych pięknych ustek?

— Tak, proboszcz nasz mieszka w N. i pojedziemy tam dziś oboje.

— Wyborna myśl. Wieczór będzie przesliczny; bardzo miłą rokuję sobie przejażdżkę, a ty, Klotyldo, będziesz moim cicerone w stolicy tych stron, których jesteś sama królową.

Klotylda blade się uśmiechnęła i zapadła w milczące, długie zamyślenie.

— O czém moja pani tak się zamyśla? — zagadnął po kilku chwilach Cypryan.

— Myślałam o tém — odpowiedziała Klotylda, nie podnosząc spuszczonego oczu — czy też mężczyzna może umrzeć przez nieszczęśliwą miłość dla kobiety?

— *Quelle idée lugubre!* — wesoło zawołał Cypryan. — Mojm zdaniem, jest to zapewne rzecz możebna, ale zdarzająca się niezmiernie rzadko. Trzeba na to odrębnych cech charakteru i wyjątkowych okoliczności... W każdym razie, mnie to niebezpieczeństwo nie grozi; nie prawdaż, pani?

I śmiejąc się, pocałował rękę narzeczonój; ale wypuszczając ją z dłoni, rzekł z niepokojem:

— Strasznie masz zimną rękę, Klotyldo. Boję się, doprawdy, o zdrowie twoje...

— O, nic mi już nie jest! Zresztą, zobaczę dziś

doktora, to go poproszę o radę — rzekła Klotylda z dziwnym uśmiechem i wstała od stołu.

\* \* \*

Tegoż dnia, w mieszkaniu pani Dolewskiej panował ruch wielki; pokoje smutno wyglądały, odarte ze wszystkich mniejszej objętości sprzętów; paki i tłomoki jedne na drugich stały pod ścianami, a między niemi, z pomocą Owsickiej i Marysi, krzątała się Dolewska. Gorączkowy rumieniec ożywiał twarz staruszki; ręce jej drżały, kiedy małe, w żółtych ramkach obrazki zdejmowała ze ścian, na których wisiały przed jej oczyma więcej niż ćwierć wieku. Zdawało się, że chciała-by wywieźć z sobą wszystko, co się znajdowało w domu, że serce jej ścisnęło się na myśl o rozstaniu z najmniejszym drobiazgiem, towarzyszącym jej przez ciąg długiej wędrówki życia.

Okolo południa wszystko już było spakowane i gotowe. Pani Dolewska stanęła na środku bawialnego pokoju, z którego zniknęły obrazki, lusterko z nad kanapy i bukiet włóczkowy ze szklanym kloszem.

Kukawka zegaru oznajmiła dwunastą godzinę południową.

— Ot, wiész co, pani Wincentowo — rzekła matka Lucyana — że chce mi się wziąć z sobą i ten zegar. Na co ma tu zostać?

— Ależ, pani Józefowo! po cóż tam, panie mój

kochany, będziesz tyle gratów z sobą wozila? A toć w wielkiem mieście dostaniesz zegar i nowy, i za tanie pieniądze. Zresztą nie na wieczność przecie wyjeżdżasz, i wróciwszy, znajdziesz wszystko, co zostawisz.

Dolewska pokiwała smutnie głową.

— Oj, moja pani Wincentowo — odrzekła — człowiek wie, kiedy wyjeżdża, ale kiedy wróci i czy wróci, wiedzieć nie może. To tylko w Bozkich ręku, a ja już stara! Ot, wiesz co, serce mi się kraje, patrząc na te kąty, których już może nigdy nie zobaczę, a w których tyle lat przebiedowałam. Ja myślę, pani Wincentowo, że bogaci ludzie jeżdżą tak z kąta w kąt po świecie całym, nie przywykając, jak biedni, do jednego miejsca, dlatego, że mało cierpią; bo kiedy człowiekowi ciężko na sercu i nie ma z kim biedy podzielić, to płacze sobie po cichu w kątku, a potem już jemu ten kątek drogi i miły, jak przyjaciel serdeczny, co patrzył na łzy jego i przytulił go wtedy, gdy cały świat był dla niego zimny i nieludzki.

I ze łzą w oku oglądała się staruszka po spustoszących kątach swego domu.

— Ot, choćby i ten zegar — mówiła dalej, łzawo patrząc na cyferblat z wielkim u góry bukietem — jak ja miałam nie przywyknąć do niego? Pamiętam, że w rok po ślubie naszym, nieboszczyk mój Józef przywiózł go z Wilna. Ja, moja pani Wincentowo, byłam wtedy bardzo młoda i śmiechulska straszna,

zwyczajnie, nie znałam jeszcze, co to bieda. To bywało, jak kukawka się odezwie, mnie taki śmiech bierze, że aż do łez się śmieję, i długo nie mogłam się przyzwyczaić do tego, żeby zegar zupełnie taki głos miał, jak ptak w lesie. A jak zacznę śmiać się, to nieboszczyk mój Józef z początku gniewa się na mnie za to, a potem i jego śmiech ogarnia, i oboje śmiejemy się tak, że ludzie, słysząc to przez otwarte okna, mówią: to szczęśliwa para! I prawda, prawda, że szczęście było wtedy w naszym domku, i chleba dobry kawał, i miłość, i zgoda domowa.

Westchnęła i po chwilce milczenia mówiła dalej:

— A potem, pamiętam, jak Lucyś mój się urodził i pierwszy raz zapłakał; zegar zakukał dziesięć razy, bo to była dziesiąta godzina wieczorem, i zaraz w tejże chwili zaśpiewał pod oknem słowik, co w krzakach bzu się gnieździł. A mnie wydało się to wróżbą i zaczęłam modlić się, prosząc Boga, aby życie mego dziecka było tak wesołe i swobodne, jak oto życie tych ptaków, których głosy na urodziny mu śpiewały. I pamiętam, że choć byłam bardzo słaba, modliłam się tak długo, że kiedym skończyła, kukawka odezwała się dwanaście razy, bo była już północ.

— Jak to pani Józefowa wszystko akuratnie pamięta! — ozwała się Owsicka.

— Oj, moja pani Wincentowo! Kiedy człowiek doświadczy czegoś dobrego w życiu, to dłużej je pamięta, niż złe, bo złe częściej się zdarza. Ale dla

mnie i ono przyszło wkrótce. Mój Józef umarł, aptekę musiałam sprzedać za bezcen, bieda zajrzała do nas, a z nią i potrzeba bardzo ciężkiej pracy, boć i dziecko jedyne trzeba było wychować na ludzi. Bogate panie, co wtedy mieszkały blisko N., dawały mi wiele do szycia i do haftowania, bo, nie chwając się, haftowałam lepiej, niż ich wszystkie panny służące. Potém, kiedy Lucyś był w szkołach, to jak kukawka zakukała szóstą z rana, myślę sobie: mój chłopiec wstaje! Jak dziesiątą, myślę sobie: uczy się moje dziecko! A jak dziesiątą wieczorem, myślę sobie: śpi już mój syn jedyny! I zdawało mi się, że to kukawka opowiada mi, co on tam robi daleko ode mnie. A potém, kiedy Lucyś wrócił do domu, to jak wyjdzie do chorych, kukawka mi przypomina, kiedy mu przygotować obiad albo kawę, a jak wyjedzie z miasteczka, a kukawka wybije dziesiątą wieczorną, to już słucham, czy nie wraca do domu i spać nie idę, ażeby moje dziecko pobłogosławić na noc i krzyżem świętym złe sny od niego odzegnać. Ot, widzisz, pani Wincentowo, dla czego żalność mię bierze, kiedy myślę, że zostawię tu ten zegar.... toć to towarzysz i przyjaciel całego mego żywota.

I, stojąc na środku pokoju, patrzyła na zegar i dwa strumienie grubych łez, szeregami wspomnień wywołanych, staczały się po jój zmarszczonej twarzy.

— Pan Lucyan idzie — rzekła Owsicka, patrząc w okno.

Dolewska żywo się poruszyła, szybko otarła łzy i, z młodzieńczą prawie żywością, skoczyła na krzesło, majstrując coś koło zegara, aby syn jój też nie dostrzegł.

— Żeby on tylko nie zobaczył, że ja płakałam — szepnęła z krzesła już do Owsickiej i zaczęła raźnie nucić starą piosenkę.

Lucyan przeszedł, milcząc, bawialny pokój i wszedł do swojego. Pierwszy przedmiot, który uderzył jego oczy, był stojący na oknie świeży bukiet z niezapominajek. Lucyan popatrzył na kwiaty i rzekł do siebie:

— To dziecię stawia tu te kwiaty, aby mi niebo przypominały! Jest-że ono dla tych, którzy tak nędznie, jak ja, giną?...

I pograżył się w smutném, gorzkiém dumaniu.

Była to może ta sama chwila, w której Cyprian Karłowski, we wschodnim gabinecie Klotyldy, mówił jój gorące słowa miłości i wysnuwał przed nią złotą nić swoich nadziei.

\* \* \*

Czerwona tarcza słoneczna spuszczała się zwolna za nizkie dachy domowstw miasteczka; ulice i plac różowiały pod jój blaskiem; po błękitném niebie przepływały obłoki białe i z po-za nich wychylał się

srebrną nicią zarysowany półksiężyc. Cisza w naturze panowała wielka, ale w miasteczku gwar, bo był to dzień świąteczny, więc wszystko, co żyło, oprócz żydów, wyroiło się na ulicę, a kto został, otwartém oknem przynajmniej wyglądał na piękny o tój wieczornój dobie świat Boży.

Lucyan wyszedł z domu kowala, którego chorą żonę po raz ostatni przed wyjazdem z N. odwiedzał, i szedł ulicą. Z ganku mieszkania Grodzickiej zbiegła Walerka, ubrana w swój różowy muślinek.

— Panie Lucyanie, niech pan zajdzie do nas — prosiła — jest u nas i pan Dembowski z Jodłowej.

Lucyan zwrócił się ku gankowi.

— Ho, ho, ho! jak się masz, kochany Eskulapie! — ozwał się we drzwiach od ganku stentorowy głos Dembowskiego. — Widzę, że nieosobliwie; coś zmizerniałeś dyabelnie. Słyszę, wyjeżdżasz; dokąd? dla czego? Czy ci tu już, mosanie tego, nasz chleb nie miły?

Lucyan miał coś odpowiedzieć, ale szlachcie mu przerwał:

— Spodziewam się, mosanie tego, że przynajmniej na ślub pani Warskiej poczekaasz. Bo u nas w Jodłowej wielka nowina. Pani Warska za mąż idzie; w niedzielę przyszłą ksiądz Stanisław ma im podobno pobłogosławić. Ot, jak z pistoleta wystrześliła siurpryzę, mosanie tego. Ale narzeczony, co się zowie, grzeczny człowiek, przywoity i choć widać po

wszystkiém, że bogaty, pańskich, za pozwoleniem, głupich fumów za grosz nie ma, rychtyk jak ona. Zobaczysz ich zaraz, mosanie tego, bo dziś przyjadą oboje do księdza Stanisława. Jak wyjeżdżałem, zaszedłem do nich i mówili mi, że za godzinę do N. jadą.

Na te słowa usta Lucyana zadrżały i skronie zapulsowały mu silnie. Dembowski prawił dalej:

— A kochają się, mosanie tego, jak gołąbki! Da-libóg, staremu ślina do gęby idzie, patrząc na nich. Dziś, kiedy tam przyszedłem, Ignacy tylko co zdjął ze stołu i powiedział, że pani i gość w ogrodzie. Poszedłem do ogrodu i z daleka przez gałęzie zobaczyłem, jak on, mosanie tego, ścisnął i całował jęj rączkę, a ona, jakby nie, siedziała sobie na ławeczce, nad stawem, i nie na niego filutka patrzyła, tylko niby na wodę. Ho, ho, ho! a pewnie tam z pod oczka zerkała na niego, tak jak to ona umi, ho, ho, ho!

Przy tém opowiadaniu Lucyana oparł się o słup ganku i parę razy poniósł rękę do skroni.

Ale Dembowski, nie zwracając na to uwagi, zawołał:

— Otóż i jadą, mosanie tego!...

Z daleka, na końcu ulicy, ukazały się cztery siwe konie i dał się słyszeć głuchy turkot powozu i lekkie brzękanie szorów. Wszystko to było tak otoczone kłębamii kurzawy, że z dala wyglądało, jak wielki, szary punkt.



Lucyan z wyteżeniem w punkt ten się wpatrzył; twarz jego nabiegła nagle gwałtownym rumieńcem i w gnieniu oka pokryła się znowu straszną bledością.

Ale nikt na niego nie patrzył.

Walerka, Dembowski i na ulicy znajdujący się ludzie, zwrócili ciekawie oczy ku nadjeżdżającemu powozowi.

W małym odkrytym koczku siedziała Klotylda, w białej sukni i białym kapelusiku. Wiatr unosił końce jej błękitnej przepaski po-za drzwiczki powozu i igrał z niemi w powietrzu. Obok niej, z rozpromienioną twarzą, siedział Cypryan Karłowski.

— Śliczna para — mówiło na ulicy kilka głosów.

— Bogaci! szczęśliwi! — odpowiadali inni.

A powóz toczył się szybko ulicą i dojeżdżał do domu Grodzickiej.

Nagle Cypryan zerwał się z siedzenia, gwałtownie pochwycił ramię furmana i krzyknął:

— Stój!...

Klotylda zwróciła spojrzenie ku gankowi Grodzickiej, na który patrzył Cypryan, i z piersi jej wydo był się głuchy jęk.

Dziwny widok uderzył ich oczy.

We drzwiach domu stał Dembowski, obu rękoma obejmując opartego na nim Lucyana. Oczy młodego człowieka były zamknięte, usta sine, trupia bledosc twarz mu załala.

— Co to jest? co to się stało? — zawołał Cyprian, w mgnieniu oka wyskakując z powozu.

— Zemdlął, czy co? mosanie tego — niespokojnie mówił Dembowski, podtrzymując opartą na jego pierśsi głowę Lucyana. — Tylko co rozmawiał ze mną.

— Ależ on jak bez życia! — zawołał Cyprian, dotykając ręki przyjaciela. — To nie jest zemdlecie, to coś gorszego! Czy niéma w N. drugiego doktora?

— Księdza proboszcza! księdza proboszcza! — zawołało kilka osób, które, na widok zatrzymującego się powozu, w jednej chwili pod gankiem zbiegły się dość tłumnie.

— Walerko, biegnij po księdza proboszcza! — rzekła do córki Grodzicka, — a potem zajdziesz do pani Dolewskiej i powiesz jój, żeby tu przyszła, bo syn jój zachorował.

— Jakże to było? jak się to stało? — pytał Cyprian, pomagając Dembowskiemu złożyć bezwładne ciało Lucyana na jednej z ławek, stojących na ganku. — Każ pani przynieść wody — rzekł do Grodzickiej — trzeba probować trzeźwić go, nim proboszcz przyjdzie. Ale na miłość Boga, panie Dembowski, jakże to było?

— Ot jak było. Rozmawialiśmy z sobą najpiękniej tu na ganku; prawda, że był mizerny, ale zdawało się, że nic tak straszego. Raptem, jak państwo podjeżdżali pod ganek, kiedy ja spojrzę na niego, a on wpatrzył się w państwa tak dziwnymi oczyma,

jakich ja, mosanie tego, w życiu mojem nie widziałem; schwycił się za serce, jęknął i upadł-by na ziemię, gdybym ja nie stał za nim i nie podtrzymał go, mosanie tego!

— A czy ksiądz proboszcz zna się cokolwiek na medycynie? — zapytał Cypryan.

— Oho! Podobno sam uczył się kiedyś na doktora, a póki pana Lucyana w N. nie było, leczył często a dobrze.

Lucyan leżał na ławce, martwy i piękny w nieruchomości swojej. Długie rzęsy jego zamkniętych oczu rzucały cień na bladą twarz; usta bez krwi nie zamknęły się całkiem po ostatnim jęku; czoło przysłaniały rozrzucone czarne włosy. Jedna ręka jego leżała na piersi, druga zwisała ku ziemi.

Obok niego stali: Grodzicka ze szklanką wody w rękę, Cypryan z serdeczną troską na twarzy i Dembowski, tarmoszący niespokojnie swoje siwe włosy.

Za jeden ze słupów gankowych napół ukryła się Klotylda i, jak skamieniała, stanęła z załamaniem i konwulsyjnie zaciśniętymi rękoma.

Wkoło ganku coraz więcej zbierało się ludzi; pożałowania, westchnienia, pytania rozlegały się coraz gwarniejsze.

Po chwili od strony plebanii ujrzano idącego śpiesznie księdza proboszcza. Tłum się rozstał i ksiądz, ze wzruszoną twarzą, stanął nad Lucyanem.

Głuche milczenie ogarnęło obecnych. Oczy wszyst-

kich utkwily w twarzy księdza, we wszystkich piersiach zatrzymał się oddech.

Proboszcz ujął rękę Lucyana, położył dłoń na jego sercu i skroniach, pochylił ucho ku piersi i wpatrzył się w twarz nieruchomo. A im więcej patrzył, tém większy smutek pokrywał mu czoło i mglił się w łagodnych oczach.

Nareszcie z rodzajem uszanowania złożył na piersi obie ręce Lucyana, pochylił głowę i długo milczał, a dwa strumienie łez cicho spłynęły mu po twarzy. Otarł je, a podnosząc głowę i zwracając się do obecnych, rzekł wyraźnie, choć stłumionym głosem:

— Nie żyje!...

Z piersi wszystkich obecnych wydarło się jedno głuche westchnienie, ale zapanował nad niem straszny, przeraźliwy, rozdzierający krzyk.

Pani Dolewska, z siwemi włosami, rozwianemi od wiatru i biegu, z rozplamioną twarzą, z obłąkanym wzrokiem, wbiegła z tym krzykiem na ganek i rzuciła się na martwe ciało syna.

— Kto powiedział, że mój syn nie żyje?—wołała, obejmując go drżącemi ramionami i tuląc jego bezwładną głowę do piersi. — Kto powiedział, że mój syn nie żyje, ten skłamał! skłamał! On nie może umrzeć, bo Bóg jest dobry, bo jeśli on umrze, to chyba niema Boga na niebie...

— Kobięto! — zaczął mówić proboszcz łagodnie, biorąc ją za rękę.

Ale wyrwała ją gwałtownie i, zwracając się do księdza, krzyknęła:

— Ty powiedziałeś, że mój Lucyś umarł, a więc mi go oddaj teraz! Ale ty skłamałeś! Czy słyszysz? skłamałeś! To prawda, że on leży jak trup, bez życia, ale nie umarł, nie! Ten, kto to powiedział, zapomniał, że ja nie po to kołysała go i hodowała, żeby teraz umarł. Kłamstwo! kłamstwo! O! zaraz zobaczycie!

I rzuciła się znowu na ciało syna i zaczęła twarz jego okrywać konwulsyjnymi pocałunkami. Potém uklękła przy nim i cicho, łagodnie mówić zaczęła:

— Lucysiu! dziecko ty moje najdroższe! Odezwij się do mnie, moje ty szczęście! Spójrz na mnie, jam przecie matka twoja!... Lucysiu! Lucysiu! Ludzie mówią, żeś ty umarł. Dziecko moje jedyne, spójrz na mnie, pokaż im, że kłamią, że ty żyjesz i żyć będziesz, dumo i radości ty moja! Lucysiu!... Lucysiu!... Lucysiu!...

Nagle umilkła, szklanym wzrokiem wpatrzyła się w twarz syna, zerwała się z kolan i krzyknęła przeraźliwie:

— Tak, to prawda, on nie żyje!...

W tój samój chwili, wpiła się palcami w ramię stojącego obok niéj księdza, oczy jéj otworzyły się szeroko, krwią nabiegły i poczęły szybko krążyć pod powiekami; zaciśnięte usta otwierały się stopniowo,

aż wydarł się z nich długi, głośny i ostry śmiech obłąkania.

Ksiądz Stanisław wpatrzył się w nią i po chwili zawołał z najwyższém przerażeniem:

— Wielki Boże! ta kobieta dostała pomieszania zmysłów!

Odpowiedzią na te słowa jego był głuchy jęk kobiety. Wszystkie oczy zwróciły się na Klotyldę, która stała oparta o słup, strasznie blada i drżąca konwulsyjnie.

Ksiądz Stanisław patrzył na nią przez chwilę w milczeniu; potém wyciągnął rękę i wskazując jéj martwe ciało Lucyana, wyrzekł z uniesieniem i gorczyzą:

— Igrałaś jak z cackami, z sercami ludzkiemi, aż jedno z nich pękło i krwią obryzgało białą sukienkę twoję!...

Klotylda zachwiała się i upadła zemdlona na ręce Cypryana, który przez tłumy przecisnął się do niéj.

— A! to ty! — krzyknęła, spostrzegając ją, matka Lucyana. — To ty, czarownico, coś mi syna urzekła!...

I wydarła się z rąk wstrzymującego ją księdza i, biegnąc za Klotyldą, którą narzeczony do powozu unosił, krzyczała:

— Ty zabiłaś mego syna, żmijo o złotych słowach! Tyś go oczarowała, a potém mu serce wy-

darła! Bodajes nigdy matką nie była! Bodajes nigdy płakać nie przestała! Bądź przeklęta! przeklęta! przeklęta!...

Cyprian położył zemdloną w powozie i, sam wskoczywszy, krzyknął na furmana:

— Jedź!...

## X.

### Narzeczeni.

Nad Jodłową chmurnie weszło jasne wczoraj słońce. Szare chmury włóczyły się pod białém sklepieniem, a jodły szumiały i pochylały się jedna ku drugiej, jakby opowiadając sobie o czémś bardzo, bardzo smutném.

Wewnątrz jodłowskiego domu cisza panowała, głębsza niż kiedykolwiek i, chociaż było już dobrze po południu, pani Warska nie opuściła jeszcze sypialni swojej.

W mniejszym salonie, z dziennikiem w ręku, siedział Cypryan. Patrzył na drukowaną kartę papieru, ale od godziny już przeszło wzrok jego utkwiony był w jednę szpalcie, w jednym wyrazie dziennika. Czoło jego, tak pogodne wczoraj jeszcze, zarysowało się zmarszczką smutku i troski. Przez salon parę razy przebiegała Marylka i przechodził Ignacy. Za każdym ich wejściem Cypryan żywo podnosił głowę,



jakby się spodziewał kogo innego, a ujrawszy służących, zapytywał, czy pani Warska śpi jeszcze.

— Nie dzwoniła dotąd — odpowiadała Marylka.

— Nie piła jeszcze herbaty — odpowiadał Ignacy.

Cypryan patrzył na zegarek i szybko przebiegał salon; potem znowu brał dziennik do ręki, całą godzinę czytając jeden wiersz jego.

Bronzowy zegar, ostrym, metalicznym dźwiękiem, ogłosił trzecią po południu.

Zerwał się z krzesła Cypryan, odrzucił dziennik daleko od siebie i szarpnął taśmę od dzwonka.

Wszedł Ignacy.

— Poproś tu do mnie Maryanny — rzekł Cypryan.

Po chwili przybiegła Marylka.

— Pani Warska spać tak długo nie może, musi być chora. Trzeba, żeby panna Maryanna spróbowała wejść do sypialni.

— Probowałam już, proszę pana, ale drzwi wewnątrz zamknięte.

— I żadnego ruchu w pokoju panna Maryanna nie słyszała?

— Żadnego.

Na twarzy Cypryana odmalował się straszny niepokój. Począł znowu przebiegać salon. Marylka wyszła.

Czarne skazówki zegara z wolna przesuwały się na tle białém z minuty na minutę; o każdym upłynio-

nym kwadransie oznajmiał ostry dźwięk, przeciągle rozchodzący się po cichych, jak grób, salonach. Za oknami drobny deszcz zawisł między niebem i ziemią; gałęzie jodeł, stojących blisko domu, z brzękiem uderzały o szyby.

Cypryan, drżącą z niepokoju ręką, rozrzucił gęste kędziory swoich włosów; blady był i coraz głębsza zmarszczka brwi mu zsuwała.

Upłynęła jeszcze godzina, zegar zajęczał cztery razy. W téj saméj chwili podjęła się portyera wschodniego gabinetu i w drzwiach salonu stanęła Klotylda.

Cypryan rzucił się ku niéj i wyciągnął obie dłonie, chcąc pochwycić jéj ręce, ale wnet cofnął się przerażony.

Czarna, niedbale zarzucona, suknia, ciężkiemi fałdami opływała chwiejącą się postać Klotyldy; pół-rozplecione, wymykające się z więzów warkocze, opływały stan jéj, szyję i drobnemi kędziorami spadały na blade czoło. Oczy jéj zapadłe, podkrążone, świeciły suchym, ostrym blaskiem; usta zbladły i otoczył je wyraz bólu. Postępowała zwolna na środek pokoju, z głową schyloną i ze zwisłemi na suknię rękoma.

— Klotyldo, najdroższa moja! co tobie? Na miłość Boga, co tobie? — zawołał Cypryan, i chciał ująć jéj ręce.

Ale ona cofnęła się parę kroków i jedną dłonią

oparta na poręczu fotelu, drugą wyciągnęła milcząc ku niemu, jakby dawała znak, aby się do niej nie zbliżał.

Przez chwilę trwała ta niema, pełna boleści scena.

Cypryan z wyrazem przerażenia i rozpaczcy spoglądał na narzeczoną; jéj wyciągnięta ręka, którą go usuwała, opadła między fałdy jedwabne, a usta drżały i otwierały się kilka razy, nie wydając żadnego dźwięku.

W końcu szeptem prawie wyrzekła:

— Nie zbliżaj się ku mnie, Cypryanie, bo razem ze mną ogarnie cię przekleństwo i zbrodnia!

— Klotyldo! — zawołał Cypryan i znowu postąpił ku niej; ale ona cofnęła się jeszcze parę kroków i głośnieję już rzekła:

— Czy wiesz, kto winien śmierci tego człowieka, który skołał wczoraj?

Cypryan pobałł, lecz milczał.

— Ja! — rzekła Klotylda podniesionym głosem i wpatrzyła się w niego suchym, błyszczącym wzrokiem.

— Boże mój! — jęknął Cypryan.

— Tak — ozwała się znowu Klotylda — jam go zabiła i na moję głowę spada przekleństwo jego matki. Do téj chwili, Cypryanie, jestem jeszcze narzeczoną twoją; winnam ci spowiedź. Posłuchaj!

Cypryan oparł się o konsolę, patrzył w ziemię i milczał. Klotylda mówiła dalej:

— Pamiętajsz pewno, że w dzień ów, w którym

powiedziałeś mi po raz pierwszy, iż pragniesz, abym została twoją żoną, opowiedziałam ci całą przeszłość moją. Nie chciałam uwodzić cię, oszukiwać; nic nie zataiłam przed tobą. Dowiedziałeś się więc, że przez lat kilka była igraszką wrażeń i sama czyniłam igraszkę z tego, co w głębi serca uważałam za świętość. Tyś wtedy ujął moją rękę w swoje gorące dłonie i powiedziałeś mi, że każdy człowiek ma w życiu swoim błędy i winy, lecz kiedy szlachetny jest i mądry, zmazać je może cnotami; że nakoniec, jeśli cię tylko kocham, przyjmujesz mię taką, jaką jestem. A mówiąc to, byłeś sam tak szlachetny, tak głęboką i prawdziwą miłość czytałam w twojej twarzy, że serce mi uderzyło wzruszeniem silnym, i przyrzekłam być twoją wyłącznie, twoją tylko i nigdy już niczyją więcej. Pamiętasz pewno tę chwilę... nie prawdaż?

Cypryan milczał, nie zmieniając postawy, a Klotylda mówiła dalej:

— W owęj właśnie porze, gdym poznała ciebie, Cypryanie, znajdowałam się w stanowczej epoce życia. Wszystko, co dobrego zostało we mnie, oburzało się przeciwko próżni mojej exystencji. Poczulałam się strasznie samotną na świecie, pomimo otaczających mnie tłumów i hołdów, w których na dnie ujrzałam nędzę moralną. Ze strachem obejrzałam się wkoło siebie; sumienie pytało mnie: com uczyniła z moją przeszłością? a ja pytałam losu, co z moją

przyszłością uczyni? Położyłam rękę na sercu i zdało mi się, że zostały w niem nietknięte jeszcze skarby słodyczy, włożone tam ręką mojej świętej matki, i zasób prawości, który na mnie z krwią spłynął ojcowską. Zapragnęłam podnieść się i udoskonalić przez miłość wyłączną i trwałą, zapragnęłam rodzinnego ciepła, rodzinnych radości i obowiązków. Wtedy właśnie tyś mi podał rękę... przyjął ją. I nie kłamałam, mówiąc, że cię kocham, bo sama sobie w głębi serca mówiłam to samo.

Umilkła na chwilę i zdawała się zbierać siły do dalszego mówienia; oddech jój stawał się szybkim, gorączkowym, rumieniec zalewał stopniowo bladą wprzódy twarz.

— Potém — mówiła dalej — przyjechałam tu z myślą o tobie, sercem i pragnieniami czystsza i zacieńszsza. Zobaczyłam *jego*... i poczułam odzywające się we mnie demony zgubnych uniesień. Walczyłam... nie chciałam uledez... O walkach moich i cierpieniach wie obraz święty, przed którym codziennie płakałam łzami krwawemi, o siłę Boga błagając... I widziałam, że *on* mnie pokochał... i zamiast odsunąć od siebie, pociągał go coraz bardziej, własnymi rękoma tworzyłam między nim a sobą łańcuch nierozzerwany. Przyszła chwila, że *jego* twarz, *jego* słowa stały mi się tak potrzebnymi do życia, iż gdy mi ich brakło, nie czułam, że żyję, a kiedym pomyślała o tobie, zadrdzałam, ujrawszy, że w pamięci mojej twoja postać

wobec niego zasunęła się w cień głęboki. Pamiętałam jednak, że ci przyrzekła nie należeć już do nikogo więcej, a prawosć moja tak silnie oburzała się na myśl złamania danego słowa, że pod nią cichła porywająca mnie namiętność. Aż przyszedł pewien wieczór... wieczór bardzo piękny... cichy, wonny... Byliśmy sami, jak zwykle; uczucie jego, długo tłumione, wybuchnęło w słowach gorących... Cypryanie!... poczułam się otoczona jego ramieniem... i całował moje czoło i włosy...

Nie mogła mówić dalej, bo głos i oddech zamarł w jej piersi, rumieniec upokorzenia zalał pochylone czoło. Ale podniosła je po chwili i rzekła:

— Odtąd już go nie widziałam. Cierpiałam jak potępiona... ale miałam nadzieję... Myślałam, że ten poryw mój ku niemu minie... że był on silniejszym od innych wrażeniem... że gdy zobaczę ciebie, zapomnę o nim i będę mogła zostać czystą i prawą twoją żoną. O jakże pragnęłam tego!... Lecz inaczej się stało... I od tej chwili, Cypryanie, nie jestem już narzeczoną twoją.

Cypryan przez cały ciąg opowiadania Klotyldy stał nieruchomy. Na twarzy jego odbijały się wrażeń tysiące, ale panował nad niemi wyraz boleści.

Po ostatnich wyrazach Klotyldy podniósł głowę i, milcząc, długo wpatrywał się w twarz jej. Ale w oczach jego nie było gniewu i goryczy, owszem, malował się w nich żal głęboki, litość. Im więcej

wpatrywał się w zmęczoną twarz i złamaną upokorzeniem postać kobiety, którą kochał, tém więcéj wzrok jego stawał się pełnym miłości i spółczucia. Nareszcie błysnęła w nim energia silnego postanowienia. Zbliżył się o kilka kroków i, stanąwszy przed Klotyldą, rzekł:

— Wszystko, coś mi powiedziała, Klotyldo, przeżuwałem, a raczéj domyśliłem się wszystkiego ze strasznych słów księdza i matki jego, rzuconych wczoraj na ciebie. Nie taję przed tobą, że w pojęciu mojem winna jesteś śmierci człowieka tego i nieszczęścia jego matki. Myślałem nad tém długo; dziś jeszcze, gdy w śmiertelnym niepokoju oczekiwałem chwili ujrzania ciebie, badałem się ściśle i czuję, iż, mimo to wszystko, kocham cię jak dawniej i, w miarę nieszczęścia twego, miłość potęguje się we mnie. Klotyldo! Bóg ci przebaczy, jam ci już przebaczył... Raz jeszcze uległaś popędowi wrażenia, będzie to raz ostatni. Ze wszystkimi skarbami twéj duszy możesz jeszcze zostać czystą, cnotami zmazać winy, a nawet zbrodnie przeszłości. Ja podaję ci dłoń pomocy... przyjm ją i bądź moją, jak być miałaś... Na moję kochającą cię piersi splaczesz łzy grzechów; uwiozę cię ztąd... wspierać cię będę... upaść ci nie dam...

Wyciągnął ku niéj ręce i chciał ją pociągnąć ku sobie.

Ale Klotylda szybkim ruchem usunęła się od niego i twarz obu dłońmi zakryła.

— Klotyldo! — mówił dalej — uniosłaś się wrażeniem chwili, nie myśląc, że tém zabijasz człowieka. Ale śmierć ofiar swych nie oddaje, nie ubłagać jój żadną rozpaczą ni łzami. On umarł, pokój jemu wieczny, a ty, Klotyldo, powinnaś powstać mężnie z upadku i zatrzyć przeszłość życiem wytrwałej cnoty i pracy. Ja chcę ci w zadaniu tém dopomagać. Wespriy się na mnie z wiarą, nie rozpaczaj, działaj i kochaj, a Bóg przebaczy, i on, jeśli z innych światów ujrzy cię zasną i czystą... — przebaczy.

Klotylda podniosła głowę, gorzko się uśmiechnęła i odrzekła:

— Cypryanie! szlachetny jesteś, jak nie wielu na świecie ludzi, ale ja... ja twoją nie będę... być nie mogę!... Mówisz, że uniosłaś wrażeniem chwili... Gdyby tak było... ale nie, Cypryanie, jam się omyliła dwa razy, dwa razy nie zrozumiałam saméj siebie. To co czułam *dla ciebie* było wrażeniem; to co czułam *dla niego* — miłością. Całe życie moje było gonitwą za uczuciem takim. Przez lat kilka chciwie chwytalam wrażenia, myśląc, że one są tém, czego pragnęłam. Zawiedziona, własną ręką tłukłam cacka mojej wyobraźni i biegłam dalej, coraz dalej, ciągle szukając, ciągle się zawodząc, nigdy nie znajdując owéj przeczutéj a niedoścignitéj gwiazdy serca... I w téj szalonej gonitwie straciłam ster własnych uczuć; rozszalała się wyobraźnia moja, zapomniałam rachować się z sobą. Nareszcie dosięgłam gwiazdy i odrzuci-



łam ją, myśląc, że ona jest taką blaszką, jakich znaszycyłam już tyle. Nie rozumiałam samęj siebie. W imię wrazenia, któremu chciałam być wierną, miłością je mieniając, zwichnęłam... zabiłam... straciłam miłość prawdziwą!

Załamala ręce i zawołała w nagłym przystępie gwałtownej boleści:

— Tak, ja go kochałam, czuję to po tém straszнім ściśnieniu serca, po tym wirze w głowie, który w nierozwikłany zda się chaos płacze nerwy mojego mózgu. Tak, ja go kochałam i zabiłam go — sama go zabiłam...

Spazmatyczne łkanie pierś jęj podniosło, ani jedna łza nie popłynęła z oczu.

— A teraz — ciągnęła dalej — mówisz mi, abym wróciła w świat mój dawny... abym zapomniała, abym może była szczęśliwa!...

Rozśmiała się z goryczą.

— Nie, to być nie może. Zabijając jego, zabiłam i siebie; dla wszystkich radości życia jam już umarła. Gdzie zbrodnia moja była, tam będzie pokuta — zostanę tutaj! U stóp mogiły matki mojęj, w tém miejscu, gdzie znalazam i kochałam *jego*, zostanę na zawsze. A gdy na świecie spytają się kiedy o Klotyldę Warszawską, powiedz, że umarła. Ty, Cypryianie — kończyła spokojniej nieco — zostaniesz na zawsze w pamięci mojęj, jako zacny i szlachetny człowiek.

Zdjęła z palca pierścień z brylantem i podała go Karłowskiemu.

— Weź ten pierścionek na pamiątkę ode mnie; gdy spojrzysz nań, przypomni ci kobietę, której już nigdy nie zobaczysz.

— Jest-że to nieodwołalna twoja wola, Klotyldo? — spytał Cyprian.

— Jak śmierć, jak grób — odrzekła stanowczo.

Karłowski wziął pierścionek i zatrzymał jej rękę w swych dłoniach.

— Więc szanuję twoją wolę. Dziękuję ci za chwilę szczęścia, jakieś mi dała. Kiedym cię spotkał, byłem lekkim, samolubnym, moralnie dzieckiem prawie. Odchodzę od ciebie podniesiony uczuciem, dojrzały cierpieniem, odchodzę bez urazy, bez złości o tobie myśli... z żalem tylko, że cię opuścić muszę... z przywiązaniem. W pamięci mojej pozostaniesz zawsze piękną i słodką Klotyldą, która jak sen przeszła przez drogę mego życia... A w przyszłe życie czy ty wierzysz? Ja wierzę w nie... Spotkamy się kiedyś może tam, gdzie nie będzie grzechów, rozpaczy ani rozstania.

Żal głos mu stłumił, pochylił się, długim pocałunkiem przycisnął rękę Klotyldy i wyszedł szybko z salonu.

W godzinę potem na dziedzińcu jodłowskiego dworu ozwał się turkot odjeżdżającego powozu, trwał przez chwilę i za bramą umilkł stopniowo w oddali.

A dom jodłowski grobowa zaległa cisza. Mgła

drobnego i gęstego deszczu owinęła go w szarą opo-  
nę, jakby od reszty świata oddzielić chciała mieszka-  
nie pokutnicy.

### E p i l o g.

Od śmierci Lucyana Dolewskiego upłynęło lat kilka.  
W okolicy Jodłowej rozszerzył się dobrobyt; na  
każdym kroku znać tam było opiekuńczą rękę. Szkół-  
ki, ochronki, szpitale się rozwijały, a gdy kto ciekawy  
spytał, czyjém dziełem to wszystko, pokazywano mu  
dwór piękny i duży, staremi otoczony jodłami i wy-  
mawiano imię Klotyldy Warskiej.

Dziedziczka Jodłowej żyła samotnie; jedynym go-  
ściem jój był ksiądz Stanisław, którego rady wzy-  
wała w dobrych swych czynach. Piękna była jeszcze,  
ale całkiem inną, niż przedtém, pięknością. Wielbiona  
jój świeżość zniknęła, a zastąpiła ją martwa bladeść;  
oczy straciły gorący i wabny blask, a patrzyły często  
w ziemię z wyrazem pokory i żalu. Po salonach prze-  
chadzał się, jak zwykle, stary Ignacy, opylając sta-  
rannie konsole i lustra, w których mało przeglądało  
się ludzkich twarzy, a po domu całym, z kluczami  
w rękę, krzątała się pani sędzina Grodzicka, pełniąc  
u pani Warskiej obowiązki zarządzającej gospodar-  
stwem kobiecém. Nosiła zawsze filutki, lubiła mó-

wić o swoim budoarze i z upragnieniem czekała wakacyjnych miesięcy, w czasie których przyjeżdżali do Jodłowej Mieczek i Walerka z warszawskiej pensyi, na którą oddała ją pani Warska.

Mieszkanie Dembowskich opustoszało także; Elżunia pogodziła się nakoniec ze starymi jak świat pieśniami pana Onufrego Harasimowicza i została jego żoną; Antosia znalazła sobie męża, bawiąc w Wilnie u ciotki Kaczyńskiej. Magdzia nie była już tą dawną, naiwną i rumianą Magdzą. Twarz jej zbladła, wydelikatniała i powlokła się wyrazem dojrzałości i spokojnego smutku. Konkurentów nie brakło dobrej i ładnej dziewczynie, ale ona stanowczo powiedziała, że nigdy za męża nie wyjdzie i została przy rodzicach, niekiedy tylko wydalając się na dni kilka do domu obłąkanej matki człowieka, którego niegdyś tak poświęconą kochała miłością.

Cisza w Jodłowej panowała ciągle głęboka, niekiedy tylko przerywał ją dźwięk fortepianu, płynący z głębi domu, a niekiedy także przejeżdżający drogą pocztową ludzie widzieli na szczycie obrośniętej jodłami góry, obok marmurowego pomnika, biało ubraną postać kobiecą, i o zmroku żegnali się krzyżem świętym, myśląc, że to duch, z mogiły wstający.

A w N. żyli i biedowali ludziska jak dawniej. Pani Owsicka i panna Zuzanna przeniosły się na mieszkanie do domu Dolewskiej, aby pielęgnować obłąkaną staruszkę, z którą życie spędziły. W wieczory

zimowe w sypialni Dolewskiej palił się ogień na kominiarce, a przed nim Owsicka przędła na kołowrotku, słuchając opowiadań o snach Szeherezady. W najmniejszym kątku pokoju, na niskiej pod ścianą ławeczce, siadywała oblakana. Przed nią stała kołyska próżna, a ona z wolna poruszając ją ręką, śpiewała pół-głosem pieśń, jaką matki usypiają swoje dzieci. Niekiedy obok staruszki siadała pod światłem lampy blada, jasnowłosa dziewczyna i łagodnym głosem czytała książkę pociechy.

„Niestety! czémże jest to życie, w którym utrapienia i nędze nigdy nie ustają, w którym zewsząd jest pełno siideł i smutków?”

„Nad wszystko i we wszystkiem zawsze, duszo moja, spoczywaj w Panu, bo on sam jest wiecznym odpoczynkiem twoim.”

Czytała tak Magdzia, a Dolewska, kołysząc próżną kolebkę, słuchała jęj z wytężeniem. Gdy słodki głos dziewczyny przestawał rozlegać się po izdebce, oblakana podnosiła głowę i wołała nagle ostrym krzykiem:

— Lucysiu! Lucysiu! gdzie mój Lucys, gdzie moje dziecko?

— Lucys śpi, nie budź go — łagodnie odpowiadała Magdzia, a słowem tém uspokojona staruszka zaczęła znowu kołysać kolebkę, nucąc pół-głosem.

Wkoło domu wiatr szumiał zimowy, przed kominem turkotał kołowrotek Owsickiej, a zblakany duch

nieszczęśliwej matki snuł piosenki ciche, niby rzewne do nieba modlitwy, o spokojny sen syna w mogile.

Mieszkańców okolicy N. różne spotykały losy. Pan Rodryg Wierciński przestał być panem na Wiercinie, bo unikając *rekluzji* i *trawersując* Europę, tyle zaciągnął długów, że Wiercin z przyległościami sprzedano z publicznej licytacji, a zdetronizowany panicz został ekonomem u nowego swoich dóbr dziedzica. Niedługo jednak cieszył się tą swoją godnością, bo pokazało się, że nawet ekonomem dobrym być nie potrafił, umiejąc gruntownie tylko dwie rzeczy: zawiązywać krawaty i wkładać na nos pince-nez.

Barszcz, utraciwszy możliwość zjadania w Wiercinie baranich kotletów, pomyślał o tém, jak-by je mieć zawsze u siebie. Sposobny ku temu celowi wydał mu się posażek panny Jęczmionkowskiej, w skutek czego Elfryda wionęła ku ołtarzowi ślubnemu, furkając falbanami. Odtąd Barszcz miał zawsze u siebie baranie kotlety, a jedyną zgryzotą jego było to, iż brat Elfrydy, Jęczmionkowski młody, ożenił się z garderbianą pani Warskiej, Marylką, co wielce bodło szlachecką dumę Barszcza, przyzwyczajonego do *porządnych* stosunków.

Zenobia Jęczmionkowska dotychczas wspiera czoło na dłoni; nie wyszła za mąż i narzeka na niewdzięczność mężczyzn, a w romansowo-sentymentalnym nastroju swoim wtedy tylko znajduje pociechę, gdy na stole pojawi się półmisek kołdunów.

Harasimowicz starszy padł ofiarą miłości dla swój szklanój kochanki, umierając z *delirium tremens*, a Harasimowicz młodszy, ożeniwszy się z młodą i dobrą Elżunią, przestał śpiewać przy gitarze i smolić cholewki do panien, a pozbywszy się tych dwóch śmieśności, został wcale przyzwoitym człowiekiem, rządnym i poczciwym gospodarzem.

Raz ksiądz Stanisław, wróciwszy z dość dalekiej podróży, pojechał do Jodłowój.

— Przywożę pani wieść o jój znajomym — rzekł do pani Warskiej.

— O kim? — spytała Klotylła, podnosząc wzrok od roboty.

— Między Warszawą a Krakowem spotkałem się w wagonie z jakimś młodym człowiekiem, który jechał na ślub pana Cypryana Karłowskiego. Młody ów człowiek — ciągnął dalej proboszcz — widocznie wielki gaduła, lubiący opowiadać historye swoich przyjaciół, mówił, że pan Karłowski przed kilku laty przyjechał bardzo smutny. Powodów smutku nikt nie wiedział. Utrzymywano wprawdzie, że miał się żenić z kimś, i że narzeczona zdradziła go, czy umarła; ale były to tylko pogłoski i demysły, bo on sam nigdy nikomu ani słowa o tém nie powiedział. Nie mógł jednak wysiedzieć w Warszawie ani na wsi, lecz pojechał w podróż. Był w Stanach Zjednoczonych, na wyspie Kubie, bił się z Beduinami w Afryce, polował na lwy i tygrysy i powrócił do kraju z ogorzałą twarzą,

hartowny, poważny, ale już zupełnie spokojny. Ojciec mu umarł, odziedziczył więc wielki majątek, którego znacznie i rozumnie używa, a teraz żeni się z młodą jakąś i pełną zalet osobą.

— Wieści te — rzekła Klotylda — są mi bardzo miłe i pocieszające, bo dla pana Karłowskiego zachowałam na zawsze wdzięczność serdeczną i prawdziwy szacunek.

— W tym samym wagonie — mówił dalej ksiądz Stanisław — jechał jeszcze dziwny jakiś człowiek. Exemplarz podobny pierwszy raz w życiu widziałem.

— Któż taki?

— Był to człowiek średniego wieku, o ściągłej, bladéj twarzy i długich włosach. Obecni, znajomi znać jego, nazywali go Konwaliusem Konwaliorum.

Uśmiechnęła się na to przypomnienie Klotylda.

— Znałam go kiedyś — rzekła. — Jakże mu się powodzi? dokąd jechał?

— Mówił nam, że jedzie do Krakowa, i że opuścił dla tego Warszawę, że tameczni wydawcy nie chcieli wydrukować trzydziestu tysięcy wierszy, przez niego ułożonych. A mówiąc to, co chwila powtarzał: — ród ludzki biegnie ku upadkowi, bo bozka poezya przestała być jego matką-karmicielką...

Uśmiech zagościł znów przez chwilę na ustach Klotyldy, ale zniknął wkrótce. Zamyśliła się długo i smutnie, a potem podniosła spuszczone oczy i rzekła:



— Kiedy mówię o ludziach, których znałam niegdyś, i o całej przeszłości mojej, wszystko wydaje mi się snem jakimś, tak dalekim... tak dalekim, że mogła-bym sądzić, iż raz już umarłam, i że to są wspomnienia z przedgrobowego istnienia. O! księżo Stanisławie — dodała po chwili milczenia — biada tym, którzy nie przywykają badać samych siebie i nie uczą się rozumieć uderzeń własnego serca. Biada tym, którzy, straciwszy ster własnych uczuć, dają się unosić ślepo każdej zachciance, każdemu wrażeniu! Prędzej czy później, obejrzą się oni po-za siebie i w przeszłości ujrzą tylko szaleństwa, błędy, a niekiedy i... zbrodnie.

— Tak — odrzekł ksiądz Stanisław — w twojém, pani, życiu uwydatniła się ta prawda. Nie zrozumiałaś własnego serca, a przez to złamałaś inne serce, szlachetne i gorące. Ale winę tę odkupujesz cierpieniem i tém dobrém, które w około siebie rozlewasz. Matka twoja, jeśli cię widzi z nieba, błogosławi cię pewnie i Bóg ci przebacza. A Lucyan biedny niech śpi w spokoju! Nie tylko ty, pani, winna jesteś śmierci jego, bo biada wszystkim, którzy mają za szerokie technienie dla obrębu, w jakim są zamknięci. Brak im będzie powietrza, a jeśli nie przełamią zapór i nie ulecą w przestrzeń szeroką, muszą długo i boleśnie targać się i łamać, aż się zmęczą i skonają... *w klatce.*

# SPIS ROZDZIAŁÓW.

## CZEŚĆ I.

### Kameleon.

	Str.
I. W podróży . . . . .	9
II. Doktor . . . . .	28
III. W teatrze . . . . .	47
IV. Z dziennika kobiety . . . . .	54
V. W kościele . . . . .	62
VI. Nie mów hoc, póki nie przeskoczysz . .	68
VII. W miasteczku . . . . .	76
VIII. Kobieta-zagadka . . . . .	131
IX. Na co się przydał Konwalius-Konwaliorum.	149



## CZĘŚĆ II.

### Wrażenie i miłość.

	Str.
I. Jodłowa . . . . .	169
II. Byłaby to ta sama? . . . . .	204
III. Nie chcą się zejść, a schodzą się . . . . .	239
IV. Odpust . . . . .	268
V. Sielanka . . . . .	300
VI. Pytanie . . . . .	302
VII. Odpowiedź . . . . .	314
VIII. Urzeczony . . . . .	342
IX. Syn i matka . . . . .	365
X. Narzeczeni . . . . .	391
Epilog . . . . .	402



Ant. Haak -  
 Kraków, 15. 10. 1911  
 40015









1463038

BIBLIOTEKA  
NARODOWA